



RICHARD FLANAGAN

**NIEZNANA
TERRORYSTKA**

Laureat Nagrody Bookera
Autor światowego bestsellera *Ścieżki Północy*



**MISTRZOSTWO.
PRZECZYTAJCIE TĘ POWIEŚĆ TERAZ,
ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO**

„SCOTLAND ON SUNDAY”

RICHARD FLANAGAN

**NIEZNANA
TERRORYSTKA**

Przełożył
Maciej Świerkocki

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

SOBOTA

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

NIEDZIELA

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

PONIEDZIAŁEK

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

WTOREK

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Przypisy

Tytuł oryginału: THE UNKNOWN TERRORIST

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja: PAWEŁ CIEMNIEWSKI

Korekta: JACEK BŁACH, KAMIL BOGUSIEWICZ, EWELINA KOROSTYŃSKA

Projekt okładki i stron tytułowych: ROBERT KLEEMANN

Zdjęcie na okładce: © Michael Dodge/Getty Images

Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © 2006, Richard Flanagan

All rights reserved

© Copyright for the Polish translation by Maciej Świerkocki

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie, 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06638-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Davida Hicksa

Myśl, że miłość to za mało, jest wyjątkowo bolesna. Dlatego w obliczu takiej prawdy człowiek od stuleci usiłował znaleźć jakieś dowody na to, że miłość stanowi największą siłę na ziemi.

Szczególnie smutnym przykładem tej nierównej walki z prawdą jest Jezus. Jego naiwne serce nigdy nie miało dosyć ludzkiego kochania. Jak zauważył Nietzsche, Chrystus pożądał uczucia mocno, szaleńczo, dlatego musiał wymyślić piekło jako karę dla tych, którzy nie dawali mu miłości. W końcu, żeby usprawiedliwić beznadzieję i porażkę miłości, stworzył boga, który sam „cały był miłością”.

Pragnący miłości tak radykalnie Jezus był najwyraźniej szaleńcem, więc kiedy stanął w obliczu porażki, nie miał innego wyboru, jak tylko szukać śmierci. Zrozumiał, że miłość to za mało, i uznał, że musi oddać życie, aby zapewnić przyszłość swoim uczniom. W ten sposób stał się pierwszym, lecz nie ostatnim w historii przykładem zamachowca samobójcy.

Nietzsche napisał kiedyś, że nie jest człowiekiem, tylko dynamitem. Była to metafora marzyciela. Dzisiaj każdego dnia ktoś gdzieś staje się dynamitem. Tacy ludzie to jednak nie metafory. To żywe trupy, podobnie jak ci, którzy ich otaczają. Rzeczywistości nigdy nie tworzyli realiści, tylko marzyciele, tacy jak Jezus lub Nietzsche.

Nietzsche bał się, że świat popychają do przodu wyłącznie złe i niszczycielskie moce. I w swoich pismach próbował pogodzić się z taką straszliwą rzeczywistością.

Pewnego dnia zobaczył, jak woźnica brutalnie okłada konia. Filozof podbiegł do zwierzęcia, zarzucił mu ręce na szyję i nie chciał go puścić. Wkrótce potem u Nietzschego rozpoznano chorobę psychiczną, trafił więc do domu dla obłąkanych.

Jego uzasadnienie miłości i jej rozmaitych przejawów, jak empatia, dobroć albo obejmowanie konia za szyję po to, żeby przestano go bić, było jeszcze słabsze niż wyjaśnienia, które podawał w tej kwestii Jezus. W ostatecznym rozrachunku filozofia Nietzschego nie była w stanie wytłumaczyć nawet jego samego: człowieka, który dla konia złożył w ofierze własne życie.

Ludzka myśl – idea – nigdy nie trafia bowiem w sedno. Chopin nie potrafił uzasadnić swoich nokturnów, a powody, dla których nokturny Chopina prześladowały Doll, stanowią jeden z wątków tej opowieści. Słuchając tego, czego nie potrafił uzasadnić Chopin, słyszała uzasadnienie własnego życia. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że nokturny zapowiadały też jej śmierć.

SOBOTA

Doll była tancerką erotyczną. Miała dwadzieścia sześć lat, chociaż odkąd skończyła siedemnaście, twierdziła niezmiennie, że dwadzieścia dwa. Drobna, smągła dziewczyna, której kręcone, czarne włosy podkreślały jeszcze piękno twarzy i migdałowy kształt oczu.

– Jej ciało, hej – powiedziała Jodie, koleżanka Doll, też tancerka, dla której ciało było ważne i która już jako dziewiętnastolatka uzależniła się od botoksu – nie wyglądała jak gdyby, no wiecie, współcześnie. Kumacie, o co mi chodzi?

I owszem, wszyscy słuchacze wiedzieli dokładnie, co oznacza beznamiętna mina Jodie.

Młode kobiety, które tłumnie podejmowały i porzucały pracę w erotycznych klubach tanecznych, były najrozmaitszej budowy, ale ich figury bez względu na różnice łączyła szczupłość, jaką może zapewnić tylko wielogodzinne kołysanie się i chwianie przy rurze, a dodatkowo wyostrzyć jedynie dieta złożona z amfetaminy i alkoholu. Ambicją tych dziewczyn był ideał, który widziały w roli głównej na setkach płyt DVD i w tysiącach wideoklipów, rozrzucany po niezliczonych pismach kobiecych i prześlizgujący się przez miliony reklam. Żyłasty, kanciasty i guzowaty, o grających pod skórą kościach i mięśniach, połyskujący od kosmetyków – ideał pięknych kobiet jako trupio wychudzonych dzieci.

Ciało Doll wydawało się przejawem jakiejś innej, starszej idei kobiecości. W przeciwieństwie do muskularnych tyłków i ud pozostałych tancerek z klubu, Doll wydawała się bardziej zaokrąglona; jej ramiona, uda i pośladki były pełniejsze, a ruchy sprawiały wrażenie równie zaokrąglonych i pełnych.

Sądziła, że nie jest kobietą zbyt wielkiej urody, i nie dowierzała zainteresowaniu, które, jak jej się wydawało, wzbudzała. Nie potrafiła zrozumieć, że zainteresowanie to wynika z czegoś innego, ludziom bowiem bardziej niż jej uroda podobało się to, jaka Doll po prostu była – podobały im się jej leniwe gesty, uśmiech, sposób, w jaki nawiązywała kontakty. Miała jednak dwadzieścia sześć lat, udawała, że ma dwadzieścia dwa, i jej uroda nie była bez znaczenia. Miała także szczerą, owalną twarz. Kompletnie niepasującą do naszych czasów.

Doll odznaczała się może egzotyczną urodą, ale pochodzenie miała zwyczajne. Jako *westie* urodziła się gdzieś na zachód od Sydney, chociaż nikt nie wiedział, skąd dokładnie jest. Zawsze chciała wyjechać z rodzinnych stron, lecz gdy się jej to udało już jako młodej kobiecie, zdziwiła się, że tak niewiele za sobą zostawiła. Nie chodzi o to, że nie wiedziała, gdzie jest jej dom, ale o to, że nie bardzo czuła, by kiedykolwiek go miała. Już dawno postanowiła, że jej wczesne życie pozostanie dla niej bez większego znaczenia, i uparcie twierdziła, że miejsce jej pochodzenia oraz to, skąd się wzięła, nic jej nie będą obchodzić.

– Wychowałam się jak kotka, moja przyjaciółko – powiedziała kiedyś do Jodie, która wcale nie była jej przyjaciółką. – Rodzice nie przyłożyli ręki do mojego wychowania. Znasz jakieś koty, które interesują się historią swoich rodziców?

Oczywiście ojciec Doll pochodził skądś tam, a jej matka skądinąd; ich rodzice z kolei też na pewno prowadzili dość ciekawe życie w takich miejscach i czasach, które nawet w naszych oczach mogą się wydawać egzotyczne, opowiadają bowiem o nich miniseriale i opasłe powieści, przeceniane w Big W, sklepie dla kobiet, przed Bożym Narodzeniem. Im dalej cofalibyśmy się w czasie, tym niewątpliwie bardziej intrygująca byłaby ta historia: moglibyśmy spotkać w niej skandalizujących artystów albo głośnych przestępców, nieudanych biznesmenów lub udanych szarlatanów, ludzi różnych charakterów i zainteresowań, czarujących i przerażających. Jednak nawet jeśli tak było, to rodzice Doll niewiele o tym wiedzieli i kompletnie się tym nie interesowali. To, w jakim układzie i w jaki sposób przemijało życie przed ich urodzeniem oraz jak będzie wyglądało po ich śmierci, znaczyło dla nich nie więcej niż przyptywy i odpływy ruchu samochodowego na autostradzie.

Ich świat składał się bowiem z podmiejskich prawd, był światem dnia bieżącego – dom, praca, stan posiadania, samochody, znajomi, remonty, urlopy w modnych kurortach i najnowsze gadzety: kamery cyfrowe, kino domowe, nowy basen. Przeszłość stanowiła śmietnik, pełen anachronicznych urządzeń: masażer do stóp, zapewniający jednocześnie detoks całego ciała, piec turbo, wypiekacz do pączków, gramofon, lustrzanka jednoobiektywowa, odtwarzacz wideo i grill elektryczny. Przeszłość stanowiła wstydlive pomieszenie przygnębiających kolorów i mód, które należało wyśmiewać: fryzury na „czeskiego piłkarza”, watowane ramiona, trwała ondulacja i ogrodowe grille na trójnogach. Warto było mieć jedynie katalog na dany tydzień – tylko on był przydatny, zero kaucji i dwadzieścia cztery miesiące na spłatę kredytu. Prowadzili puste życie, chociaż uważali, że jest dobre. Doll z dzieciństwa najlepiej pamiętała opery mydlane.

Oglądała *Neighbours* i *Home and Away*; gdy miała osiem lat, bardziej zmartwiła ją śmierć serialowej Daphne Lawrence niż to, że rok wcześniej jej matka odeszła od ojca, zabierając dwóch młodszych braci Doll do Hervey Bay, gdzie zamieszkała z Rayem, montażystą basenów z włókna szklanego. Doll nie wiedziała wtedy, czego się od niej oczekuje ani co takie rzeczy oznaczają, ale dzięki Ramsay Street z *Neighbours* i Summer Bay z *Home and Away* sprawa była jasna: człowiek płacze, śmieje się i żyje dalej.

Oglądała wideoklipy z zawsze pięknymi dziewczynami i zawsze grubymi i agresywnymi mężczyznami; jej zdaniem dziewczyny przyćmiewały mężczyzn urodą, tańcem i tym, że na ogół nawet się nie odzywały, gdy tymczasem mężczyźni ciągle gadali... Nic nie mogło lepiej jej przygotować do tańczenia na rurze.

Twierdziła, że jej jedyne nieprzemijające wspomnienie sprzed rozstania rodziców to kiczowaty obraz typu *trompe l'oeil*, jaki namalowała matka na żaluzjach w salonie ich podmiejskiego domu. Malowidło przedstawiało okno wychodzące na plażę Kuta na Bali, dokąd mama pewnego razu pojechała na urlop i gdzie poznała Raya.

Jako nastolatka Doll od czasu do czasu odwiedzała matkę w Hervey Bay. Raya już wtedy od dawna przy niej nie było, a matka mówiła wyłącznie o swoich dwóch synach grubaskach, którzy ubierali się jak otyli raperzy, często mówili „Jo!” i witali się ze sobą po amerykańsku, czyli robiąc zółwika. Doll czuła się tak, jak gdyby była ich nową i niespecjalnie interesującą sąsiadką z naprzeciwka. Życie jej matki też wyglądało jak opera mydlana, chociaż nie za dobra; w kółko problemy z narkotykami, wizyty policji, kłopoty zdrowotne, na przykład wypadanie narządów płciowych, i nowi partnerzy. Odwiedziny u matki przygnębiały Doll. Jeździła do niej z poczucia obowiązku, które w pewnym momencie przestało być ważnym powodem, przestała ją więc odwiedzać.

Kiedy kilka lat później dotarła do niej wiadomość, że matka zginęła w wielkiej kraksie na Hume Highway, zasmuciła się, ale niespecjalnie. Wiadomość o tej śmierci wydała się dziewczynie raczej przypieczętowaniem długiej matczynej nieobecności niż jej początkiem.

Być może opowiadała o tym żaluzyjnym malowidle matki, jej zdaniem symbolizowało ono bowiem głupotę nadziei i marzeń – w każdym razie tych wielkich. Małe marzenia, małe nadzieje, małe rzeczy – życie pozwalało na nie, ale na nic więcej, z punktu widzenia Doll były więc dopuszczalne. Wszystko inne, wszystkie większe marzenia, jak obrazowo dowodziło życie jej matki, zawsze można było zniszczyć. Co nie znaczy, że Doll była nieszczęśliwa – przeciwnie. Uważała, że szczęście zapewni jej afirmacja życia. Patrzyła prosto w słońce Sydney i nigdy nie kryła się przed nim za kiczowatymi malunkami urojeń.

Nie była bowiem marzycielką jak Jezus albo Nietzsche. Uważała się raczej za realistkę. Realizm to uścisk rozczarowania, który przyjmujemy, żeby już więcej się nie rozczarowywać.

– Przyjechałam więc do miasta, moja przyjaciółko – zwróciła się Doll do Jodie. – I co z tego?

Bo owszem, i co z tego? Nie rozumiała swojego nowego świata i nie była w stanie wytłumaczyć, dlaczego tak nienawidziła i bała się starego, ale jakie to miało znaczenie? Pięć czy ponad pięć milionów sydneyjskich *westies* nie cierpi obrzydliwego snobizmu północnej części miasta i arogancji jego wschodnich rejonów, podczas gdy mniej więcej milion tamtejszych bogaczy gardzi pazerną wulgarnością i materializmem uboższych mieszkańców zachodu. Nikt się nie przyzna, że wszyscy myślą mniej więcej w ten sam sposób i że coś, co nakreśla i łączy ludzi w tym mieście, to jedno i to samo: kasa. I nikt się nie przyzna, że jedyna prawdziwa różnica między nimi polega na tym, że na północy i wschodzie ludzie w gruncie rzeczy mają więcej, a na zachodzie w gruncie rzeczy mniej.

Doll nie próbowała nic z tego zrozumieć. Chciała po prostu żyć, a wszystkie tłumaczenia były dla niej tylko dalszym ciągiem tego samego pieprzenia, jakie nieustannie słyszała od różnych typków, którym zależało przecież wyłącznie na tym, by ją zobaczyć bez majtek.

– Porzuciłam zachód – mawiała nosowym głosem, zdradzającym na krańcach śpiewnie wymawianych samogłosek jej libańską i grecko-australijską krew – i jednocześnie wyrzuciłam go z siebie.

Była to nieprawda, jak prawie wszystko, co mówiła o sobie. W głębi duszy bardzo chciała przenieść się pewnego dnia na północ, ale żywiła zarazem niechęć do tych, którzy już się tam przeprowadzili – potrafiła tylko na podstawie adresu z północnej części miasta całkiem radośnie naskoczyć na klienta jako na snoba oraz koniobijcę. Nic nie mogło skłonić jej do tego, by ruszyć się gdzieś dalej poza centrum niż do Newtown.

– To szkodzi na cerę, moja przyjaciółko – powtarzała. Mówiła w ten sam sposób o wszystkim, co ją przygnębiało, jak gdyby taka uwaga cokolwiek tłumaczyła.

Z jednej strony czerpała niemal perwersyjną przyjemność, kpiąc z innych *westies*, zwłaszcza dziewczyn – z powodu ich przesadnego makijażu, krótkich spódniczek, szerokich pasków i ogromnej ilości kosmetyków, którymi smarowały sobie twarze i włosy – z drugiej zaś, nie licząc jej uprzedzeń do zachodniego Sydney, miała ich tyle samo do reszty świata, co typowy mieszkaniec tej części miasta. Od czasu do czasu dawała zatem upust swojej złości na wietnamców, brudnych aborygeńców, gliniarzy i wszystkich czytelników „Sydney Morning Herald”.

– Lubię myśleć, że jestem jednakowo rasistowska dla wszystkich – mawiała – ale tak naprawdę najbardziej nienawidzę tych obleśnych libańców.

Kiedy wstawała o dziesiątej rano, już było przyjemnie ciepło. Monotonne odgłosy ulicy brzmiały w jej ciemnym mieszkanku jak najłagodniejsze wibracje. Myśli Doll były zbyt nieuchwytnie, żeby je opisać. Dobry humor, w jakim się budziła, jeszcze bardziej jej się poprawiał dzięki kontrastowi między ciężarem wywołanego temazepamem snu i lekkością dnia. Oddawała się bezpośrednim, prostym przyjemnościom: tego akurat ranka odczuwała płynące z miasta spokój i radość – to wrażenie tak ją zainfekowało, że zapomniała nawet zażyć codzienną dawkę zolofu.

Wzięła taksówkę do Bondi. Kiedy przejeżdżała między wysokimi domami pod niebieskim, rozjarzonym niebem, jej oczy napełniły się łzami: bez wyraźnego powodu czuła się szczęśliwa.

Pozwalała sobie na drobne radości: na plaży poszła popływać, a potem leżała, faszując się słońcem. Czerpała przyjemność, czując, jak jej piersi rozplaszczają się na ręczniku, pod którym tężał piasek; wdychała zapach olejku do opalania, mokrej plaży i słonego powietrza morskiego, któremu ścieki, spieniające się w latte na odległych przylądkach, nadawały również nieznaczną cierpkość.

Przekręcała głowę na boki: jedno ucho przyłożone do ziemi, drugie otwarte na niebo; narastał ryk fal, dla którego dziecięce piski stanowiły dryfujący akompaniament i który zaczynał cichnąć, kiedy Doll ciałem i myślami zatracala się w miarowym szumie i chlupocie fal. Było to jak sen, sen, w którym okazywało się, że mimo wszystko warto żyć.

W oddali widziała jedyną na niebie chmurę. Przypominała... Właściwie niczego nie przypominała, była po prostu powolną, piękną i samotną chmurą. Zmieniała się nieustannie jak świat i podobnie jak świata nie można jej było opisać.

W niedalekim radiu nadawano jak gdyby te same wiadomości co zawsze, a powtarzalność odległej grozy i lokalnej przyziemności napełniała ją spokojną otuchą. Nowe zamachy bombowe w Bagdadzie, nowe ograniczenia w zużyciu wody i nowe pożary buszu; nowe groźby ataku na Sydney na kolejnym portalu Al-Kaidy, kolejny sportowiec bohaterem skandalu seksualnego, najnowsze niepotwierdzone doniesienia, że na stadionie Homebush Olympic w Sydney znaleziono trzy niezdetonowane bomby, a upał będzie trwał dalej, osiągając rekordowe temperatury – tymczasem tu, na plaży, fale płynęły do brzegu, rozбивały się i odpływały, unosząc cały ten nieistotny hałas ze sobą, jak zawsze: tak było i tak będzie.

– Żyj swoim marzeniem! – powiedziało radio.

Czy nie to właśnie robiła?

W tej chwili nie było na świecie nic, czego by chciała, nic, czego los jej odmówił, a co pragnęłaby mieć, nie dręczyły jej żadne niespełnione ambicje. Nie pożałała przyjaciół, mężczyzn, pieniędzy ani strojów i nie chciała być kimś innym, niż jest. Zło, jakiego kiedyś zaznała, nie miało znaczenia. Nie wydawała się sobie za chuda ani za gruba, nie była znużona, wyczerpana ani podniecona i nie odczuwała potrzeby ćwiczeń fizycznych. Nie była piękna ani brzydka, jej ciało istniało tylko po to, żeby przyjąć dar życia, i w tym momencie wszystko zdawało się dobre. Wystarczyło słuchać rozbijających się i płynących fal, przesypywać piasek z ręki do ręki i przyglądać się jego spadającym ziarnkom.

– Gratulacje, Australio! – odezwało się radio. – Chcemy ci podziękować powalającą wyprzedzą wyposazenia łazienek!

Przysnęła, ocknęła się, obserwowała pięknych surferów na długich deskach i ratowników w obcisłych trykotach, umięśnionych gejów, dziewczyny o dumnie (a co!) wylewających się z majtek wałeczkach tłuszczu, przechadzających się dostojnie starych dziadków z obwisłymi brzuszyskami i równie stare babska, które przypominały pawie, opadające z sił w upale, siedziały więc tylko na piasku i rozglądały się wokół; piersi, tyłki i męskie genitalia, wszystko to zwisało w jakimś obłąkańczym bezładzie, słońce świeciło, jakby jutro miał się skończyć świat, a nad tym wszystkim fale przywracały życiu jakiś inny, lepszy, większy rytm – kto w takich okolicznościach nie czułby się radosny jak skowronek, i, jak mawiała jej znajoma, Wilder, swobodny jak pierdnięcie?

W tym momencie wszystko na tej plaży zmieszało się w coś rozkosznego i krzepiącego, czemu Doll nadała miano Sydney, sądząc, że już rozumie, dlaczego tylu ludzi tak pokochało to miasto.

Drzemała, kiedy zadzwoniła jej komórka. Wilder powiedziała, że siedzi z Maxem na Bondi, jest piękny dzień, więc może Doll by do nich przyjechała, to by sobie razem popływały?

– To może mi zająć chwilę – odparła Doll, wstała, podniosła ręcznik i torbę i rozejrzała się po plaży. – Są korki i w ogóle.

Zaczęła się przeciskać przez tłum plażowiczów i zauważyła pięcioletniego Maxa, który kopał dół niecałe sto metrów dalej, a Wilder, jego mama, leżała obok, majestatyczna i jak zwykle bezwstydną, opalona na ciemny brąz, toples.

Doll oddzwoniła do niej i spytała, gdzie dokładnie jest na plaży. Wilder zaczęła podawać jej wskazówki, a Doll podkraśniała się do niej od tyłu i dalej z nią rozmawiała, aż wreszcie jej usta niemal dotknęły komórki przyjaciółki. Wilder, która była w znakomitym humorze, obejrzała się, pokazała swoją niedającą się zapomnieć twarz i krzyknęła głośno z radości. Max też odwrócił się gwałtownie w swoim dole, po czym na widok Doll wygramolił się z niego i rzucił się jej w ramiona.

Przytulała i łaskotała Maxa, jednocześnie rozmawiając z Wilder. Chłopiec szybko się znudził i wrócił do kopania, a Wilder opowiadała, że zaproszono ją wieczorem na paradę Mardi Gras, na platformę Lesb z Kutasami. Doll oczywiście wiedziała, że Wilder nie jest lesbijką, okazało się jednak, że ktoś tam zachorował, i dzisiaj rano do Wilder zadzwoniła jedna znajoma z prośbą, żeby uzupełniła skład. Wprawdzie propozycja przyszła w ostatniej chwili, ale Wilder uznała ją za nie do odrzucenia i teraz wszystko zostało już ustalone; Max miał pojechać do ojca.

– Na dzisiaj precz z chłopakami – powiedziała Doll, która nie widziała dołu, bo zasłaniała jej go Wilder. – Co, Max?

Nie było odpowiedzi. Doll podniosła wzrok, a Wilder się odwróciła. Max zniknął z dołka. I nigdzie nie było go widać. Wilder podskoczyła, zaczęła się przyglądać plażowiczom, a potem morzu.

– O mój Boże – powiedziała Doll. – Porwał go prąd odpływowy.

I pokazała ciemny, węzowy jęzor wody, który oddalał się od brzegu i wił wśród wielkich fal, szybko unosząc małego chłopca na desce do pływania na pełne morze.

Widziały, jak Max porusza ustami, bo krzyczał, bezradny i przerażony. Ale w huku fal rozbijających się o brzeg, pośród wrzasków i pisków podniecenia i rozkoszy, jaką plażowiczom sprawiało ślizganie się po falach lub wystawianie na ich uderzenia, nikt go nie słyszał i nikt, nawet ratownicy, nie zauważył, w jakich opalaczach znalazł się chłopczyk. Doll i Wilder zerwały się na nogi i puściły biegiem w stronę morza.

Zanim jednak zdążyły dobiec do brzegu albo znaleźć ratownika, zobaczyły, jak jakiś młody mężczyzna rzuca się w strumień prądu i płynie za teraz już płaczącym chłopcem. Młodzieniec był dobrym pływakiem i sunął naprzód z łatwością, dopóki nie sięgnął Maxa. Dziewczyny przyglądały się jak zaczarowane, a Wilder szlochała bezgłośnie, kiedy nieznajomy chwycił deskę i powoli, niemal obojętnie, wyprowadził ją bokiem poza granice prądu. Potem popłynął do brzegu z Maxem i deską, tak obliczając ruchy, by wsuwać się pomiędzy rozbijające się fale. Kiedy wreszcie mógł sięgnąć nogami dna, wziął chłopaka na ręce i ciągnąc deskę za sobą na zaplecionej na nadgarstku specjalnej smyczy, ruszył w stronę machających do niego i krzyczących kobiet, które brnęły ku nim przez przybrzeżne błoto.

Młodzieniec był smagły i szczupły, miał krótkie kręcone włosy, a ciemny odcień jego skóry podkreślały jeszcze długie, białe spodenki surfingowe. Max bez słowa wyrwał się z jego ramion i rzucił w objęcia matki.

Wilder stała po kolana w morzu, większe fale uderzały ją na wysokości pasa, płakała i śmiała się na przemian, tuliła syna do piersi, besztala go gniewnie i przerywała co chwila, żeby podziękować nieznajomemu, po czym wracała do opieprzania Maxa, jednocześnie całując go, ściskając i wtulając w niego twarz, choć chłopiec nieśmiało próbował się od niej odsunąć, bo wstydził się takiego wybuchu matczynej czułości na oczach nieznajomego.

Młodzieniec mówił niewiele, bagatelizował swoją akcję ratowniczą i starał się nie gapić na piersi Wilder. Potem uśmiechnął się, powiedział do widzenia, uściśnił Maxowi dłoń jak mężczyźnie, z którym przeżył przygodę, i skierował się z powrotem w fale.

- Niezły z niego przystojniak – powiedziała Wilder, kiedy nieznajomy zniknął w wodzie.
- Mocno ciapaty – stwierdziła Doll.

Potem poszła uprawiać bodysurfing. Kochała to ponad wszystko: nurkowała pod ścianą białej wody, czuła, jak przetacza się nad nią jej potęga, i wyskakiwała z powrotem na powierzchnię w skłębionym poboju kipieli na tnącym oczy słońcu.

Blask i piekąca sól sprawiły, że dwukrotnie mrugnęła, po czym zobaczyła go zaledwie kilka metrów dalej; też mrugał i kręcił głową, ten sam młodzieniec, który tak odważnie uratował Maxa.

Uśmiechnął się. Doll też. Wyciągnął rękę nad wodę i pomachał. Odruchowo podpłynęła tam, gdzie nieznajomy pływał na stojąco, objęła go za szyję i pocałowała w usta. Był to delikatny, czuły pocałunek, a chociaż żadne z nich nie rozchyliło warg, jej nogi oplotły się na moment wokół niego i poczuła, że przeszywa ją dreszcz.

- Dziękuję – powiedziała.

Potem zaczęło ich rozdzielać morze, ściana wody, która zwała się w dół i pociągnęła oboje do tyłu. Zaczęli się wznosić na fali jak zwierzęta wodne i Doll zdążyła tylko posłać młodemu człowiekowi krótki uśmiech, zanim w ułamku sekundy podjęła decyzję, żeby wsiąść na tę falę. Złożyła się niczym scyzoryk i rzuciła na wodną ścianę na chwilę, zanim

pękła. Poczula, jak morze podnosi ją i w szalonym, napowietrzonym impecie miota nią z powrotem w stronę plaży. Wydawało się jej, że unosi się z tą falą bez końca.

Kiedy siła morza niemal się wyczerpała i Doll poczuła, że zaczyna dotykać nogami dna, a wzburzony piasek wiruje wokół niej, wstała, zakrztusiła się kilka razy, po czym piekącymi oczami rozejrzała się po oślepiająco jasnym morzu, na boki i za siebie. Szczupłego młodzieńca nigdzie nie było widać. Chyba spodziewała się, że wynurzy się z wody i chwyci ją z zaskoczenia. Ale nieznajomy zniknął. Chociaż nie chciała przyznać, że jest rozczarowana, przez jakiś czas przepatrywała fale i przybrzeżny piasek w poszukiwaniu jego smukłej sylwetki, zanim zrezygnowała i wróciła na brzeg. Weszła na plażę i położyła się koło Wilder i przygaszonego teraz Maxa. Paliło ich słońce, Doll na chwilę zapadła w ciężki sen, a kiedy się obudziła, była już pora wracać i jechać do Chairman's Lounge, by zacząć pierwszą zmianę.

Niełatwo było wyjaśnić, jak to się stało, że Chairman's Lounge zachował reputację jednego z najpopularniejszych erotycznych klubów tanecznych w Sydney. Wprawdzie dwukrotnie zdobył nagrody Eros Foundation jako „Najgorętsza niegrzeczna nocna knajpa”, a raz został oceniony na imponujące pięć cycków przez Hustlaz.com Adult Almanac, ale takie wyróżnienia nie znaczyły zupełnie nic dla nikogo, chyba że tego wieczoru, gdy przyznawano nagrody; poza tym, jak zauważyła Doll, kto w dzisiejszych czasach nie dostaje nagród?

Jak to jednak bywa w wielu podobnych przypadkach, zagadkę wysokiego statusu klubu spowijała tajemnica pieniędzy. Stosując prosty fortel, czyli dwukrotnie wyższe opłaty za wstęp niż w innych klubach i jeszcze większą marżę na alkohol, Chairman's Lounge utrzymywał wysoką pozycję w rankingach, jak również zadowolonych klientów, którzy przecież nie wyrzucaliby takich pieniędzy, gdyby nie był to jeden z najlepszych – to znaczy wartych każdego znikającego bezpowrotnie dolara – klubów w Sydney.

Codziennie w południe szef bramkarzy, Billy Tongijczyk, potężny facet, zazwyczaj odziany w nieskazitelnie biały dres, obwieszony złotymi łańcuchami i z zajebistymi ciemnymi okularami od Versacego na nosie, otwierał Chairman's Lounge, rozwijając długi, brudny, czerwony dywan, ciągnący się sprzed wejścia do dawnego hotelu aż po granice Kings Cross i Darlinghurst.

Wydawało się, że jest to idealna lokalizacja, jeśli chodzi o zakład specjalizujący się w wyrafinowanych pokusach erotycznych dla napalonych facetów. Do centrum miasta było blisko piechotą, a przecnicę dalej chętni mieli burdele, pokazy seksu na żywo i uliczne dziwki z Cross – ta okolica słynęła bowiem głównie z zanikającej już sprzedaży detalicznej plugastwa ze starego świata, a główną atrakcją stanowiło tu podupadłe centrum handlowe, niczym groźny irokezowy czub dzielące na pół wzgórze, na którym stało. Miejscowe ćpuny, prostytutki, zboczeńcy i bezdomni patrzyli na swój codziennie kurczący się atol z oszołomieniem i równie niewielką nadzieją, jak mieszkańcy jakiegoś mikrokraiku na morzach południowych, wiedzieli bowiem dobrze, że cokolwiek kryje przyszłość, dla nich nie ma w niej nic.

Wokół tych ludzi, biegnąc ze zgentryfikowanych kamienic, nowo wybudowanych designerskich apartamentowców Darlinghurst oraz nieustannie odnawianych posiadłości Elizabeth Bay, pędziła fala wzrostu cen nieruchomości i wielkowiejskiej obłudy, wznosząca się równie nieubłaganie i bezlitośnie jak niedaleki i globalnie ocieplony Pacyfik.

Po obu stronach czerwonego dywanu, który jakoś łączył te nieprzystające do siebie światy, Billy Tongijczyk ustawiał mosiężne słupki, połączone ozdobnym, złotym sznurem.

Prawdziwy charakter klubu ujawniał się jednak dopiero w środku. Pas gołych fioletowych jarzeniówek biegł niczym pociski smugowe w dół sześciostopniowych schodów prowadzących do foyer. Huczała tu ogłuszająca breakbeatowa muzyka doof i słychać było nieustanny chrobot kasy przy wejściu, obsługiwanej przez półnągą kobietę, która goliła klientów jako pierwsza. Za foyer ciągnął się korytarz, a za jego zakrętem kryła się sala główna, w której tu i ówdzie stały fioletowe, obite filcem stoły do tańca – każdy był wyposażony w mosiężną rurę.

Jeżeli w mętym świetle poranka klub odznaczał się urokiem i erotycznym powabem vipowskiej poczekalni jakiejś wschodnioeuropejskiej linii lotniczej, to przecież nie bez przyczyny. Albowiem brudne, ciemnobrązowe fotele klubowe, klasyczny bar, nijakie stoliki, stereotypowy charakter wnętrza oraz jego tandetne wykończenie nie udawały, że są czymś innym niż dodatkową porcją słodkiej przeciętności, stanowiącej świat klientów, którzy przychodzili oglądać tutejsze występy. Taka swojskość rozluźniała klientów, a tandeta dodawała im otuchy. Kierownik klubu, Ferdy Holstein, wiedział, że każda próba zmiany tej nieprzejednanej nudy i zwyczajności byłaby próbą podniesienia poziomu przedsiębiorstwa, co w najlepszym wypadku mogło okazać się druzgocącym błędem biznesowym.

Ferdy twierdził, że wywodzi się ze świata rock and rolla, i często rzucał nazwiskami jakichś ludzi z tej branży, o których Doll nigdy nie słyszała. Nosił hawajskie koszule, sądząc, że są modne, jakby nie zdawał sobie sprawy, że jest już facetem w średnim wieku.

Prawda wyglądała tak, że dziesięć lat wcześniej porzucił pracę przy hodowli perel w Broome, skąd wyjechał samochodem pełnym trawy zebranej w Kimberley. Ruszył dwa tysiące kilometrów dalej, na południe, opchnął tam gandzię i zarobił tyle, że wypełnił bagażnik tabletkami ecstasy, które kupił dzięki swoim kontaktom wśród motocyklistów gangu Gypsy Jokers. Potem przeciął niekończącą się nizinę Nullarbor i wjechał na Great Ocean Road.

Lubił opowiadać, że przybył do Melbourne chargerem rocznik 1973, a po miesiącu wyjechał beemką rocznik 1996, i w tym samym roku trafił do Sydney, gdzie kupił połowę udziałów w podupadającym barze. Został jego kierownikiem, a resztę nowo zdobytego majątku zainwestował w wyposażenie lokalu, czyli obite filcem stoliki i mosiężne rury, wzorując się na klubach erotycznych, które zdobywały wtedy wielką popularność. Wspominał później te początki z udawaną pokorą, którą wiele osób zawdzięczających wszystko pracy własnych rąk uważa za niezbędną:

– Mieliliśmy nadzieję.

Nadzieja okazała się niepotrzebna, bo jak często Ferdy powtarzał klientom, to były jego szczęśliwe czasy. Pierwszych piętnaście lat pracy spędził na farmie hodowlanej w Broome jako technik; rozmnażał w specjalnych kadziach mikroskopijne algi, którymi karmi się młode ostrygi. W tej robocie liczyło się tylko to, aby umieć poprawnie wykonać kilka

czynności i potem już nigdy nic nie zmieniać. Podobne zasady stosował także, prowadząc Chairman's Lounge.

A to dlatego, że on – człowiek, który przybył z tajemnicy czerwonych piasków wyżyny Kimberley do błękitnej pewności nocy w Kings Cross – poczuł w Sydney, że życie w ludzkiej wspólnocie to niezszywalne marzenie, a miasta pokazują, że ludzie i algi czeka ten sam jak najbardziej naturalny los: bezsens, zmałowany niewytłumaczalną potrzebą, żeby żyć. Nie wiedział, jak to powiedzieć, ale wołał oglądać wariacki bieg życia w klubie erotycznym niż w kadzi z fermentującymi algami. Tak uważał. Wprawdzie to, co mówił, było banalne, ale jakoś prawdziwe.

– Grunt to dobre przedstawienie – mawiał.

I rzeczywiście, miał rację.

Dzień Richarda Cody'ego nie był dobry aż do tego momentu, czyli do godziny dziewiętnastej z minutami, kiedy wkroczył na czerwony dywan Chairman's Lounge, zszedł na dół wśród fioletowych jarzeniówek i z kieszeni spodni od Armaniego wyciągnął dwudziestodolarówkę, żeby zapłacić uśmiechającej się kobiecie za wstęp. Źle spał, obudził się tylko po to, by znów pokłócić się z żoną, a potem złapali go telefonicznie producenci wiadomości stacji telewizyjnej Six, by poprowadził relację na żywo ze stadionu Homebush, gdzie ogłoszono właśnie alarm bombowy w związku z rzekomym zagrożeniem terrorystycznym.

Mieli nową charakteryzatorkę, która go idiotycznie uczesała, wóz transmisyjny ciągle tracił kontakt ze studiem w czasie łączenia na żywo, a poza tym cała relacja najpierw szybko zrobiła się monotonna, później zaś bezsensowna: w trzech dziecięcych plecakach znaleziono trzy bomby. Widzów ewakuowano, teren wokół stadionu został zamknięty. Nic więcej już nie mogło się tu wydarzyć.

Cody powtarzał zatem w kółko to samo, był głupio uczesany, co chwila tracił i odzyskiwał połączenie ze studiem, a wielu tak zwanych znawców – w większości konsultantów poszukujących stałej pracy na stanowisku ekspertów od bezpieczeństwa, terroryzmu i polityki – komentowało nawzajem swoje uwagi, które z kolei powtarzały i rozszerzały lakoniczne komunikaty policyjnych i rządowych spin doktorów. I wszyscy udawali, że w tej wirówce nonsensu da się znaleźć coś, dzięki czemu będzie można przewidzieć, co jeszcze przyniesie Australii najbliższa przyszłość.

Nie zawiódł go tylko garnitur od Armaniego, który wytrzymał w upale, nie marszcząc się ani nie fałdując. Jako pan w średnim wieku Cody chronił się pod płaszczem elegancji, nawet kiedy temperatura nie spadała poniżej trzydziestu ośmiu stopni przez pięć dni, a wilgotność nie chciała zejść poniżej pięćdziesięciu czterech procent. Roztył się, jego skóra traciła gładkość i łysiał, sądził jednak, że piękne stroje pomagają mu potwierdzić perswazyjne wyobrażenie samego siebie jako osoby czarującej, wyrafinowanej i mądrej. Krótko mówiąc, ładne ubrania pomagały światu zaakceptować fakt, że Richard Cody uważał się za przystojniaka.

Po wejściu na antenę o pierwszej po południu miał już dosyć i skorzystał z najlepszej możliwej wymówki. Został zaproszony na lunch do Katie Moretti przez szefa działu wiadomości, Jerry'ego Mendesa, będącego jedną z istotniejszych przyczyn rozvodu Katie. Cody cieszył się w duchu, że Mendes go zaprosił. To jego zdaniem przekonywało wszystkich – nie tylko te osoby, którym napomknął o swoim zaproszeniu – kto wciąż jest najważniejszym dziennikarzem w Six.

Gdy wreszcie dotarł na miejsce, Katie wprowadziła go do domu – była to posiadłość w Double Bay, którą dostała po rozwodzie i wyremontowała we współczesnym stylu jak korporacyjne foyer – po czym przedstawiła pozostałym gościom. Jak się przekonał w czasie prezentacji, wywodzili się ze świata reklamy, finansów i kręgów prawniczych. Było też dwóch wiceprezesów od McKinseya – ściskając im dłonie i uśmiechając się, zastanawiał się nawet, czy ktokolwiek, kto pracuje dziś dla korporacji, może nie być co najmniej wiceprezesem – a także senator z Partii Pracy i pewna zajmująca się sztuką użytkową projektantka. W rozmowach wszyscy lali tyle wazeliny, że można byłoby napęścić nią wannę.

Jedzenie było jednak wyśmienite, wypito sporo dobrego wina, a wokół stołu kilkakrotnie krążył również bardzo dobry armagnac. Nowe meble, obrazy, zastawa i catering zgodnie zasłużyły na komplementy, którymi obsypywali je goście; widok z jadalni na port słusznie wychwalano w kilku ważnych pismach, a wczesnym popołudniem przyjęciu towarzyszyli też dwaj romscy muzycy, skrzypek i akordeonista – „moi Cyganie”, jak mówiła Katie. Mimo to Cody’emu wszystko wydawało się jakies nuzące, wysilone i równie trudne do przebrnięcia jak normalny dzień pracy.

Nikogo właściwie nic szczególnie tu nie obchodziło, goście mieli jednak potrzebę powtarzania tego, co wyczytali w „Sydney Morning Herald”, gazecie powtarzającej opinie wygłaszane na przyjęciach takich jak to, dlatego nieznacznie kręciło się im w głowach od znajomej nudy całej tej sytuacji.

Trzeba wystawić na defiladę tyle różnych myśli, obejrzeć tyle filmów, przeczytać tyle książek, zobaczyć tyle wystaw i sztuk teatralnych, tyle jest rzeczy, które należałoby żarłocznie pożreć, że jeżeli nie jesteś obżartuchem i nie połknąłeś już całego świata, towarzystwo traktuje cię jak głupiego ignoranta, niemającego podstaw, żeby się odzywać.

Wszystkie powyższe tematy służyły jednak tylko jako omasta do twardej prawdy lunchu, którą stanowiły plotki zamieniające wiedzę na pieniądze i władzę, wyrafinowane sposoby sondowania cudzej pozycji i statusu, przebiegłe poszukiwanie aliansów, tworzenie łańcuchów protekcji i nieustanne wywyższanie się, potrzebne wszystkim gościom jak psu piąta łapa.

Richard Cody wyszedłby jeszcze wcześniej, niż wyszedł, gdyby nie ta projektantka. Smagła, o kręconych, ciemnych włosach, miała na sobie krótką ciemnobrązową sukienkę z dużym dekoltem, częściowo obszytą czarną koronką, która sprawiała, że łuk i kształt jej pulchnych piersi wyglądały wyjątkowo ponętne. Nazywała się... Niestety, Cody, chociaż był nią zainteresowany, nie zapamiętał jej imienia ani nazwiska.

Nie mógł zatem zwracać się do niej po imieniu, flirtował z nią jednak swoim zdaniem niezauważalnie, sądząc, że inni goście mogą wziąć jego zachowanie najwyżej za kurtuazję wobec niezajomej.

Dzień włókł się dalej, projektantka najpierw wydawała się niezainteresowana, potem uprzejmie podirytowana umizgami Cody'ego, a kiedy Jerry Mendes poprosił go na stronę, rzekomo żeby podziwiać widok z nowego tarasu Katie, choć raczej aby pomówić z nim na osobności, Cody odczuł zarówno ulgę, jak i podniecenie. Może dostanie nowy program? Awans? Podwyżkę? Może być tylko dobrze, pomyślał, śmiejąc się na całe gardło z niektórych okropnych dowcipów Jerry'ego.

Mendes był grubasem o brzydkiej cerze. Wyglądał jak zbudowany z wyszczerbionych kul bilardowych. Uchodził za dupoliza, wydawało się, że nigdy nie ma wiele do powiedzenia, a kiedy już coś mówił, to nieprzyjemnym, donośnym i piskliwym głosem, który Cody'emu zawsze przywodził na myśl odgłos jednej bili uderzającej o drugą – stuk – a potem drugiej o trzecią – puk. Mimo to Richard poczuł się jak ważniak, bo zaproszono go na zewnątrz na prywatną pogawędkę, i pomyślał teraz, że mimo tego, co mówili ludzie, to on właściwie całkiem lubi Jerry'ego Mendesa.

Upał na tarasie był niczym odważnik. Słońce świeciło tak jasno, że zamiast pejzażu widziało się jedynie oślepiające drzazgi białego światła, które odbijały się od wody niczym wypełniający niebo szrapnel i przecinały pole widzenia patrzących. Zmarszczyli twarze, by zwięzić oczy do rozmiarów szparek. Jak przyczajone do ataku gady patrzyli na Australię i nie byli w stanie niczego zobaczyć.

– Pięknie, co? – spytał Jerry Mendes.

– Wybornie – odparł Cody; zaczynała go już boleć głowa od blasku, przed którym nie było ucieczki.

– Masz fajkę, Richie?

Cody nie znosił, kiedy mówiono do niego „Richie”. I męczył go Mendes, który zawsze zadawał to samo pytanie, on zaś zawsze udzielał tej samej odpowiedzi: że nie pali. Tęsknił za cieniem.

Jerry Mendes wszedł do domu, wrócił z zapalonym papierosem, zaciągnął się głęboko, a kiedy z ust zaczęły mu wypływać zygzaki dymu, pstryknął niedopałkiem nad tarasem w oślepiająco białe światło Sydney.

Potem odwrócił się do Cody’ego i powiedział, że w Six dzieją się ciekawe rzeczy i że w pogoni za oglądalnością zarząd chciałby poświęcać więcej czasu sprawom bieżącym. Czekał, aż Richard coś powie, więc Richard się odezwał, ale było to tak, jak gdyby znów mu przypomniał, że nie pali, wiedział bowiem, że wszystko, co miałby mu w tej chwili do zakomunikowania, będzie nieistotne.

Następnie Mendes poinformował Cody’ego, że zostaje przeniesiony ze stanowiska spikera we flagowym cotygodniowym programie informacyjnym *This Week Tonight* do wieczornego programu informacyjnego *Undercurrent*, ale nie jako spiker, co Richard uznałby za do przyjęcia, tylko jako „starszy korespondent”. W *This Week Tonight* miała go zastąpić młoda spikerka z ABC, Zoe LeMay.

Mendes używał najróżniejszych frazesów – „reforma...”, „nowa demografia...”, „wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną...”, „synergia” – by zamaskować coś, o czym obaj wiedzieli, że jest degradacją. Cody słyszał tylko stuk-puk-stuk i taki odgłos, jak gdyby coś tonęło. Zoe LeMay! Dziwka, z której wyśmiewały się nawet blondynki. To wszystko przez jego twarz, wiek, wiedział o tym. Zamierzał zaprotestować, ale Mendes nie dał mu dojść do słowa:

– Cóż, Richie, jeśli chcesz zmienić ten stan rzeczy, będziesz musiał ruszyć dupę. Wziąć odpowiedzialność za siebie na swoje barki. Zapracować na powrót.

Richard Cody całkowicie zapomniał, że zaledwie kilka minut temu właściwie całkiem lubił Jerry’ego, i teraz zniechęcił go ze szczerego serca, absolutnie i bezwarunkowo, nie cierpiał jego chciwej kochanki, Katie Moretti, i tych ich okropnych, nudnych znajomych. Co gorsza, Jerry w końcu sam zmęczył się bzdurami, które opowiadał, i teraz, trzymając swoją wstrętną rękę na ramieniu Cody’ego, filozofował o dziennikarstwie tak, jak gdyby byli towarzyszami broni.

– Wiesz, gdzie mylą się ci jebani debile, którym się wydaje, że chodzi o prawdę? – zapytał, nie czekając na odpowiedź i wcale nie chcąc jej usłyszeć. – Wydaje im się, że prawda ma moc, że prawda wszystko zwycięży. Ale to gówno prawda. Ludzie nie chcą prawdy, wiesz o tym, Richie?

Cody wiedział, że teraz Jerry nie oczekuje od niego, żeby zareagował. Więc się nie odezwał.

– Ludzie chcą podniecających iluzji, nic innego. Znajdź coś w tym rodzaju, przypraw taką historię paroma szczyptami strachu i sprośności, i masz żylę złota. Szczerego złota.

Tym razem Cody był pewien, że Jerry oczekuje od niego, żeby coś powiedział. Szukał więc w myślach czegoś, w czym, jak miał nadzieję, znajdzie się odpowiednia nuta ironii.

– Prawda to coś, co my zamieniamy w złoto, Jerry – powiedział.

Mendes śmiał się tak serdecznie, że jego śmiech przeszedł w rżężenie, a potem w cienki, piskliwy, zduszony dźwięk, który ucichł dopiero po użyciu wyszarpanego z kieszeni inhalatora. Jerry przyssał się do niego jak do olbrzymiego lizaka.

– Dziennikarstwo, Richie, to sztuka przemieniania złota w gówno – powiedział, kiedy mógł już znów mówić, choć teraz jego głos brzmiał cienko i jakoś dziwnie przenikliwie.

Nawet gdyby miał przejść pieszo całą równinę Nullarbor, nie popadłby w większe przygnębienie niż na myśl o tym, żeby zostać na przyjęciu u Katie jeszcze choć jedną chwilę. A jednak został, aby pokazać Jerry'emu Mendesowi, że jest człowiekiem nadzwyczajnym, który zasługuje na więcej, i aby nikt nie pomyślał, że robi coś, co rozpaczliwie chciał zrobić – wyjść, ogarnięty wściekłością. Chcąc zająć się czymś innym, zaczął znów flirtować z projektantką.

Rozmowa zeszła na usankcjonowane przez prawo aresztowania uchodźców. Z początku Cody uznał za konieczne – chociaż w ograniczonym zakresie – zgodzić się, że stanowisko rządu jest mniej niż godne pochwały, ale projektantka nie sprawiała wrażenia specjalnie zainteresowanej tematem. Potem Cody przedstawił stanowisko drugiej strony w tym sporze, początkowo z wahaniem, cytując kilka źródeł informacji na wysokich stanowiskach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

A kiedy projektantka nie wydawała się ani trochę bardziej zainteresowana niż przedtem, Cody zaczął rozdymać kilka historyjek o „niebezpiecznych typach, islamistach”, których wpuszczono do kraju, i wykorzystywał przy tym nazwiska paru powszechnie znanych osób, choć gdyby chciał być szczery, musiałby przyznać, że prawie tych ludzi nie zna.

I mimo że projektantka nadal nie wyglądała na zaciekawioną, goście przy stole powoli zaczęli się przychylić do poglądów Cody'ego, gdyż wydawały się głosem zdrowego rozsądku ze strony człowieka, który jako wybitny dziennikarz naprawdę widział trochę świata.

– Bo wiecie – powiedział Cody – nie jesteśmy przecież nazistowskimi Niemcami.

– Ciągle to powtarzam, Ray – odezwał się senator z Partii Pracy, który miał policzek umazany sosem aioli podanym do langusty i mylił Cody'ego z Rayem Martinem. – Jesteśmy Australią.

Pozostali zgodzili się mrukliwie z senatorem. Nie może być co do tego wątpliwości – są Australią, a kiedy rozglądali się po wspaniałej jadalni Katie Moretti, podziwiali jej nowe meble i rozciągający się z okien wspaniały pejzaż, było dla nich całkowicie oczywiste, czym Australia jest, jak również i to, że cała Australia jest tak wspaniała, jak bezdyskusyjnie brzmiało oświadczenie senatora – Australia to oni! To ich sukces i ich dobrobyt, ich posiadłości i ich apartamenty! Ich porsche, bentleye i beemki! Ich uciezki w tropiki! Ich jachty i łodzie motorowe! Ich wpływy, przywileje, przekonania! Kto mógłby w to wątpić? Kto mógłby to kwestionować? Kto mógłby chcieć coś w tym zmienić?

Projektantka nareszcie sprawiała wrażenie zaangażowanej w rozmowę; spojrzała na Cody'ego, uśmiechnęła się krótko i pochyliła do przodu. Richard odczuł ulgę. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Mówcie sobie o nazistach, co chcecie, ale na projektowaniu to oni się znali – powiedziała projektantka, a Cody dostrzegł na jej lewej piersi pociągający pieprzyk.

Pochyliła się głębiej i wtedy pomiędzy jej piersiami, które tak się spodobały Richardowi, najpierw zakołysał się, a potem wysunął z kieszonki utworzonej przez czarną koronkę i biust bogato zdobiony krzyżyk.

– Popatrzcie tylko na mundury SS – powiedziała. – No przecież to jest po prostu czysty seks w czarnych bryczesach.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Krzyżyk bujał się przed nimi jak talizman, odmierzając powolny czas w pustej przestrzeni; im mocniej krzyżyk się kołysał, tym usilniej Cody się w niego wpatrywał, a im usilniej się w niego wpatrywał, tym wyraźniej wyobrażał sobie skryte pod spodem piersi i to, jak mogłyby wyglądać brodawki projektantki w erekcji, i tym bardziej czuł się zmuszony z nią zgodzić. Oświadczył, że swastyka to wspaniały znak, dodając szybko, że nie podoba mu się to, co symbolizuje, ale że nie w tym rzecz.

Opróżnił kolejny kieliszek Moorilla Pinot Noir rocznik 1997, kiedy dziewczyna wstała, żeby wyjść, i chociaż wszyscy zaczęli protestować, najgłośniej zaś wśród nich Richard, naprawdę ruszyła do wyjścia, a razem z nią czarna koronka, rozkołysany kuszący krzyżyk, dekolt z czarnym pieprzykiem oraz brodawki piersiowe, których już teraz nie będzie mógł zobaczyć. Zrozumiał, że przez cały czas trwania tego niemożliwie długiego lunchu wszyscy ją nudzili, w tym on, i to wcale nie najmniej.

Ponownie napełnił kieliszek, zdecydowany spędzić resztę dnia jak najprzyjemniej, lecz gdy projektantka wyszła, zniknęła też jedyna drobna iskierka, która tliła się w tym popołudniu.

Rozmowa przy stole zwolniła, po czym zboczyła na to, w jaki sposób akty terroryzmu – kiedy dochodziło do nich w innych krajach – wpływają pozytywnie na ceny australijskich nieruchomości. Cody zaczął wyglądać przez okno na port.

– Od jedenastego września Amerykanie pokochali Sydney, bo jesteśmy piękni i bezpieczni – usłyszał słowa Katie. – Tylko co sobie pomyślą o nas teraz, po tych strasznych bombach?

Cody odwrócił się. Coś w idiotycznej gadaninie Katie przykuło jego uwagę. Autentycznie oburzony kompletnym brakiem zainteresowania ze strony projektantki, chcąc zrobić wrażenie na gościach i zawstydzić Jerry'ego Mendesa, zaczął z pasją mówić o potwornych zbrodniach popełnionych w Londynie, Biesłanie, Madrycie i na Bali. W miarę jak się rozkręcał, wyczuwał, że jego złość jest szczęśliwie podsycana przez niechęć do zgromadzonych tu ludzi, myślących o terroryzmie wyłącznie z punktu widzenia cen nieruchomości. Te nieoczekiwane emocje ponosiły go coraz bardziej, zaczął więc mówić o końcu niewinności i wstrząsającej destrukcji zwyczajnego życia porządnym ludzi. Stało się nagle tak, że smutny los ofiar terrorystów, jego własna degradacja, której sprawcą był Jerry Mendes, oraz odtrącone umizgi do dziewczyny z krzyżykiem wydały mu się jednym i tym samym, wziął więc na siebie cierpienie całego świata.

– Nie uwierzycie – powiedziała Katie – ale jest taki bardzo seksowny Syryjczyk, który przychodzi na nasze lekcje tańców latynoamerykańskich. Z zawodu informatyk czy ktoś w tym rodzaju. Nazywamy go Salsa bin Laden. Jakkolwiek by się nazywał, to naprawdę śliczny chłopak.

Cody na chwilę poczuł się zdezorientowany, jak gdyby ktoś dał mu kij krykietowy i kazał na nim surfować.

– Cóż, jeśli się wam wydaje, że śmierć niewinnych ludzi nic nie znaczy, to mówcie sobie, co chcecie – powiedział Richard, który lubił mówić to, na co miał ochotę, i który (jeśli ktoś się odzywał, kiedy on miał coś do powiedzenia) doznawał dziwnego uczucia zawierającego w sobie zarówno wściekłość, jak i prawdę.

– Epoka sentymentalizmu dobiegła końca – ciągnął. – Nasza cywilizacja została zaatakowana... Zwróćcie uwagę, że pod rządami tych nowych barbarzyńców nawet takie zgromadzenie jak to nasze tutaj byłoby nielegalne... Nie można byłoby pić wina, kobiety nie mogłyby się ubierać, jak chcą, taniec też zostałby zakazany... – i mówił tak dalej i dalej, chociaż nikt nie tańczył i nie miał po temu okazji, dopóki Cody przemawiał.

Następnie argumentował, że trzeba przywrócić stosowanie tortur pod odpowiednią kontrolą. Odpowiednia kontrola, sensowna polityka, przyjęte procedury – ostatecznie kiedyś okazało się możliwe, aby dzięki konwencjom genewskim ucywilizować coś tak barbarzyńskiego jak wojna – teraz potrzebujemy więc innych konwencji genewskich, które ustaliłyby, jak w cywilizowany sposób można zadawać tortury.

Cody czasami szokował nawet sam siebie własnymi opiniami oraz gwałtownością, z jaką narzucał je innym. Jeszcze bardziej szokowało go to, że ludzie chętnie i pokornie się z nim

zgadziali, chociaż obawiał się, że to nie dlatego, iż uważali, że ma rację, ale dlatego, że był od nich silniejszy, głośniejszy i bardziej agresywny. Jego zdaniem ludzie szli po prostu tam, gdzie wyczuwali siłę.

Na początku zwycięstwo dostarczało mu tak wielkiej przyjemności, że jego twarz czerwieniała i rozdymały mu się nozdrza. Potem jednak szybko zdawał sobie sprawę, że właściwie wcale nie wierzy w to, co z taką pasją mówił. Gorzej, głosił swoje twierdzenia tylko dlatego, że było dla niego ważne, aby to jego i tylko jego zdanie wzięło górę. Później wszystkie jego opinie wydawały mu się przepelnione nienawiścią i ignorancją, ich przeznaczeniem było wyłącznie ranić i imponować. Gardził swoimi słuchaczami, bo żaden z nich nie podejmował rzuconego im wyzwania, nie nazwał go kretynem, łobuzem ani bufonem, chociaż Richard w głębi serca obawiał się, że zasługuje na te określenia.

Zatem nikt nigdy go nie atakował, a on jednocześnie złościł się i cieszył z tego powodu. Ponieważ teraz słuchacze bez wyjątku zamilkli, nie mieli bowiem odwagi, żeby powiedzieć prawdę, lub woleli po prostu opuścić przyjęcie, jak tamta projektantka, Cody nawijał dalej i trudno było odgadnąć, kiedy – ba, czy kiedykolwiek – przestanie.

– To jest dobry świat – usłyszał swój głos. – Jesteśmy zamożni, mamy piękne domy... – I wyciągnął rękę, żeby zaprezentować dom Katie Moretti, pokazywany niedawno w programie o dekoracji wnętrz w Six Network. – Niektóre nawet są piękniejsze od innych... – Na te słowa rozległ się śmiech. – Ale tam, na zewnątrz, czai się irracjonalne zło.

Były to wielkie słowa i Cody, wypowiadając je, sam poczuł się wielki. Potem zmienił ton, zaczął mówić ciszej, dopuścił gości do swoich tajemnic i jął snuć mroczne opowieści o udaremnieniu straszliwych spisków, o planowanych masowych otruciach oraz atakach bombowych i gazowych, których dzięki czujności odpowiednich służb udało się uniknąć, a przy tym barwnie przedstawiał, w jaki sposób Australijczycy mogliby zginąć *en masse* w samym sercu Sydney.

Zauważył, że słuchaczy ogarnia strach. Wyczuwał atrakcyjność swojej opowieści i siłę jej narracji, kiedy wokół stołu zapadła cisza, a wyobraźnia gości podłączyła się do jego wizji spisków, fanatyzmu i grozy. Czuł, jak poprawia mu się nastrój. Wpadł na pewien pomysł, chociaż nie wydarzyło się nic nowego poza tym, że na stadionie Homebush Olympic znaleziono trzy nieodpalone bomby domowej roboty.

Gdy przyjechała taksówka, Cody przeprosił, że wychodzi tak wcześnie, i skłamał, mówiąc, że skoro świt ma zdjęcia. Tak to już jest, powiedział, nie patrząc na Jerry'ego, „kiedy się robi w prawdzie”.

– Głupich dziennikarzyn nie sieją, sami się rodzą – zauważył Mendes, kiedy Cody wyszedł. – Bezcenne, naprawdę. – I znowu zaczął się śmiać tak, że jego śmiech przeszedł w rżenie i musiał ponownie sięgnąć po inhalator.

Taksówka ruszyła, a Cody rozparł się na lepkiej, szarej winylowej kanapie z tyłu, wyjął z kieszeni marynarki buteleczkę i spryskał dłonie niewielką ilością płynu. Wszystko to kanciarstwo, pomyślał, wycierając ręce do czysta z zarazków i bakterii, które przeniosły się na jego dłonie w czasie lunchu – wszystko: Six, media i dziennikarstwo. Pokaże im, kto jest mistrzem, znajdzie jakieś środki i sposoby, żeby odzyskać swoją wysoką pozycję. Zmajstruje taki materiał, którego nikt nie zapomni. Przypominał sobie, jaki z niego twardziel, i wycierał ręce, oczyszczając je wreszcie z obślizgłego dotyku Jerry'ego Mendesa i z nieprzyjemnie wilgotnego, pożegnalnego uścisku zimnej, jak gdyby stężałej dłoni Katie, przypominającej rękę właścicielki zakładu pogrzebowego.

Wrócił myślami do trzech niezdetonowanych bomb i tego, jak udało mu się chociaż przez krótki czas skupić na sobie uwagę gości przy stole, kiedy prorokował, że mogą nędznie zginąć w swoim rodzinnym mieście wskutek takiego czy innego nikczemnego ataku. Sprawa była jednak beznadziejna, bo narracja w pewnym momencie siadała. A to dlatego, że Richardowi ciągle kręciło się w głowie – bowiem jedyną rzeczą, którą z przyjemnością kontemplował, było wspomnienie piersi projektantki.

Pochylił się do przodu i zwrócił do taksówkarza:

– Jedziemy do Cross, chłopie.

Doll wirowała na stole, tuliła mosiężną rurę, rozplaszczała tyłek, rozkraczała się, urabiając widownię, podeszła na czworakach najpierw do jednego żalosego chujka, potem do drugiego, a później do grupki jakichś facetów w garniakach, schylając głowę tak nisko, że prawie ich musnęła swoimi włosami, żeby mogli poczuć tanie perfumy, których używała wyłącznie w pracy, i przeciągle powtarzała każde słowo cichym głosem, a właściwie orgastycznym jękiem:

– Cześć, jestem Krystal.

Jak gdyby znaczyło to cokolwiek albo wszystko – a chodziło przecież tylko o to, żeby mężczyźni wciskali jej pieniądze. Próbowala ich skusić, by dawali jej napiwki, przekonać, że powinni zobaczyć, co kobieta ma pod majtkami, powinni odciągnąć jej figi, żeby mogli za nie zajrzeć, ale we wszystkim, co robiła i mówiła, w każdym geście, w tym, co odsłaniała, i w tym, co starannie zasłaniała, a czego było znacznie więcej, w tym wszystkim, powtarzała sobie, chodziło wyłącznie o pieniądze, o to, żeby zdobyć i zachować je na to, co można było za nie kupić i czego dzięki nim mogła zaznać.

Każda dziewczyna właśnie z tego, finansowego punktu widzenia oceniała każdego mężczyznę wchodzącego do Chairman's Lounge – ile może mieć pieniędzy. Mężczyzna będzie tu akceptowany, pożądanym, komplementowany, adorowany, kuszony i pozwoli mu się na to i owo – ale wprost proporcjonalnie do tego, na ile dolarów zdaniem Doll i pozostałych tancerek uda się go oskubać.

Długie jak zęby grabi, padające z wysoka światło, które ją rozjaśniało, pozostawiało w mroku wszystkich poza nią. Gdyby ktokolwiek z obsługi okazał się na tyle głupi, by zaryzykować posadę i wzmocnić oświetlenie, ujawniłby oburzający i bezczelny, choć zarazem nieco bojaźliwy zestaw *dramatis personae* siedzących wokół tańczącej nagiej kobiety.

Klienci przychodzili tu z biurowców, placów budowy, magazynów i apartamentowców. Uciekali choćby na godzinę albo dwie z przyprawiających o mdłości przedmieść lub od tyrańskiego gustu centrum miasta; od będących na dorobku domostw północy i zadowolonych z siebie przedmieść wschodnich. Kilku gości pochodziło z innych miejsc i krajów, lecz jako część tego mroku byli teraz – bez względu na to, jak bogaci i potężni – niczym. Kobieta, która owija się wokół mosiężnej rury, upuszcza przezroczyisty top, zakrywa pierś wolną ręką i ścisną sobie brodawkę – ta kobieta na króciutką chwilę iluzji i prawdy staje się wszystkim.

Kiedy Doll zaczynała tę robotę, sądziła, że takie kluby taneczne powinny być zarazem egzotyczne i erotyczne, z początku więc uważała, że pracuje po prostu w lokalu bez klasy. Dopiero z czasem zaczęła sobie zdawać sprawę, że cała tutejsza prozaiczność została w rzeczywistości celowo wypracowana, że tandeta i zły gust nie są w Chairman's Lounge żadną pomyłką, tylko założeniem, że powtarzająca się ciągle ta sama muzyka, idiotyczne buty na koturnie, jakby żywcem wyjęte z jakiegoś filmu z lat siedemdziesiątych, i obrzydliwe, równie idiotyczne, cieniotkie koszulki, wszystkie służą określonemu celowi.

Nie bez powodu w wystroju Chairman's Lounge nie było nic godnego uwagi i interesującego – chodziło tylko o to, żeby zwracać uwagę na uroki kobiecego ciała, by interesować się wyłącznie nim. No ale żeby kobiety pozostały godne uwagi i zajmujące, trzeba było karmić je pieniędzmi równie regularnie, jak automaty do gry, wtedy zaś one jak jednoręcy bandyci co chwila oferowały niewielkie wypłaty – pokazywały język, gładziły się po udach, podsuwały klientom piersi – za każdą kwotę włożoną im w szczelinę dłoni, za pasek do pończoch albo gumkę od majtek. Jeśli ostatecznie to zawsze komuś innemu sprzyjało szczęście i to on dostawał wielką wygraną, to przynajmniej, jak w salonie gier, gdzie bębny maszyn wrzutowych nieustannie wirują i bez przerwy gra muzyka, kobiety nie przestawały się tu widać, a muzyka dudnić. Bo tutaj wszystko zostało uproszczone i sprowadzone do następującej zasady: klub wydaje możliwie jak najmniej pieniędzy, by jak najwięcej wyciągnąć ich z klientów.

I tak po pewnym czasie absurdalne stroje, śmieszne buty i idiotyczne ruchy taneczne nie wydawały się już Doll absurdalne, śmieszne ani idiotyczne, tylko równie na miejscu i sensowne jak nożyczki w ręku fryzjera albo fartuszek wokół bioder kelnerki – były po prostu potrzebne do pracy i miały zapewnić stały przyływ klientów. Jednak po co oni tu przychodzili, stopniowo wydawało się jej coraz mniej oczywiste.

Pewnego wieczoru jakiś mężczyzna zapłacił jej za dwie godziny prywatnych występów z rzędu; spędziła cały ten czas na kolanach, a on wpatrywał się w głąb jej odbytnicy z solenną uwagą ginekologa. Jak zauważyła jednak Wilder, za sześćset czterdzieści baksów każdy oglądałby dupy z takim namaszczeniem. Inny klient zapłacił ponad tysiąc za trzy i pół godziny sam na sam z Doll, która tylko siedziała z nim i słuchała, jak gada, aż wreszcie, zalany łzami, wstał i wyszedł w noc.

Byli różni, mówili różne rzeczy: rzadko wspominali o swoich żonach, dziewczynach, dzieciach. Chyba żeby powiedzieć, że ich nie mają albo że one ich nie rozumieją; czasami, jeśli byli pijani, mówili jedno i drugie. Ale przecież, jak Ferdy pouczył Doll, gdy przyjmowała tę pracę, Chairman's Lounge to teatr, w którym każdy odgrywa jakąś rolę.

Wszystkie dziewczyny nosiły pseudonimy i opracowywały własne przedstawienia; na przykład Melissa, która miała coś z oczami, i Amber, która miała coś z głową.

– Wiesz, kim chciałabym czasami być? – powiedziała pewnego wieczoru Amber. – Mężczyzną, który onanizuje się na kobietę. – Rzadko się uśmiechała, ale teraz na jej obliczu

zagościł tajemniczy uśmiech, którego nikt nie potrafił zgłębić. – To musi być coś naprawdę niezwykłego, nie?

W klubie pracowały też mamy z przedmieść i kilka studentek. Na przykład biuściasta Jaqui i Maria, dla której idolami byli celebryci i której zawsze udawało się dostrzec gwiazdorstwo tam, gdzie inni go nie widzieli – powiedzmy w jakimś początkującym aktorze, który przed pięciu laty statystował w telewizji w reklamie batonika Cherry Ripe, albo w wiecznie rezerwowym rugbiście, któremu nigdy nie udało się odnieść sukcesu, chociaż trzy lata temu był jeszcze w składzie Roostersów. Maria mówiła jednak za każdym razem:

– To taki ładny chłopak, i do tego sławny.

Była również Rebecca z Adelajdy, na którą nie wiadomo dlaczego wszyscy mówili Salls i która prawie co wieczór zapewniała Doll, zwykle z westchnieniem, że się wycofuje, że ma już dość i kupi pensjonat typu *bed and breakfast* na Tasmanii albo butik w Port Douglas. Ale Salls, która zaczęła pracować u Ferdy'ego wcześniej niż Doll, nigdy nie odeszła.

No i była też Doll, która tańczyła w Chairman's Lounge krócej niż kilka jej koleżanek, choć dłużej niż większość. Miała swój plan, jak Salls. I w przeciwieństwie do niej była już blisko jego realizacji. Musiała tylko zarobić jeszcze kilkaset dolarów.

– Znałem te jej wszystkie opowieści – mówił potem Ferdy gazetom. – Ale kompletnie nic o niej nie wiedziałem. Nie wiedziałem nawet, gdzie mieszka.

Znał jednak prawdziwe imię i nazwisko Doll i wiedział, skąd pochodzi jej pseudonim, bo to on nadawał w klubie wszystkie imiona i nazwy; to on nazwał ją Doll, on nazwał klub Chairman's Lounge i on ponazywał tutejsze koktajle – zarówno te stare, lubiane przez klientów, czyli Orgazmotron i Viagrowa Rakietę, jak i te cieszące się przemijającą popularnością, na przykład Siostra Schapelle. Pracującym dla niego dziewczynom nadał imiona takie jak na przykład Amber, Salls, Jaimee, Maria, Danni i Jodie. Ginę Davies opatrzył pseudonimem estradowym Krystal, a po kilku miesiącach przezwał ją Russian Doll. Dlatego, że jak mówił potem przed kamerami, „człowiek myślał, że ją zna, ale ona przy każdym kolejnym spotkaniu okazywała się kimś innym, kryły się w niej różne inne kobiety niczym w matryoszce, takiej rosyjskiej laleczce”. Russian Doll okazała się jednak za długą nazwą, więc wkrótce dla koleżanek i obsługi nowe pseudo Giny zostało po prostu skrócone do Doll.

Później, kiedy dziewczyna istniała już jedynie jako temat rozmów, ludzie mówili, że zawsze się wyróżniała – nie chodziło wyłącznie o to, kim była, ale i o jej wygląd. Mogła mieć niemal alabastrową skórę, wystarczyło jednak, żeby wyszła z domu w upalny dzień, a przybierała kolor cynamonu. W pewnym świetle jej czarne włosy zyskiwały odcień niemal błękitny. Czasami wyglądała jak dziecko, ale w trakcie tańca na stole w jakiś nieuchwytny sposób sprawiała daleko bardziej kobiece wrażenie niż wszystkie pozostałe dziewczyny na sali.

W obietnicy ciała Doll było coś takiego, że mężczyźni z radością płacili tylko za to, by siedzieć blisko niej, i to ona prawie zawsze najwięcej zarabiała, nawet jeżeli noc była wyjątkowo kiepska finansowo. Mężczyźni jednak na ogół jej nie obchodzili. Jej życie seksualne, jak mówiła, nie było zbyt ciekawe.

– A kto ma ciekawe życie łóżkowe? – odpowiadała, gdy ktoś podnosił ten temat. – Kilka kolejnych dziewczyn, kilku chłopaków więcej. Nic szczególnego – powiedziała kiedyś w rozmowie z Salls, jak gdyby miłość była teorią, której prawdziwość należy dopiero udowodnić.

Miała szczere wejrzenie, patrzyła ludziom w oczy z pewną nieustraszoną, zdradzającą jej prawdziwą naturę, miała też senny, ironiczny uśmiech, który czasami wystarczał, by doprowadzić mężczyzn do takiego szaleństwa, że gotowi byli się jej oświadczać. Deweloperom z Queenslandu, rugbistom z Wiktorii i konsultantom do spraw zarządzania odpowiadała w takich sytuacjach zawsze to samo:

– Czyś ty kompletnie stracił rozum, przyjacielu?

A kiedy to nie wystarczało, prosiła Billy'ego, by z nimi porozmawiał, gdy wychodzili z klubu.

Twierdziła, że chodzi wyłącznie o pieniądze, ale dawno już się nauczyła, że pieniądze właściwie nie mają z tym nic wspólnego – kobiety nie dlatego tańczą, a mężczyźni nie dlatego je oglądają. Nie cierpiała dziewczyn, które usiłowały udawać, że ich zawód to jakieś wyższe powołanie.

– Pieprzysz jak potłuczona – powiedziała Marii, kiedy ta stwierdziła, że mężczyźni płacą tancerkom „za talent estradowy i wdzięk”. – Mężczyźni mają w nosie to, w jaki sposób trzęsą się tyłki i cycki – ciągnęła dalej – byle tylko trzęsły się blisko nich, moja przyjaciółko.

Zawsze używała tego określenia, „mój przyjacielu”, „moja przyjaciółko”; była to jedna z kilku sztuczek, które stosowała, żeby się wyróżniać spośród innych dziewczyn. Miała też snobistyczne podejście, jeśli chodzi o odzież, którą wybierała u najdroższych, markowych producentów. Potrafiła przyjść do pracy w takim stroju, jak gdyby pracowała w korporacji i wybierała się na wyjazd integracyjny.

Być może największe sukcesy odnosiła w zachowywaniu tajemniczości wokół swojej osoby. Czasami znikwała na długie miesiące, nie zawiadamiając nikogo, że wyjeżdża, i nie składając wyjaśnień po powrocie; po prostu wchodziła do klubu jak w każdy nużący dzień pracy, taki sam, jaki był wczoraj i jaki nadejdzie jutro.

Nie mając poczucia, że prowadzi choć trochę ciekawe życie, rzadko mówiła o sobie. Plotki na jej temat zaczynały się mnożyć, Doll zaś, odkrywszy, że najpewniejszym sposobem potwierdzenia pogłoski jest jej zaprzeczenie, zaczęła kwestionować prawdziwość co bardziej odjechanych historii na swój temat, by nadać im jakąś wartość.

Gdy więc ktoś zapytał ją, czy naprawdę zrobiła kiedyś odlew swojej pochwy i wysłała go byłemu chłopakowi, odpowiedziała, że to kompletna bzdura. I że nie ma ani krzty prawdy w tym, jakoby pewnego wieczoru nadstawiała w klubie dupy za Kylie Minogue i dała sfotografować swoje pośladki do wykorzystania w materiałach promocyjnych jako dublerka diwy muzyki pop, która miała mniej apetyczny tyłek od niej. Zniechęcała każdego, kto miał ochotę sondować jej opowieści lub serce, śmiechem albo groźbą, łagodnie, lecz wystarczająco stanowczo, żeby inni zostawili ją w spokoju, nie reagowała jednak na tyle zdecydowanie, aby rozwiewać mity.

– Nie zwracajcie mi dupy – uśmiechała się. – Jest wprawdzie duża, ale nie aż tak.

Co z tego było prawdą? Ludzie raczej nie wierzyli w opowieści o zmarłym mężu Doll, sądząc, że to żart, który narodził się w związku z jednym z jej prywatnych numerów wymyślonych przez Ferdy'ego. Bo Ferdy trzepał kasiorę na jej egzotycznej urodzie, podsuwając dziewczynie rozmaite specjalne role, na przykład Piękności Andaluzyjskiej albo Tancerki z Haremu. Największym powodzeniem wśród amerykańskich marines i innych wycieczek wojskowych Doll cieszyła się jednak jako Czarna Wdowa.

Temu występowi towarzyszyła nawet specjalna ścieżka dźwiękowa: Ferdy, który przez krótki czas uważał się za didżeja, zsamplewał *Cwałowanie Walkirii* z płyty DVD z *Czasu Apokalipsy*, po czym dodał do tego jakieś wybuchy, wrzaski i dudniący rytm, który szybko dochodził do wariackich stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę, Doll zaś pracowała przy tym akompaniamencie nad widownią. Wychodziła w długiej czarnej sukni i hidżabie, a potem powoli rozbierała się do wyciętych w kroku czarnych majtek i czarnego, głęboko wydekoltowanego biustonosza.

Rozcięcie w majtkach było przewiązane czterema czarnymi jedwabnymi wstążeczkami, każda ozdobiona na końcu fałszywą czarną perłą. Za pięćdziesiąt dolarów Czarna Wdowa rozwiązywała kokardki, a kiedy opadła już ostatnia wstążka, za następne sto dolarów Doll podchodziła do klienta i szeroko rozchylała przed nim nogi. Wtedy, używając rzutnika, Ferdy pokrywał jej ciało wijącymi się arabskimi napisami, które, jak przekonywał widzów, pochodziły z „najświętszej dla Czarnej Wdowy księgi”, czyli z Koranu.

– To było zajebiste przedstawienie – powiedziała Salls kolejnej ekipie telewizyjnej w następną środę, wspominając to, co widziała przed czterema laty. – Ferdy zagrzewał publikę przez głośniki: „Jaką artylerię ma Czarna Wdowa pod spodem?”, i takie bzdety. Pamiętam, że mówił też coś w stylu: „Może wydaje się wam, że jest blondynką, może wydaje się wam, że ona jest jasna, ale jest czarna jak piekło i ciemna jak noc”. Uważałam, że to było naprawdę niezłe, i ten jej numer jakoś od tamtej pory wrył mi się w pamięć.

Dziewczyny przychodziły i odchodziły przez cały czas. Nie tylko Doll traktowała swoją przeszłość wybiórczo; wiele tancerek miało znacznie poważniejsze powody, żeby uważać na to, co o sobie mówią. Pewnego wieczoru w Chairman's Lounge pojawiła się Chinka, którą Doll знаła tylko jako Fung i która przepracowała potem w klubie kilka tygodni. Krążyły plotki, że jest „węzowym łbem”, czyli własnością gangu, i że uciekła z jednego z chińskich burdeli działających w anonimowych wieżowcach Centralnej Dzielnicy Biznesowej przypominających kurze klatki, gdzie mieszkały i pracowały dziewczyny z Chin przemywane do Australii.

Kimkolwiek była Fung, zaskarbiła sobie życzliwość Ferdy'ego, który miał słabość do Azjatek, i szybko stała się w pewnym sensie znaczącą siłą w klubie. Doll kilka razy musiała nawet zmieniać przez nią swoje godziny pracy, co ją straszliwie wkurwiało. Ale władza Fung okazała się jak wiatr.

Któregoś dnia w Chairman's Lounge pojawił się chiński biznesmen. W średnim wieku, bardzo uprzejmy i nienagannie ubrany, z ogromnym rolexem na rękę. Fung jeszcze nie było w pracy. Chińczyk zauważył Doll i poprosił, by powiedziała Ferdy'emu, że przyszedł do niego pan Moon. Gość i Ferdy usiedli następnie w kącie, Ferdy zamówił crownie, a pan Moon niebieskiego johnniego walkera z lodem; z daleka wydawało się, że toczą przyjemną rozmowę.

Doll skończyła zmianę i wyszła. Na Victoria Street spotkała Fung przed Oporto, knajpą sprzedającą dania na wynos. Chinka szła do roboty, bo zaklepała dla siebie tych kilka dochodowych godzin około północy w czwartek – dzień wypłaty.

Doll miała już powiedzieć Fung o panu Moonie, ponieważ domyślała się, że coś go z nią łączy i że nie przyszedł do klubu, by cieszyć się towarzystwem Ferdy'ego Holsteina. Zdecydowała się jednak nic nie mówić. Bo co ją to właściwie obchodziło? Poza tym czy Fung nie ukradła Doll kilku najbardziej lukratywnych godzin pracy?

– Duży ruch? – spytała Fung z tak silnym chińskim akcentem, że jej słowa wydały się Doll brzmieć jak źle nastrojony instrument.

– Normalny – odparła Doll. – Kiedy wychodziłam, przyszedł właśnie cały wieczór kawalerski z północnej dzielnicy.

I po raz drugi o mało nie powiedziała Fung o schludnym, uprzejmym panu Moonie, który dokładnie w tej chwili siedział w kącie baru, popijał niebieskiego johnniego walkera i czekał na nią. Ale po co mówić cokolwiek chinolce, która zajmowała ci najlepsze godziny na rurze?

– Jest też banda gości ze zjazdu stomatologów i tych warto zapoznać – ciągnęła płynnie Doll, której tak łatwo i jednocześnie trudno było wypowiedzieć nazwisko pana Moona. – I paru robotli z zachodniej dzielnicy, których bym raczej unikała.

Uśmiechnęły się do siebie słabo, po czym każda poszła w swoją stronę. Doll stanęła przed światłami na rogu, odwróciła się gwałtownie i miała już zawołać Fung.

Był to jednak absurd. Co wspólnego, na Boga, mogła mieć ta dziewczyna z czterdziestoparoletnim Chińczykiem? A poza tym, jeśli zanosilo się na jakieś gówno, to po co się w nim babrać?

Przemówiwszy sobie do rozsądku w ten sprzeczny wewnętrznie sposób, Doll stłumiła okrzyk, odwróciła się raptownie i poszła do domu. Nigdy więcej już nie widziała Fung.

Następnego wieczoru dowiedziała się, że Chinka wyszła z klubu z panem Moonem. Minął tydzień, a Fung nadal nie wróciła do pracy. W tym czasie przyszła skrzynka niebieskiego johnniego walkera dla Ferdy'ego, prezent od pana Moona. Gdy kilka miesięcy później znaleziono ciało Fung w zalanym betonem kubie na śmieci w rzece Hawkesbury, wszyscy byli smutni i trochę przerażeni, Doll też.

W jej przypadku smutek był jednak także strachem, że znajdą mordercę Fung, dzięki niemu dotrą do pana Moona i przez niego do niej – a przecież ona nic nikomu nie powiedziała. Jej strach przed policją oraz panem Moonem, o ile miałaby go jeszcze kiedyś zobaczyć, pomieszany był ze wstydem i złością. W głębi duszy Doll wiedziała bowiem, że w pewnym sensie zdradziła Fung, i nie mogła przestać myśleć, że to ona zabetonowała Chinkę w tym kubie na śmieci tak samo jak ten, kto wrzucił ją do rzeki.

Potem przekonywała sama siebie, że to nonsens; że Fung i tak pewnie by jej nie posłuchała. Albo że to morderstwo nie miało nic wspólnego z panem Moonem. Albo że pan Moon i tak by dopadł Fung, bez względu na wszystko. Że to po prostu absurd, bo przecież nic nie zrobiła – tylko czy nie na tym właśnie polegała jej zbrodnia?

Nikt jednak nigdy nic jej nie powiedział, nie przyjechała policja, nie zadawano żadnych pytań i w ogóle nic się nie wydarzyło. Ferdy częstował niebieskim johnniem walkerem specjalnych klientów i nową Azjatkę, pracownicę klubu. Widząc, jak wynoszono butelkę tej whisky na tacy, Doll zawsze czuła się nieswojo, ponieważ w jej sercu wciąż powtarzały się słowa: „To ty zabiłaś Fung!”.

Widziała pana Moona później jeszcze tylko raz. Pokazali go w wiadomościach telewizyjnych na jakiejś imprezie, na której zbierano fundusze na kampanię wyborczą. Ścisnął dłoń premierowi.

Unosząc i wypinając pośladki oraz rozsuwając nogi, Doll obliczyła, że tego wieczoru zarobiła na razie zaledwie czterysta dolarów, i to z napiwkami. Przez ramię kątem oka złowiła spojrzenie jakiegoś grubasa w garniaku i ciemnych okularach, takich jakie nosił Bono. Pomyślała, że facet jest chyba amatorem analu, ale ta myśl szybko zginęła pośród nowych obliczeń.

Żeby ten wieczór okazał się opłacalny, potrzebowała jeszcze jednego prywatnego występu. Jeśli dopisze jej szczęście, skusi klienta na drugą piętnastominutową sesję i dostanie dodatkową zapłatę, pomyślała, wciskając sobie palcem majtki w odbyt. W ten sposób zdobędzie sto dolarów ekstra i to uratuje jej wieczór.

– Ooooch – jęknęła.

W sali unosiła się woń schnącego amoniaku. Bolał ją krzyż, a stopy paliły niczym żywym ogniem od tych dziwkarskich butów, które musiały nosić wszystkie dziewczyny – paliły ją tak bardzo, że jak mawiała Salls, można by na nich usmażyć wielki stek wołowy. Odwróciła się i zmieniła pozycję z czworaków na klęczki, starając się, żeby kretyńskie bryle grubasa kierowały się na nią i tylko na nią. Z wolna zacisnęła dłoń na swojej piersi, aż jej palce zamknęły się na brodawce. Uszczypnęła ją, żeby stwardniała.

Tłuścioch wyciągnął drżącą dłoń, w której trzymał zwinięty napiwek, banknot jednodolarowy. „Kurwa jego mać” – pomyślała Doll, przysuwając się już bardzo blisko gościa.

– Ach, dziękuję.

Urwała, odliczyła trzy takty, jak przystało na prawdziwą profesjonalistkę, po czym dodała ciszej:

– Nie jesteś taki jak wszyscy. Jesteś dżentelmenem. A ja lubię tańczyć dla dżentelmenów.

Bardzo powoli rozłożyła nogi i w końcu z chytrym spojrzeniem współwinowajczynie, które przypiętowała uśmiechem, opuściła wzrok na swoją rękę i zaczęła przesuwając ją między nogami, przez cały czas myśląc o torebce od Louisa Vuittona, wypatrzonej gdzieś w spektakularnie obniżonej cenie sześciuset dolarów. Jutro będzie mogła ją sobie kupić, jeśli ten garniakowy grubas zacznie się w niej podkochiwać. Dopiero wtedy ta zaszara noc okaże się coś warta.

Wydała z siebie niemal niedosłyszalny jęk, dźwięk właściwie dziwaczny, który jednak często odnosił zamierzony skutek, po czym wsunęła sobie dłoń pod majtki. Spojrzała w górę, żeby przywabić grubasa, lecz okulary *à la* Bono już nie były skierowane w jej stronę. Niestety, zwróciły się na sąsiedni stół, na którym tańczyła Jodie.

Doll nie zamierzała się jednak poddać. Na szali leżała torebka od Louisa Vuittona. Bolały ją posiniaczone kolana, ale odwróciła się ponownie, opadła na czworaki i zaczęła kręcić tyłkiem w nadziei, że grubas znowu zacznie się jej przyglądać. Kołysała się, kolana jej pulsowały, paliły ją stopy, nie przestawała się jednak chwiać w lewo i prawo, usiłując tylko wyobrazić sobie, jak dumnie idzie ulicą z tą nową torebką. Na pewno wtedy dobrze się poczuje, będzie wyglądać na kobietę opanowaną i pewną siebie.

Odzyska zainteresowanie grubasa, na pewno. A potem, kiedy skończy występ na stole, usiądzie koło niego i zacznie go urabiać, jak nauczyła się urabiać klientów przez ostatnie pięć lat, a wszystko po to, by nakłonić gościa do zapłacenia jej za piętnastominutowy prywatny występ. Będzie mieć uszy otwarte, a buzię raczej zamkniętą, odezwie się jedynie, jeśli będzie musiała – postępowała tak ze wszystkimi klientami: zachęcała ich, żeby opowiadali jej o sobie, o swoim życiu, marzeniach. Zawsze udawało się jej skłonić ich, żeby mówili o sobie, by wylewali z siebie całe to gówno na nią, a ona powtarzała wówczas:

– Taak? Ojej! Naprawdę? Nie do wiary!

Ostatnio mówili na ogół, że są dyrektorami kopalń. Przed kilku laty opowiadaliby, że deweloperami. Jeszcze wcześniej, że prowadzą biznes w internecie: kropka.com. Zawsze zarabiali kupę kasy. I zawsze lada moment mieli zrealizować jakiś ważny projekt. Jedyne, co nigdy się nie zmieniło, to jej głos, powtarzający w kółko:

– Taak? Ojej! Naprawdę? Nie do wiary!

Jeśli któryś z nich kiedykolwiek zadał sobie trud, żeby zapytać o nią, odpowiadała, że pracuje w Chairman's Lounge, bo brakuje jej na chesne za studia – kończy właśnie trzeci rok medycyny i jest singielką, która nie znalazła dotąd odpowiedniego faceta.

Czasami kiedy tańczyła na stole, patrząc na wszystkie te łgarstwa, które krążyły niżej, odnosiła wrażenie, że cały świat opiera się na oszustwie. Czy któryś z tych mężczyzn wróci dzisiaj do domu i opowie swojej żonie albo dziewczynie, dokąd poszedł, co oglądał i jaki był podniecony? A przecież wszyscy akceptowali to, że mężczyźni tu przychodzą i robią takie rzeczy, choć potem nie rozmawiają o tym z nikim, tylko między sobą.

Dlatego właśnie doszła do wniosku, że świat właściwie opiera się na kłamstwach i oszustwach – udaje, że czegoś chce, chociaż w rzeczywistości po cichu pragnie czegoś zupełnie innego. Później uznała, że takie oszustwa i kłamstwa są jak najbardziej do przyjęcia.

Kiedy Jodie i Amber pod koniec swojego dnia pracy – jeśli cena była odpowiednia i miały na to ochotę – szły czasem z klientami do hotelu, żeby uprawiać z nimi seks za pieniądze, to udawały przed nimi, że są podniecone, a oni udawali, że one nie udają. Tak naprawdę i oni, i one wiedzieli doskonale, że wszystko jest łgarstwem. Oszustwo goniło oszustwo, nikt nie był tym, na kogo wyglądał, ludzie nie opowiadali nikomu, co robią, nie czuli tego, co mówią, i nie mówili nic o swoich uczuciach. Wszystko to było całkowicie normalne, do tego stopnia,

że kiedy pewnego razu poruszyła ten temat w rozmowie w przebieralni, Salls popatrzyła na nią, jakby Doll postradała zmysły, pokręciła głową i powiedziała po prostu:

– Wszystko jest dobrze.

Ale gdy Doll wróciła w bezpieczny zasięg mosiężnej rury na środku stołu i znów się odwróciła, garniakowy grubas już zniknął, więc trudno było uwierzyć, że wszystko jest dobrze. Trzymała się rury, która w takich chwilach wydawała się jedynym oparciem w jej świecie, i powoli kręciła się wokół niej, szukając wzrokiem jakiegoś nadzianego faceta.

Zauważyła samotnego mężczyznę w średnim wieku idącego od baru w stronę stolików. Był niski, beczułkowaty, miał na sobie szpanerski jasnoszary letni garnitur – na pewno włoski – a jego twarz wydała się Doll znajoma. „Taki garniak albo będzie dawał napiwki pięćdziesiątkami, albo okaże się skąpcem, który zje gówna spod siebie” – pomyślała.

Richard Cody z drinkiem w ręku zapuścił się głębiej w otulającą go ze wszystkich stron czeluść klubu i znalazł fotel przy stole, na którym tańczyła toples jakaś brunetka. Jej zaokrąglone ramiona, naturalne uda i cudowne pośladki wydawały się nieść ulgę dziennikarzowi, który miał już dosyć wyeksponowanej muskulatury innych kobiet. Napawając się widowiskiem, jakie stwarzała dla niego ta kobieta na stole, pomyślał, że skądś ją zna. Miała na imię... czy nie Tiffany? Tiffany to była chyba ta z Minx Club? Tak czy owak – zastanawiał się dalej – czy imię tej laski jest ważne? Ma wspaniałe tyłek.

Usiadł, rozparł się w fotelu i poczuł, jak ogarnia go dziwna, głęboka przyjemność – tym słodsza, że znajoma. Zastanawiał się nad tym, jak to od niepamiętnych czasów ludzie sądzili, że raj jest gdzie indziej, a przecież teraz odnalazł go tu, na ziemi; oczywiście trzeba za niego płacić, lecz za to każda rozkosz, jakiej zapragniesz, jest twoja. Poza tym nigdy nie musisz wiedzieć, jak mają na imię te dziewczyny.

„Ach! – pomyślał. – Jaka ona słodka! Jaka słodka!”

Pochylił się do przodu i podniósł rękę, trzymając w wyprostowanych palcach dwudziestodolarówkę. Choć nieco zaskoczony, kiedy Doll zręcznie wyciągnęła banknot z jego ręki – bo nie zamierzał rozstawać się z nim tak szybko – przez chwilę poczuł się oczarowany; życie nie wydawało się już takie złe i poczuł się tak, jak gdyby świat kręcił się w ten swój dziwny sposób po to, żeby ostatecznie sprawić mu przyjemność.

Nie miał pojęcia, kim jest Doll, ale za to ona, kiedy mogła mu się teraz dobrze przyjrzeć, rozpoznała go. Był to Pan Telewizja, Richard Cody. Monotonnie krzepiący jak katalog mebli sosnowych: zawsze taki sam, zawsze mówił coś, o czym widzowie już wiedzieli, mogli więc dzięki niemu poczuć się spokojnie i przyjemnie. Cody w klubie wydał się jej jednak trochę nierealny, a nawet upiorny, kiedy tak siedział przed nią, dawał jej pieniądze i rozmawiał z nią.

Słyszała wcześniej od Marii, że w ostatnich miesiącach dziennikarz stał się regularnym klientem, chociaż zwykle przychodził tylko we wtorki wczesnym wieczorem w towarzystwie kilku dyrektorów z telewizji. Doll nigdy nie pracowała, kiedy odwiedzał klub, i widziała go tu po raz pierwszy. Jodie przespała się z nim za pieniądze kilka tygodni temu. Powiedziała, że ma płaskiego, szerokiego kutasa przypominającego zgniecioną puszkę po coli i że było tak okropnie, że zażądała podwójnej stawki, bo niby tyle miała wynosić jej aktualna cena.

– Jesteś dżentelmenem – stwierdziła Doll z uśmiechem, wsuwając dwudziestodolarówkę za gumkę majtek. – A ja lubię tańczyć dla prawdziwych dżentelmenów.

Patrząc mu w oczy i nie spuszczać z nich wzroku, odwróciła się i opadła na kolana, tak że jej pośladki znalazły się tuż przy twarzy Cody'ego. Obejrzała się na niego przez ramię, a kiedy jej tyłek z wolna chwiał się ponad jego nosem, niżej pojawiła się szklanka z alkoholem.

– To od pana Holsteina, kierownika – oświadczyła półnaga kelnerka, nieznacznym skinieniem głowy wskazując Ferdy'ego, który stał przy barze w otoczeniu pięciu biznesmenów z tłustymi brzuszyskami. Kierownik podniósł swoją szklankę, przepijając do Cody'ego.

W przeciwieństwie do swoich towarzyszy Ferdy Holstein był niewysoki i szczupły w pasie. Kiedyś przypominał kolorową papużkę, ale po latach proszków odchudzających, sterydów i ponurych siłowni zmienił się – teraz też przypominał kolorową papużkę, tyle że z klatą jak beczka. Chociaż był prawie łysy, farbował resztki włosów na jasny blond. Właściwie wyglądał karykaturalnie, mógł jednak budzić grozę.

Oderwał się od kręgu biznesmenów jak okruch lukru od pączka i podszedł do Cody'ego.

– Jestem pana wielkim wielbicielem, panie Cody – powiedział. – Podobnie jak pan naszym, jak zauważyłem. – Sięgnął do przesadnie dużej kieszeni workowatych dżinsów, wyciągnął wizytówkę i podał ją Cody'emu. – Jeśli kiedyś mógłbym panu w czymś pomóc, proszę dać mi znać. – Gdy mówił, w kącikach jego ust zbierała się ledwo widoczna pianka białej śliny.

Richard spojrział na wizytówkę.

– Ferdy Holstein. – Zastanowił się, po czym znów podniósł wzrok. – Mówili o tobie w wiadomościach, Ferdy – powiedział, chowając wizytówkę do kieszeni.

– To była sprawa godna pożałowania – stwierdził Ferdy.

– Chodziło o podanie ofierze narkotyku i gwałt, tak?

– Ja byłem tylko świadkiem. Na mój rozum mieliśmy do czynienia z odbytym za obopólną zgodą stosunkiem seksualnym pomiędzy tą dziewczyną i moim współnikiem. Ale nigdy nie mówiłem, że widziałem wszystko.

– Sprawa godna pożałowania – powtórzył Cody. Po chwili się ożywił. – To okropne wplątać się w proces sądowy, Ferdy... Wiesz, co mawiają Tajowie? „Lepiej zjeść psie gówno niż iść do sądu”.

– Mają rację – odparł Ferdy, ściskając dłoń Cody'ego. – Miło mi pana poznać. Jak powiedziałem, jeżeli mógłbym panu w czymkolwiek pomóc, proszę dać mi znać. – Szczególny nacisk położył na słowo „czymkolwiek”. – Pracuję w branży, wokół której narosło wiele nieporozumień, a my lubimy pomagać naszym znajomym w mediach, panie Cody. Inaczej wszyscy w końcu musielibyśmy zreć psie gówno.

Ale gdy Cody posłał Ferdy'emu króciuteńki uśmiech, kierownik klubu poczuł się dziwnie współwinnym i lekko przestraszonym. Podniósł wzrok do światła, znalazł Doll i ruchem głowy

wskazał jej Cody'ego.

Muzyka ucichła. Kiedy zapowiedziano następną tancerkę i w klubie znowu zaczęły się rozpychać nieuniknione rytmy doof, Doll zeszła z obitego fioletowym filcem stołu i podeszła tam, gdzie siedział Richard Cody, znowu sam.

Wracała później myślami do tych dziwnych trzydziestu minut, które spędziła z Codym w jednym z prywatnych pokoi – dwa występy z rzędu, za które zapłacił jej nie dziennikarz, lecz Ferdy. Najpierw Cody chciał tylko, by Doll pieściła na jego oczach swoje piersi, podczas gdy on mamrotał jakieś świństwa. Był bardzo pewny siebie – i bardzo niepodobny do większości mężczyzn, którzy bez względu na to, jak czupurni, zmieniali się zwykle w jagniętka, kiedy zostawali sam na sam z nagą kobietą: w beznadziejne, zagubione jagniętka. Ale nie on. W pewnym momencie nawet całkiem śmiało ją obraził, mówiąc:

– Czy to nie jest upokarzające?

– Co? – zapytała Doll, biorąc do ręki drinka, mimo że doskonale wiedziała, o co mu chodzi. – Że piję wódkę z tonikiem, a nie czystą?

– Ho, ho – odpowiedział bez uśmiechu Cody. – Nie. – Otworzył dłoń i rozcapierzył drobne paluszki – małe paluszki dziecka, kruche, delikatne i bezsilne – niczym iluzjonista, który właśnie wyczarował gołębia z niczego i wypuścił go z dłoni.

Doll popatrzyła na jego rękę i zdjęło ją obrzydzenie.

– To – ciągnął Cody. – Że tu jesteś. Że... robisz to, co robisz. Jesteś interesującą kobietą. Mogłabyś robić wszystko, co chcesz.

– A twoja praca, mój przyjacielu? – zapytała Doll. – Czy ona nie jest upokarzająca?

Richard wydał odgłos sytuujący się gdzieś pomiędzy lekceważącym śmiechem a sykiem.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział. – A teraz... Pokaż dupę.

Doll uśmiechnęła się uśmiechem, który wszystkie jej nauczyły stosować Ferdy, i bardzo się starała nie denerwować, że musi dalej tańczyć przed tym mężczyzną. Lecz kiedy wróciła do tańca, a Cody znów zaczął jęczeć, jak bardzo chciałby wsunąć jej kutasa w tyłek, potem w usta, a później znowu w tyłek, poczuła się zdradzona przez własne słowa.

Dlaczego się nie zamknęła, nie udawała dalej blachary, nie pozostała w ukryciu, bezpieczna, żeby to gówno po prostu spływało z niej jak zwykle, jak po kacze? W tym momencie jej panowanie nad sobą, wygadanie i śmiałość – cechy, które w innych okolicznościach wydawały jej się tak potężne – zmizerniały do cna i Doll doszła do wniosku, że życie w jakimś sensie ją oszukało.

Na końcu, kiedy już się ubierała, zauważyła, że Cody wyciągnął z kieszeni marynarki buteleczkę z jakimś płynem, a potem jak gdyby rytualnie spryskał i przemył nim ręce. Poczuła się niczym paskudztwo, które ktoś splukuje w umywalce.

Ferdy przy barze wyciągnął czerwoną księgę rachunkową – tacy jak on nie używali twardych dysków, które łatwo było namierzyć i z których można było odzyskać dane – otworzył ją, przesunął palcem w dół krótkiej kolumny cyfr i powiedział:

– Siedemset dwadzieścia dolarów.

Odwrócił księgę do góry nogami, podsunął ją dziewczynie i podał jej długopis.

– Nieźle jak na wczesny wieczór, Doll.

Podszedł do kasy, żeby wyciągnąć gotówkę z szufladki, a Doll sprawdziła jego obliczenia. Kiedy upewniła się, że są poprawne, z torebki od Gucciego, której już nie cierpiała, wyjęła skórzany portfel. Sześć kieszonek na karty kredytowe było pustych, podobnie jak przegródka na książeczkę czekową. Doll nie miała konta bankowego ani zdolności kredytowej, uważała jednak, że portfel pomaga jej sprawiać lepsze wrażenie na ludziach. Do ośmiuset dolarów w przegródce na banknoty dodała teraz pieniądze od Ferdy'ego, które jednak najpierw szybko przeliczyła.

– Na dzisiaj to dobry wynik. Kilka lat temu wszyscy bylibyśmy trochę rozczarowani.

Na ulicy uderzył ją cierpki, lepki wieczorny upał. Wszędzie byli ludzie, o wiele więcej przechodniów niż zazwyczaj. Podeszła do krawężnika i wyciągnęła rękę, żeby zatrzymać taksówkę.

Tymczasem w Chairman's Lounge Cody miał już dosyć. Wychodząc z klubu, skinął głową Billy'emu, który stał na końcu czerwonego dywanu, po czym podniósł wzrok i zobaczył smagłą tancerkę, tę ze wspaniałym tyłkiem, jak już kompletnie ubrana stoi na ulicy i próbuje złapać taryfę. Ruch był większy niż w godzinie szczytu, wszystko zakorkowane, a na chodnikach roilo się od ludzi: turystów, rodziców z dziećmi, odjazdowo odstawionych gejów. Pomyślał o tym, że kiedy wróci do domu, żona na pewno nie będzie w nastroju na seks, a jemu, proszę bardzo, tak się go chce, że jeszcze chwila i pęknie.

Słysząc było gwizdy, a z pobliskich ulic buchały głośne dźwięki tysiąca różnych piosenek. Nagle zdał sobie sprawę, że tego wieczoru odbywa się przecież parada Mardi Gras. Wszyscy, pomyślał, uprawiają seks w czasie tego święta, nie widział więc powodu, dla którego jego miałyby ominąć ta przyjemność.

Swobodnym krokiem zaszedł tancerkę od tyłu.

– No proszę – odezwał się. – Kogo my tu mamy, jeśli nie Tiffany.

– Witam – odpowiedziała, unikała jednak jego spojrzenia, wpatrzona uważnie w auta na ulicy, i wyciągnęła rękę jeszcze bardziej zdecydowanym gestem, żeby było całkowicie jasne, że chce zatrzymać taksówkę.

Uśmiechnął się swoim najlepszym, najbardziej czarującym uśmiechem, odwracając się trochę, żeby mogła zobaczyć jego lewy profil. Kiedyś kamerzysta powiedział mu dla żartu, że jest o wiele przystojniejszy niż prawy.

– Posłuchaj, Tiffany – powiedział Cody, prawie pewien, że Doll tak ma na imię, i prawie pewien, że jeżeli nie, to i tak nie będzie to miało znaczenia. – Dobrze płacę za porządnego loda.

Doll odwróciła się do niego. Zauważyła, że ma dziwnie wykręconą głowę.

– Chyba coś ci się pomyliło, mój przyjacielu – powiedziała, po czym przeszła szybkim krokiem obok niego tam, gdzie właśnie podjeżdżała taksówka, i cicho rzuciła przez ramię: – Dupek.

Minutę później, jadąc przez zatłoczone, spocone miasto, zapomniała o tym odrażającym facecie z telewizji. Ulice wokół niej kipiały kolorami i hałasem, bo parada Mardi Gras osiągała punkt kulminacyjny. Chaos wzmagała wszechobecność sił porządkowych – radiowozów, gliniarzy w mundurach, psów, barierek i kordonów policji przeszukującej ludziom torebki i plecaki. Pieszycy było więcej niż samochodów, które poruszały się wolniej niż ludzie, a taksówka z trudem przepychała się przez tłum, pełząc do nieodległego mieszkania Doll w Darlington. Dziewczyna cieszyła się rozedrganą anonimowością tego wszystkiego. Wielkie miasto to wielka samotność, a Doll najbardziej lubiła być sama.

Utknęli w korku, wysiadła więc z taksówki i ostatnią przecznicę pokonała pieszo, mijając boczną uliczkę, w której porzucona toyota corolla od kilku dni zbierała wciąż mandaty za złe parkowanie – było ich już tak wiele, że wyglądała jak pokryta burzą liści. Potem Doll skręciła w drzwi brudnego i nieciekawego ceglanego apartamentowca.

Wedle wygórowanych standardów w centrum mieszkanie na trzecim piętrze było niedrogie – małe pokoje, kuchnia w opłakanym stanie, nędzna łazienka – Doll płaciła więc niewysoki czynsz i rzadko przyjmowała gości. Pewnego dnia będzie miała apartament z prawdziwego zdarzenia, własny kąpiel, do którego zacznie przyprowadzać znajomych, a w całe wyposażenie zaopatrzy się u najlepszych projektantów – cukiernica Alessi, ekspres do kawy La Pavoni, muszla klozetowa od Philippe’a Starcka. Na razie kupowała te markowe produkty, które się liczyły – czyli które mogli widzieć inni – to znaczy ubrania.

Włączyła radio i telewizor – nie cierpiała, kiedy w mieszkaniu było cicho, i wołała każdy dźwięk niż ciszę – rozebrała się, wykąpała pod popsutym prysznicem, z którego ciekło niczym staremu pijakowi z ust, a potem weszła nago do sypialni, bo zamiast się wycierać, wołała zostać mokra w tym upale.

Trzymając jedną nogę na łóżku między dwoma maskotkami kota Garfielda, z którymi spała, a drugą na niebezpiecznie chwiejnym stosie egzemplarzy pisma „Renovating Today” ułożonych na stoliku nocnym, wyciągnęła ręce do niskiego sufitu. Odkleiła plakat Beyoncé, odsłaniając otwór wielkości dłoni, i nie bez trudności wyciągnęła z niego pękaty jedwabny woreczek, zdobiony w batikowe wzory.

Nauczyła się żyć, ciesząc się z małych rzeczy. Chciała tego, co mogła zatrzymać dla siebie, a był to ten gruby zwitek banknotów; bez liczenia wiedziała, że zawiera czterysta dziewięćdziesiąt dwie studolarówki. Po chwili dodała do nich pięć setek z portfela ze skóry saffiano od Prady, bo miała zwyczaj trzymać w nim tysiąc dolarów na wypadek, gdyby zobaczyła coś, na co mogłaby ją najść ochota.

Naciskana, pijana albo zaskoczona, przyznałaby się może, że tęskni za marzeniami, uczuciami i doznaniem, które nie występowały w katalogach albo czasopismach i za które nikt nigdy nie płacił gotówką. Nie potrafiła jednak opisać tych marzeń ani nawet ich sobie wyobrazić; były równie tajemnicze jak chmura, która oczarowała ją dzisiaj rano na plaży, chociaż w ogóle nie mogła sobie potem przypomnieć jej wyglądu. Nikt nie pamięta chmur. Ale czterdzieści dziewięć tysięcy siedemset dolarów – kto mógłby o nich zapomnieć?

Oszczędzała, żeby wpłacić pierwszą ratę za mieszkanie. Ciągle myślała o tym, jakie będzie. Wyobrażała sobie, że znajdzie coś taniego do remontu, co wszyscy przeoczyli, a co dzięki jej ciężkiej pracy i wyobraźni zostanie zmienione tak, jak zmieniały się podobne mieszkania dzięki czarom, i to w ciągu siedmiu minut w telewizyjnych programach typu „zrób to sam”.

A wraz z mieszkaniem w równie cudowny sposób zmieni się życie Doll. Rozpocznie wreszcie studia na uniwerku; spokojnie odejdzie z klubu, będzie tańczyć tylko tyle, ile potrzeba, żeby spłacać raty. Wszystko było załatwione, gotowe. Jako że nie miała legalnych dochodów, kupiłaby mieszkanie na Wilder, a ona przepisałaby je potem na nią. Jeszcze kilka dni, najwyżej tydzień albo dwa, i zacznie się to życie, o którym Doll marzyła od tak dawna. Jej obecne mieszkanie było chaotycznym świadectwem snu o nowym ładzie. Wszędzie wały się pisma poświęcone remontom i odnowie domów, katalogi mebli i sprzętów gospodarstwa domowego oraz informatory agencji nieruchomości z pozakreślonymi ofertami, a także tablice korkowe, do których przyszpilone były próbki tkanin i zdjęcia wycięte z czasopism.

Co wieczór po pracy odprawiała ten sam rytuał: brała prysznic, wyciągała jedwabny batikowy woreczek z otworu w suficie, kładła się na łóżku i pokrywała swoje nagie ciało studolarówkami. Bo chociaż co wieczór liczyła zarobione pieniądze, zaczęła mierzyć stan oszczędności tym, jaką powierzchnię swojego ciała może przykryć banknotami.

Trzy lata temu ledwo zasłaniały jej brzuch. Potem wślizgnęły się na piersi i zakryły je, a w zimie zaczęły rozprzestrzeniać się na krocze i uda. Teraz musiała zaczynać to swoje osobliwe zajęcie na siedząco, ostrożnie kładąc pierwsze banknoty na kostkach nóg.

Mozoliła się cierpliwie, jak gdyby jej ciało było wielką układanką, jeden banknot zachodził na drugi niczym rybie łuski i Doll wyobrażała sobie, że jest porośniętą pieniędzmi syrenką. W dniu, w którym banknoty całkowicie zakryją jej nagie ciało, mówiła sobie, przestanie tańczyć w pełnym wymiarze godzin. Bo wtedy będzie miała dość pieniędzy, żeby wpłacić zaliczkę na mieszkanie.

Banknoty były wilgotne i lekko ją łaskotały. Ich dotyk był jak cel, usprawiedliwienie, przyszłość. Ich dotyk był jak to, dzięki czemu życie jest możliwe i znośne. Ich dotyk był dobry, tak dobry, jak dobrze jest mieć dużo pieniędzy. Ostatnio Doll wolała dotyk pieniędzy niż mężczyzny. Wszystko było dobrze. W poniedziałek zatańczy dla Morettiego i zarobi ostatnie trzysta dolarów – potrzebowała ich, aby zebrać pięćdziesiąt tysięcy, kwotę, którą

wyzaczyła sobie jako zaliczkę za mieszkanie. Położy te trzy ostatnie banknoty na sobie. Jeden na ustach, dwa na powiekach. A kiedy zakryje pieniędzmi całe ciało, rozpocznie nowe życie.

Po jakimś czasie wieczór wydał się jej gorętszy niż kiedykolwiek. Nieprzyjemnie gęsty upał cięło bzykanie komarów. Usiadła, banknoty sypały się z niej i spadały z trzepotem na podłogę. Zebrała je, przeliczyła, zwinęła i schowała do jedwabnego woreczka, który włożyła z powrotem do skrytki w suficie.

Zapatrzyła się na akordeonowe fałdy ściśniętych w szafie ubrań, próbując się zdecydować, co na siebie włożyć. Zanim zaczęła oszczędzać, wszystkie pieniądze, których nie potrzebowała na czynsz i jedzenie, szły na ubrania. Ostatnio z dumą powtarzała znajomym:

– Zaciskam pasa.

Zaciskanie pasa oznaczało, że ograniczała wydatki do dwóch tysięcy dolarów miesięcznie na ciuchy. Kolejny tysiąc szedł na czynsz, a dwa tysiące na życie, głównie na taksówki i restauracje. Resztę starała się odłożyć, próbując pokrywać swoje ciało czterema nowymi tysiącami każdego miesiąca. A żeby do tego doprowadzić, musiała zarabiać dziewięć.

Niekiedy pracowała sześć albo siedem wieczorów w tygodniu, wydawała mniej na ubrania i życie, i czasem udawało się jej osiągnąć cel. Zazwyczaj jednak nie. Zazwyczaj przepuszczała forszę tu czy tam, albo nie miała ochoty tyle tańczyć i zamiast czterech tysięcy odkładała najwyżej tysiąc lub dwa, czasami po prostu nic. Więc zamiast roku zajęło jej to trzy lata, pieniędzy jednak ciągle przybywało i teraz Doll i porzucona corolla rywalizowały o to, która z nich pierwsza zostanie w całości pokryta papierem.

Natomiast owe dwa tysiące na ubrania wydawały się jej marną i naprawdę oszczędną kwotą, bo w pierwszych latach pracy jako tancerka wyrobiła w sobie upodobanie do ciuchów od najlepszych europejskich projektantów, dlatego przychodziły takie miesiące, kiedy nawet robiąc bardzo przemyślane zakupy, za dwa tysiące mogła sobie pozwolić zaledwie na dwie albo trzy nowe rzeczy.

Chociaż niektóre z pozostałych dziewczyn z klubu dokuczały Doll w związku z jej kosztownym gustem, dla niej sprawa była prosta: stawała się kimś innym. Nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że kiedykolwiek nie była piękna i uprzywilejowana, jak jeden z tych wybrańców, którzy nie należeli do świata śmiertelników, lecz zstąpili na ziemię z królestwa bogów – z billboardów, pism kobiecych, filmów i reklam – żeby pospacerować pośród zwykłych ludzi. Było to jak narkotyczny kop, jak cios, który zawsze przechodził za szybko, sprawiając, że chciała, by związane z nim uczucie powróciło.

Ale im więcej kupowała ubrań i wydawała pieniędzy, tym lepiej przypominała sobie, kim jest, gdzie mieszka i w jaki sposób zarabia. Po krótkim czasie każdy drobiazg firmy Bulgari,

bluzka z metką Versacego, wszystkie spódnice i dzinsy od D & G albo buty Prady przypominały jej tylko o jednym: że jest kimś gorszym.

A potem znowu szła na zakupy.

Buszowała po pięknych sklepach o pięknym wystroju i z pięknymi ekspedientkami – wytworne, przemyślane wnętrza szpecili jedynie okropni klienci: zamożne Azjatki, których nie cierpiała, grube i bogate Australijki, którymi gardziła, bogate Australijki anorektyczki, których było jej żal, i ubogie, ciekawe wszystkiego *westies*, których nienawidziła. Tyle piękna w służbie tego, co uważała za niebywale brzydkie, tyle ohydy szukającej ukrycia, chociaż we wszystkich kupujących dostrzegała tylko inny aspekt siebie: ranne zwierzę, rozpaczliwie pragnące, żeby nikt nie zobaczył jego śmiertelnej rany i nic o niej nie wiedział.

Włożyła w końcu komplecik La Perla, majtki i stanik z pięknej jasnozielonej koronki, ozdobionej drobnymi różowymi kwiatkami kryształków od Swarovskiego. Uwielbiała ich słodki dotyk, taki ukryty, tajemny. Czuli się w tej bieliźnie tak, jak gdyby chodziła owinięta w czterdzieści dziewięć tysięcy siedemset dolarów. Potem z trudem wciągnęła swoje ulubione, nabijane kryształami górskimi dzinsy od Versacego, zapięła na biodrach pasek ze złotego łańcuszka, a na górę włożyła małą czarną koszulkę z kolorowym logo złożonym z najmagiczniejszych dla niej liter na świecie: D & G.

Później wyszła z powrotem w noc obejrzyć Mardi Gras. Było właściwie jak zwykle, ten sam ostry zapach Azji: jedzenie, tłumy, siki, smog. Minęła Aborygena, który zawsze spał nago na podjeździe za rogiem, znajomych narkomanów, staruchów szukających okazji do przygodnego seksu, żebraków, z których jeden nawet do niej pomachał, i zdechłego kota, na którym marszczyła się sierść, bo roiły się pod nią robaki.

Poślizgnęła się i o mało nie upadła, kiedy nastąpiła na strzykawkę.

– Ej, ty – powiedział ktoś. – Znam cię.

Odzyskała równowagę i podniosła wzrok na stojącego przed nią żebraka, który pomimo upału miał na sobie starą kurtkę lotniczą.

– Ciebie i te inne dziewczyny – powiedział żebrak, któremu drżała głowa. – Widzę, jak wychodzicie z klubu. Trafiacie bogatych chłopaków. Wy nas rozumiecie. Kilka dolarów to dla was niewiele. – Śmierdział, był pokryty strupami i brudny, ale oczy miał jasnoniebieskie niczym woda pod lodem, którą widziała w jakimś filmie dokumentalnym w telewizji. – Mnie kiedyś rodzony brat wyruchał w dupę – ciągnął dalej. – Miałem wtedy dwanaście lat. Wyruchał mnie po to, żebym miał AIDS jak on. Fajny brat, co? Nie będę kłamał, potrzebuję działki. Pomóż mi, proszę cię.

– Dwanaście? – spytała Doll.

– Dwanaście – powtórzył trochę zdziwiony żebrak. – Tak jest. Ale wystarczy mi piątak.

Doll otworzyła torebkę i dała mu sto dolarów.

Gdzieś zachodziło słońce.

Gorące nocne niebo wisiało ponad szaleńczym karnawalem jak wilgotny, brudny łach, z którego na setki tysięcy ściśniętych niżej ludzi kapie pot. Na ulicach roilo się od glin, ale wszyscy wydawali się pogodzeni z koniecznością zastosowania dodatkowych środków bezpieczeństwa po ostatnim alarmie bombowym. Wydawało się, że nic nie zdoła zgasić ducha największej parady gejowskiej na świecie.

Lepka woń pożądania, poppersów i rozlanego piwa wzbijała się w górę jak odurzające kadzidło, gdy po Oxford Street przejeżdżały kolejne platformy, pełne półnagich roztańczonych mężczyzn i kobiet. Byli tam geje wysmarowani olejkami i wysztafirowani, geje muskularni z kaloryferami na brzuchach i o mięsistych, pomarszczonych piersiach oraz geje delikatni, w obcisłych srebrnych lureksach; tu i ówdzie na platformach płynęły formacje pedziów przebranych za wróżki, maszerujących w miejscu nieletnich chłopców, tańczących faraonów i kowbojów w porozpinanych czapsach. Słysząc było ryk Lesb na Motorach i wiwaty na cześć Koprofilów w Kapeluszach, a wszystko łączyła nić dudniącej kakofonii tanich fajerwerków, przenikliwych gwizdków i tysięcy strzępów muzyki trance, techno, rapu i ballad w wykonaniu uwielbianych przez gejowską publiczność gejowskich diw.

Na długo zanim dotarła na tę ulicę, wyczuwała narastającą wibrację wielkich tłumów gromadzących się na trasie parady, przewalających się między budynkami i barierkami niczym ławice ryb w sieci, wijących się i kręcących, chociaż pojedynczym widzom w tym ścisku nawet nie udawało się poruszyć. Niektórzy przyszli pogapić się na freaków, inni z nich poszydzić, inni dziwować się, a jeszcze inni perwersyjnie podniecać, niektórzy natomiast, jak Doll, żeby się dobrze zabawić. Wszyscy starali się znaleźć dogodny punkt obserwacyjny, z wyjątkiem pewnego niskiego, potarganego gościa, który krzątał się w tłumie, sprzedając po dziesięć dolców za sztukę kradzione skrzynki na mleko jako podwyższenia.

Doll przeciskała się coraz bliżej ulicy i widowiskowej parady, aż w końcu w tłoku popisujących się pedałów z operowymi fryzurami i dyndającymi im u boków połyskliwymi torebkami zaczęła dostrzegać dumnie kroczących twardzieli z wielkimi wąsiskami przyodzianych w skóry i łańcuchy i facetów przystrojonych w pióra, którzy wyglądali jak upadłe rajskie ptaki.

Potem przejechała platforma, którą przyszła zobaczyć: Lesby z Kutasami. Wciśnięta pomiędzy stłoczonych widzów, Doll zobaczyła Wilder bez stanika, wywijającą wielkim sztucznym penisem na pasku; jej duże piersi podskakiwały i opadały, kiedy tańczyła.

Doll pomyślała, że nie tańczy tak jak dziewczyny w klubie, i zafascynowało ją to, że im mniej Wilder próbuje tańczyć w ten głupi, niby-erotyczny sposób, tym staje się bardziej seksowna. W klubie się tańczyło dla pieniędzy, a tańczyłaś dlatego, że nazywałaś się Krystal, Jodie albo Amber. Jedno, na co nigdy sobie nie pozwalałaś, to tańczyć jako ty.

Próbowała zbliżyć się do barierki, żeby pomachać Wilder, i niechcący przewróciła piwo, które trzymała stojąca przed nią kobieta. Obok niej paradę oglądał jakiś facet. Kobieta zaklęła. Mężczyzna się obejrzał.

Był śniady i przystojny – zbyt przystojny, pomyślała Doll, żeby nie być gejem.

Kobieta pokręciła głową, znowu zaklęła i zniknęła w tłumie. Doll zaczęła przeproszać nieznajomego, a potem wskazała Wilder z wielkim, lśniącym, czarnym kutasem, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. Kiedy facet zrobił zakłopotaną minę, Doll powiedziała najpogodniej, jak mogła:

– Moja przyjaciółka... Na platformie... Moja przyjaciółka.

Zamiast się rozzłościć, facet się roześmiał:

– To znaczy, że... Ty jesteś lesbą bez kutasa.

Mówił poprawną angielszczyzną z lekkim cudzoziemskim akcentem i wyglądał znajomo. Może z tego powodu, a może po prostu dlatego, że odczuła ulgę, ponieważ się na nią nie wściekł, odpowiedziała mu śmiechem.

– Nie, nie jestem lesbą. Tylko jej przyjaciółką. Ale tak, nie mam kutasa.

Dopiero wtedy rozpoznała w nieznajomym tego młodzieńca, który uratował Maxa.

– W porównaniu z nią – stwierdził, odskubując przemoczoną koszulę od uda – ja też nie.

Doll zaczerwieniła się i wyciągnęła z torebki chusteczkę. Kiedy bezskutecznie próbowała wytrzeć mu nią koszulę, poczuła, jak dotyka go czubkami palców.

– Przepraszam – powiedziała. – Wydaje mi się, że my się już...

Ulicą sunęła platforma z grupą drag queens przebranych za Dusty Springfield, a muzyka była taka głośna, że Doll nie mogła skończyć zdania ani usłyszeć odpowiedzi mężczyzny, choć sądząc z wyrazu jego twarzy, było jasne, że i on ją już rozpoznał. W zabawny sposób pokazał na migi małego płaczącego chłopca i siebie, jak płynie. Znowu się roześmiała i kiedy jacyś stojący obok faceci zaczęli tańczyć do muzyki z platformy, młodzieniec wyciągnął rękę i uśmiechnął się, a Doll, wciąż roześmiana, wzięła ją nie dlatego, że naprawdę chciała, ale dlatego, że poczuła się winna, bo zepsuła mu wieczór, oblewając go piwem.

Zaczęli więc tańczyć na ulicy. Na początku było ciasno i właściwie tylko szurali nogami. Ale potem młodzieniec poprowadził Doll w tańcu dalej od barierki i parady w tylne rzędy widzów. Było tam mniej tłumnie, a ludzie dawali im więcej przestrzeni. Doll zrozumiała, że facet wie, co robi, gdy zaczął z nią tańczyć *merengue*. Wirowali i zmieniali kierunek, a nieznajomy przyciągał ją do siebie i puszczał, najpierw napinając swoje palce w jej dłoni

w najdelikatniejszym geście, sugerującym jednak stanowczą siłę, a potem Doll frunęła znów prosto na niego.

Tańczyli. Przyglądała się latarniom, którymi usiane było nocne niebo; jej usta ułożyły się w najswobodniejszy z uśmiechów, kiedy wirowali najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Gdy chłopak zakręcił nią w prawo, wyduła usta i posłała mu wyjątkowo subtelny, łagodny pocałunek, a on roześmiał się, przyciągnął ją do siebie, obrócił w koło, gwałtownie wypiął pośladki, naparł na jej pupę i takim pchnięciem znowu posłał Doll dalej, odrzucił ją od siebie.

Najpierw obejmował dziewczynę delikatnie i grzecznie; jeśli się dotykali, to ich ciała tylko ocierały się o siebie, zgodnie z ruchami, jakich wymagał taniec. Potem jednak poczuła, że młodzieniec lekko ściska jej dłoń, i odwzajemniła jego gest. Wydawało się, że tańczą wciąż w ten sam sposób, ale następnym razem, kiedy przebiegł rękami wzdłuż jej ciała, uznała to raczej za pieszczotę niż figurę taneczną, a gdy chłopak obrócił Doll w ten sposób, że wylądowała przyciśnięta do niego plecami, na króciutką i wyjątkowo elektryzującą chwilę wyczuła na wysokości bioder dotyk jego sprężystego kutasa.

Miasto było jak piekarnik. Doll otaczały nie tylko platformy i parada, ale również nieskończona procesja mężczyzn i kobiet, uwięzionych w mirażu namiętności, pożerających nawzajem oczami swoje uda, pośladki, natarte olejkami ciała, specyficzny chód, odwracane głowy i uśmiechy, a wszystko to było jeszcze dodatkowo ożywione wyczekiwaniem na rozkosz, jakiej ten wieczór ciągle mógł im dostarczyć. Powietrze tak zgęstniało od zwierzęcego pożądania, że Doll wydało się, że jest to jakieś nadzwyczajne doroczne zjawisko przyrodnicze: oto setki tysięcy ludzi zbierają się na jedną noc, by paradować po ulicach i parzyć się ze sobą.

Rozległy się brawa i zdała sobie sprawę, że widzowie nie oklaskują platformy, tylko ich. Nie była już oddzielona od Mardi Gras, nie przyglądała się innym, lecz stała się częścią eksplodującej ulicy barw, hałasu i muzyki, zjednoczyła się ze wszystkim, co tego wieczoru było piękne i groteskowe, zwyczajne i wytworne, rozpaczliwe i pełne nadziei, drapieżne i niewinne. Nie przejmowała się więcej tym, jak wygląda, tańczyła w całkowitym zatraceniu, odrzucała głowę do tyłu i śmiała się, przyspieszała nagle, a potem zwalniała tak, że rytm jej tańca stał się nieoczekiwany i szalony. Po chwili nieznajomy poszedł w jej ślady, bo on też jakoś odnalazł w sobie urok tego wieczoru. Doll wyczuwała, jak jej lubieżność i lubieżność młodzieńca łączą się ze sobą; promieniała tą ich lubieżnością.

Wszystko wydało się zwalniać i oddalać – taniec, hałas i muzyka, nieprzeliczone tysiące ludzi, platformy, karnawał, nawet samo Sydney; spojrzała młodzieńcowi w oczy, a potem zupełnie niezobowiązująco popatrzyła w nocne niebo, odrzucając swojego tanecznego partnera razem z uczuciami, jakie mogła w nim wzbudzać, jak gdyby nie miały dla niej żadnego znaczenia, powróciły jednak natychmiast z kolejnym spojrzeniem, kiedy oparła się o niego w inny sposób, ręką i piersiami, a gdy jej nos zbliżył się do jego ust, zamknęła oczy

i głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Wydało się jej, że chłopak mówi, że nazywa się Tariq. Później jednak, kiedy o tym myślała, wcale nie była pewna, czy i jego imię jej się nie pomyliło.

Parada dobiegła końca, a Doll znalazła się w Cross razem z Tarikiem. Szli Darlinghurst Road, noc była piękna, a Cross jak rzadko sprawiał wrażenie wesołego i optymistycznego miejsca; snuli się wśród męskich i żeńskich transwestytów, na całej ulicy proponowano im tanie prochy, operacje piersi, seks oralny i szybkie numerki, a wokół pełno było zataczających się ćpunów, pijanych Aborygenów, policyjnych suk, defilujących po chodniku transseksualistów, wariatów, turystów i naganiaczy.

Jeden z nich zrezygnował ze swojego zwykłego repertuaru i zawołał do przechodzących obok młodych ludzi w bluzach z nazwami klubów rugby:

– Dawajcie tutaj, chłopaki! Patrzcie, panowie... – Wysunął rękę w kierunku ciemnego wejścia. – Może nie będzie to genialne ruchanie, ale niedrogie, chyba nie mogę być bardziej szczerzy, co?

Na jakiś czas wpadli do Baron's, pubu w Cross, złożonego z szeregu małych sal o dziwnie ostrych kątach, w których poczucie, że jest się w jaskini, podbijały jeszcze wyjątkowo słabe oświetlenie i pomalowane na brązowożółty kolor ściany, obwiedzione czerwonym szlaczkiem.

Był dziki, szalony tłok. Tłum falował tam i z powrotem, ludzie oblewali się drinkami, a pechowcy siedzieli na czerwonych skórzanych kanapach chesterfield. Na sali dominowały lecące z nóg drag queens, zarośnięte i spocone; Tariq i Doll spotkali też dwóch grubasów w gumowych maskach pijących niebieskie curaçao i opartego o ścianę faceta w siatkowym podkoszulku. Wyciągnął fiuta ze spodni, palił papierosa i przyglądał się zamieszaniu w pubie, a jakiś inny facet w tym czasie pochylał się nad nim i pieścił go jak gdyby z obowiązku.

Tariq powiedział, że jeśli Doll ma ochotę, mogą pójść do niego na kawę.

– Która godzina? – zapytała.

Podniósł rękę i przez kilka chwil spoglądał na zegarek. Trudno było powiedzieć, czy robi to dlatego, by dobrze odczytać czas, czy żeby Doll zauważyła, jaki piękny i drogi zegarek nosi – ipno od Bułgariego.

Odwróciła wzrok, a potem spojrzała w górę, gdzie tkwiła jedyna rzecz podtrzymująca wybruszony sufit przed upadkiem, czyli wentylator, którego śmigła z trudem miesiły dymną paplaninę.

– Już jest niedziela – usłyszała, jak Tariq przekrzykuje gwar. – Ale dopiero się zaczyna.

NIEDZIELA

Nick Loukakis stał w drzwiach pokoju swojego najmłodszego syna, słuchając, jak chłopiec oddycha przez sen. Nick miał romans. Może chciał dzięki niemu coś osiągnąć, a może nie. Czuł dziki, jak gdyby psi zapach swojego dziecka, i nie mógł sobie przypomnieć. Może szukał jakiejś drogi wyjścia z małżeństwa. A może po prostu nie myślał. Może ten romans zakończył jego małżeństwo. A może małżeństwo Nicka było już skończone, kiedy romans się zaczął. Trwał kilka lat. Za każdym razem, gdy Nick widział się ze swoją kochanką, sądził, że to już koniec, bo bał się, że już nie będzie chciała się z nim spotkać.

Zakochał się w tej kobiecie, z którą miał romans. Może od początku był w niej zakochany. Może ciągle ją kochał. Żona nie odkryła nagle, że Nick ma kochankę. Wiedziała o tym właściwie od początku, ale mgliste domysły, które łatwo jej było od siebie odsunąć, urosły najpierw do rozmiarów gorzkiej świadomości, której wciąż mogła się wyprzeć, po czym przeszły w pełen wściekłości smutek – pewnego dnia powiedziała więc mężowi, że wie, że zawsze wiedziała. Nie sądził chyba, że jest aż tak głupia? Wtedy Nick poczuł, że jego świat zapada się w przerażającą białą dziurę, do której wpadł i w której ciągle spadał.

Zostali razem i patrzyli, jak powoli stają się sobie obcy, patrzyli, jak ich miłość umiera, tak jak patrzy się na usychający stary eukaliptus. Dla Nicka romans był skończony, ale dla niej dopiero się zaczynał. Nie wiedziała o nim, kiedy trwał, lecz przeżywała teraz każdy dzień w taki sposób, jak gdyby był to kolejny dzień z tamtych lat kłamstw i oszustw – a widok cierpiącej żony był karą dla Nicka. Najpierw w wysokiej koronie trochę brązowieją na brzegach czubki liści, potem całe listowie, a potem tu i tam usycha gałąź. Drzewo jednak jeszcze żyje, ludzie mówią, że wszystko będzie dobrze, że to pogoda albo coś w tym rodzaju, cokolwiek, ale nie śmierć czegoś tak naturalnego i pozornie trwałego jak drzewo. Ale kiedy jego małżeństwo zaczęło usychać, Nick Loukakis przekonał się, że nic nie będzie dobrze.

Codziennie odkrywał, że jakiś drobiazg – żart, wspólna intymna tajemnica, słodkie wspomnienie – zwiądnął i umarł. Ich pieśczęty sypały się niczym martwe liście. Rozmowy najpierw pękały, a potem się łamały. I w końcu nie było już nic, co mogłoby ożywić pień sokami, które odżywiały konary, gałązki i liście i same były przez nie odżywiane. W końcu nie pozostało już nic – nic, co mogłoby podtrzymać to drzewo, po którym pozostało tylko coś dużego, co stało wciąż dumnie na baczność, chociaż wszystko w tym czymś już dawno uschło i umarło.

Nick zdawał sobie sprawę, że w jego życiu przez długi czas było coś, co uważał dzisiaj za naiwność. Czekał wieczorem, aż jego rodzina zaśnie, a potem spacerował tam i z powrotem po korytarzu małego domku, zaglądając kolejno do ich pokoi, po prostu zadowolony, że widzi, jak śpią, że wie, że jest im ciepło, że są bezpieczni i spokojni. Czasami podciągał im

kołdrę, muskał ich czoła najdelikatniejszymi pocałunkami i odczuwał wdzięczność. Potem zasypiał, a rano wstawał wcześniej niż wszyscy, żeby być już na nogach i popijać kawę, kiedy jedno po drugim wchodzili do kuchni, zaspani i rozczochrani, a on mógł się po prostu zachwycać, że dane mu jest przeżywać taką radość.

Potem jednak stało się to, co się stało – coś pękło, Nick zrozumiał, że to przez niego i że nie da się już tego skleić. Tak jak nie da się skleić jego rodziny i życia. Zrozumiał, że nigdy już nie będzie tym samym człowiekiem, który staje w drzwiach lub pije kawę w kuchni, że owszem, dano mu coś w rodzaju raju na ziemi w jego maleńkim betonowo-azbestowym domku w Pananii, ale to już koniec. Nigdy więcej nie będzie tym samym mężczyzną, który czekał, żeby się zachwycać swoim życiem.

Kiedy próbował teraz objąć albo przytulić żonę, mówiła:

– Nie w ten sposób. Wiesz, że tak nie lubię. Wiesz o tym.

Albo nie mówiła nic, a on zsuwał i rozsuwał jej ręce i nogi jak dmuchanej lalce. Nie reagowała, kiedy próbował się z nią kochać. Miał wrażenie, że ją gwałci, że to, co robi, w gruncie rzeczy sprowadza się do gwałtu. Zaczął przytłaczać go smutek. Uczepił się go jak śmierć. Wciągał w głąb ziemi. Wydawało mu się, że w jego życiu nie ma już nic dobrego. Wziął wąż ogrodowy i pojechał na jakąś boczną drogę, wrócił jednak do domu. Współczuł swoim dzieciom i nie potrafił pozbyć się wrażenia, że popełni zbrodnię, jeśli zrobi im coś takiego, za co nie może być żadnego przebaczenia.

A przecież wiedział, że żona go kocha, i on kochał ją. Coś się jednak stało, coś się popsuło, a Nick nie miał pojęcia, jak to naprawić lub skończyć. Nadal mieszkali razem, zatracając się we śnie, jakim jest życie, bo nie wiedzieli, co innego mogliby zrobić. Świat był duży, a ich kłopoty nie do rozwiązania, czekali więc tak jak nieznajomi, którzy przytulają się do siebie w jakiejś szopie i czekają, aż burza przejdzie. Miał nadzieję na jakiś znak, gest, chwilę.

Dowiedział się o sobie różnych rzeczy: że po dwudziestu pięciu latach małżeństwa woli spać samotnie, bo spędziwszy pół życia u boku żony, która z irytacją odsuwa jego stopę, udo czy rękę, nie chce więcej być odtrącany co noc. Seks był absurdalny, bezcelowy; stał się wyłącznie afirmacją tego, czego nie mieli – uczucia, czułości, nadziei i marzeń, którymi się dawniej dzielili. Stał się ponurym problemem penetracyjnym, a ciało jego żony poruszało się wyłącznie w tym miejscu, w którym dźgał je Nick. Do braku seksu mógł jednak przywyknąć jak do ceny, a może pokuty za rozkład ich małżeństwa. Brakowało mu dotyku, ciepła, zwierzęcego zespolenia. Nie pozwoliła mu się pocałować od przeszło dziesięciu lat. Kiedy ją obejmował, brał w ramiona, tulił, odpychała go. Mimo to wiedział, że go kocha i zawsze będzie kochać.

Jak można żyć tak blisko z drugim człowiekiem, jeść z nim, spać, czuć zapach jego oddechu, a jednocześnie być tak niewymownie samotnym? Rzadko się odzywała.

– Taka po prostu jestem. Jeżeli mnie nie akceptujesz, to odejdz.

A jeśli doprowadzał do tego, że zaczynała mówić, to ogarniały ją gniew i udręka. Mówiła, żeby sobie poszedł i zamieszkał z Wilder, bo, jak wykrzykiwała:

– Tego przecież chcesz!

Nie wiedział, czego chce i czego pragnie; już od wielu lat nie wiedział, co to jest towarzystwo drugiego człowieka, serdeczność i chęć do życia wynikająca z dzielenia się z kimś codziennością, jakimś widokiem, który się razem wspomina, myślą, opowieścią, żartem – kojącą intymnością. W końcu zdał sobie sprawę, że jego żonie niewiele, prawie nic z tego, kim jest, sprawia przyjemność, a dużo jego cech wzbudza w niej milczącą pogardę.

Jej pasją była praca na stanowisku kierowniczkii działu księgowości w centrum medycznym oraz ich dwaj synowie, którym okazywała całe ciepło, odmawiane Nickowi. Synom zazdrościł, a żonę podziwiał: byli dla niego obrazem, pięknym obrazem, na którym on nie istniał. Wiedział, że na zewnątrz jest koszmar, że w porcie pływają trupy, że w wilgotnych ścianach mieszkań tkwią zamurowane ludzkie szczątki, że kule z karabinów maszynowych rozrywają ludzi na strzępy; na zewnątrz były przemoc i zło, wszyscy czekali, aby zrobić sobie nawzajem krzywdę, krzywdzili się nawet w tej chwili. Zrozumiał to jako policjant. Nie można było tego uniknąć. Nie można było tego powstrzymać. W życiu zawodowym sierżanta z wydziału antynarkotykowego Kings Cross zbliżył się do tego zła, kosmaru. Sądził, że może poczuje się lepiej, jeśli będzie miał do czynienia i spotykał się z ludźmi, których trapią gorsze problemy niż jego. Tak jednak nie było. Z tego samego powodu czytał książki o Hitlerze i Stalinie, o ludobójstwie i państwach totalitarnych. Ale to też mu nie pomagało.

Doszedł do wniosku, że policjanci są zaledwie dziennikarzami zła; opisywali je w raportach, zdjęciami, w filmach wideo, w wynikach sekcji zwłok. Wobec swojego kosmaru byli tym, czym historycy i biografowie wobec Holokaustu i Hitlera. Nie byli w stanie niczego zmienić. Nick mógł tylko zapewnić bezpieczeństwo rodzinie, kiedy na zewnątrz grasowały wilki.

Błąkał się po swoim małym domku późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali, przystawał kolejno w drzwiach każdej sypialni, słuchał, jak oddychają jego żona i synowie, łagodnie, wdech i wydech, modlił się, miał nadzieję; czekał na jakiś znak, gest, chwilę, nasłuchując odgłosów ludzkiego oddechu. Starał się nie myśleć, że spada, że wszystko robi się białe; starał się nie myśleć, że wilk może być już w środku i czeka, ma nadzieję, nasłuchuje.

Dopiero kiedy zobaczyła Tariq'a martwego, uświadomiła sobie, że nawet nie zapytała go, dla kogo i gdzie pracuje. W pewnym sensie wydawał się jej absolutnie niezainteresowany tym, czym się zajmował na co dzień: mówił o swojej pracy w taki sposób, jak studenci o przedmiocie, z którego rano muszą zdawać egzamin. Wczesnym rankiem w jego mieszkaniu wydało się jej, że nie powinna zadawać mu pytań, na które, jak wszyscy później sądzili, znała odpowiedź.

– Istota grafiki rastrowej – mówił Tariq – polega na tym, że można precyzyjnie manipulować obrazem, zmieniając pojedyncze piksele jeden po drugim... I w ten sposób na przykład zmienić Elvisego w strusia, coś w tym guście. – Urwał, jak gdyby zaczął myśleć o czymś zupełnie innym, a potem dodał: – Robiliby takie rzeczy z prawdziwymi ludźmi, gdyby tylko mogli.

– Kto? – spytała Doll.

– Och, nie wiem. Rządy, korporacje... Chyba ci, którzy nami rządzą, mają władzę.

W mieszkaniu Tariq'a wydawało się, że Sydney jest ciche i spokojne. Obiecał jej zrobić kawę, było jednak za gorąco, napili się więc schłodzonego pellegrino. Siedzieli na krzesłach barowych przy wysokim stole ustawionym pod oknem, rozmawiali, popijali wino i przyglądali się, jak węzowe łuski miasta mieniają się i błyszczą daleko w dole.

Tariq mieszkał w Potts Point, blisko Baron's w Cross, ale jego apartament pod każdym innym względem był jakby nie z tego świata. Ulica, po której obu stronach stały luksusowe europejskie auta, zaprowadziła ich do foyer szpanerskiego apartamentowca. Windą na kartę magnetyczną wjechali kilka pięter wyżej, po czym drzwi otworzyły się bezpośrednio w niedawno wyremontowanym mieszkaniu o pomalowanych na biało ścianach i wyposażonym w europejski sprzęt gospodarstwa domowego.

Tariq'a przyćmiło oświetlenie; włączyło się samo natychmiast, kiedy weszli do środka, po chwili jednak głównym źródłem jasności stały się światła portu Woolloomooloo, na który wychodziły okna, a dalej samego Sydney. Na dole od czasu do czasu cicho pomykały pociągi jak zabawki, tworząc strumienie ruchomego blasku, a reflektory samochodów rysowały w mroku grube, cętkowane kreski. Było tu całkiem inaczej niż na tych niebezpiecznych, śmierdzących ulicach, jakie znała Doll – miasto odmienione. Uwodzicielska, upstrzona przez konfetti plamek połyskliwej żółci i bieli ciemność, której tu i ówdzie bardziej określoną formę nadawały czerwone i niebieskie neony nazw wielkich firm.

– W ten sposób komputery przechowują obrazy zbudowane z pojedynczych pikseli – ciągnął Tariq. Doll odwróciła głowę od miasta i od niego. Poruszał rękami jak szukający

czegoś ślepiec. – Każdy piksel zakodowany jest w pamięci komputera jako cyfra binarna, czyli coś, co nazywamy bitem.

Chociaż próbowała udawać zainteresowanie, to, co mówił, wydało się jej nudne. Wyglądało na to, że Tariq czuje się w obowiązku o tym opowiadać, chociaż jego też to nie pasjonowało. Doll znowu wyjrzała na dziwne, wyciszone miasto. Wszystko wydawało się jej tu wytworne. Ławica płetw gmachu opery sterczała na piersi miasta niczym brązowa broszka na biuście starej kokoty. Iluminowana konstrukcja mostu wyglądała niczym filigranowy kołnierz, a usiane niezliczonymi światełkami wieżowce przywodziły na myśl misterną czarną koronkę. Takie Sydney mogłaby oglądać przez całą noc, tymczasem Tariq mówił dalej o swoim zawodzie grafika rastrowego i brakło już w nim radości i chęci do zabawy, bo kiedy opowiadał o pracy, stawał się raczej nudnym i poważnym facetem.

– Wszystkie bity razem tworzą mapę bitową. Jako informatyk pracuję nad tym, żeby tworzyć lepsze mapy bitowe, dzięki którym powstają lepsze obrazy. Na tym polega grafika rastrowa.

– Grafika rasta... Grafika Boba Marleya – zażartowała Doll i Tariq więcej nie poruszał tego tematu.

O czym jeszcze rozmawiali? Później, kiedy Doll starała się lepiej zrozumieć, kim Tariq naprawdę był, nie mogła sobie przypomnieć niczego ciekawego. Rozmawiali o jakichś poważnych kwestiach i o głupstwach, o ogólnikach i o sprawach intymnych. Na inne tematy poza komputerami dobrze się z nim gadało, i nic poza tym.

Postanowili wymienić się numerami telefonów. Tariq poszedł po kartkę i wrócił z menu restauracji dowożącej jedzenie do klienta, zapisał na nim zielonym pisakiem swój numer i podał Doll. Już miała mu zanotować swój, kiedy Tariq wstał i tym razem wrócił z komórką. Wyglądała na drogie urządzenie.

– Fajna, nie? – spytał, wyciągając w jej stronę telefon w stalowej obudowie. – Kupiłem ją w KL. To nokia P99 z odtwarzaczem MP3. Ma nawet specjalny dzwonek... Taką minisymfonię, skomponowaną przez Yuna Chunga Hee.

Nie zareagowała, a Tariq sprawiał wrażenie zagubionego w myślach, jak gdyby nie był pewien, co powiedzieć. Kilkakrotnie rozsunął nokię, otwierając ją i zamykając. Potem podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Chuj z minisymfoniami Yuna Chunga Hee. I tak są do dupy. Znalazłem świetny portal, skąd można ściągać dzwonki do telefonów. Możesz mieć wszystko. – Podsunął jej telefon i wcisnął klawisz. – Na przykład jak dzwoni mój szef, dzieje się coś takiego. – Na ekranie wyświetliło się krótkie wideo z *Władcy pierścieni*, a telefon zadzwonił na melodię *Thugs Get Lonely Too* Tupaca Shakura.

Doll zaśmiała się, bo wydało jej się to dosyć śmieszne, a wszystko było lepsze niż grafika rastrowa. Podała Tariqowi swój numer telefonu i kiedy wbijał go w komórkę, raz jeszcze zapytał, jaki chciałaby mieć dzwonek. Nie wiedziała.

– Możesz mieć, wiesz, rap albo techno, na co tylko masz ochotę.

– Może muzykę klasyczną.

– Muzyka klasyczna, fajnie – powiedział Tariq, na którym taki niezwykle dzwonek zrobił dziwne wrażenie. – Nieźle.

– Mają, na przykład, Chopina?

Poprosił, żeby przeliterowała mu to nazwisko, zapatrzył się na chwilę w ekran telefonu, a potem odpowiedział:

– Jest tu mnóstwo Chopina... Masz coś ulubionego? Inaczej za każdym razem będziesz słyszała koncert chopinowski.

– Nokturn – odpowiedziała. – Znajdź mi nokturn f-moll.

Telefon zaczął, kiedy Tariq przebierał palcami po klawiaturze i błyskawicznie zrobił zdjęcie Doll.

– A teraz patrz... Oto co się dzieje, jak zadzwonisz.

Na ekranie pojawiła się fotografia jej roześmianej twarzy, której towarzyszyła jakby blaszana wersja nokturnu f-moll Chopina.

– Tobie naprawdę podoba się to gówno?

– Czasami – odpowiedziała.

Kolejna godzina minęła dość przyjemnie, Doll zaczęła się jednak zastanawiać, czy coś się jeszcze wydarzy. Było miło, wyglądało jednak na to, że na tym koniec. Może naprawdę jest gejem – ostatecznie spotkała go na Mardi Gras. „Ja to mam szczęście” – pomyślała, wstając. Przeprosiła go, że tak się zasiedziała, i powiedziała, że już będzie lecieć.

Nachyliła się, uściskała Tariqa i dała mu całusa w policzek na pożegnanie. Wyobraziła sobie, że pocałunek i uścisk będą znakiem przyjaźni. Stanowcze, ciepłe, ulotne. Ostateczne. Tylko że to nie wyglądało jak pożegnanie.

Morski wiatr zawiął od portu, zatrzęsł szybami w oknach, a potem noc znieruchomiła na nowo.

Tariq przeturlał się na skraj dużego łóżka, na którym oboje leżeli teraz nago, i ze spodni – rzuconych na podłogę – wyciągnął mały, kwadratowy woreczek, zamykany na zamek błyskawiczny. Przyklęknął, otworzył go i jedną ręką przytrzymując swojego wzwiedzonego kutasa mniej więcej poziomo, drugą posypał go nierówną kreską białego proszku. Uformował palcem biały wałeczek najlepiej, jak umiał, a potem podał Doll pięćdziesięciodolarowy banknot.

Zwinęła go, jeden koniec wsunęła sobie do nosa, a drugi spłaszczyła. Pochyliła się nad członkiem Tariqa i wciągnęła proszek w nozdrza. Prawie od razu poczuła, jak zaciskają się jej szczęki i zęby, a potem... Nabrała sił, poczuła się silna i świeża, i zrobiło się jej bardzo dobrze.

Opadła z powrotem na łóżko. Tariq pochylił się nad nią i rozsypał kręgi kokainy wokół brodawek jej piersi. Pocałował ją, wciągnął biały proszek do nosa i kolejno delikatnie ssał jej sutki, wędrując po nich językiem. Potem usiadł i podał dziewczynie plastikowy woreczek. Zostało w nim jeszcze sporo kokainy, więcej niż zwykła działka.

– Weź ją sobie – powiedział.

– Na pewno?

– Jasne. Mnie tego nie zabraknie.

Podziękowała mu i rzuciła woreczek na swoje leżące na podłodze ubranie.

Tariq leciuteńko lizal szparkę ciągnącą się od odbytu Doll do jej warg sromowych, które delikatnie wessał do ust, a później czubkiem języka znalazł łechtaczkę – w tym momencie myśl, że kobieta ma duszę, że dusza ma jakąś przyrodzoną godność i potrzeby równie fundamentalne i głębokie jak ciało, i że jest jakaś siła, każąca jednym duszom szukać drugich, bo inaczej zginą, byłaby zupełnie nieznośna dla Doll. Ludzie się pieprzą, to wszystko.

Jej głowa uniosła się i opadła na poduszkę. Nogi Doll zeszywniały. Zaczęła cicho jęczeć. Gorączkowo wypchnęła Tariqa pomiędzy swoich ud, kiedy dostała orgazmu i już nie mogła wytrzymać wirowania czubka jego języka wokół łechtaczki.

Potem uklęknęła, oparła głowę na poduszce i wypięła tyłek, bo chciała, żeby w nią wszedł. Sięgnęła między nogi Tariqa, chwyciła jego wciąż pokrytego tu i ówdzie koką kutasa i wsunęła go w siebie, jednocześnie napierając na niego biodrami.

Zaczęli się kotłować w przód i w tył, każde w nieco innym, chociaż podobnym rytmie. Jak wcześniej w tańcu odsuwali się i przysuwali do siebie, spotykając się w dziwnym, wspólnym doznaniu, niepowtarzalnym i niewymownym – cipa świerbiła ją od resztek kokainy na

jego członku, a on trzymał kciuk wciśnięty głęboko w jej wypięty tyłek niczym w soczystą pomarańczę i Doll uświadomiła sobie, że jej ciało reaguje niczym ujeżdżany na rodeo koń. Kiedy pod nim wierzgała, Tariq drugą ręką przesunął po żebrach dziewczyny. Na chwilę zamknął jedną z rozkołysanych piersi Doll w pułapce lekkiego uścisku i wtedy poczuła, jak omdlewa pod wpływem jego dotyku, gdy jej zeszywniała brodawka ocierała się o jego rozstawione palce. Potem ręka Tariqa odnalazła jej wargi i Doll całowała właśnie te jego brutalne, łagodne palce; wzięła je do ust i wyobrażała sobie, że to jego kutas.

Wyobrażała sobie, że Tariq spuszcza się w niej bardzo głęboko, w jej cipie i w ustach. Na chwilę utworzyli jak gdyby jedno dziwne zwierzę, suwające się tam i z powrotem gwałtownymi ruchami w jakimś wspólnym rytmie, nie narzucanym im przez nią ani przez niego. Byli już tak spoceni, że ich ciała pokryte mokrym nabłonkiem ślizgały się na boki, niesione własną wilgocią niczym falą. Przez chwilę myślała, że sama nią jest, że rozpuszcza się na kawałeczki, dryfujące po tym dziwnym mieszkaniu, że nie ma już dwóch ciał, tylko ich wspólne doznania. Nie była już pewna, czy krzyczy ona, czy on, czy czuje swoją cipę, czy raczej jego kutasa, słyszała swoje jęki i dyszenie Tariqa, zlewające się w jedno z monotonnym szumem nocy w Sydney.

Wyszedł z niej w ostatniej chwili, podciągnął się wyżej i podsunął członka na wysokość jej twarzy. Zauważyła połyskujące żyły. Znacznie wyżej ujrzała twarz Tariqa, już nie czarująco chłopcę, lecz mocno zaczerwienioną, wykręconą gwałtownym grymasem, i okrucieństwo jego pożądania na chwilę ją przeraziło. Szarpnął się, po jej policzkach popłynęły łyzy spermy, a z ust Tariqa dobiegł osobliwy i niezupełnie przyjemny dźwięk, przypominający stęknienie człowieka w agonii.

W twarz Doll wciskało się słońce, najpierw ciekawskie, potem natarczywe, a w końcu bardzo gorące jak palący płomień. Wstała, starając się pozostać we śnie, i podeszła do okna. Wschodzące słońce odbijało się niczym złocista kula ogniowa od szklanego wieżowca Deutsche Banku i wpadało prosto do sypialni Tariqa. Było oślepiające. Jak gdyby spadło na ziemię, a Sydney trawiły jasne, złote płomienie.

Miała zlepięte powieki i drżące ręce, szukała więc po omacku, dopóki nie znalazła spletanego sznurka, i nieco niezgrabnie opuściła żaluzje. Wskoczyła z powrotem do łóżka i obróciła się na brzuch. Nawet przez żaluzje wyczuwała moc napierającego na pokój słońca, które teraz stało się jednak przyjemne, padało na plecy Doll, ogrzewając jej zmęczone ciało, więc znowu szybko zasnęła, nawet bez temazepamu.

Kiedy się obudziła i rozejrzała, w łóżku nie było nikogo oprócz niej. W pokoju panowały nieprzyjemne ciepło i duchota. Może wcześniej też tu nikogo nie było. Trudno powiedzieć. Teraz jednak nie miała wątpliwości: jest w sypialni sama.

– Tariq? – powiedziała, po chwili dodając trochę głośniejszym głosem, żeby ją usłyszał, gdziekolwiek był: – O Boże, Tariq. Co za noc.

Nikt nie odpowiedział.

W sypialni było jak w piekle. Znalazła swój zegarek. Dochodziło południe. Miała trampek w ustach. Na skórze czuła tępą, nieprzyjemną skorupkę zaschłego potu. Pościel cuchnęła. Doll też.

Wstała i przedelfilowała nago przez całe mieszkanie. Nigdzie nikogo nie było. Nie zauważyła też żadnych rzeczy osobistych. Mieszkanie nie miało właściwości, jak gdyby lokator dopiero się tu wprowadził. Albo je komuś wynajął. Nie dawało się zredukować do niczego poza ideą gustu.

W przeciwieństwie do jej mieszkania apartament Tariqa był nowy, a wyposażenie okazało się najwyższej jakości. Wszystko białe jak cukier. Białe ściany. Drewniane bielone żaluzje. Meble, armatura i ramki obrazów w różnych odcieniach bieli: kość słoniowa, kreda, kość. Na białym stole obiadowym stał intrygujący wazon z różami koloru czekolady, chociaż kupiono je chyba wyłącznie po to, żeby podkreślić biel całej reszty mieszkania.

Mieszkanie wydawało się nie nadawać do życia, tylko żeby je fotografować do czasopism o dekoracji wnętrz, takich jak te, których chwiejnych stert było pełno u Doll. Apartament Tariqa miał wszystko, czego pragnęła, ale nie wydawał się jej już godny pożądania. Jeśli w ogóle robił jakieś wrażenie, to raczej dziwaczne. Mimo to, powiedziała sobie,

zaniepokojona tym, że wszystko, czego chciała, teraz wydaje się jej takie odpychające, chata jest super.

– Tak jest, tak jest, tak jest – zamruczała do siebie.

W głębi jej duszy jednak – chociaż dotąd zawsze na przemian traciła i odzyskiwała ducha, czytając setki relacji o dramatycznych remontach i tysiące artykułów w pismach specjalistycznych – powstało nowe, niewysłowione podejrzenie, że gust może być też jedynie unikiem wobec życia.

Potrzebowała pomyśleć o czymś innym i pomogła jej w tym kartka pozostawiona na ławie z blatem z przydymionego szkła. Wiadomość była krótka:

Zaraz wracam.

T xxx

Umyła się w ozdobnej, wykładanej białymi kafelkami łazience pod wymyślnym prysznicem, wyposażonym nie w jedną, lecz kilka głowic sterczących na długiej rurze, toteż woda delikatnymi strumieniami obmywała jej zmęczone ciało pod różnymi kątami.

Potem wyszła na niewielki balkon. W Woolloomooloo Bay kotwiczyło kilka szarych okrętów wojennych, z głośników pokładowych od czasu do czasu dobiegało jakieś przypadkowe zdanie, chrapliwe i zduszone, brzęczące nad zatoką jak gumka recepturka. Wyjrzała na port w Sydney – pomyślała, że to jest naprawdę piękne miasto i że ma szczęście, że tu mieszka. Mimo to nie mogła pozbyć się dziwnego niepokoju.

Wróciła do środka.

– Tariq? – zawołała. – Tariq?

Zdenerwowała się trochę. Pod wiadomością od Tariqa napisała:

Musiałam lecieć. Zadzwoń niedługo.

I idąc za jego przykładem, podpisała się tylko inicjałem:

G xxx

Mimo panującego upału przeszył ją dreszcz. Znalazła torebkę, schowała kokainę i żeby się uspokoić, zażyła stemetil i zoloft. Wszystko było dobrze. Potem ubrała się i wyszła.

Pierwsi policjanci przyjechali, zanim zaparzyło się jej macchiato. Z początku właściwie nie zdawała sobie sprawy z tego, że dzieje się coś hałaśliwego czy dramatycznego; przeciwnie, zrobiło się jakby ciszej, szum ruchu ulicznego zelżał i nastał niesamowity, rozprzestrzeniający się spokój. Kawiarniane radio, wcześniej pomruk zagubiony w odgłosach miasta, wydawało się grać coraz głośniej.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego wpuściliśmy ich do tego kraju? Możecie to państwo wyjaśnić? – pytał radioodbiornik.

Doll nuciła *Crazy in Love* i poczuła lekki skurcz w podbrzuszu, gdy przypomniała sobie głowę Tariqa pomiędzy swoimi nogami. Zamknęła oczy: wyczuwała jego piżmowy zapach, a nawet nadal czuła, jak przyjemnie się w niej rozpycha.

– Małe macchiato raz! – krzyknął kelner i Doll gwałtownie podniosła powieki.

Wokół apartamentowca, gdzie spędziła noc z Tarikiem, roilo się od policjantów, blokujących też ulicę pomiędzy wieżowcem a kawiarnią, w której teraz siedziała.

Za oknem nie przejeżdżały żadne samochody. Mundurowi wznosili barykady z roztrzepotanych niebieskich i białych plastikowych taśm. Więźniarki, ciężarówki i autobus policyjny pojawiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mężczyźni w czarnych mundurach, hełmach, kamizelkach kuloodpornych i z karabinami automatycznymi w rękach biegiem zajmowali pozycje za zaparkowanymi samochodami, kubłami na śmieci, węglami budynków. Jak na wojnie. Kimkolwiek był wróg, najwyraźniej krył się w apartamentowcu, z którego Doll właśnie wyszła.

Ludzie w kawiarni początkowo okazywali podniecenie, a potem też trochę strach, zwłaszcza kiedy przyszedł porozmawiać z nimi jakiś gliniarz. Powiedział, że nikomu nie wolno wyjść z lokalu, dopóki policja nie da sygnału, że teren jest czysty. Dodał, że nie ma się czym martwić, ale niech wszyscy trzymają się z dala od okien. Jak najdalej.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Towarzyszył mu cichy pomruk domysłów. Kelner twierdził, że słyszał od znajomych policjantów, że jakiś facet wziął swoją rodzinę na zakładników i grozi, że ich zabije. Doll podsłuchiwała też pewną kobietę, która mówiła, że przecież wszyscy wiedzą, że jedno z mieszkań w tym domu wynajmuje ważny handlarz narkotyków i że to jest oblawa. Kilka osób było przekonanych, że znaleziono kolejne bomby, toteż niektórzy klienci wycofali się jak najdalej w głąb kawiarni, na wypadek, gdyby któraś z nich wybuchła. Jakiś starszy facet odwrócił się do Doll i powiedział, że policja ściga terrorystę.

– Powinni skurwiela zastrzelić – odparła Doll, bo wszyscy tak mówili, a kiedy i jej zdarzało się myśleć o takich sprawach, reagowała mniej więcej właśnie w ten sposób. Teraz czuła jednak tylko ocierającego się o nią Tariqę, jego oplatające ją ramiona, zapach, dotyk i pojękiwania. Ciało młodzieńca odcisnęło się tak mocno na ciele Doll, że nadal z nią tu był.

W końcu ludzie się znudzili. Jedni zaczęli rozmawiać znów o Mardi Gras i o tym, co robili na paradzie, drudzy wrócili do lektury niezliczonych dodatków wypadających z niedzielnych wydań gazet niczym martwe płody. Doll znalazła w torebce menu z numerem telefonu Tariqę i zadzwoniła do niego, chcąc sprawdzić, czy coś wie, zgłaszała się jednak tylko poczta głosowa, i to bez żadnego nagrania, w słuchawce po prostu odzywał się przeciągły sygnał. Rozłączyła się.

Usiadła przy stoliku, wypila kawę, zamówiła następną i też ją wypila, przeglądając gazetę. Przeleciała po łebkach pierwsze strony z tekstami, łączącymi bomby na stadionie Homebush z opublikowaną na portalu Al-Kaidy groźbą ataku terrorystycznego w Sydney, nie poświęciła uwagi artykułowi o makabrycznym morderstwie dziecka, informacji o kolejnej próbie przeprowadzenia ataku bombowego w Ambasadzie Australii w Dżakarcie, o znalezionym psie ani o zaginionym brytyjskim turyście z plecakiem, i w końcu zatrzymała się na rozkładówce poświęconej księżniczce Mary i jej synkowi.

Podniosła wzrok i mimo że siedziała w głębi sali, zauważyła mężczyzn w czarnych mundurach bojowych, którzy skradali się na dachu apartamentowca z karabinami gotowymi do strzału; celowniki od czasu do czasu lśniły, migocąc w jasnym słońcu.

Wróciła do gazety. Według źródeł zbliżonych do duńskiej rodziny królewskiej księżniczka Mary była cudowną, praktycznie myślącą matką, a młody książę stał się ulubieńcem wszystkich mieszkańców pałacu.

„Ma dziwka szczęście” – pomyślała Doll. Zażyła jeszcze jeden zolof, żeby uzupełnić jego brak w organizmie, bo wczoraj nie wzięła tabletki, i czytała dalej.

Piętnaście minut później do kawiarni wrócił ten sam gliniarz co przedtem, powiedział coś do zamocowanego na ramieniu walkie-talkie, a potem poprosił wszystkich o uwagę.

– Sytuacja została opanowana – oświadczył. – Dziękujemy państwu za pomoc we wszystkich naszych czynnościach operacyjnych związanych z bezpieczeństwem narodowym.

Nikt nie wiedział, co policjant ma na myśli. Znów mówił do walkie-talkie, przechylając głowę na bok. Ktoś spytał, czy to znaczy, że mogą wyjść.

Odwrócił się, zirytowany tym pytaniem.

– Jezu – odparł. – Czy ja już wam tego nie powiedziałem?

Potem przyszły godziny pozornie bezcelowej wędrówki ze sklepu do sklepu. Był to jednak czas, kiedy kierowała nią potrzeba nie mniej realna i głęboka niż ta, która każe koczowniczemu łowcy nieustannie na nowo zapoznawać się z terenem, zwierzyną i panującymi o danej porze roku warunkami pogodowymi. Przed Doll nieustannie odsłaniały się kolejne fragmenty wiedzy, olbrzymiej i niezbędnej jej do życia, wiedzy, którą ciągle trzeba było odświeżać. Najlepsza sugestia nowych kolorów i stylów, nagłe załamanie jakiegoś trendu, na co wyraźnie wskazywała obniżka cen, jakiś beztroski komentarz ze strony sprzedawczynie – wszystkie te sygnały i momenty trzeba było przyswoić, przeanalizować i ocenić, podejmując decyzję, co można kupić w następnej kolejności, gdyż każdy nowy nabytek określał jej życie na przyszłość.

Magnesem dla Doll we włóczędztwie tego dnia była torebka od Louisa Vuittona, którą obiecała sobie wczoraj. Mając ją wyraźnie przed oczami, podobnie jak będące celem jej wyprawy miasto, wyszła z kawiarni, ominęła kordon policyjny i ruszyła w górę Macleay Street. Musiała się przejść, rozprostować ciało, sztywne i zmęczone po nocnym seksie, mijając gejowskie pary i wymanikiurowane panie z wymanikiurowanymi pieskami, luksusowe sklepy spożywcze, gdzie torebka przyprawy zwanej szermula kosztowała więcej niż sprzedawane na najbliższym rogu prochy, a kilka plasterków importowanej szynki hiszpańskiej uszczupliłoby kieszeń smakosza o tyle, ile zmęczone usta ulicznej prostytutki mogły kosztować poszukującego seksualnych uciech kierowcę na Darlinghurst Road.

Znalazła się na Victoria Street i zeszła po długich kamiennych schodach do Woolloomooloo. W otoczeniu pustych butelek, puszek, serpentyn, strzykawek i popękanych flakoników po amfie, porzuconych tu przez imprezowiczów z Mardi Gras, wszystko wydawało się generować więcej ciepła.

Uciekła ze słońca w gościnny cień drzew Hyde Parku. Pod przepelnionym koszem na śmieci chwiały się na nogach wynędzniały ibis, usiłując zedrzeć gumę do żucia z długiego dzioba. Nie, powiedziała sobie, postanowiła, że nie będzie żywić się odpadkami jak ten ptak, i zaczęła myśleć, że niedługo zamieszka w takim apartamencie jak Tariq. Kupi mieszkanie, kiedy ceny pójdą w dół, a sprzeda, jak znowu skoczą. Czytała o takich sprawach; chodziło o to, żeby w ogóle wsiąść na karuzelę nieruchomości, bo kiedy już się na niej siedziało, wszystko było możliwe. Krążyły na ten temat niezliczone opowieści, słyszało się je codziennie; wkrótce jej historia stanie się jedną z nich.

Obok Doll przebiegło jakieś małżeństwo w średnim wieku – ćwiczyli walkę z cieniem, byli w rękawicach bokserskich. Sprawiali wrażenie ludzi promieniujących radioaktywną tężyzną fizyczną i zamożnością. Kiedy ją minęli, Doll uśmiechnęła się na taki idiotyzm,

choć mimo wszystko po cichu im zazdrościła. Chciała być taka jak oni: bogata, pewna siebie, niepomna wszystkiego – była przekonana, że może to osiągnąć, kupując nieruchomości.

Jej pierwsze mieszkanie pewnie nie będzie jakoś szczególnie wspaniałe, ale je przebuduje; nie bała się pracy, poza tym miała swój styl. A styl, jak powiadały czasopisma, może bardzo wiele. Jest niematerialny, niewymierny i niezwykle ważny. Nic nie kosztuje, przynosi jednak pieniądze. Jest niewidzialny, ale człowiek albo go ma – i wtedy pokazują jego zdjęcia w kolorowych pismach oraz na stronach gazet poświęconych nieruchomościom – albo go nie ma, a wtedy nikt takiego kogoś nie fotografuje. Doll niedługo zdobędzie własne mieszkanie, rozumiała więc, że musi mieć swój styl, i by pokazać wszystkim, że go ma, za chwilę zacznie wymachiwać trzymaną u boku torebką Louisa Vuittona.

Jednak kiedy dotarła do firmowego sklepu, torebki już nie było. Niezniechęcona wchodziła do przybytków innych projektantów, do Versacego, Armaniego i Prady, szukając okazji równej albo przewyższającej wartością torebkę, której przez krótką chwilę tak bardzo pożałowała.

Wyszła właśnie z butików obuwniczego i wracała do głównego centrum handlowego, gdy na wielkim ekranie przed sklepem elektronicznym zauważyła tłumy opuszczające stadion Homebush po wczorajszym alarmie bombowym. Potem obraz przeszedł w zbliżenie na dziecięcy plecaczek, w którym po otwarciu ukazała się bomba. Ekran jednak bez reszty pochłonął uwagę Doll dopiero wtedy, kiedy nastąpiło cięcie i uzbrojeni policjanci zaczęli zajmować pozycje wokół apartamentowca Tariqa.

Fonia była wyłączona, więc wokół dał się słyszeć tylko gwar centrum handlowego. Gdzieś płakało dziecko. Na ekranie pojawiła się młoda reporterka, ale Doll oczywiście nie mogła wiedzieć, co mówi. Następnie pokazano niewyraźną fotografię brodacza w arabskim stroju, a pod spodem wyświetlił się pasek powtarzający w kółko tę samą informację: „Podejrzany o terroryzm wymyka się z obławy policyjnej”.

Ze sklepu wyszedł sprzedawca z pilotem w ręku, spojrzał na ekran, zauważył wpatrzoną w niego Doll i przeprosił ją. Monitor na chwilę szerniał, a potem wrócił do życia z filmem *Toy Story*. Astronauta Buzz Astral wybiegł poza kadr, a Doll odzyskała zmysły.

A więc o to chodziło! Terrorysta w tym samym domu, w którym spędziła noc. Fajna historia, można by ją opowiedzieć Wilder, chociaż to właściwie nic ważnego. Mimo to Doll dręczyło jakieś niepokojące przecucie, tak mgliste, że nie potrafiła go określić. Miała ściśnięty żołądek, a w ustach nagle pełno śliny. Uznała, że to dlatego, że wczoraj piła, zażywała narkotyki i późno położyła się spać.

Zadzwoiła do Tariqa po raz drugi i po raz drugi bez żadnego powitania włączyła się poczta głosowa, a Doll znowu zrobiło się głupio i nie nagrała wiadomości.

Bardzo żałowała, że nie było przy niej Tariqa, kiedy się obudziła. Bardzo żałowała, że wyszedł, a skoro już wyszedł, że nie zdążył wrócić przed jej wyjściem. Teraz jego zniknięcie wydawało się jej raczej dziwne niż pechowe, mieszkanie raczej przerażające i nieprzyjemne niż fajne, i nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o słońcu, które wypełniało i wypalało tamte pokoje. W nocy czuła się taka szczęśliwa w jego ramionach, a teraz nagle zebrало się jej na płacz.

Odwróciła się raptownie do wyjścia i wtedy wpadła na nią jakaś kobieta w czarnej burce i potrąciła ją łokciem.

Doll natychmiast skoczyła myślami z powrotem do policjantów z karabinami i w czarnych mundurach, w których wyglądali jak śmierć, do wczorajszego reportażu telewizyjnego o ładunkach wybuchowych na stadionie Homebush, i nagle ta kobieta nie wydała się jej kobietą, tylko czymś przerażającym i nieznanym, złym widmem, które tak często widywała na filmach, niskim, przysadzistym Darthem Vaderem.

Nieznajoma z kolei zdawała się uważać, że zderzenie było winą Doll, która nie rozumiała jednak kobiety w burce, mówiącej w jakimś obcym i dziwnym języku. Być może wysuwała oskarżenie pod adresem Doll, a może nie, nie dało się tego odgadnąć. Później Doll, o wiele później, zastanawiała się, czy nieznajoma jej raczej nie przeproszała.

Może zawiniły wszystkie wydarzenia z ostatnich dni – upał, to, że nie zażywała tabletek, tak jak powinna, a może po prostu sprawił to brak snu, policja dzisiaj rano albo wczorajsze bomby i ciężka harówka na torebkę od Louisa Vuittona, której ostatecznie nie było w sklepie – w każdym razie poczuła się jak na haju i puściły jej nerwy, nie wytrzymała.

– Spierdalaj stąd! – wrzasnęła. – Po prostu spierdalaj tam, skąd przyjechałaś!

Kilka osób przystanęło, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie, ale nic więcej już się nie wydarzyło. Kobieta w czarnej burce przestała gadać, odwróciła się i pospiesznie odeszła.

– Masz pani rację – zauważył mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w kanarkowożółtej koszuli lekko drżącym, lecz donośnym głosem. – Wie pani, oni nie chcą się z nami integrować – powiedział jeszcze głośniejszym głosem, być może starając się, żeby usłyszała go kobieta w burce, chociaż już zniknęła.

Jakaś grubaska zaczęła klaskać, a chłopak w bejsbolówce z logo Microsoftu wykrzyknął:

– Oni tu przyjechali, myśmy tu dorastali.

Doll nie była pewna, czy ma się cieszyć, czy martwić taką reakcją. Nikt więcej nic już nie powiedział ani nie zrobił, a kiedy konfrontacja dobiegła końca, gapie rozeszli się, jak gdyby był to tylko jeszcze jeden przykład kiepskiej rozrywki rodem z centrum handlowego. Drżała na całym ciele, idąc w stronę głównego wejścia. Zrobiło się jej wstyd, że straciła cierpliwość, i nie wiedziała, dlaczego właściwie wybuchnęła z taką wściekłością. Wciąż jednak była zła na kobietę w burce.

„Co za głupota chodzić tak w taki upał! – pomyślała. – Dlaczego oni nie mogą po prostu być tacy jak my?” Uznała, że powinna współczuć nieznanemu, i ten żal wydał się jej czymś w rodzaju koniecznego poczucia wyższości. Pomyślała też, że chodzenie w takich okropnych ciuchach musi być czymś szczególnie upokarzającym dla kobiety. Potem jednak przypomniała sobie, że ten pokurcz z telewizji mówił jej, jakim upokorzeniem musi być taniec na rurze, i poczuła się dziwnie zdezorientowana.

Po powrocie do domu z ulgą zdjęła wreszcie przeupocone dzinsy od Versacego, wzięła prysznic, przebrała się w stare szorty i podkoszulek, po czym podzieliła kokę od Tariqa. Jedną porcję schowała tam, gdzie trzymała woreczek z pieniędzmi, a drugą zawinęła w folię aluminiową i włożyła do torebki od Gucciego – której, jak miała nadzieję, nie będzie już wkrótce potrzebować – żeby narkotyk był pod ręką, kiedy przyjdzie jej na niego ochota.

Włączyła głośno muzykę i cicho telewizor. Akurat leciała reklama nowej toyoty prado. Wszystko w tej reklamie – mężczyźni, kobiety, drogi oraz niebo – wyglądało pięknie i spokojnie. I ukoilo jej nerwy.

Poszła umyć łazienkę. Kiedy wróciła, nadawali jakiś teleturniej. Potem reality show. Potem program sportowy. Zapadła w drzemkę. Kiedy się ocknęła, na ekranie było pełno uzbrojonych policjantów zajmujących pozycje wokół apartamentowca Tariqa. Chwyciła pilota i podgłośniła telewizor.

Spiker mówił o nieudanej zasadzce na okrytego ponurą sławą islamskiego terrorystę – w tym momencie tak jak poprzednio pokazano niewyraźną fotografię brodatego mężczyzny w arabskim stroju. Spiker przeczytał brzmiące z arabska nazwisko, z którego rozumiała tylko słowo „Tariq”. Potem obraz znów się zmienił, przechodząc w ziarniste, ciemne, zrobione z góry zdjęcia.

– Zwracając się o pomoc w śledztwie w związku z wczorajszą próbą zamachu bombowego na stadionie olimpijskim w Homebush, policja ujawniła dziś wieczorem nagrania pochodzące z kamer monitoringu, na których widać podejrzanego, kiedy wchodzi do apartamentowca w towarzystwie współpracownicy – oświadczył spiker.

Na ziarnistym filmie widać było kobietę i mężczyznę; obejmowali się, wchodząc do budynku. Nagranie odtwarzano tak powoli, że Doll widziała, jak zmieniają się pojedyncze klatki. Realizatorzy wykorzystali efekty cyfrowe, żeby rozjaśnić twarze, kontrastujące z ciemnym otoczeniem.

– Jak dotąd nie wiadomo, kim jest kobieta na zdjęciach – ciągnął spiker.

Doll poczuła, jak zasycha jej w ustach. Mężczyzną na zdjęciach był Tariq. Kobietą okazała się ona.

Z początku uznała, że to, co zobaczyła przed chwilą na ekranie, prawie we wszystkim przypomina to, co wydawało się jej niemiłe i głupie w życiu: było to nieistotne, po prostu zignorowała zatem tę wiadomość, tak jak ignorowała wszystko, co uważała za nieważne. Ostatecznie ta informacja o terroryście jest jak cała reszta pieprzenia pismaków, medialnych sensatów i zasranych polityków: być może w ich świecie to sprawa niesłychanej wagi, dla niej jednak nie liczy się ani trochę. Wydało jej się świetnym pomysłem uznać, że cała ta historia jest po prostu zabawna – wyniknęła z niczego, wkrótce powróci do nicości i żadnego jej aspektu nie trzeba brać poważnie. Zmusiła się do uśmiechu, a nawet zaśmiała się w głos. Ale jaja!

– Elastyczna skóra daje nam taką moc... – odezwał się telewizor z lekko amerykańskim akcentem.

W czasie przerwy reklamowej naląła sobie szklaneczkę żubrówki, wzniosła toast i naląła drugą. „A jednak to niesamowite – pomyślała – że spało się z terrorystą, i to w dodatku z takim ciachem jak Tariq”.

Zadzwoiła do Wilder i opowiedziała jej o wszystkim, chociaż pominęła niektóre szczegóły. Sądząc po głosie, Wilder była zmęczona i średnio zainteresowana jej opowieścią, która nie za bardzo ją zmartwiła, i może dlatego powiedziała Doll, że nie ma się czego bać.

– Wszystko przemija, Gina – Wilder zawsze używała jej prawdziwego imienia – a życie toczy się dalej. Wiesz, po prostu skup się na tym, co dobre w twoim życiu. Za rok pójdziemy na drinka, a ty wtedy nagle przypomnisz sobie, jak spotkałaś jakiegoś piękniś na plaży, po czym na pięć minut zostałaś terrorystką, i będzie to tylko zabawna opowiastka, nic więcej.

„Taa – pomyślała Doll – może nawet nie minie cały rok, tylko kilka dni, a nie będę już tego pamiętać inaczej niż jako głupi kawał”.

– Nie martw się – dodała Wilder, zanim się rozłączyła. – Szybko cię skreślą z listy podejrzanych. Przypomnij mi tylko, żebym przysłała na imprezę z tej okazji.

Doll położyła się z powrotem na kanapie i po jakimś czasie odpłynęła w sen. Obudziła się i zaczęła skakać po kanałach, nie zatrzymując się dłużej na żadnym, dopóki nie zobaczyła gdzieś tego filmu z kamer monitoringu, na którym była z Tarikiem, tylko teraz w takim powiększeniu, że zamazane twarze ich obojga wypełniały ekran.

– Policja obawia się – mówił głos z offu – że dwoje terrorystów, którzy dziś w południe wymknęli się z obławy w Potts Point, może uderzyć gdzieś w Sydney lada dzień.

Doll szybko zmieniała kanały, potem wyłączyła telewizor, nastawiła głośno zespół Cat Empire, a po chwili wyłączyła muzykę i wróciła do telewizji. Starła się skoncentrować na

radzie Wilder, ale nie była w stanie zrobić tego, co powiedziała jej przyjaciółka: nie potrafiła po prostu skupić się na tym, co było dobre w jej życiu, a to, że „wszystko przemija”, wydawało się po prostu głupim banałem, a w dodatku kłamstwem. Nie uspokoiło jej to, tylko ją zdenerwowało.

Wyłączyła telewizor jeszcze raz. Walczyła z narastającą paniką, chwytając się słów, które mogły jej pomóc utrzymać się na powierzchni, tak jak kawałek deski może pomóc tonącemu. Nie znalazła jednak słów nadziei, a jedynie niejasne wrażenie, że zaszła jakaś niepojęta zmiana, że stało się coś strasznego i że jej życie nie jest już takie jak dawniej.

Znowu zatelefonowała do Wilder.

– Posłuchaj... – zaczęła, ale nie wiedziała, co powiedzieć. – Mogę do ciebie wpaść? – spytała w końcu. Jak mogłaby się przyznać, że się boi? To było idiotyczne... Czego miałyby się bać? Nie, nie bała się. – Nic mi nie jest, naprawdę – ciągnęła. – Po prostu nie mam ochoty być w tej chwili sama.

Przed wyjściem znów się przebrała. Przez moment zapatrzyła się na starą, czarną sukienkę od Prady, za którą nigdy nie przepadała, bo wydawała się jej nijaka i niepozorna. Potem ją włożyła.

Złapała taksówkę i pojechała do zaniedbanego ceglanego domku w Redfern, który Wilder wynajmowała, odkąd się znały. „To minie” – powiedziała sobie Doll, podchodząc do drzwi frontowych, otwartych, by dom się wietrzył, i rozmyślając o tym, że dotąd przez całe życie musiała się taplać w gównie, w porównaniu z którym ta sprawa to jest nic, naprawdę nic.

Wąskim korytarzykiem przeszła na tył domku, gdzie w niewielkim aneksie mieściły się kuchnia i pokój rodzinny. Wilder tylko w czarnym bikini i dżinsowej minispódniczce leżała na starej, czerwonej skórzanej kanapie i przeglądała katalog Freedom Furniture.

– Och, dzięki Bogu, że to ty, Gina. Jestem wykończona.

Urwała, sięgnęła pod kanapę po puszkę ginu z tonikiem UDL, pociągnęła łyk i znów się odezwała: – Max się ucieszy. Widziałas nas wczoraj wieczorem? Połamało mnie w krzyżu. To kretyńskie dildo... Mój Boże, czuję się tak, jak gdybym chodziła z kijem bejsbolowym między nogami. Nic dziwnego, że faceci ciągle tak stękają.

Z pokoju po drugiej stronie korytarza rozległo się wołanie dziecka.

– Przed godziną przywiozłam go od ojca, a on nic, tylko chce się bawić. A ja nic, tylko chcę umrzeć.

Mały chłopiec w samych mokrych kąpielówkach ozdobionych wizerunkiem Spider-Mana nieśmiało wysunął jasnowłosą główkę przez drzwi. Na widok Doll rozpromienił się i wybiegł jej na spotkanie.

– Max! – zawołała, chwytając go w ramiona i kręcąc nim w powietrzu. – Ależ ty już jesteś duży facet! Za dwa dni są twoje urodziny – mówiła przymilnie. – Ile będziesz miał lat?

Max pokazał sześć palców.

– Trzy! – zawołała Doll, udając zdziwienie.

– Sześć – poprawił ją Max. – Skończę sześć lat.

– Jak mogłam zapomnieć – powiedziała Doll.

Przyciągnęła go do siebie, przytuliła, pocierała twarzą o jego maleńką pierś i wdychała jego piżmowy, psi zapach. Czuła, jak się wiję; urosły mu ręce i nogi, silniej ją trzymał i pchał, a każdy jego ruch wydawał się jej niewiarygodnie słodki i gorzki zarazem, jak gdyby on rósł, a w niej coś się cofało i kurczyło, jak gdyby on coraz bardziej się rozpalał, a w niej jakby coś gasło. Kochała jednak Maxa jak własnego syna, on zaś kochał tę ładną, smagłą kobietę, która owinęła się wokół niego niczym ręcznik po kąpieli.

– Wygląda na to, że całkiem już doszedł do siebie, chociaż zajął śmierci w oczy – zauważyła Doll.

– No raczej – zgodziła się Wilder. – A niecodziennie ratuje ci życie zamachowiec samobójca. Puszczkę?

Przyniosła puszkę ginu z tonikiem i podała Doll. Max poszedł po swój nowy, zdalnie sterowany samochodzik, żeby się nim pochwalić, a kiedy autko podskakiwało wokół, warcząc jak mała piła tarczowa, przyjaciółki gadały. Od czasu do czasu Doll rzucała się na Maxa, który najpierw udawał, że chce się wyrwać z jej uścisku i bawić samochodzikiem, ale za chwilę pozwalał się tulić i pieścić.

Wilder była wyższa od Doll; miała jaśniejszą cerę, perkaty nos, pełniejszą figurę, zawsze atrakcyjnie wyeksponowane piersi i w przeciwieństwie do przyjaciółki włosy koloru blond. Niekonwencjonalnie piękna, nigdy nie dostałaby pracy w Chairman's Lounge: jej uroda była zbyt mocno powiązana z jej śmiechem, sposobem mówienia, zainteresowaniami i z tym, jak angażowała w nie swoje towarzystwo. Jeden z jej byłych facetów powiedział Doll, że Wilder ma prezencję, a chociaż Doll nie słyszała wcześniej tego słowa, pojęła, o co chodzi.

Wilder była od niej starsza o dobre dziesięć lat: kiedy się poznały, Doll skończyła dopiero dziewiętnaście i wtedy ta różnica wieku sprawiała wrażenie przepaści. Wilder wydawała się jej mądra i doświadczona, a przy tym wyglądała na osobę, która doszła do wniosku, że życie należy traktować pogodnie. Znała się na homeopatii i medytacji i wypowiadała się fachowo na różne tematy, z których ten, jak trzeba postępować w życiu, wcale nie był najmniej ważny.

Pewnego wieczoru na początku ich znajomości Wilder, która chętnie doszukiwała się rewelacji w banałach, powiedziała Doll, że władza deprawuje, urwała na chwilę, jak gdyby była to jakaś nowa i głęboka myśl, po czym powiedziała:

– Wierzę w to, wiesz, naprawdę.

Doll, która od niedawna pracowała już wtedy w Chairman's Lounge, zdążyła się jednak przekonać, że dla władzy i pieniędzy człowiek gotowy jest zrobić właściwie wszystko. Zorientowała się, że to ludzie tworzą władzę i pieniądze, przypisują im znaczenie i uważają je za ważne. Dlatego odpowiedziała:

– No nie wiem. Może to ludzie deprawują władzę.

Wilder śmiała się tak, że rozlała drinka. Doll zdała sobie sprawę, że powiedziała coś zarówno naiwnego, jak i głupiego. Poczuli się jak kompletna idiotka i nie chcąc już nigdy

więcej znaleźć się w podobnej sytuacji, z biegiem lat pozwalała, by w czasie ich spotkań mówiła raczej Wilder.

Ale to, co z początku wydawało się Doll mądre, zaczęło w końcu brzmieć w jej uszach niemal pompatycznie, a nawet głupio. Więcej: to, co początkowo wydawało się jej fascynujące, stało się powtarzalne, a to, co pozornie głębokie i mądre – niczym tania szklana biżuteria, która pięknie błyszczy, gdy jest nowa – zaczęło matowieć i robić się wręcz tandetne. Rzekomo egzotyczne i podniecające życie prywatne Wilder coraz częściej wydawało się Doll po prostu przykre i gówno warte.

Wilder miała za sobą cały szereg związków z mężczyznami równie porąbanymi jak ona. Ostatnio była z jakimś żonatym gliniarzem, z którym rozstała się zaledwie przed trzema miesiącami, bo, jak twierdziła, nie chciał odejść od żony.

– Niczego nie rozumiał. A ja myślałam, że nasza miłość wszystko zwycięży.

Doll uważała, że pewność sądów Wilder bierze się stąd, że właściwie nigdy do końca nie dorosła, Wilder natomiast była zdania, że Doll jest tępa i wielu jej poglądów nie rozumie, bo nie skończyła studiów. Podobała jej się jednak prostolinijna klarowność opinii Doll, Doll zaś podobał się entuzjastyczny rozrost sprzecznych zapatrywań Wilder. Przyjaciółki działały sobie na nerwy, nie mogły jednak wytrzymać bez siebie dłużej niż kilka dni.

– Jesteśmy kumpelami, co, Gina? – powtarzała często Wilder. Wyciągała rękę, w której trzymała starannie skręconego jointa (nigdy nie oddalał się za bardzo od jej ust), i wskazywała nim Doll niczym młotkiem sędziowskim. – Wiem, że nic nas nigdy nie rozdzieli.

A kiedy Doll nawet nie próbowała odpowiadać na tego typu deklaracje – zastanawiała się bowiem, skąd Wilder mogła wiedzieć takie rzeczy, i zarówno nie cierpiała tej jej pewności siebie, jak i jej zazdrości – Wilder kończyła rozmowę tak jak wiele innych, mówiąc:

– Wierzę w to, wiesz, naprawdę.

I to stwierdzenie jakoś zawsze wydawało się zamykać sprawę.

Wilder wierzyła w wiele rzeczy: w Partię Pracy, w związki zawodowe i w „Sydney Morning Herald”, w dobroczynne działanie porannej owsianki i w gin z tonikiem wieczorem. Wierzyła w politykę i w to, że świat może być lepszy, że Australijczycy to dobrzy, najlepsi na świecie, mili i hojni ludzie. Wierzyła w wiarę. Doll natomiast uważała przekonania Wilder jednocześnie za krzepiące i irytujące, bo sama nie miała pewności co do niczego i nie wierzyła prawie w nic poza tym, co robi ze swoim życiem.

Wyszły z domu, żeby usiąść w ogródku. Była w nim pergola z winoroślą i bugenwillą, która wydawała się tak zmęczona jak świat tego wieczoru. Pod boczną ścianką z cegieł Wilder ułożyła kamienie i tam trzymała drzewka bonsai, tworzące jakby miniaturowy las. Większość zdążyła uschnąć.

– Moje biedne skarby – powiedziała Wilder. – Wykończył je ten upał.

Wierzyła także w swój ogródek bonsai, ale, jak powiedziała, jeśli czemuś jest pisany koniec, to nie ma na to rady. Doll doskonale zdawała sobie sprawę, że Wilder z roślinami obchodzi się równie niedbale jak czasem z przyjaciółmi, i podejrzewała, że nieregularne podlewanie przyczyniło się do uschnięcia drzewek co najmniej w równym stopniu jak przeznaczenie. Nie powiedziała jej jednak tego i przez chwilę rozmawiały o głupstwach, w których Doll się z chęcią pogrążyła.

– Ludzie są dobrzy – zauważyła w pewnej chwili Wilder – i dobro zawsze w końcu triumfuje. Wierzę w to, wiesz, naprawdę.

Wilder zawsze usiłowała nawrócić Doll na dobro. Bez względu na to, czy chodziło o zalety żywności organicznej, czy zło globalizacji, o uchodźców, płetwale karłowate, związkowców albo o jakiś inny zagrożony gatunek zwierząt, zawsze starała się ją zwerbować dla dobrej sprawy i pożyczła przyjaciółce poświęcone zajmującemu ją akurat tematowi płyty DVD, książki i czasopisma, których Doll nie zaszczyciała nawet jednym spojrzeniem, dopóki Wilder nie prosiła o ich zwrot; wtedy z kolei Doll musiała ich szukać, zagubionych w morzu pism o wystroju wnętrz i modzie.

– Nawet Athens – powiedziała Wilder, mając na myśli swojego narzeczonego policjanta, o którym odkąd się rozstali, mówiła wyłącznie ze złością. – Nawet on był, wiesz, dobrym człowiekiem. Na swój sposób. Dał mi to drzewko bonsai – wskazała kilka martwych gałązek wystających z kawałka suchego torfu w niebieskiej porcelanowej doniczce.

Była już pijana i zatracona w mocy dobra, w tym wszystkim, co jej zdaniem było dobre, a Doll czuła się tylko bardziej przestraszona. Wilder znów zapaliła, pociągnęła kolejny łyk ginu z tonikiem, a potem, rezygnując ze zmęczonego skręta z marihuaną, odgasila go w przepelnionej bakelitowej popielniczce.

– Obawiam się, że nie mam tanqueraya – ciągnęła – tylko to gówno. Syrop kukurydziany o smaku kiwi plus alkohol przemysłowy i sztuczna esencja ginu. Na czym to ja stanęłam...? Taa, no wiesz, ludzie myślą, że nic nie mogą działać przeciwko światu. Ale uważaj: dobroć zawsze w nich zatriumfuje. – Unieruchomiła Doll uśmiechem. – Choćby i dobroć Athensa, bo wiesz, nawet w nim jest dobro.

– Właściwie był uroczy – powiedziała Doll, nawet zadowolona, że rozmowa zmierza w inną stronę, a razem z nią jej myśli.

– Jak go poznałam, to też myślałam, że jest naprawdę uroczy – odparła Wilder, skręcając następnego blanta. – Trochę gadaliśmy... W tej takiej pretensjonalnej knajpie w centrum, Art Bar... I najpierw było dobrze, ale potem zaczął gadać o sprawiedliwości, znaczy że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. „Zawsze powtarzam wszystkim młodym gliniarzom – tak mi powiedział – dam wam jedną dobrą radę: niech wam się nie wydaje, że świat jest sprawiedliwy. A oni przychodzą do mnie pięć lat później w takiej czy innej sprawie i oświadczają, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. A co ja wam mówiłem, pytam”.

Opowiadała dalej, jak Athens wspominał, że kiedy zaczął pracować w policji, był snajperem w specjalnej jednostce operacyjnej. Któregoś wieczoru robili obławę na weterana z Wietnamu, który zaszył się gdzieś w buszu pod Newcastle. Zrobiło się z tego długie

obleżenie, a na końcu Athensowi kazano zdjąć tego byłego żołnierza, który dostał dwie kulki, jedną w serce, drugą w głowę. Loukakis go zastrzelił, wedle rozkazu.

Doll słyszała już niektóre te historie – wiedziała, jak Wilder poznała Athensę i że był snajperem, nie wiedziała jednak, że zabił człowieka. Swoistą przyjemność w towarzystwie przyjaciółki sprawiało jej to, w jaki sposób różne stare opowieści nabierały w dziwnych chwilach nowej mocy dzięki takim świeżym, nadzwyczajnym szczegółom.

– No więc siedzimy w tym pieprzonym barze, a Athens normalnie ma łzy w oczach – powiedziała Wilder. – Wiesz, jest napruty, naprawdę narąbany. „I słuchaj – mówi do mnie – nie czułem się z tym źle. To jest najgorsze. Właściwie czułem się dobrze. Podjarany, rozumiesz. Można by pomyśleć, że było mi ciężko i źle, ale nie było. Jeszcze nigdy nie czułem się taki pełen życia”. „To nie w porządku” – odpowiedziałam. „Pewnie, że nie w porządku, kurwa mać” – on mi na to. „Nic nie jest dobrze. Nic nie jest sprawiedliwe, powtarzam to wszystkim młodym gliniarzom, właśnie tak”... i znowu zaczyna swoje, i pieprzy w kółko te same pierdoły. Ale wiesz co? Właśnie tym mnie zdobył.

Wilder skończyła swoją historię i nagle jakby uszło z niej powietrze, jak gdyby napędzała ją tylko ta opowieść.

– Byłam właśnie na mieście, myślałam o Athensie, odwróciłam się, żeby popatrzeć na coś przed wejściem do drogerii, i wywaliłam cały głupi stojak z okularami przeciwsłonecznymi – powiedziała. – Rozleciały się na wszystkie strony. Wiesz jak to jest, Gina, kiedy wszystko, czego dotkniesz, zawsze się rozpada?

Richard Cody nie miał w zwyczaju myśleć o swoich pragnieniach i ambicjach. Poczulby się urażony, gdyby ktoś mu powiedział, że wykorzystuje ludzi albo że kogoś skrzywdził dla własnej korzyści. A przecież kiedy z jednej strony pomyślał o swojej upokarzającej degradacji, a z drugiej rozpoznał w wiadomościach telewizyjnych niewyraźną twarz tej tancerki erotycznej, która obraziła go wczorajszej nocy, to w pierwszym odruchu miał ochotę skontaktować się z kilkoma osobami, z którymi od dawna nie miał nic wspólnego, ale do których nieoczekiwanie poczuł na nowo sympatię.

Otworzył portfel, wyciągnął wizytówkę, którą dał mu Ferdy Holstein, i zadzwonił do niego. Podkreślił, że ich rozmowa ma charakter poufny i że jeżeli Ferdy będzie siedział cicho, to dobrze na tym wyjdzie.

Ferdy podał mu prawdziwe nazwisko Krystal, ale nie wiedział o niej wiele więcej. Jeżeli był ciekaw, po co Richard do niego dzwoni, to nie dał tego po sobie poznać.

– Jest samotniczką – oświadczył Ferdy.

Może on też widział ten materiał, pomyślał Cody, i woli się od niej odciąć.

– Chcesz wiedzieć, jaka ona jest? – spytał Ferdy. – Nigdy nie wiadomo, co sobie myśli.

W ten długi niedzielny wieczór Richard krążył po swoim domu w Vaucluse z telefonem w ręku, nie tyle układając prawdziwą historię życia Giny Davies, ile historię, którą zamierzał o niej opowiedzieć. Przypominał sobie z dumą, jak przykuł uwagę słuchaczy u Katie Moretti opowieściami o trzech bombach, terrorystach i złu. Chciał znowu zrobić to samo, tym razem jednak czarując nie kilkunastu, lecz miliony gości. Widział więc tę historię, jak gdyby siedział w swoim salonie i na ekranie plazmy oglądał kolejne odłony wstrząsającej opowieści o Krystal.

Jednak jak zawsze w takich wypadkach, gdy zaczął już o tym myśleć, zdał sobie sprawę, że brakuje mu kluczowych elementów dramaturgicznych. Stopniowo doszedł do wniosku, że w jego opowieści nie ma tego, co pozostawało wciąż nieznaną: historii życia tancerki.

Z facetem sprawa była oczywista – bliskowschodnie nazwisko i niewątpliwie łatwa do przewidzenia przeszłość. Poza tym, sądząc po doniesieniach z programów informacyjnych, był to dobrze znany terrorysta. Tancerka to jednakże inna sprawa: Australijka, która zwróciła się przeciwko swoim rodakom – nieznaną terrorystką. Bo w głowie Cody'ego nie było już najmniejszych wątpliwości, że Gina Davies jest morderczynią. Im więcej o niej myślał, tym bardziej nieuniknione i logiczne okazywały się jego myśli. Wystarczyło wrócić wspomnieniami do czasu, który spędził z nią wczorajszego wieczoru, żeby zobaczyć, że z tą dziewczyną jest coś nie w porządku. Czy nie zachowywała się tajemniczo, kiedy zapytał ją

o życie osobiste? A czy gdy złożył jej więcej niż hojną propozycję, nie zrobiła się niemiła i agresywna? „Nie – pomyślał Richard Cody – z nią jest coś nie w porządku... I to bardzo”.

Im więcej się nad tym zastanawiał, tym lepiej wszystko układało mu się w spójną całość, a to, co początkowo uważał za idiotyczne – tancerka erotyczna islamską terrorystką! – teraz sprawiało wrażenie podstępnego i niepokojącego spisku. Czy może być lepsza przykrywka? Ostatecznie czy Christine Keeler nie sypiała zarówno z Rosjanami, jak i z Profumo^[1]? I czy Chairman's Lounge nie cieszył się popularnością wśród różnych wpływowych i potężnych osobistości? Było jasne, co tu się wyprawia, i to on, Richard Cody, ujawni te machinacje. Ależ to będzie materiał! A jakie wyniki oglądalności! Było tu wszystko – seks, polityka, nawet bomby! „Nie ma wątpliwości – myślał – to jest bomba!” Sięgnął po telefon i wystukał jeszcze jeden numer. Szkoda tracić czas.

Było za gorąco, żeby gotować, więc Wilder i Doll poszły sto metrów dalej do małej, niepozornej restauracji na najbliższym rogu. Prowadził Max, ciągle w kąpielówkach ze Spider-Manem.

Pod mało obiecującą nazwą – Johnsons – kryła się restauracja etniczna, należąca do tego rodzaju knajp, które już prawie pozniwały z Sydney. Nadal stały tu tandetne krzesła o podartych winylowych siedziskach, a ściany wykładane panelami ze sklejki obwieszane były czarno-białymi fotografiami niegdysiejszych gwiazd telewizji (od dawna już zaginionych na tamtym świecie albo nawet w jeszcze bardziej nieubłaganej niepamięci kolorowych czasopism z supermarketów) ze zgubną zamaszystością opatrzonymi autografami ludzi skazanych na sławę w Sydney. Pozostało też oprawione w ramki, wyblakłe już zdjęcie z Libanu, stawiające opór przeciwnościom losu równie zażarcie jak kraj, którego pejzaż przedstawiało. Johnsons była bowiem, o czym informowała dumnie wyeksponowana recenzja z „Sydney Morning Herald” z 1966 roku, pierwszą libańską restauracją w Sydney, polecaną żądnym przygód smakoszom.

W środku było pusto, jeśli nie liczyć dwóch podstarzałych Libańczyków, którzy – chociaż ubrani jak kelnerzy w czarne spodnie i białe koszule – siedzieli cicho w kącie, pili małe kawy po arabsku i grali w domino. Rozpromienili się na widok Wilder i Maxa.

– Panicz Maxie! Panicz Maxie! – zawołali.

Max podszedł do nich niczym powracający z wygnania kalif, kwitując powitanie nieśmiałym uśmiechem, po czym zniknął w kuchni w ramionach potężnej starszej kobiety.

Po drugim kieliszku czerwonego wina Doll zaczęła opowiadać Wilder o swoim spotkaniu z Tarikiem z detalami, ale im więcej mówiła, tym bardziej jej obawy wydawały się naciągane – nieprawdopodobne, wprost niemożliwe – i zaczęła się bać, że mówi trochę jak wariatka, jak gdyby fantazjowała na podstawie kilku obejrzanych w telewizji migawek informacyjnych.

Doll domyślała się, że zdaniem Wilder trochę histeryzuje i że jej opowieść stała się dość nudna. Co gorsza, o ile Wilder w ogóle była nią zainteresowana, zdawała się sugerować, że Doll w pewnym sensie sama ściągnęła sobie kłopoty na głowę, a w związku z tym w jakiś dziwny sposób jest jednak winna.

– A więc ten Tariq... – powiedziała Wilder. – Skąd ty w ogóle wiesz, że to był on? Nie zapytałaś go o nazwisko?

Doll pomyślała, że to chyba okropnie głupie pójść do mężczyzny, którego się prawie nie zna, o którym nie wiadomo, czy ma na imię tak, jak się przedstawił, i nie poprosić go

o dowód tożsamości... Ale czy facet, którego się prosi o dowód, pójdzie z kobietą do łóżka?

– Do tego byłaś pijana – powiedziała Wilder – i brałaś kokę...

Przespać się z obcym mężczyzną, będąc w takim stanie, to jest już chyba szczyt głupoty, pomyślała Doll.

– Mówił z akcentem... To śniady cudzoziemiec, a ty go nawet nie spytałaś, skąd pochodzi?

Doll była tego ciekawa i być może w duchu żywiła nadzieję, że kiedyś dowie się czegoś więcej o Tariqu. Ale tamtego wieczoru, kiedy monotonicznie brzęczał o grafice rastrowej, utwierdziła się jedynie w przekonaniu, że jak właściwie każdy prowadził raczej nudne, bezbarwne życie, w gruncie rzeczy niewarte zainteresowania. Ot, dwoje ludzi po prostu dobrze się bawiło przez jeden wieczór. Pytania wydawały się wścibskie, niepotrzebne; były zbędne, bo na jedną noc oboje znaleźli coś, co wykraczało poza odpowiedzi dotyczące domu i historii ich życia – zapewne coś kruchego, może niepoważnego, ale to chyba tym lepiej i prawdziwiej, bo chodziło tylko o krótką chwilę.

Teraz jednak to coś wydało się jej własnym przeciwieństwem. Wyglądało na coś małego, trywialnego i głupiego, przez co Doll sama czuła się mała, trywialna i głupia. Wszystkie nigdy niezadane pytania i odpowiedzi, których nie dostała, teraz wydawały się mieć wielką wagę, gdyż podobnie jak informacje mogły ją uratować przed tym całym głównym, w którym, jak miała wrażenie, tkwiła już po uszy.

– I jeszcze jedno, Gina... Halo... Walisz kokę z ciapatym i robisz mu laskę? No ja nie wiem, ale, Jezu wszechmogący... – Wilder kręci głową, macha ręką z rezygnacją i nawet nie kończy zdania.

W połowie opowieści o tym, jak policja otoczyła apartamentowiec, Wilder nawiązała rozmowę z jednym z kelnerów o najlepszym przepisie na pastę baba ghanoush. Takie zachowanie przyjaciółki mogło znaczyć, że jej zdaniem Doll ogarnęła obsesja na punkcie historii z Tarikiem.

– Ale dlaczego ja? – spytała w pewnym momencie Doll. – Dlaczego oni mi to robią?

Wilder uśmiechnęła się do niej, jak gdyby Doll była głupim dzieckiem, które nabroilo, ale nie do końca wie, za co ponosi karę.

– Posłuchaj, jak się obudzisz jutro, będzie po wszystkim – powiedziała Wilder. – Wydarzy się coś nowego... Kolejna bomba, kryzys hydrologiczny, Amerykanie dokonają inwazji na kolejny kraj, ktoś zauważy, jak Shane Warne^[2] pisze pocztówkę. To po prostu kuriozalna historia. Ale przyschnie.

Doll się roześmiała. Było prawdą, że nie ma się czego bać, bo jak zauważyła Wilder, cała ta sprawa to tylko seria idiotycznych zbiegów okoliczności, które zostaną szybko wyjaśnione. Terroryzm to poważna rzecz, nie ma co do tego wątpliwości, stwierdziła Wilder, a zajmujący się nim ludzie są ekspertami, którzy nie mają zamiaru ścigać tancerki erotycznej, zwłaszcza kiedy prawdziwe monstra grasują na wolności.

– Naprawdę uważasz, że wpadną przez te drzwi do Johnsons, najbardziej zapomnianej restauracji na świecie, tylko po to, żeby cię aresztować? Nie wydaje mi się.

Doll poczuła się lepiej, bezpieczniej. Nikt jej nie ścigał. Tu, w towarzystwie przyjaciółki, wreszcie odzyskała pewność siebie. Wilder zaczęła snuć jakieś opowiadanie i rozgrzała Doll, podobnie jak łagodne libańskie potrawy, delikatne czerwone wino, którym je popijały, i rozmowa.

– Kiedy się dowiedzą, gdzie pracujesz, to zrobi im się głupio – stwierdziła po jakimś czasie Wilder.

– Może powinnam zgłosić się na policję – odpowiedziała Doll. – Na przykład rano?

– Taa, ganc pomada – odrzekła Wilder, jak gdyby ta kwestia była oczywista, ale nie miała znaczenia.

– Taa, ganc pomada – powtórzyła znużona Doll, starając się brzmieć przekonująco.

– To po prostu żart – powiedziała Wilder, znowu znudzona, wpatrując się w pomarszczone ze starości zdjęcia na ścianach.

Kwestia Tariqa pozostawała tajemnicą.

– Czy terrorysta umiałby tańczyć *merengue*? – zwróciła się Doll do Wilder.

I chociaż tego już jej nie powiedziała, nie sądziła, aby zachowanie Tariqa w łóżku wskazywało na to, że jest pobożnym muzułmaninem, nie miała jednak przecież wcześniej żadnych erotycznych doświadczeń z pobożnymi muzułmanami.

– Poza tym mówią, że ten brodacz na zdjęciu, które ciągle pokazują w telewizji, to Tariq, ale on wcale nie jest do niego podobny.

– Mógł podać fałszywe imię – odparła Wilder, wracając wzrokiem do Doll.

Doll przez chwilę milczała.

– Albo może to pomyłka – odrzekła w końcu. – Tak jak i w moim przypadku.

Z informacji, jakie Richard uzyskał przez telefon, wynikało, że dziewczyna nie miała motywu. Gina Davies nie tylko nie była muzułmanką, ale nie istniały też żadne dowody na to, że wiedziała cokolwiek o islamie. O ile było wiadomo, nigdy nie przeszła szkolenia terrorystycznego.

Żaden z tych domysłów nie przekonał Richarda do jej niewinności. To były po prostu problemy, które należało przezwyciężyć. Instynkt podpowiadał mu, żeby nakręcić reportaż, w który wierzył coraz bardziej, to zaś pozwoli mu podejść do niego jeszcze bardziej twórczo. Nie powiedział sobie: „Wprawdzie nie ma żadnych dowodów winy ani przestępstwa, ale ja uszyję tę kobietę ze sfabrykowanych oskarżeń”. Nawet nie pomyślał nic takiego, bo gardziłby sobą, gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że potrafi zmyślić tak potworne kłamstwa.

Po kilku dalszych rozmowach telefonicznych zdjęło go uzasadnione przerażenie, bo jak usłyszał od Siva Harmsena, agenta australijskiego wywiadu, ASIO, zamachowcy samobójcy mają możliwość „zabicia setek osób, powiedzmy w czasie jakiejś ważnej imprezy sportowej”.

– To jest przerażające – zgodził się z nim Harmsen – potrzebujemy więc takich reportaży, które przypomną ludziom, jakie okropności mogą się im przydarzyć.

Richard wiedział, że Harmsenowi nie trzeba przypominać o ostatnim programie, nad którym pracowali razem, gdy Siv przekazał mu tajne dokumenty i wspólnie doprowadzili do upadku ministra policji pod zarzutem korupcji, choć jak się później okazało, ich oskarżenia nie za bardzo dały się z nim powiązać i poza dymisją nie przyniosły mu szkody, nie pozostały jednak bez korzyści dla Harmsena.

– Mogę na ciebie liczyć? – Wystarczyło, że zadał to pytanie.

– Sądzę, że obaj możemy na siebie liczyć – odparł Harmsen. – Prawda, Richardzie?

Powiedział jeszcze, że kimkolwiek jest ta kobieta, nie musi mieć ze sprawą wiele wspólnego, bo służby specjalne nikogo takiego wcześniej nie inwigilowały.

Im dłużej jednak Richard słuchał Harmsena, tym większego nabierał przekonania, że wpadł na ciekawy pomysł. Nie powiedział Sivowi, że wie, kim jest ta dziewczyna. Jeśli gliniarze nie rozwiążą jej zagadki do jutrzejszego wieczoru, on, Cody, będzie miał pierwszy materiał na wyłączność.

Raz jeszcze ujrzał tę tancerkę nagą, jedynie z bombą na pasie wokół bioder. Jego przerażenie w związku z możliwością popełnienia przez nią zbrodni było równie autentyczne jak uśmiech radości, bo poszczególne kawałki układanki zaczynały do siebie

pasować, miał już ich większość i teraz musiał tylko przekonać Jerry'ego Mendesa, by dał mu program specjalny, w którym pokaże całemu krajowi zdumiewający reportaż.

Oświadczył szefowi, że teraz jest to wyścig stacji Six i Giny Davies o to, kto będzie pierwszy: ona ze swoimi bombami czy oni z demaskatorskim specjalnym programem informacyjnym. Patrząc na oprawioną fotografię, na której on, Richard Cody, ściska dłoń Billy'emu Clintonowi w zrobionym kiedyś wspólnie z Mendesem podobnym programie specjalnym, wyczuwał rosnące zainteresowanie Jerry'ego, który zaczął mówić o tym, jakiego dnia tygodnia można by liczyć na największą oglądalność.

Jeszcze zanim Mendes powiedział: „Okej, Richie, masz pół godziny najlepszego czasu antenowego w najbliższy wtorek wieczorem”, Richard wymierzył już w czarusa z Arkansas palec jak rewolwer. Wystawił kciuk niczym odciągnięty kurek, uśmiechnął się i powiedział do siebie:

– Jest na tym świecie więcej niż jeden Comeback Kid, Bill.

– Pod trzema warunkami – ciągnął Jerry, który lubił w takich wypadkach wyrażać się krótko i zwięźle. – Po pierwsze, program musi być o nich obojgu, to znaczy o tym terroryście i tancerce. Zatytułuj to *Bonnie i Clyde z Al-Kaidy* albo coś w tym rodzaju. Po drugie, muszę mieć zgodę szefa wszystkich szefów... Będzie chciał sprawdzić, czy sprawa nie przysporzy kłopotów któremuś z jego kumpli z Canberry.

Szefem wszystkich szefów był przewodniczący największej w kraju spółki prasowej i medialnej, Amalgamated Press, właściciel Six Network, Terry Frith, o którym mówiło się po prostu pan Frith.

Żadnego „po trzecie” nie było.

Richard zgodził się – jak mógłby się nie zgodzić? – dobrze wiedząc, że ponieważ program nie będzie miał wcześniejszych zapowiedzi, tylko pomoże mu to w poprowadzeniu go po swojemu, a jego nazwisko zadziała jak wazelina, kiedy pan Frith będzie rozmawiać z kimś z rządu. Ostatecznie poświęcił całe życie na to, by nie nadepnąć na odcisk żadnemu potężnemu przedstawicielowi władzy.

Kiedy kładł się do łóżka, jego żona ze słuchawkami na uszach oglądała jeszcze telewizję. Leciła właśnie reklama sklepów Harvey Norman. Słuchał, jak jego żona okropnie posapuje, kiedy jej usta bezgłośnie powtarzały słowa piosenki reklamowej. Położył się na wznak i natychmiast zasnął.

Śniło mu się, że jest na scenie i po raz czwarty odbiera złotą statuetkę Logie jako osobowość telewizyjna roku, a wszyscy łaszą się do niego i pochlebiają mu jak kiedyś, dostrzegając jego wybitną inteligencję i wyjątkowo humanistyczne podejście do zawodu.

– Zwłaszcza jego wkład w ujawnienie działającej w Australii siatki terrorystycznej – odezwał się jakiś prowadzący bez twarzy – dowodzi, że Richard Cody jest nie tylko najwybitniejszym, ale i najbardziej nieustraszoną dziennikarzem w tym kraju.

Richardowi wydało się czymś całkowicie naturalnym, że ludzie go kochają, a kwestia tego, czy ktokolwiek wierzy w to, co on mówi, była dla niego drugorzędna, albowiem raz jeszcze znajdował się w centrum wszystkiego, życie znowu wyglądało tak, jak zawsze miało wyglądać, i było tylko dla niego.

Doll także miała sny tej dusznej nocy. Ponad godzinę przeleżała na materacu na rozgrzanej podłodze w salonie Wilder, nie mogła jednak zasnąć. Było tam dla niej za cicho, niski sufit obniżał się co chwila, pokój zmniejszał się coraz bardziej, a ona oddychała z coraz większym trudem.

Potem widocznie się zdrzemnęła, bo nagle zobaczyła samą siebie z góry. Była samotna, naga, ktoś złożył ją w dole w ziemi, a kiedy zaczęto ją zasypywać, ujrzała szyderczo uśmiechnięte twarze podpitych nudziarzy, różnych garniakowych elegantów, pokrak i zboczeńców przyglądających się jej niczym wrzuconej do śmietnika fotografii. Ze wszystkich sił starała się więc obudzić, usiąść, wstać i nie poddawać straszemu losowi, który skazywał ją na samotność i nagość.

Zakradła się do sypialni Wilder, która spała spokojnie, okryta prześcieradłem do pasa. Jedynym odgłosem w pokoju był powolny szum i szelest starego wentylatora wiszącego u sufitu. Najdelikatniej jak mogła, z wolna podniosła okrycie i wślizgnęła się do łóżka obok przyjaciółki.

Leżały na plecach, nie dotykając się; Wilder spała w typowej dla siebie pozycji, z rękami pod głową. Doll odwróciła się i oddychała powoli i głęboko, żeby tylko czuć jej zapach, dodawał jej bowiem otuchy. Pomyślała, że w zapachu tych, których kochamy, kryje się jakaś tajemnica istnienia.

Wyciągnęła rękę, chcąc sięgnąć ramienia Wilder i jej dotknąć. Istnieje pewna potrzeba, pomyślała, jest pewna potrzeba w nas wszystkich i nikt nie potrafi powiedzieć, co ona znaczy, nikt nie potrafi przyznać, że każdego dnia gotowi bylibyśmy dla tego pragnienia umrzeć, byle tylko jakoś je zaspokoić.

Poczuła, że ramię przyjaciółki leniwie ożywa, a Wilder – rozbudzona czy przez sen? – wysuwa dłoń spod głowy i łagodnie bierze Doll za rękę. Spały w ten sposób i na jakiś czas niepokój Doll minął, zastąpiony przez poczucie, że świat jest piękny i dobry, że zło i głupota nie są w nim dominującymi i koniecznymi siłami i że jest tak dopóty, dopóki człowiek może się go trzymać, tak jak ona trzymała rękę Wilder, trzymać, trzymać i nigdy, przenigdy nie puścić.

PONIEDZIAŁEK

Doll obudziła się i poczuła ciepły, nieco kwaskowaty zapach. Zapach swojej przyjaciółki.

– O Boże – powiedziała Wilder.

Usiadła na łóżku, a Doll poczuła, jak spod pomarszczonego prześcieradła, którym były okryte, wzbija się ciepło kobiecego ciała. Wilder wyglądała pięknie, kiedy się budziła, niczym zaniepokojona kobra – wieńcząca jej smukłą szyję szeroka głowa przypominała strzałę.

Zdychający wentylator grzechotał dalej nad łóżkiem jak stary znajomy, który odbył z nimi podróż przez tę długą noc i któremu dzięki nim jakoś udało się przebyć jej ciemność. Doll czuła się wypoczęta i bezpieczna. Dopiero po kilku chwilach wydarzenia ostatnich dwóch dni zaczęły do niej powracać powolnym strumyczkiem myśli i lekkim bólem głowy, na który można było nie zwracać uwagi.

– Dziesięć po siódmej – powiedziała Wilder, wyskoczyła z łóżka i wybiegła z pokoju.

Doll drzemała jeszcze przez kilka minut, ale pod astmatycznym rżeniem wentylatora wyczuwała wibracje ulicznej godziny szczytu, które wznosiły się w pokoju i przyzywały ją. Wstała i podążyła za głosem radia do niewielkiej kuchni, gdzie Wilder szykowała Maxa do szkoły.

– Wiesz, pomyślałam sobie, że masz rację – powiedziała, mieszając owsiankę, którą z uporem gotowała synowi nawet w takie upały. – Powinnaś iść na policję. I to zaraz. Pójdę z tobą. Trzeba wyjaśnić to gównu. To idiotyczne. – Uśmiechnęła się. – Ale i zabawne. Gina terrorystką!

Wybuchnęły śmiechem, a kiedy Wilder podała jej kawę, Doll poczuła, że ten poranek oraz samo życie znowu okazują się dobre i przyjemne.

Myśli Doll zawróciły gwałtownie w stronę właśnie rozpoczętego dnia. Dziś rano jak co tydzień czekał ją prywatny seans z Morettim, na którym miała zarobić ostatnie trzysta dolarów potrzebne jej na zaliczkę za mieszkanie.

– D-Day – powiedziała.

Potem jednak w radiu zaczął się serwis informacyjny, a Max z łazienki zawołał po coś matkę, Wilder zostawiła więc Doll samą, żeby przygotowała Maxowi drugie śniadanie.

Radiodbiornik burczał wiadomościami o nowych ofiarach śmiertelnych po kolejnym samobójczym zamachu bombowym w Bagdadzie. Na zewnątrz rozległy się trzaski i skrzypienie śmieciarki, Max krzyczał w łazience, że nie chce iść do szkoły, a spiker radiowy mówił, że policja szuka towarzyszyki podejrzanego terrorysty z Bliskiego Wschodu, którą

dwa dni temu sfilmowała kamera monitoringu, wchodzącą do jego mieszkania, zanim obojgu udało się wymknąć z policyjnej obławy.

Doll przerwała smarowanie chleba.

– Rzecznik policji w Sydney oświadczył, że funkcjonariusze oczekują od tej kobiety pomocy w dochodzeniu prowadzonym w sprawie – ciągnął spiker. – Odmówił komentarza na temat pogłosek, jakoby poszukiwana należała do komórki terrorystycznej, która w sobotę podłożyła trzy bomby na stadionie Homebush Olympic.

Doll podniosła wzrok znad kanapek Maxa i zobaczyła, że Wilder na nią patrzy.

– Terrorysty to podludzie, śmieci – w radiu wypowiadał się teraz jakiś polityk. – Rząd powinien podjąć bardziej zdecydowane starania, żeby można było ich wytropić i unieszkodliwić.

– Och, Gina – powiedziała Wilder. I nic więcej.

Odkąd Doll ją znała, Wilder zajmowała się ogrodnictwem krajobrazowym. Miała do czynienia z całymi paletami kostki brukowej, betoniarkami, tonami mułu, akrami murawy, zdenerwowanymi elektrykami, oszalałymi psami i ranami ciętymi od różnych narzędzi. Zmieniała upartą glinę, rośliny, skały, kamienie i drewno, nadając im nowe formy, kształty, odcienie, kolory i brzmienia, które sprawiały przyjemność i wzbudzały podziw. Nie leżało w charakterze Wilder dać się zastraszyć przez życie.

Ale kiedy Doll z margaryną i usmarowanym pastą Vegemite nożem w ręku spojrzała teraz na Wilder i gdy radio nadal mówiło o tym, że niewymienione z nazwy służby specjalne znalazły dowody na związki łączące rodzinę arabskiego terrorysty przedstawionego na zdjęciu z islamskimi fundamentalistami na Bliskim Wschodzie, po raz pierwszy zobaczyła strach na twarzy przyjaciółki.

– Co mówiłaś? – zapytała Wilder.

– Że mam dzisiaj rano Morettiego – odparła Doll, chociaż nic nie mówiła. Dziwnie zaschło jej w ustach i słowa turlały się w nich jak kulki do gry. – Muszę go zrobić. Potem pójdę porozmawiać z policją.

Wilder sprawiała wrażenie skonsternowanej, co rzadko się jej zdarzało.

– Okej – powiedziała. – Okej.

I to wszystko. Żadnych zdecydowanych komentarzy, planów czy pewników. Tylko „Okej, okej”.

Doll weszła do sypialni, znalazła swoją torebkę od Gucciego, zażyła stemetil, dwa ostatnie zolofy i valium, w sumie pięć tabletek. Mimo to musiało minąć kilka minut, zanim drżączka ustała.

Kiedy wróciła do kuchni, było po wiadomościach.

– Dlaczego? – spytało radio. – Bo sobie na to zapracowałeś. Bo na to zasłużyłeś. Już dziś umów się ze swoim dilerem BMW.

Cody wyłączył radio i odebrał telefon, gwałtownie wprowadzając po rampie mercedesa S600 z oślepiającego porannego blasku w gościnną, chłodną jaskinię podziemnego parkingu stacji Six.

– Richie – powiedział Jerry Mendes, wypełniając samochód jedynym w swoim rodzaju, jakby wyszczerbionym głosem, kiedy Cody wjeżdżał na swoje prywatne miejsce parkingowe. – Udało mi się złapać osobistego asystenta pana Fritha i usłyszałem, że pan Frith nie widzi problemu. Idzie dziś na lunch z sekretarzem gabinetu premiera, więc jeśli wynikną na nim jakieś kłopoty, to się z nami skontaktuje. Okej?

I zanim Richard zdążył odpowiedzieć, Jerry się rozłączył. Jedynym słyszalnym wciąż w samochodzie dźwiękiem był bardzo cichy pomruk masażera zamontowanego w fotelu kierowcy.

Chociaż wysoko nad głową Doll niebo opróżniało się z chmur, manifestując swoje bezlitosne niebieskie zamiary, to niżej na ulicach cienie wciąż były długie i wiał przyjemnie chłodny wietrzyk, co zapowiadało skwarny dzień. Idąc na dworzec Redfern, Doll poczuła jednak, że jest jej niewytłumaczalnie gorąco i nie może oddychać, jak gdyby okrutne niebo uciskało jej piersi niczym ogromny ciężar.

Powtarzała, że musi się trzymać, że wszystko będzie w porządku, i przypominała sobie, że dzisiaj jest najlepszy dzień jej życia, dzień, o którym tak długo marzyła. W pobliżu wejścia na dworzec natknęła się na siedzącą na ziemi żebraczkę, którą mijali podróżujący do pracy i z pracy ludzie. Odpychająca twarz tej kobiety – nie tyle pomarszczona, ile poorana, tu i ówdzie upstrzona otwartymi ranami, z których ciekły jakby krople łez – wystawała spomiędzy brudnych łachów niczym gnijąca marchewka z worka na śmieci. Żebraczka wyciągała ręce do niezliczonych przechodniów, a jej żalosne oblicze pochylało się i podnosiło, kiedy mamrotała coś w nadziei na pomoc.

Wciąż trochę przymulona po tych wszystkich tabletkach, które zażyła rano, Doll zwolniła kroku, a potem przystanęła i zaczęła się zastanawiać, czy jeśli pomoże żebraczce, to ktoś pomoże jej. W myślach Doll jej los splótł się w jedno z losem żebraczki. „Jest zdesperowana, tak jak ja – myślała, gdy obok nich przepływał strumień ludzi. – Niczym się nie różnimy”. I może nadmiernie ulegając mętnej gadaninie Wilder o buddyjskiej karmie, poczuła nagle radość i emocje, bo teraz była całkiem przekonana, że pomoc żebraczce jest jednocześnie rozwiązaniem jej problemów.

Ale kiedy podeszła bliżej i już miała się pochylić, żeby porozmawiać z tą kobietą, okazało się, że nędzarka przeraźliwie cuchnie skisłym moczem. Z bliska jej twarz wyglądała tak, jak gdyby ktoś obrał ją ze skóry i wtarł brud w ropiejące rany. Doll zebrało się na mdłości. Widok był tak obrzydliwy, że zamiast się zatrzymać i dać potrzebującej trochę pieniędzy, jak początkowo zamierzała, Doll zatoczyła się do tyłu, odwróciła, spuściła głowę i szybkim krokiem odeszła. Ponieważ obrzydzenie raptownie stłumiło w niej empatię, zaczęła myśleć o tym, że takim ludziom powinien pomagać ktoś inny – przedstawiciele władz, organizacje charytatywne albo agendy rządowe – nie ona.

Szła dalej do wejścia na dworzec, a jej uczucia ciągle się zmieniały, przechodząc od irytacji do złości. By pozbyć się kwaśnego odoru żebraczki, głęboko wdychała słodki zapach spalin z poruszających się w żółtym tempie samochodów i posapujących autobusów. „Co ja sobie myślałam? – skarciła sama siebie. – Mam co jeść. Poza tym jak już pójdę na policję, to i tak wszystko się skończy, więc po co miałabym cokolwiek robić? Moje życie za chwilę znowu znajdzie się na fali wznoszącej”.

Chociaż w głębi duszy takie myśli wydawały się jej w pewnym sensie złe, a nawet okrutne, skupiła się na tym, żeby wcale nie myśleć o żebracze. Ku swojemu zdziwieniu przekonała się, że nie jest to takie trudne. Kiedy wysiadła na przystani promowej Circular Quay, udało się jej całkowicie zapomnieć o tej okropnej twarzy i o tym, jak dziwnie się poczuła na jej widok.

Usiadła na ławce na Finger Wharf, czekając na miłą, bo zapewniającą ochłodzenie podróż promem przez zatokę. W głośnikach transmitowano audycję radiową.

– Dzięki, że pozwoliłeś mi wziąć udział w twoim programie, Joe – mówił jakiś słuchacz. – Chciałem tylko powiedzieć o tej biednej dziewczynce z gazety dzisiaj, tej całej poowijanej w te zasłony i szmaty, i że rodzice każą jej tak chodzić do szkoły jak kosmitce. No o co tu chodzi, Joe? Wiesz, oni się nie chcą z nami integrować.

Słyszając te słowa, Doll przypomniała sobie, że tamten starszy facet w centrum handlowym powiedział wczoraj dokładnie to samo, kiedy obrzuciła obelgami kobietę w burce.

Próbowała nie słuchać i zatracić się w widoku roztaczającym się z cienia przystani promowej aż po horyzont, gdzie niebo przypominało niebieski sufit pieca, w którym wszystko się praży i opada na dno pod ciężarem gorąca. Wieżowiec Shangri-La odbijał się w słońcu niczym płonąca pochodnia i żeby uniknąć jego oślepiającego blasku, Doll skierowała wzrok z powrotem na poczekalnię.

Na ławce obok niej po lewej stronie siedziała kobieta w szortach; jedną nogę miała całą czarną od tatuaży. Siedzący po prawej stronie Doll mężczyzna czytał gazetę. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Para kochanków terrorystami. Sydney przygotowuje się na atak”.

Mężczyzna pokręcił głową i mruknął:

– Powinni skurwieli zastrzelić.

Doll przypomniała sobie, że użyła niemal dokładnie tych samych słów niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Czy ona też nie pokręciła głową w taki sam sposób, kiedy przypadkiem przeczytała ów niepokojący nagłówek? Tyle tylko, że ten facet skazuje teraz Tariqą i ją! Wszystko, o czym usiłowała nie myśleć, natychmiast do niej wróciło. Wstała, chcąc odejść od mężczyzny z gazetą, i przeszła kilka metrów, ale po chwili musiała się chwycić słupka balustrady, żeby nie upaść.

– Nie mam wątpliwości, że ona jest całkiem ładna – usłyszała głos kolejnego słuchacza.

– Na pewno tak – odparł dziennikarz sensat.

– A oto moje pytanie, Joe – powiedział słuchacz. – Dlaczego oni to robią?

– Joey, kurwa, Cosuk – odezwała się kobieta z wytatuowaną nogą. – Zastrany program z udziałem telefonujących do studia słuchaczy, którzy traktują go, kurwa, jak pierdolonego króla Sydney, do kurwy nędzy.

– No powiem ci tylko tyle – odezwał się Joe Cosuk. – Jest więcej sposobów niż wojna, żeby podbić kraj. Jak popatrzysz na pierwsze strony dzisiejszych gazet, to na pewno zrozumiesz,

o co mi chodzi.

Przy trapie na prom jakiś mężczyzna krzyczał:

– Jeszcze ktoś do Mosman?

Doll musiała się puścić słupka.

Przeszła przez całą klimatyzowaną kabinę promu na otwarty pokład rufowy, gdzie było mniej ludzi, którzy mogliby się jej przyglądać, a kiedy statek skręcił w przelewającej się brudnej kipieli, usiadła, poprawiła okulary i zaczęła przyglądać się zatoce. Prom sunął łagodnie, a miasto mieniło się w intensywnym słońcu: jaśniejące wieżowce, piękne wielkie drogi, wspaniałe posiadłości nad zatoką.

A przecież wiedziała, że wszędzie, gdziekolwiek spojrzy, ludzie codziennie znoszą upokorzenia i małość; widzą triumf nienawiści i chciwości; widzą, jak zwyciężają śmierć i głupota. Co gorsza, z własnej woli decydują się je akceptować i żyć w kłamstwie, godząc się na wszystko, z czym nie należy się godzić, i tolerując wszystko, czego nie wolno tolerować, w nadziei, że może będą mieli spokój – tylko że teraz życie nie chciało im dać spokoju. Wiedziała, że ona też zaakceptuje wszystko, bo – jak rozumowała – co innego może zrobić? I czy wtedy wszystko wreszcie nie skończy się dobrze? Jeśli zaakceptuje i przelknie, ile trzeba, i będzie się dalej uśmiechać tym nie swoim uśmiechem, to może wszystko skończy się równie gwałtownie i nielogicznie, jak się zaczęło, a życie wróci do normy.

Słońce eksplodowało na falach tysiącami rozwrzeszczanych okruchów dręczącego światła. Spojrzała na obwiedzioną brudem stalową podłogę promu. Pękała jej głowa, czuła sensacje w żołądku. Prawda wyglądała tak, że nawet na wodzie nie czuła się już bezpieczna.

Kiedy prom przybił do nabrzeża w Mosman Cove, zeszła na ląd i wydostała się z parzącego słońca, idąc po asfaltowej ścieżce, która łagodnie wiała się w górę piaskowcowego zbocza w bujnym, zielonym tunelu mangrowców i palm. Na pobliskich eukaliptusach siedziała zgraja papug. Wydawało się, że nawet dla nich jest dzisiaj za gorąco, więc chociaż raz ich ostre jak piła krzyki, zazwyczaj szatkujące niebo na kolorowe strzępy, były stłumione. Pełne rezygnacji ptasie zmęczenie i przyjemna, chłodna dróżka podziały na Doll uspokajająco.

Powtarzała sobie, że Wilder miała rację. Wszystko to było jakąś obłądną pomyłką. Poza tym nawet jej nie zidentyfikowali i może nigdy im się to nie uda. Istniało tylko jedno nagranie wideo, bardzo kiepskiej jakości, na którym było widać rozmazaną postać, mogącą być każdą z miliona kobiet w Sydney.

Dotarła do drogi dotykającej skał, a stamtąd ruszyła dalej uliczkami pełnymi europejskich samochodów, aż wreszcie doszła do wspaniałej wyremontowanej willi z czasów Federacji. Stała na wyższej stronie ulicy, skąd roztaczał się widok na zatokę i miasto. Ozdobne drzwi frontowe były uchylone, ale zanim weszła, zapukała i zawołała „Dzień dobry”.

Chociaż była tu już wiele razy, dom zawsze robił na niej wrażenie lekkością, pięknem i doskonałym gustem, z jakim go urządzono. Torebkę powiesiła w korytarzu na wieszaku koło obrazu Miró, jak co tydzień – i czekała.

Nie знаła się na sztuce, ale wiedziała, że to Miró, bo obraz jej się spodobał, zapytała więc, kto go namalował. Później znalazła Miró w internecie i zdumiała się, że zna kogoś, kogo najwyraźniej stać na to, by być właścicielem takiego dzieła.

Obraz przedstawiał dziwaczego człowieka o wielkich owadzych oczach i kwadratowym ciele – właściwie bez rąk i nóg i z krzyżowo zakreskowanym tułowiem – które przypominało zarówno planszę do gry w kółko i krzyżyk, jak i kraty więziennej celi. W brzuchu człowieka Miró uwięzione były czerwone słońce i niebieskie niebo.

Obraz i dom należały do mężczyzny, z którym przyszła się spotkać, Franka Morettiego. Mieszkał sam i najwyraźniej miał dużo pieniędzy. Za wszystko, czego potrzebował, płacił. Za ogrodników, kucharzy, za sprzątaczkę. Za rozrywkę i piękno.

– Piękno cenię nad wszystko – powtarzał Doll. Nie raz i nie dwa, tylko bez przerwy; teraz zresztą w ogóle nie miał do powiedzenia zbyt wielu rzeczy, których Doll nie słyszała już wielokrotnie.

Jak gdyby wierzył, że należy do jakiejś wyższej rasy istot, które rozumieją, czym są Piękno i Sztuka, spędzają wakacje w Toskanii i wydają dziwne dźwięki przypominające charkot w pełnym flegmy gardle, gdy wymawiają włoskie albo francuskie słowa. Kiedyś, po jednej z licznych opowieści Doll o Morettim, Wilder powiedziała, że sprawia na niej wrażenie głodomora, który szuka pożywienia w galerii sztuki, i obie się roześmiały.

Zanim zaczęła tu przychodzić, nigdy nie widziała takiego domu. To nie jego wielkość czyniła go nadzwyczajnym i nie to, że wszystko, czemu się tu przyglądała, nie było zwykłe, tylko wyjątkowe – chodziło o to, że im dłużej patrzyła na krzesło albo dywan, tym bardziej przedmioty te stawały się szczególne, nie przypominały już krzesel ani dywanów, które wcześniej widziała. Nie chodziło też o zaskakujący sposób, w jaki tutejsze przedmioty z wolną okazywały się czymś więcej, niż myślała; na przykład wielka zaokrąglona bryła stojąca na murku sięgającym jej kolan w końcu stała się marmurową rzeźbą kobiecej pochwy, tak czystą formalnie, że Doll dopiero po kilku miesiącach zdała sobie sprawę, co przedstawiają jej łagodne elipsy.

Nie – chodziło o to, jak wszystkie meble i ozdoby współdziałają ze sobą, aby stworzyć jakąś większą całość, która z kolei składała się na wnętrza, jakich Doll nigdy wcześniej nie widziała: nic tutaj nie było zuchwałe, nic nie domagało się uwagi. Wynikające z tego, przeważające w domu Morettiego wrażenie niosło ze sobą spokój, pogodę ducha. Dopiero po wielu odwiedzinach w jego rezydencji zrozumiała, że było to jednak raczej wrażenie bogactwa.

– Może jest we mnie tyle namiętności – mawiał Moretti – dlatego, że jestem Włochem. W każdym razie nie potrafię żyć bez piękna.

W oczach Doll wyglądał nie tyle na Włocha, ile na krezusa. Mówił, że jego rodzina zbiła ogromny majątek na handlu winem. Być może bogacze należą wyłącznie do pieniędzy, myślała Doll. Bo kiedy Moretti mówił, słyszała w jego głosie tylko jedno: forszę. On być może myślał, że są to idee, mądrość, piękno, smak. Być może wydawało mu się, że to Włochy. Ale były to jedynie pieniądze – pieniądze, które miał, których pragnął i które zamierzał jeszcze zarobić.

Jeśli, jak czasami podejrzewała Doll, Frank Moretti prowadził księgę rachunkową, w której podliczał swoje niemałe wydatki, to Doll musiała znajdować się w rubryce „Piękno” razem z jego najnowszymi nabytkami w postaci średniowiecznych mebli, dzieł sztuki aborygeńskiej i malarstwa olejnego z Nowego Jorku. Jej znajomość sztuki zaczynała się i kończyła na domu Morettiego: Constantin Brâncuși, Rover Thomas, Sean Scully, Fred Williams, Luc Tuymans i oczywiście Miró. Tytuł jego dzieła był francuski, więc kiedy wymawiał go Moretti, brzmiał właśnie niczym glut wibrującej w krtani flegmy.

– To znaczy – powiedział, znużony tym, że musi tłumaczyć tak oczywiste rzeczy – „człowiek, który zjadł słońce”.

Chociaż obraz bardzo jej się podobał, z czasem człowiek, który zjadł słońce, i Frank Moretti stali się dla niej jedną i tą samą osobą.

Wodziła właśnie palcami po dużych, dekoracyjnych łebkach gwoździ, którymi były nabijane ozdobne drzwi drewnianej szafki stojącej pod dziełem Miró, kiedy usłyszała cichy pomruk silniczka elektrycznego. Odwróciła się i zobaczyła wyłaniający się z boku elektryczny wózek inwalidzki; siedział na nim niski i gruby człowieczek, którego chorobliwie wychudzone nogi zwisały z obszytego jagnięcą wełną fotela. Duże oczy mężczyzny zdawały się jeszcze większe za wielkimi okularami Porsche w czerwonych oprawkach oraz dlatego, że był prawie całkiem łysy, wydawał się więc po prostu parą oczu, pozostających w stanie ciągłego zdumienia.

– Dzień dobry, Kryształ – powiedział Frank Moretti.

– Śliczne, prawda? – zapytał, unosząc serdelkowaty palec z podłokietnika, by wskazać łebki gwoździ, na których wciąż opierała się ręka Doll. – Choć ciebie one pewnie nic a nic nie interesują – dodał. Zawsze powtarzał podobne głupstwa, kiedy było oczywiste, że Doll jest czymś zainteresowana. Często przechodziła koło tej szafki, ale jak w przypadku wielu innych rzeczy w jego domu, dostrzegła jej wyrafinowany urok znacznie później, czyli dopiero dzisiaj. – Kazałem je zrobić na zamówienie w Maroku – ciągnął Moretti. – Żelazne gwoździe, ręcznie kowane, jak w czasach renesansu. Podobają mi się. Ale może ty masz oko na ciało jako takie, nie na wytwory rąk ludzkich.

W nadzwyczajnej willi Morettiego mieściło się tyle piękna, że Doll z każdą wizytą było je trochę trudniej znieść, jak gdyby każdy Blackman, Nolan, Williams i Rover Thomas, wszystkie ręcznie robione okucia oraz sztukaterie projektowane przez utytułowanych architektów i wszystkie fortepianowe nuty Chopina spiskowały z człowiekiem, który zjadł słońce, by uświadomić jej tylko tę jedną prawdę: że on jest kimś lepszym, a ona gorszym.

– Piękno niełatwo zrozumieć – kontynuował Moretti. – Co znaczy, że kiedy widzisz coś brzydkiego, to cierpisz, brzydota boli do głębi. Ale może ty się nie przejmujesz takimi rzeczami. Może nie odczuwasz takiego bólu.

Patrzyła na tego dziwnego człowieczka na wózku inwalidzkim, na jego wielkie owadzie oczy, powiększone w groteskowo wielkich okularach Porsche, i uderzyła ją okrutna myśl: „Jeżeli on mówi prawdę, to jak się musi czuć za każdym razem, kiedy idzie do łazienki i ogląda się w lustrze?”.

– Ona też została zrobiona na zamówienie – powiedział Moretti, a Doll zrozumiała, że ciągle mówi o szafce. – Nazywam ją swoją szafką komedii ludzkiej. – Z pomrukiem silniczka podjechał do Doll, która wciąż przesuwiała palcami po pięknej politurze. – Chcesz zobaczyć, co jest w środku?

Nie chciała, ale skoro już tu była – słuchała i patrzyła, nie myślała – wydało jej się, że może to być chwila miłego relaksu, skinęła więc twierdząco głową. Moretti w przeszłości pokazywał jej już różne dziwne zbiory: drewniane asyryjskie tytuły własności, mumie kotów egipskich, jaja wymarłych ptaków. Na ogół te kolekcje ją nudziły, ale chociaż raz była w tej chwili wdzięczna gospodarzowi, że może się oderwać od rzeczywistości.

Na szafce stał mały, rzeźbiony drewniany słonik. Moretti poprosił Doll, żeby mu go podała, a potem drobnymi rączkami podniósł trąbę figurki, otwierając skrytkę w jego tułowiu, z którego wytrząsnął klucz. Podał go dziewczynie razem ze słonikiem i poprosił, by otworzyła szafkę.

W środku było dwanaście wąskich szuflad. Wózek zamruczał i zatrzymał się, kiedy Moretti podjechał bliżej, by wysunąć jedną z nich.

– No, nawet ktoś taki jak ty pewnie się z tego uśmieje – powiedział, wyjmując poźółkłą kartkę, pokrytą literami obcego alfabetu. – To oficjalny list od tajnej policji Stalina z 1937 roku, informujący pewną kobietę, że jej mąż został skazany na dziesięć lat łagru bez prawa do prowadzenia korespondencji. Oznaczało to, że został rozstrzelany w wyniku czystek. – Moretti zachichotał. – Czekiści naprawdę byli dowcipni jak cholera.

Sięgnął do innej szuflady na samym dole, wyciągnął z niej maczetę, pokrytą ciemnymi smugami na wyszczerbionym ostrzu, i powiedział, że pochodzi z Rwandy. Z innej, środkowej szuflady, wyjął starą, zardzewiałą puszkę. Na etykiecie widniały trupia czaszka i nazwa Cyklon B, wypisana literami z szablonu wyblakłą, czerwoną farbą na żółtym tle.

– Wygląda jak albański przecier pomidorowy. – Moretti znowu się zaśmiał.

Był naprawdę szczęśliwy, szperając w tym swoim małym muzeum hańby. Każdy przedmiot wydawał się go cieszyć w taki czy inny sposób. Przypominał jej dziecko, które na nowo odkrywa zapomniane pudełko ze starymi zabawkami. Trzymał tu osobliwe pamiątki rzezi i aktów ludobójstwa z całego świata. Z Kambodży. Z Gwatemali. Z Chin. Parę znoszonych butów, jak twierdził, pochodzących z masowego grobu Ormian z 1916 roku.

W jakiś sposób podniecało go to, że świat może być zarówno zły, jak i piękny, jak gdyby całe to piękno, które do niego należało, potrzebowało tych butów, trującego gazu i maczety, aby naprawdę lśnić. Dla Morettiego ozdobna szafka symbolizowała to, co robi człowiek. Sztuka z kolei była dla niego tym, co dają ludzkości bogowie, boskim objawieniem, dostępnym jedynie nielicznym wybrańcom.

Minęło jeszcze sporo czasu, zanim Doll zrozumiała, że wielka wycieczka po szafce komedii ludzkiej dobiega odpowiedniego – zdaniem jej właściciela – końca.

– Zajrzyj tutaj – powiedział, wskazując najwyższą szufladę. – Pokażę ci ostatnią już dzisiaj rzecz. To mój jedyny mechaniczny eksponat. Weź go do ręki.

W szufladzie, starannie wciśnięty w czerwony aksamit, leżał nowocześnie wyglądający czarny pistolet.

– To właściwie nic niezwykłego – stwierdził Moretti – ale wiąże się z nim cudowna historia. Standardowa broń NATO, włoska beretta kaliber dziewięć. Należała do pewnego holenderskiego żołnierza, który bronił z kolegami Srebrenicy, bośniackiego miasta zamieszkanego przez muzułmanów. – Moretti znów wskazał szufladę. – Wyjmij go – powiedział. – Zobacz, jak leży w dłoni.

Delikatnie wzięła pistolet do ręki, jak gdyby to był kwiat, nie chcąc, żeby jej palce zabłąkały się w pobliże cyngla. Nigdy wcześniej nie trzymała w dłoni broni palnej. Odniosła wrażenie, że to nic wielkiego.

– Serbowie zażądali, żeby Holendrzy się rozbroili i wynieśli z miasta. A oni zgodzili się i złożyli broń, w tym ten pistolet, po czym opuścili Srebrenicę. – Moretti wyciągnął swoje drobne dłonie i wziął berettę od Doll.

Popatrzyła na niego. Trzymał pistolet jak na filmie, obiema rękami, mierząc do człowieka, który pożarł słońce.

– Właściwie głównie mnie to obchodzi. Ludzie niewarci wzmianki, paskudne miejsca. Wszędzie na świecie dzieją się takie rzeczy. Ale podoba mi się ta historia, więc zatrzymałem pistolet.

Doll, zagubiona z powodu dziwnej postawy Morettiego i jego jeszcze dziwniejszej opowieści, popatrzyła na niego i na broń.

– Potem Serbowie wymordowali ponad osiem tysięcy pozostawionych samym sobie cywilów. A ta beretta, która miała ich bronić, nigdy nie została wykorzystana. – Roześmiał się. – To jest coś, no nie? Ginę trzy tysiące Amerykanów i to zmienia bieg historii. Ginie osiem i pół tysiąca muzułmanów i o tym się zapomina.

Po chwili, poniekąd zakładając, że Doll jest ciekawa broni palnej, zaczął ją instruować, jak należy się obchodzić z pistoletem, a jego głos stawał się coraz bardziej podekscytowany i piskliwy.

– To jest bezpiecznik, dla prawo- i leworęcznych, sprytne urządzenie. Wiesz, w magazynku spoczywa wciąż piętnaście kul z tej Srebrenicy. Zostawiłem je, bo moim zdaniem one też są częścią tej historii. Widzisz, teraz jest zabezpieczony, a teraz odbezpieczony... Nie bój się! Zabezpieczyłem już pistolet na nowo. Nie jest to jednak broń specjalnie precyzyjna, musiałabyś stać kilka metrów od celu, żeby mieć pewność, że trafisz.

Raz jeszcze wyciągnął swoje sflaczałe ramię, trzymając berettę w dłoni, i tym razem wymierzył do własnego odbicia w lustrze. Piękne, jasne światło Sydney, które wpadało przez półokrągłe okienko nad drzwiami frontowymi, zalało plecy trzymającego pistolet Morettiego, tworząc wokół niego aureolę. Wyglądał jak jedna z zabawek śmierci Maxa: pół maszyna, pół dziwoląg.

– Ale z bliska... jest śmiertcionośna! – oświadczył. – Co prawda nie wtedy, gdy broni muzułmanów. – Roześmiał się ponownie, opuścił rękę z pistoletem na kolana, wyjechał z kręgu światła i oddał berettę Doll. Odetchnęła głęboko, z ulgą odłożyła broń na miejsce, zamknęła szafkę i schowała klucz do słonika.

W bibliotece jak zawsze grał Chopin. Doll nie znała się na muzyce klasycznej, wiedziała jednak, że jest to nokturn f-moll, bo Moretti wielokrotnie jej o tym mówił.

– To najwyższe osiągnięcie kultury zachodniej – oświadczył. – Kiedy terroryści już wszystko zniszczą, zawsze zostanie nam jeszcze nokturn f-moll Chopina, a ludzie będą się nim zawsze zachwycać. Może jednak trzeba być Włochem, żeby go w pełni docenić.

Powiedział tak, bo wydawało mu się, że Doll nie lubi Chopina, co go irytowało, gdyż w każdy poniedziałek o jedenastej rano jej zadaniem było rozbierać się dla niego w bibliotece do tego właśnie utworu.

– Może jesteś po prostu piękną kobietą – mawiał – która nie ma jednak ucha ani serca dla piękna.

Nie miała nic przeciwko Chopinowi. Ale co poniedziałek, kiedy zdejmowała ubranie dla Morettiego, ten powtarzany po wciśnięciu klawisza Repeat utwór wydawał się jej coraz smutniejszy.

Poza tym była to beznadziejna muzyka do striptizu. Doof w klubie był kiepski, jego amfetaminowy rytm pasował jednak do zadań stawianych tamtejszym dziewczynom, a zgrzytliwe brzmienia pozwalały Doll na dystans i ucieczkę. Muzyka doof likwidowała myśli o wszystkim poza ruchem. Nie wzruszała jej. Była kostiumem, w którym się dobrze czuła.

Wiedziała, że oczywiście nie jest pierwszą kobietą, której Moretti płaci za to, żeby się dla niego rozbierała. Opowiadał o takich dziewczynach, którym dawał pieniądze, by pozwalały mu się oglądać na osobności. Mówił o kształcie szyi, linii łydki albo proporcjach damskich ud i pośladków. Isabella miała wyjątkowo śliczne ramiona. Nic nie mogło się równać z biodrami Kayleen. Piersi Aleksy były małe, ale idealne, a jej brzuchowi, jak stwierdził, nie można było nic zarzucić. Mówił o kobietach jak o obrazach, które kupowało się i sprzedawało, jak o przedmiotach, które odbijały nie tyle własne piękno, ile jego znakomity gust.

Moretti gadał w ten sposób i przestawał dopiero, gdy zaczynała striptiz, zawsze miała więc motywację do pracy. Ale kiedy zdejmowała sukienkę od Prady, kiedy bardzo powoli gładziła się po ramionach i pomiędzy nogami, kiedy się odwracała i bardzo, bardzo powoli wypinała tyłek, po czym kołysała nim na boki, wstając, żeby mógł podziwiać kształt jej ramion i karku, gdy rozpiniała stanik, kiedy znów się odwracała i wsuwała sobie dłonie pod piersi, Chopin krok po kroku mówił jej, że to wszystko jest nic niewarte: nic, nic, nic.

Gdy już była naga, kaleka podjeżdżał bliżej i przyglądał się jej niczym kolekcjoner motyli, który wypatruje maleńkich plamek na swojej najnowszej zdobyczy. Kazał się dziewczynie odwracać i przez kilka minut oglądał ją od tyłu. Od czasu do czasu rozlegał się krótki, monotonny szmer, przywodzący na myśl elektryczną zabawkę, którą ktoś leniwie się bawi – to Moretti manewrował fotelem tu i tam, aby przyglądać się Doll pod różnymi kątami. Czasami miała wrażenie, że umówiła się z ginekologiem, ale potem słyszała, jak smutne dźwięki fortepianu przecina skrzypliwe:

– Tak... tak... tak.

Wtedy docierało do niej, że to jednak co innego.

Jaki smutny jest ten świat! Muzyka doof kłamie: mówi dziewczynom i chłopcom, że są ciągle młodzi, że młodość jest na zawsze, śmierć zawsze będzie jutro, energia życiowa jest niewyczerpana, a życie nieubłagane i równie natarczywe w swoich impulsywnych obietnicach – takich jak sto czterdzieści uderzeń na minutę w kolejnym utworze – że będzie lepiej. Doll mogła rozebrać się do nagiego kłamstwa, zapewniało jej ono bowiem maskę, Chopin jednak szybko wprowadzał jej duszę z powrotem w ciało, bez względu na to, jak bardzo walczyła, żeby jej tam nie wpuścić. Z Chopinem poznała straszliwą, żalostną prawdę: jest naga i samotna.

Kiedy kończyła striptiz i pozowanie w pokoju, Moretti odjeżdżał i potem już go więcej nie widziała. Wtedy ubierała się i wychodziła przez główny salon do holu. Przy ścianie naprzeciwko obrazu Miró stał stolik w stylu Ludwika XV, a na nim oprawiona fotografia i niebieska ceramiczna taca.

Któregoś dnia podniosła zdjęcie i przyjrzała mu się bliżej, próbując je uzgodnić z tymi kilkoma skąpymi informacjami, jakich jej kiedyś udzielił: czołowe zderzenie z wywrotką wczesnym rankiem. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało wspaniale zbudowanego młodzieńca, którego muskularne uda rozpychały nogawki modnych w latach siedemdziesiątych obcisłych szortów. Rozpoznała ulubioną plażę mieszkańców zachodu, Cronulla, i zawsze wydawało się jej, że to dość dziwne miejsce dla dziecka zamożnych rodziców. Jednak to ten młodzieniec nie pasował jej bardziej do ohydnych, okaleczonych w wypadku szczątków ludzkich, które poznała jako Franka Morettiego – młody człowiek na zdjęciu był bowiem piękny.

Fotografia intrygowała Doll, lecz jej uwagę co tydzień przyciągały trzy studolarowe banknoty leżące na niebieskiej ceramicznej tacy i czekające na nią jako honorarium. Taka była umowa, tak wyglądał ten ich dziwny rytuał, równie regularny jak telewizja poranna i równie bezsensowny, chociaż dla Doll przynajmniej bardziej lukratywny.

Tego dnia nie skończyła jednak jeszcze przedstawienia, kiedy na komórkę Morettiego przyszła jakaś wiadomość. Spojrzał na telefon, stęknął i bez słowa zniknął w gabinecie. Doll czekała, a ponieważ przez dłuższy czas nie wracał, ubrała się i poszła do kuchni, żeby się napić wody.

Koło lodówki na wysokości piersi – Morettiego – wisiał wysuwany z szafki ekran LCD; właśnie szedł jakiś program rozrywkowo-informacyjny. Nalała sobie szklankę wody. Mamrotanie w telewizji zastąpiła reklama magnetycznych pokrowców na materace. Dziewczyna poczuła, że leki przestają działać, i wpadła w irytację. Powiedziała sobie, że potrzebuje kolejnego kopa. Tak się trzęsła, że rozlała wodę.

– Owszem, Holly – odezwał się głos w telewizji, kiedy wycierała wodę. – Dzisiaj wieczorem nadajemy ekskluzywny materiał w programie *Undercurrent*, u nas, w Six.

Zobaczyła na ekranie mężczyznę odwróconego nieco bokiem do kamery w jak gdyby znany jej sposób; relacjonował jakieś wydarzenie w plenerze i ciągle dotykał palcem wskazującym skrzyśconego kablek, który zniknął w jego uchu.

– Wieczorem – powiedział – ujawnimy prawdziwą tożsamość „nieznanej terrorystki”, jak już się o niej mówi...

Wtedy go rozpoznała: to była ta pokraka, Richard Cody.

Kiedy doszła do siebie, na ekranie pojawił się amatorski film przedstawiający mężczyznę – a może kobietę? – całego opatulonego w czarną szatę i z karabinem maszynowym w rękach, a potem sceny, jak sobie przypomniała, z masakry uczniów w Biesłanie. Następnie pokazano szereg obrazów, które właściwie nie miały ze sobą nic wspólnego, ale które wydały się jej w jakimś sensie nieuniknione – jak gdyby w ich kolejności była pewna logika, wymagająca nieznannej jeszcze konkluzji, niczym szybko montowany trailer, będący streszczeniem serialu i doprowadzony do końcowego kataklizmu. Na ekranie jedno po drugim układano na ziemi ciała zabitych dzieci; potem pojawił się częściowo już znany Doll materiał – ktoś otwierał dziecięcy plecaczek, w którym leżała bomba, a uzbrojeni policjanci zajmowali pozycje wokół apartamentowca, gdzie mieszkał Tariq. Pokazano też kiepskiej jakości fotografię brodacza, którym mógł, ale nie musiał być Tariq w arabskim stroju, i odtwarzany w zwolnionym tempie ziarnisty, ciemny film, na którym Doll i Tariq się obejmowali.

Cody znów zaczął mówić.

– To nie do wiary – zaczął, a kamera pokazała na zbliżeniu, że stoi w Kings Cross przed Chairman’s Lounge – bo okazuje się, że możemy mieć do czynienia z kamuflażem nad kamuflażami. Otóż jest możliwe, że tak zwana nieznaną terrorystką, i pozwólcie państwo, że podkreślę słowo „możliwe”, to nie kto inny, ale pewna tancerka erotyczna, która pracuje w widocznym za mną klubie, znana kiedyś, uważajcie państwo, jako Czarna Wdowa! No, a jak nam wiadomo, mianem Czarnych Wdów określa się muzułmańskie bojowniczkę znane z samobójczych zamachów w Rosji.

To nie może być, pomyślała Doll. To niemożliwe. To sen, straszliwy sen. W telewizji nastąpiło cięcie z powrotem do spikerki, kobiety o nieprawdopodobnych kościach policzkowych.

– Trudno w to uwierzyć, Richardzie. Co to oznacza z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego?

Nastąpiła długa pauza, a kobieta z ekranu po prostu dalej patrzyła na widzów. Doll poczuła na języku coś suchego i okrągłego jak kamyk, co próbowała połknąć, ale co nie chciało jej przejść przez gardło. Znowu pojawił się Richard Cody, dotknął słuchawki palcem wskazującym i zaczął ponownie mówić.

– Przepraszam, straciliśmy na chwilę łączność, Holly. Tak, trudno w to uwierzyć, nie da się ukryć. Chairman’s Lounge to bardzo ekskluzywny przybytek, więc Czarna Wdowa miałaby tu dostęp do najważniejszych australijskich polityków i biznesmenów. Dziś

wieczorem ujawnimy jednak wszystko w programie *Undercurrent*, łącznie z prawdziwą tożsamością tancerki.

Doll odwróciła się i poczuła, jak wzbierają w niej dziwne mdłości, jak gdyby za chwilę miała spaść w straszliwą otchłań, stanowiącą zarazem pustkę w jej duszy. Oparła się o zlew, żeby nie upaść.

– A my tu, w Six – dodała spikerka – będziemy was informować na bieżąco, podając najnowsze wiadomości w tej sprawie, gdy tylko zaczną napływać.

„O Boże, o Boże! – panikowała Doll. – Nie ma sposobu, żeby się z tego wyplątać!” Myślała szybko, co może zrobić, rozważając różne możliwości, ale po zastanowieniu żadna nie wydawała się dobrym pomysłem. Jeśli sama się zgłosi, policja jej nie uwierzy; bała się też, że jeżeli pójdzie do mediów, dziennikarze ją wrobią, a samobójstwo wydawało się jej wprawdzie atrakcyjnym, ale bolesnym i trudnym wyjściem. Miała więc nadzieję, że w tej sprawie coś zmieni się bez jej udziału i dowiedzie jej niewinności, tak jak teraz zmieniło się bez jej udziału coś, co najwyraźniej robiło z niej przestępczynię.

Moretti ciągle rozmawiał przez telefon. Doll zapukała do drzwi gabinetu. Podniósł wzrok i pomachał jej na do widzenia, a potem zarówno bez słowa, jak i bez wyrazu spuścił wzrok i wrócił do rozmowy.

Wychodząc, przystanęła w holu przed obrazem Miró. Zadzwoiła jej komórka. Doll zadrżała. Popatrzyła na wyświetlacz, ale nie знаła tego numeru. Wrzuciła telefon z powrotem do torebki i pozwoliła mu się wydzwonić do końca. Wszystko wydawało się kołysać, jak w czasie trzęsienia ziemi: obraz, niebieska ceramiczna taca, stolik, hol... i na chwilę napięła mięśnie nóg, żeby nie stracić równowagi. Hol jednak wciąż poruszał się wokół niej, wznosił się, przekrzywiał, opadał i przesuwiał, bez względu na to, gdzie stała i w jakiej pozycji.

– Skup się na pieniądzach – powiedziała do siebie, jak to często zdarzało się jej w przeszłości, kiedy coś w życiu szło nie tak. – Te trzysta dolarów daje... Daje mi... To razem będzie...

Ale świat wirował, a jej telefon znów dzwonił. Nie była w stanie poradzić sobie z prostym dodawaniem. Nie wiedziała, ile to w sumie wyniesie, było więc niejasne, co te pieniądze mogą ostatecznie oznaczać.

Chwyciła trzy banknoty studolarowe z niebieskiej tacy, próbując się ich przytrzymać, były to jednak tylko kawałki suchego papieru, liście w parku, unoszone wiatrem, za którymi gonią dzieci i nigdy nie mogą ich złapać. Jeden banknot wypadł jej z drżących palców na podłogę. Schyliła się, złapała go i wcisnęła pieniądze do torebki, kiedy znowu odezwał się jej telefon.

– Skup się na pieniądzach – powiedziała sobie, znalazła po omacku komórkę i wyłączyła ją. – Tylko na nich.

Kiedy wyszła na zewnątrz, upał uderzył ją i chwycił za gardło. Wracała tą samą drogą, skoncentrowana na swoich ruchach, nie na nadziei. Nie bała się, tylko szła, sunęła naprzód, usiłując myśleć o pieniądzach. Jej umysł nie chciał jednak pracować: nie mogła sobie przypomnieć, czy ma zaoszczędzone czterdzieści dziewięć tysięcy siedemset dolarów, czy czterdzieści siedem tysięcy dziewięćset, czy musi jeszcze zebrać trzysta, czy dwa tysiące sto, czy może jej cel to jednak dwadzieścia jeden tysięcy. Nie potrafiła obliczyć, czy pozostały jej wciąż trzy tygodnie z człowiekiem, który zjadł słońce i pożerał wzrokiem jej tyłek, czy minie jednak tydzień albo kilka miesięcy, zanim będzie mogła przestać i uwolnić się od tego na zawsze.

Wszystko było jakby niewyraźną plamą, okropną niewyraźną plamą liczb, które nie miały już najmniejszego znaczenia. Spróbowała więc wyobrazić sobie, jak studolarówki pokrywają jej ciało i gdzie umieści te trzy kolejne banknoty, ale widziała tylko, jak wiatr unosi je wszędzie dookoła, i nie była w stanie zapanować nad swoimi myślami ani zmusić wiatru, żeby przestał wiać. Bardzo starała się zobaczyć swoje ciało, znikające jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy pokrywają je papierowe pieniądze. Nie udało się jej go jednak pokryć, była naga, ziemią na wszystkie strony szarpał cyklon, a ona mimo wszystko dalej była naga.

Wysiadła z promu na Circular Quay. Wprawdzie wciąż czuła się zaskoczona tym wszystkim, co się zdarzyło, ale podróż promem przynajmniej pomogła jej skupić myśli na jednym: pójdzie... musi pójść... na policję. Tylko jak i gdzie? Zatrzymała się na chwilę w chłodnym cieniu Cahill Expressway, starając się zastanowić, zdecydować na jakieś klarowne działanie.

W jej myśli wsączał się jednak gwałtowny hurkot samochodów na ogromnym żelaznym wiadukcie nad jej głową, znowu popadła więc w oszołomienie i opuściła ją wszelka pewność. Przez chwilę raz jeszcze zabawiała się myślą, by nie iść na policję. Potem jednak przyszło jej do głowy, że jeżeli nie pójdzie, to ją wytropią. Mają broń i helikoptery, znajdą ją i zabiją.

Nie, nie, skarciła się zaraz, nie wolno jej ulegać panice. Musi zachować zimną krew, musi iść na policję, bo tylko tak może skończyć ten koszmar. Nie odda się w ręce najbliższego gliniarza, którego spotka na rogu, o nie, nie chce zostać sam na sam z żadnym gliną. O wiele bezpieczniej, pomyślała, będzie pójść na posterunek, gdzie jest za dużo świadków, by mogło się wydarzyć coś strasznego. W pewnym sensie poczuła się bezpieczniej, myśląc, że wejdzie tam jako kobieta wolna i niewinna.

Gdy jednak zaczęła iść w stronę komendy miejskiej, przypomniała sobie opowieści o popieprzonych gliniarzach z Sydney. Zaczęła się bać, że zostanie wrobiona i na zawsze zamknięta w kryminale. Upał narastał, a im bardziej Doll oddalała się od zatoki i zagłębiała w miasto, tym bardziej zaczęła zwalniać kroku i się ociągać. Przerazenie ogarnęło ją jednak dopiero, kiedy skręciła w George Street.

Wpadła prosto na kordon policyjny. Wszędzie policjanci, radiowozy, światła i atmosfera lekkiej paniki. Przez chwilę – kiedy zaczął się w nią wpatrywać jakiś potężny gliniarz rowerowy o bandyckim obliczu i w bryczesach – była absolutnie przekonana, że zostanie zastrzelona na miejscu. Wydało się jej, że czekają na nią, że to zasadzka. Musiała zebrać wszystkie siły, by zapanować nad sobą, nie odwrócić się i nie uciec.

– Alarm węglkowy – zwrócił się do niej policjant zaskakująco cichym głosem, ale już trochę za późno.

Gdy wycofała się w środek tłumu gapiów, zamiast ich obejść, wśród rozkołysanych głów zauważyła pod przenośnymi prysznicami kilku pracowników służb ratowniczych w białych kombinezonach. Trzymając się przechodniów, którzy odłączyli się od tłumu, odeszła stamtąd najszybciej, jak mogła.

Mimo wszystko podążała dalej. Powtarzała sobie, że musi tak zrobić, i starała się nie zwracać uwagi na to, że ciągle drży. Obeszła Chinatown, mijała chińskie dziewczyny o tlenionych włosach i chińskich punków, którzy chodzili w barwnych nylonowych dresach, chociaż panował taki wściekły upał. Skręciła w wąską uliczkę i skierowała się w dół wzgórza w kierunku Darling Harbour. Na skrzyżowaniu z główną drogą mieściła się komenda miejska – klinowaty budynek, wyłożony zwierciadlanym szkłem aż po najniższą, złowieszczą kondygnację, na której szyby zostały zastąpione czarnymi płytkami. Gmach przypominał osłoniętą kolczugą pięść. „Co się tam dzieje? – zastanawiała się. – Dlaczego nie można zajrzeć z ulicy do środka?” Żołądek podszedł jej do gardła.

Nie zrezygnowała jednak ze swojego postanowienia i podeszła do wejścia na komendę. Po chwili znalazła się w niewielkiej poczekalni pełnej ludzi, gdzie nie licząc automatu ze słodyczami i napojami, nie było żadnych mebli. Jakiś facet stojący pod plakatem, który zachęcał do zgłaszania aktów przemocy domowej, wyglądający na kompletnie nawalonego, bełkotał coś pod nosem. Koło automatu z napojami szlochała cicho jakaś młoda Chinka, kilka osób rozmawiało, a samotny pijak przeklinał i mruczał do siebie. Siedzący za biurkiem dwaj policjanci i recepcjonistka starali się zapanować nad petentami i zaprowadzić wśród nich porządek za pomocą dokumentów i formalnych zeznań.

Z przyjemnością powitała to dziwne zgromadzenie, bo mogła się wtopić między tych ludzi, a dzięki temu, że musiała czekać, dostała ostatnią szansę, żeby się przygotować, ułożyć sobie w myślach to, co zamierza powiedzieć. Przed nią w kolejce do biurka stał jakiś mierzący dwa metry wzrostu facet. Był w średnim wieku, silny, nosił wielkie buciory, szorty, T-shirt i cały był pokryty cementowym pyłem. Oglądał się co chwila i wtedy Doll widziała jego zaczerwienione oczy, które w szarej od pyłu twarzy wyglądały jak jasno umalowane. Przypominał ducha komiwojażera. Usłyszała, jak mówi coś o sądowym zakazie kontaktów z dziećmi, który uzyskała jego żona. Kobieta za biurkiem była dla niego uprzejma. Chwilę później facet zaczął krzyczeć, że bardzo chce zobaczyć swoje dzieci. Kobieta zachowała spokój, a nawet, jak pomyślała Doll, dalej była łagodna i starała się go uspokoić. Ale on tylko zaczął wrzeszczeć głośniejsze.

– To ja tu jestem ofiarą! – krzyczał. – Nie ta suka!

W poczekalni pojawił się gliniarz, podszedł do niego i wtedy mężczyzna wyciągnął z szortów nóż.

– Dlaczego nie mogę zobaczyć swoich dzieci? – wrzasnął. – Chcę tylko zobaczyć dzieci!

Wokół nagle zaroilo się od funkcjonariuszy, którzy wlewali się teraz do poczekalni, kilku z nich trzymało w rękach pałki i odsuwało oczekujących od wymachującego nożem na wszystkie strony mężczyzny. Jeden z gliniarzy wyciągnął rewolwer i krzyknął:

– Rzuć nóż i gleba!

„Zabiją go – pomyślała Doll – tak samo jak mnie”.

– Rzuć nóż!

Trzęsa się na całym ciele, ludzie zaczęli krzyczeć, facet ciągle wrzeszczał, drugi policjant mierzył do niego z rewolweru w plecy, a Doll ktoś przyparł do ściany między automatem z napojami a cuchnącą Aborygenką.

– Pierdolę – powiedziała Aborygenka, zwracając się do Doll. – Spadam stąd. Idziesz?

Wyglądało na to, że Doll też nie ma dobrego powodu, żeby zostać na komendzie. Poza tym mogła przecież wrócić tu później. Te dwie myśli przyniosły jej wielką ulgę. Policjanci byli zajęci awanturą i najwyraźniej nie dbali o to, co kto robi, byle tylko nikt nie wchodził im w drogę. Trzymając się ściany, Doll i Aborygenka przesunęły się kilka metrów do drzwi i wyszły na ulicę za jakąś kobietą, która pchała podwójny wózek dziecięcy.

Doll za bardzo bała się uciekać i puściła się biegiem dopiero na przecinającej dzielnicę hiszpańską Liverpool Street, bo chciała po prostu możliwie szybko znaleźć się jak najdalej od komendy. Biegła wszędzie tam, gdzie miała zielone światło albo lukę w tłumie. Gdy rozwarła się przed nią przepaść wejścia do centrum handlowego, szybko postanowiła się w nim zagubić.

Wdychała gęste, schłodzone przez klimatyzację powietrze, czuła, jak stygnie pot na jej skórze, a pory się zamykają. Muzyka, której nie dawało się rozpoznać, wzbijała się na wysokość kilku pięter aż do wielkiego zegara. Szmer schodów ruchomych dodawał Doll dziwnej otuchy. W przestrzeni restauracyjnej siedzieli ludzie zajadający kebaby, curry i sushi, a wszyscy gapili się w jakiś punkt gdzieś dalej, gdzie jeszcze więcej osób zajadało sushi, curry i kebaby.

Wróci na policję później. Teraz znowu musi się pozbierać. Chciała zażyć jeszcze jedno valium 5, i to bardzo, postanowiła jednak, że wytrzyma. Musi być przytomna, jeśli ma rozmawiać z policją i wyjaśnić im tę paskudną sytuację. Tu jest dobrze, wszystko jest dobrze, powtarzała. Wiedziała jednak, że się oszukuje.

Jak ławice ryb, śmigających tu i tam wokół barwnej rafy koralowej, ludzie z jak gdyby instynktowną świadomością biegali po kilku piętrach centrum handlowego, po jego licznych sklepach, między tysiącami półek, towarów i usług. Kiedy Doll do nich dołączała, zawsze odnosiła wrażenie, że w jej życiu znowu pojawiają się jakiś cel i ład, chociaż nie potrafiłaby powiedzieć, czym one są, tak jak ryba nie byłaby w stanie wyjaśnić, dlaczego porusza się tak, a nie inaczej. Dlatego żeby odzyskać panowanie nad sobą, zwiesiwszy głowę, jechała schodami ruchomymi z tłumem klientów kilka pięter w górę, po czym znów starała się znaleźć w sobie dość determinacji, by wrócić na policję.

Wciąż jednak nie czuła się dobrze. Jej myśli się nie kleiły. Miała wrażenie, że zbyt szybko rzuca się w oczy. Żeby się uspokoić i myśleć, musiała coś kupić, cokolwiek, i to szybko. Gdy już podjęła tę decyzję, na chwilę poczuła się lepiej. Wprawdzie miała okulary przeciwsłoneczne, ale kupiła sobie nowe, groteskowo duże, od Christiana Diora, z ciemnobrązowymi szklami i w jasnozłoty oprawkach. Raz jeszcze czując, że jest

w przebraniu kobiety sukcesu, zaczęła jeździć schodami w górę i w dół, zamierzając odsunąć od siebie strach i porozmawiać z policją.

Z początku nie zwracała uwagi na olbrzymi ekran, górujący nad atrium na parterze. Dopiero kiedy znalazła się między piątym a czwartym piętrem, dostrzegła wielkie zdjęcie – jak gdyby pokratkowane przez kadry wielu ekranów plazmowych, które zestawione ze sobą tworzyły wielką całość – przedstawiające dwie płonące wieże WTC.

Fotografie tego walącego się świata przeszły w ogromny plecak, który ktoś właśnie otwierał, i nad kupującymi groźnie zawisła bomba, po czym ekran zamigotał i obraz znów się zmienił, tym razem po to, aby pokazać, jak gigantyczni, uzbrojeni policjanci otaczają apartamentowiec Tariqa.

Zjeżdżając coraz niżej, rozpoznała materiał, który widziała u Morettiego, tylko że teraz film urósł do takich rozmiarów, że pomniejszał i przytłaczał wszystko dookoła. Kiepska fotografia brodatego mężczyzny w arabskim stroju wypełniła atrium jak wizerunek diabła, przed którym nie ma ucieczki; ziarniste, ciemne zdjęcia obejmujących się Tariqa i Doll przypominały fragmenty jakiegoś horroru. Potem Doll poczuła się tak, jak gdyby i ona była w tej szkole w Biesłanie, kiedy ciała dzieci układano jedno za drugim na ziemi, podczas gdy ubrana na czarno postać wymachiwała karabinem maszynowym, grożąc klientom centrum handlowego.

Schody sunęły teraz naprzeciwko wielkiej kratownicy ekranów plazmowych, przewożąc Doll obok dziennikarza, Richarda Cody'ego. On też był ogromny, miał monstrualną twarz, mówił coś, Doll mijając właśnie jego usta, wargi, sprośny język, i miała wrażenie, że za chwilę ją połknie. Odwróciła głowę, starała się nie patrzeć w tamtą stronę, nie mogła jednak nie widzieć wielkiego ekranu. Schody zjeżdżały dalej, a Doll razem z nimi, kiedy pojawiła się na ekranie ona, w stroju Czarnej Wdowy – było to nagranie, które widocznie musiał zrobić ktoś przed laty w czasie jakiegoś jej prywatnego występu. Wydało jej się, że zstępuje do piekieł. Na ekranie zdierała z siebie sukienkę, a potem woalkę, była mocno umalowana, słaba jakość nagrania uwydatniała jeszcze jej kurewski wygląd, a kratownica plazmy pokrywała obraz jakby siatką, dodając do niego ostatni dziwkarski akcent. Poczuła, że zrobili z niej morderczą gwiazdę porno. Stała na wielkiej kratownicy ekranów plazmowych z wielkim, chorym uśmiechem. To było najgorsze, Ferdy wszystkim kazał się tak uśmiechać – ale to nigdy nie był naprawdę jej uśmiech.

Wpadła w panikę; musiała uciekać, schować się gdzieś, uciec z tego piekła. Zjechała na parter i pospieszyła do wyjścia. „Jak mogę teraz oddać się w ręce policji?” – pomyślała przerażona, bo przecież była niedawno na komendzie, gotowa się ujawnić. Co ona sobie wyobrażała? Postradała rozum? Żeby ufać gliniarzom z tego miasta?

„To zaszło za daleko, wszystko zaszło zdecydowanie za daleko! Załatwią mnie w taki czy inny sposób, powiedzą, że im groziłam albo że miałam broń, że robiłam coś złego. I potem

będą musieli mnie ukatrupić. To oczywiste, bo tylko ja jedna mogę udowodnić, jak bardzo się mylą. Będzie jak z tamtym facetem, wyciągną broń”.

Przechodziła właśnie szybkim krokiem koło KL Noodle Bar, kiedy zauważyła jakąś mniej więcej czterdziestoletnią kobietę wstającą i ewidentnie szykującą się do wyjścia – ładną, pulchną babkę, która, jak pomyślała, mogła być czyjąś ciocią, facetkę, jaką sama chętnie stałaby się w przyszłości, o ile zdołałaby się zmusić, żeby nosić takie marne ciuchy. Nieznajoma odchodziła już, gdy Doll spostrzegła, że zostawiła na stoliku komórkę.

Był to telefon osoby starszej daty, kłocowata stara nokia 3315. Nie za bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, Doll zawróciła, okrążyła stół i pochyliła się nad nim, a potem ruchem, którego zręczność zaskoczyła ją samą, wsunęła studolarowy banknot pod filiżankę po kawie i zgarnęła komórkę nieznajomej. Z telefonem w ręku opuściła strefę restauracyjną i ruszyła do wyjścia. Szła szybkim krokiem, ale już wybijała numer na klawiaturze skradzionego telefonu.

– Słucham – usłyszała.

– Wilder?

– O Jezu, Gina. Oszalałaś? Widziałaś wiadomości? Dzwonisz ze swojego telefonu?

– Wilder... – powiedziała Doll, zdając sobie sprawę, że głos jej drży. – Masz jeszcze nożyczki fryzjerskie?

Postanowiła, że najpierw wróci do domu. Jeżeli obstawiła go policja, zobaczy funkcjonariuszy – a jeżeli nie, wejdzie, zabierze forszę, zanim będzie za późno, złapie trochę ciuchów i wyniesie się do Wilder. Forsa! To dzięki niej wydobędzie się z tych tarapatów, pomyślała.

Zaledwie dwie godziny temu, licząc pieniądze od Morettiego i to, co jej zostało z ostatnich dwóch dni, miała jedenaście studolarówek i drobne. Nowe okulary uszczupliły jednak jej zasoby o pięćset dolarów, a potem zostawiła stówę za telefon, miała więc w portfelu czterysta dolarów i trochę bilonu. Było to tyle co nic.

Tymczasem pieniądze z domu mogły dać jej wolność, możliwości i nadzieję. Od razu poczuła się lepiej, gdy myślała o tej forsie, wyobrażała sobie dotyk studolarówek na swoim nagim ciele i to, jaka będzie znowu zrelaksowana i jak zrobi się jej przyjemnie. Nie wiedziała, na co wyda ten szmal, wiedziała jednak, że za pieniądze można wiele kupić. Im więcej pieniędzy, tym więcej jest do kupienia: czasu, przestrzeni, ludzi. A bez pieniędzy będzie zgubiona.

Czując, że musi się przejść, ruszyła przez miasto wzdłuż William Street, bezpieczna w wielkim strumieniu pojazdów i przechodniów, traktujących ją jak powietrze, co dodawało jej otuchy. Nadal pozostawała dla nich anonimowa.

Był to długi i upalny spacer, ale nie miała nic przeciwko temu. Ruch pomagał jej utrzymać panikę na dystans; dzięki niemu miała wrażenie, że dokądsz zmierza. Rozjaśniło jej się w głowie i przypomniała sobie, że przecież ma numer Tariqa i telefon, po którym jej nie wysledzą. Może Tariq też czuł się tak źle i był równie przerażony jak ona. Może wiedział coś, co trzeba było wiedzieć w takiej sytuacji. Może miał jakiś pomysł, jakiś plan.

Nagle podekscytowana, Doll zaczęła przeszukiwać torebkę od Gucciego, aż wreszcie znalazła zmięte menu z wypisanym zielonym tuszem numerem telefonu. „Tak – pomyślała – Tariq będzie wiedział, co powinniśmy zrobić”. W swoich wyobrażeniach nie była już sama, tylko z Tarikiem, a gdy zaczęła o nim myśleć, zrozumiała, jakim jest nadzwyczajnym i silnym mężczyzną, i że wspólnie na pewno coś wykombinują. Nie miała wątpliwości, że jeśli będzie mógł, to znajdzie ją i jej pomoże, i razem wypłaczą się jakoś z tych straszliwych kłopotów. Ale kiedy znalazła schronienie w cieniu na jakiejś wąskiej bocznej uliczce i zatelefonowała do niego, znów nie było odpowiedzi; odezwało się tylko nagranie, głupi głos z amerykańskim akcentem witający Doll w poczcie głosowej.

Rozłączyła się i zagłębiła w wąską uliczkę. Najpierw usłyszała hałas, a potem wyszła prosto na jakąś kobietę siedzącą w kucki z majtkami spuszczoneymi do kostek nad niewielką

kałużą w głębokim, czarnym cieniu podjazdu, opartą plecami o zielone kubły na śmieci. Trzech chłopaków ze skateboardami śmiało się radośnie, wybiegali z ciemności i wpadali na tę nieszczęśnicę, krzycząc do niej i chichocząc.

- Ty kupo śmierdzącego gówna!
- Ty stara szmato! Idź się wyszczać gdzie indziej.
- Zlizuj to, mamuśka!

Doll popatrzyła na zegarek: za dwie godziny powinna być w pracy. Szła szybkim krokiem, tak pochłonięta swoimi problemami, że właściwie nie zauważyła tej kobiety. Zaczynało jej świtać, że jeśli za bardzo się boi zgłosić na policję, to pójście do pracy grozi jej jeszcze większym niebezpieczeństwem. Poczwała wściekłość. Jak w takim razie miałyby zarabiać na życie? Skąd weźmie pieniądze na spłatę kredytu za mieszkanie? Ale skoro mimo wszystko pójdzie na policję, kiedy już poczuje się na to wewnętrznie gotowa, to dlaczego w takim razie nie miałyby pójść też do pracy? W głębi duszy wiedziała jednak, że się okłamuje. Teraz nigdy już nie zgłosi się na policję i nie wróci do tańca. Te myśli rozżłościły ją o wiele bardziej niż cokolwiek innego.

Jeszcze raz wróciła do Tariqa: ponieważ nie odbierał telefonu, paradoksalnie urastał w głowie Doll do roli kogoś, kto może jej pomóc wyplątać się z tej coraz gorszej sytuacji. A im częściej do niego telefonowała i im częściej słyszała tylko ten irytujący amerykański akcent powitania w poczcie głosowej, tym lepiej zdawała sobie sprawę, że musi porozmawiać z Tarikiem, i tym lepiej rozumiała, że jego długotrwałe milczenie oznacza, że musi go odnaleźć – los złączył ich ze sobą i tylko wspólnymi siłami mogą odmienić przeznaczenie.

Szła więc dalej do Darlingtonhurst, szukała spokojnych zakątków i zacisznych miejsc, skąd mogła do niego dzwonić. Za każdym razem kiedy zgłaszała się poczta, Doll coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że powinna znaleźć go jak najszybciej. A kiedy wychodziła z cienia, gdzie leżały martwe szczury, strzykawki i przeciekające czarne foliówki, po czym wracała na lepki asfaltowy chodnik, mijając śmietniki i halucynujących ćpunów, skrupulatnie poszukujących towaru, zastanawiała się, czy w pogoni za Tarikiem nie podlega przypadkiem podobnym omamom jak oni.

Szła jednak dalej i telefonowała. Minęło dobre pół godziny i prawie dotarła do swojego mieszkania, gdy znowu znalazła jakieś ciche miejsce, tym razem w zaułku, w którym wciąż stała pokryta mandatami niebieska toyota corolla – teraz miała już wybite wszystkie szyby.

W zaułku panowała wyjątkowa duchota i unosił się brzydki zapach, jak gdyby gdzieś w cieniu rozkładało się martwe zwierzę. Wsunęła dłoń do torebki i znalazła telefon, bezskutecznie wachlując się drugą ręką, żeby nie czuć smrodu i złagodzić upału. Gdy szukała nokii 3315, uświadomiła sobie, dlaczego Tariq nie odpowiada. Dzwoniła ze skradzionego telefonu, a ponieważ on nie znał tego numeru, to nie odbierał. Znieruchomiła na chwilę, po czym chwyciła swój telefon. Jeżeli musi go użyć, żeby skontaktować się z Tarikiem,

podejmie to ryzyko. Włączyła komórkę, ignorując nieodebrane połączenia i wiadomości. Wybiła numer. Czekając, aż Tariq się zgłosi, usłyszała w pobliżu jakieś dźwięki. Były stłumione, odległe i bliskie zarazem, ale znajome. Po chwili je rozpoznała. Słuchała nokturnu f-moll Fryderyka Chopina.

Rozejrzała się. Nic tylko mury, śmieci i ta toyota. Może jednak to dobry znak, że pomyślała o Tariqu i usłyszała Chopina. To oznaczało, że mimo wszystko coś się zaraz wydarzy. Chopin zamilkł, a w słuchawce rozległo się to samo powitanie poczty głosowej co zwykle. Rozłączyła się.

Przyszło jej do głowy coś, co nie było myślą ani pomysłem, tylko jakąś amorficzną potrzebą, świadomością pragnienia, które musiało zostać zaspokojone. Z wahaniem postąpiła kilka kroków w głąb zaułka, a potem wślizgnęła się w maleńki, śmierdzący kąt pomiędzy ciemną ścianą z cegieł a niebieską toyotą.

Stała z policzka kroplę potu. Stała tyłem do ściany i znowu wybrała numer Tariqa. Nie podniosła komórki do ucha. Słyszała sygnał, nawet trzymając ją na wysokości bioder. Nokturn znów się odezwał gdzieś jeszcze bliżej i głośniejsze.

Zaczęła się przesuwając dalej w zaułek, smród zrobił się gorszy, a muzyka przestała grać. Wtedy w jej komórce zabrzmiało powitanie poczty głosowej Tariqa. Fetor stał się tak okropny, że przez chwilę wydawało się jej, że zwymiotuje. Musiała jednak przyzwyczać oczy do ciemności i na tym się skupiła. Ze wzrokiem wbitym w toyotę rozłączyła się, nie patrząc na telefon, odliczyła kilka sekund, a potem wcisnęła klawisz Redial. Po raz trzeci przez kilka chwil nic się nie działo. Potarła wilgotny policzek telefonem. Zauważyła, że bagażnik toyoty jest niedomknięty, i w tej samej chwili sygnał w słuchawce oraz muzyka Chopina odezwały się jednocześnie.

Powoli wyciągnęła rękę i trzymając telefon grzbietem do góry, otworzyła bagażnik. Z wnętrza wzbil się rój much mięsnych, którym teraz już jasno i wyraźnie akompaniował Chopin. Przysunęła się bliżej. W chwili kiedy zerknęła do bagażnika, smród runął na nią z całą mocą. Szarpnęła się do tyłu, jak gdyby ktoś ją uderzył. Kłapa opadła, po czym znowu lekko podskoczyła. Ale w tym ułamku sekundy Doll zobaczyła wszystko, nawet stalowy czubek bezcennej nokia Tariqa wystającej z kieszeni jego spodni.

Po dłuższej chwili cofnęła się, znowu podniosła klapę i przez dobrą minutę wpatrywała się w bagażnik. Ciało Tariqa leżało zwinięte w kłębek; był ubrany tak samo jak przed dwoma dniami, kiedy go poznała.

Chciała mu odpędzić muchy z twarzy, ale jej dłoń przecięła rozwibrowaną czarną chmurę jak wodę. Twarz miał udręczoną; przypominała łuskę. Policzki były puste i zapadnięte jak u starca, jak gdyby wyciągnięto mu coś z ust. Na czole widniał duży strup. Ciągnął się z niego ogonek zaschłej krwi – biegł po policzku w dół, aż na dno bagażnika, gdzie tworzył skrzepłą kałużę, która w ciemności połyskiwała matowo niczym mokry asfalt.

Uśmiechnęła się, tak jak nauczyła się uśmiechać, kiedy sytuacja stawała się nieprzyjemna, a ona nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, co czuje w takim momencie. Zmusiła się, żeby zachować ten uśmiech na twarzy, kiedy spoglądała przez chmurę much na wciąż otwarte oczy Tariqa, chociaż wołałaby, żeby nie były otwarte, na jego lekko spuchnięte wargi i białą skórę, wcale niewyglądającą na skórę dorosłego, tylko dziecka, pięknego chłopca, który mocno śpi po jakimś wyjątkowo ciężkim dniu.

Ipno od Bulgariego zniknął z lewego nadgarstka Tariqa, ale to widok jego prawej ręki, otwartej, spoczywającej na jego brzuchu, zupełnie ją rozkleił. Te delikatne palce, które wciąż czuła w sobie i w swoich ustach, były teraz dziwnie zeszywniałe i przerażające.

Opadła na kolana, wsparła się rękami o bagażnik i zwymiotowała wszystko, co miała w żołądku, choć było tego niewiele. Uklękała w rzygowinach, w smrodzie i wilgotnym upale w zaułku, zwiesiła głowę między wyciągniętymi ramionami, a z ust ciągnęły się jej nitki zielonkawej żółci, kiedy starała pozbyć się uczucia, że ciągle trzyma te palce w swoich ustach.

Wstała nieco niepewnie i powłócząc nogami, wyszła z zaułka, precyzyjnie się pomiędzy murem a samochodem. Na ulicy bezpośrednio, oślepiające białe światło dnia uderzyło ją jak punktówka w klubie. I oszołomiło. Przypominało cios pięścią, musiała więc się cofnąć o pół kroku, by złapać równowagę. Zadzwoiła jej komórka; wyłączyła ją. Powietrze było jak w piecu, trudno nim było oddychać. W ustach wciąż czuła ohydny smak żółci; ciągle widziała krew, wszędzie pełno krwi; świat wydawał się jej potrzebować, rozkwitać dzięki niej. Wokoło na ulicy wszyscy sprawiali wrażenie, że mają problemy ze wzrokiem i z oddychaniem, bo krew zalewała im oczy i gardła. Teraz nie chciała już wracać do domu. Zabierze pieniądze później, jakoś niedługo. Tymczasem jednak była zbyt przerażona, musiała stąd uciekać. Znowu zażyła valium. Nie miała wody, więc ssała własne palce, żeby móc połknąć tabletkę.

Po pewnym czasie wszystko było już dobrze.

Nieznacznie uniosła głowę, jak gdyby miała zacząć kolejny pokaz na stole, poddała się zapomnieniu, które zawsze wyzwalało w niej jaskrawe światło, i odwróciła się od swojego apartamentowca. Złapała pociąg z Cross do Redfern. Wszędzie na stacjach stali uzbrojeni policjanci; strzelali oczami na lewo i prawo i Doll poczuła zapach niepokoju. Na razie jednak nie było w niej strachu. Spodziewała się, że w każdej chwili mogą jej posłać kulkę – z jednej strony miała teraz nadzieję, że to zrobią, a z drugiej nic już jej to więcej nie obchodziło.

Wilder nie odezwała się ani słowem, gdy zobaczyła Doll w progu swojego domu. Wciągnęła ją do środka najszybciej, jak mogła, i zatrzaskała drzwi.

Dom Wilder wyglądał jak zawsze: wszędzie zabawki Maxa, tablica, na której można było pisać kredą, domowy bałagan, w tle bulgotał gdzieś telewizor. Tylko Wilder jakby się zmieniła. Żadnego ginu, ani tanqueraya, ani UDL. I żadnych niekończących się opowieści o sobie, których Doll słuchała jak inni programów radiowych.

– Jest u kolegi – oświadczyła lakonicznie, kiedy Doll zaczęła się rozglądać za Maxem.

Żadna nie wiedziała, co powiedzieć.

W końcu Wilder postawiła sprawę jasno.

– Posłuchaj... Mogę jakoś zmienić ci fryzurę, ale czy nie byłoby lepiej, żebyś się ujawniła, zanim zrobi się jeszcze większy syf?

Doll nie odpowiedziała.

– Ja po prostu tego nie rozumiem – ciągnęła Wilder. – To popierdolona historia, jasne, ale w końcu przecież się okaże, że jesteś niewinna. Dlaczego nie masz do nich zaufania?

Doll mimo wszystko wpatrywała się w telewizor; wypowiadał się właśnie jakiś polityk, a u dołu ekranu na pasku przesuwiał się napis: „Terrorystyci wciąż na wolności. Alarm pierwszego stopnia w Sydney”. Mężczyzna był potężny; nieznacznie mrużył oczy, jak gdyby odczytywał litery na tablicy u okulisty i miał problemy z odcyfrowaniem mniejszej czcionki.

– Co jako przywódca opozycji może pan powiedzieć na temat oskarżeń wysuwanych pod waszym adresem przez obecny rząd, że pana partia odnosi się do terrorystów nazbyt pobłażliwie?

Pytany nieznacznie pochylił się do przodu, jak gdyby próbując jeszcze lepiej skoncentrować się na męczącej, nieuchwytej tablicy oftalmologicznej.

– Powiem tylko tyle: nie łagodzim naszego stanowiska. – W tym miejscu zrobił emfaticzny gest ręką. – Terrorystyci nie są Australijczykami. Bo Australijczycy to przyzwoici ludzie. Dodam również, że ze zrozumieniem przyjmujemy wezwania do zmiany prawa tak, abyśmy mogli odebrać obywatelstwo każdemu Australijczykowi, jeżeli miałby jakkolwiek związek z działalnością antyaustralijską, bez względu na to, czy urodził się na tej ziemi, czy też został naturalizowany. Albo jesteś z Australią, albo nie jesteś już Australijczykiem i utraciłeś prawo do tych praw, którymi cieszą się inni obywatele.

– Mój Boże – powiedziała Wilder i przełączyła telewizor na inny kanał.

Rozległ się głos dziennikarza z jakiegoś programu informacyjnego:

– Czy pański rząd prowadzi politykę fizycznej eksterminacji terrorystów? – spytał dziennikarz, a na ekranie pojawił się premier, który, jak zdała sobie sprawę Wilder, udzielał mu właśnie wywiadu.

– Prowadzimy odpowiednią politykę, która... – Premierowi nie było jednak dane dokończyć, bo Wilder znów zmieniła stację.

Ale na nowym kanale uzbrojeni policjanci ponownie otaczali apartamentowiec Tariqa.

– To jest jakiś obłęd – wyszeptała Wilder, ponownie celując pilotem w telewizor, żeby go wyłączyć, Doll pociągnęła jednak jej rękę w dół.

– Niech gra – powiedziała. – Muszę to zobaczyć.

I tak, stojąc obok siebie, jeszcze raz obejrzały ten sam materiał – bombę w dziecięcym plecaku, kiepską fotografię brodatego mężczyzny w arabskim stroju oraz puszczone w zwolnionym tempie ziarnisty film z Doll i Tarikiem w objęciach. Powtarzające się obrazy nakładały się na siebie z kliknięciem i wypełniały ekran niczym drobne monety wpadające do jednorękiego bandyty.

Znowu waliły się wieże WTC; znów układano na ziemi ciała tych samych dzieci w Biesłanie; ten sam ubrany na czarno mężczyzna (a może kobieta) wymachiwał tym samym karabinem maszynowym; Doll dalej tańczyła nago. Pojawiły się też jednak nowe sceny: mroczna stacja metra w Londynie kilka minut po ataku bombowym, płonący klub nocny na Bali po wybuchu bomby i ranni wynoszeni z wagonów po ataku na pociąg pod Madrytem, a cała ta sekwencja montażowa kończyła się kulminacyjnym ujęciem gmachu opery w Sydney i wybuchowym rozjaśnieniem, któremu to taniemu efektowi towarzyszyły złowrogi huk i łoskot.

Doll zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, zobaczyła Osamę bin Ladena. George'a W. Busha. Pociski balistyczne. Ludzi w burnusach, strzelających z granatników. Wielkie budynki, eksplodujące niczym kule ognia. Zakrwawione kobiety. Zakładników, którzy za chwilę mieli zostać ścięci. Nowy Jork! Bali! Madryt! Londyn! Bagdad! Doll rozpadła się na tańczące, kolorowe kwadraciki, rozpikselowana, z uśmiechem na ustach, który nigdy nie był jej uśmiechem.

Zaczęła się reklama klimatyzacji Fujitsu i Wilder wyłączyła telewizor.

– Jak kupiłam swojego subaru forestera, to było tak samo – odezwała się po kilku minutach niezręcznej ciszy. – Przez kilka następnych tygodni widzieliśmy tylko takie samochody, parkujące na ulicy, przejeżdżające przez miasto, stojące na światłach... Ale są też inne wozy, Gina, i inne wiadomości.

Dla Doll była to marna pociecha. Wiedziała, że w telewizji mówi się również o wielu innych sprawach, że w gazetach są także inne nagłówki, a w radiu inne głosy rozmawiają też na inne tematy. Widziała jednak tylko swoją twarz, swoje nazwisko, słyszała wyłącznie

kolejne opinie na swój temat. Ogarniał ją jak gdyby zimny prąd i zabierał gdzieś, dokąd nie chciała płynąć, tak jak tamta fala wyniosła wtedy Maxa na otwarte morze.

– Ja nie jestem samochodem, Wilder, a to nie jest byle jaka wiadomość – powiedziała Doll, podnosząc aktualne wydanie „Telegraph”. – Popatrz tutaj. – W środku na trzeciej stronie gazeta opublikowała artykuł, z którego wynikało, że „sprawa domorosłej komórki terrorystycznej zaczyna urastać do rangi afery roku”. – I co teraz będzie? – zapytała. – Zastrzelą mnie czy jak? Powiedz mi, Wilder. Dla nich to raczej nie może się skończyć jako pomyłka. Bo wtedy nie byłaby to afera, tylko obciach roku.

Wilder milczała przez chwilę.

– Takie rzeczy się zdarzają, Gina – powiedziała w końcu. – Dziennikarze wariują przez kilka dni, a potem biegną dalej jak psy. Poza tym – dodała, biorąc do ręki „Sydney Morning Herald” i wymachując nim jak świętym proroctwem – nie wszyscy są przeciwko tobie. Tutaj ktoś pisze o tym, że taka historyczna atmosfera może prowadzić do prześladowania niewinnych ludzi.

– Może? – powtórzyła z niedowierzaniem Doll. – Co, kurwa, ma znaczyć to „może”?

– Spójrz – powiedziała Wilder, przerzucając strony równie nieskończone, niezrozumiałe i nieistotne jak w książce telefonicznej. – To gdzieś tu jest. – Poddała się. – Znajdę to później i wytnę ci ten tekst.

– Wilder, nikogo nie obchodzi jakiś zasrany artykuł zagubiony w tej gazecie. To coś takiego jak trup wrzucony do zatoki – powiedziała Doll. Przypomniała sobie twarz martwej Fung, patrzącej na nią z kubła na śmieci. Wskazała „Sydney Morning Herald”. – Jesteś jedyną znaną mi osobą, która to czyta. Reszta robi jak ja... Ludzie czytają wyłącznie nagłówki w „Telegraph”, oglądają Cody’ego i słuchają Cosuka.

Nigdy wcześniej nie rozmawiała z nią w taki sposób. Obie poczuły się trochę jak ogłuszone i Wilder już bez słowa zaprowadziła przyjaciółkę do łazienki. Fryzjerstwo było jedną z wielu zaskakujących umiejętności Wilder, która spędziła kiedyś dwa lata jako uczennica w salonie fryzjerskim. Rzuciła tę posadę, żeby pójść na studia, choć potem rzuciła także i uniwersytet, by razem ze swoim chłopakiem prowadzić jego firmę zajmującą się planowaniem przestrzennym.

Utleniła włosy Doll na blond, rozśmieszając ją podczas pracy. W tej chwili każda opowieść była mile widziana. Wilder fryzjerka mówiła, że urodziła się po to, żeby kształtować zieleń, opowiadała o nieudanych trwałych ondulacjach i o pasemkach jaskrawych niczym w technikolorze. Pomimo wszystkich takich i podobnych historii, mających źle o niej świadczyć, okazało się, że jest zdumiewająco zdolna, przycięła bowiem włosy Doll krótko, na pazia i skośnie po bokach, co podkreślało jej wydatne kości policzkowe i zmieniało kształt twarzy, która nie wyglądała już tak sercowato jak na zdjęciach publikowanych w gazetach i w telewizji.

Kiedy skończyła, Doll zapytała, czy może się wykąpać. Łazienka w domu nie została wyremontowana i była nienowoczesna, Wilder miała więc prawdziwą, głęboką, żeliwną wannę. Doll odkręciła kurek z gorącą wodą i pomieszczenie wypełniło się parą. Oczekała, aż woda wystygnie na tyle, żeby mogła w niej usiąść i się nie oparzyć. Kiedy kąpiel była wreszcie gotowa, weszła do wanny i oddała się w objęcia błogosławieństwu wody. Powietrze w łazience zrobiło się niemal nieznośnie gorące i wilgotne, Doll uwielbiała jednak poczucie, że powraca w środowisko wodne, do którego, jak sądziła, zawsze należała.

Po pewnym czasie poczuła się lepiej. Kiedy wyciągała szyję i przekręcała się na bok, widziała część odbicia swojej głowy w lustrze. Była przyjemnie zdziwiona, że wygląda teraz zupełnie inaczej. Poza tym, myślała, zanurzając się z powrotem w wannie, i tak nikt przecież nie zna jej prawdziwego imienia i nazwiska. To, co się stało, nie było całkiem dobre, ale może Wilder miała trochę racji, bo nie było też takie zupełnie złe. Na chwilę zapadła w sen, słyszała, jak Wilder wychodzi, żeby pojechać po Maxa, i jak z nim wraca, a obudziła się, kiedy woda wystygła, zapadała noc i w łazience zaczęło się robić ciemno.

Rozległo się pukanie do drzwi. Była to Wilder. Okazało się, że kiedy Doll drzemała, w telewizji wyemitowano *Undercurrent*. Richard Cody nazywał ją Czarną Wdową, ale właściwie w programie nie pojawiło się zbyt wiele nowego. Następnego wieczoru telewizja miała pokazać specjalny reportaż śledczy o całej sprawie.

Doll nie zareagowała. Wielkim palcem u nogi odkręciła kran z gorącą wodą. Wsunęła stopę pod parujący strumień, starając zatracić się w bólu, nie mogła jednak wytrzymać dłużej niż kilka sekund. Gdy woda w wannie znowu zrobiła się ciepła, zanurzyła się i jeszcze raz zasnęła w jej rozkosznych objęciach.

Ale sen, który ją nawiedził, wcale nie był rozkoszny.

Biegły ku niej dzikie psy. Nie miały sierści ani mięśni na pyskach. Zrozumiała, że w ich naturze leży wyrządzanie krzywdy i sprawianie bólu. Przebiegały koło niej raz za razem, jak gdyby jej nie widziały. Potem zobaczyła własne odbicie w wannie: zamiast twarzy miała psi czerep bez sierści i mięśni i całowała Tariqą, a spomiędzy jego zimnych ust wypelzały muchy... Rozległo się pukanie do drzwi łazienki i wtedy się zbudziła.

– Wszystko w porządku? – zapytała Wilder.

Po tym złym śnie Doll zebrała siły, wyszła z wanny, włożyła batikowy szlafrok i ciemnym, pełnym zabawek korytarzem podeszła do drzwi sypialni Maxa, gdzie stała Wilder, zaglądając do środka.

– Czasami waruję tu tak godzinę albo i dłużej – powiedziała cicho Wilder, nie odwracając się. – Po prostu patrzę i słucham.

Przyglądały się Maxowi, który leżał zwinięty na łóżku; jego skóra przypominała cieniuteńkie okrycie nad znakiem zapytania ciała. Ciszę w pokoju tylko od czasu do czasu przerywało sapanie i cichutkie odgłosy, prawie skomlenie, jakie chłopiec wydawał przez sen.

– To dla mnie najszcześniejsza godzina dnia – zauważyła Wilder. – Jest w niej spokój.

Doll nie odpowiedziała. Wsunęła rękę pod ramię przyjaciółki. Kiedy tak stały razem w korytarzowym półmroku, przyglądając się śpiącemu Maxowi, Doll miała nadzieję, że ta chwila – która zaraz miała zostać zapomniana, zapoznana i pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia – nigdy się nie skończy.

– Nie ma na to słów – powiedziała w końcu Wilder, wciąż nie odwracając się, by spojrzeć na Doll. – Nikt nie potrafi tego nazwać i nikt nie jest w stanie ci tego odebrać.

– Człowiekowi można odebrać wszystko – odparła Doll, zdając sobie sprawę, że po raz drugi świadomie nie zgadza się z Wilder. Mówiła szeptem, by nie obudzić Maxa. – Zmyślają różne rzeczy, biorą jakiś niewinny epizod z twojego życia i twierdzą, że to dowodzi, że jesteś winna, czyli biorą prawdę i zmieniają ją w kłamstwo. Jak można robić coś takiego? Na przykład dzisiaj na przystani jeden facet czyta o mnie te różne łgarstwa w gazecie, kręci głową i wiesza na mnie psy. Wiedziałam, że wierzył w to, co napisali, bo do wczoraj byłam taka jak on. Robiłam swoje i czekałam nie wiadomo na co, a przy okazji łykałam całe to gówno, które czytałam w gazetach i o którym słyszałam w mediach, a potem po prostu je z siebie wyrzygiwałam.

Stopniowo podnosiła głos, gdy w jej pamięci zaczęły powracać echa minionego dnia – ten polityk w radiu, który mówił, że terrorystów należy eliminować, Cody w telewizji u Morettiego, twierdzący, że wie, kim jest „nieznana terrorystka”, oraz ekrany plazmowe w centrum handlowym, na których za sprawą realizatorów Doll wyglądała jak dziewczyna z pornosa.

– Ale to nieprawda, Wilder. Nieprawda. I teraz z każdą godziną to kłamstwo rośnie, oni są wszyscy jak śliniące się psy, a już nie chodzi nawet o...

Miała właśnie wymienić imię Tariqą, wtedy jednak wszystko do niej wróciło – telefon, zaulek, toyota, brzękliwy Chopin, wibrujące muchy, podskakująca klapa bagażnika i bijący w górę smród, który wydawał się właśnie wzbierać w jej nozdrzach, nie miała jednak siły opowiedzieć przyjaciółce, co zobaczyła. Znowu ogarnęła ją panika.

– Wszystko się zmieniło – powiedziała. – Nie widzisz? To mnie ścigają, Wilder. – Po chwili wykrzyknęła: – Zabiją mnie! – I nie była w stanie dłużej powstrzymać się od płaczu.

– Nie bądź głupia – odrzekła Wilder, przyciskając sobie głowę przyjaciółki do ramienia, żeby stłumić jej szloch, bo bała się, że Doll obudzi Maxa, a potem odciągnęła ją od progu i poprowadziła korytarzem. – Takie myśli nie prowadzą do niczego dobrego.

– Prowadzą do... – zaczęła Doll, odrywając głowę od ramienia Wilder. – Do tego, że teraz rozumiem, jakie jest życie. Ludzie nie są dobrzy ani źli, tylko słabi. – Spuściła wzrok i powtórzyła to ostatnie słowo, jak gdyby nigdy wcześniej go nie słyszała. – Słabi? Słabi... Słabi...

Po chwili jej myśli rozjaśniły się, spojrzała więc znów na Wilder i powiedziała już głośniej i wyraźniej:

– Ludzie idą za władzą... Rozumiesz mnie? Co mogą innego zrobić? Co innego człowiek może zrobić, kurwa?

Chwyciła Wilder za bluzkę i przyciągnęła do siebie tak mocno i blisko, że przyjaciółka wyczuwała jej krzyk w postaci wilgotnego wietrzyku na twarzy. Raz jeszcze spróbowała uspokoić Doll – jak dziecko, przeczesując palcami jej krótko obcięte włosy. Dziewczyna wyszarpnęła głowę spod ręki Wilder.

– Nie, Wilder, nie. Musisz mnie wysłuchać – ciągnęła podirytowanym i drżącym głosem. – Ludzie lubią strach. Wszyscy chcemy się bać, chcemy, żeby ktoś nam mówił, jak żyć, z kim się pieprzyć, dlaczego powinniśmy robić to albo myśleć tamto. To jest robota diabła. Dlatego jestem dla nich ważna, Wilder, bo jeśli możesz stworzyć terrorystę, to dajesz ludziom diabła. A media go potrzebują. To moja rola. Kumaszą?

Było jednak jasne, że Wilder nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Dla niej istniało dobro i tylko dobro, a diabła brakowało w jej światopoglądzie, dlatego gadanie o nim albo o złu było jedynie zabobonną brednią.

Doll tymczasem wpadła w histerię. Nigdy wcześniej nie myślała o takich sprawach, ale kiedy już o nich zaczęła mówić, wydawały się jej jednocześnie prawdziwe i przerażające, i czuła, jak gdyby w żyłach paliła ją jakaś zła moc.

– Jestem diabłem! – wołała, a z nosa wyciekały jej czułki gorących smarków, które wciągała z powrotem, płacząc i dysząc. – Jestem diabłem, naprawdę nie rozumiesz?

Wilder próbowała ją uspokoić, mówiąc, że wszystko jest w porządku, że wszystko będzie w porządku, i nie słuchała tego, co próbowała jej powiedzieć przyjaciółka.

Ale nic już nie było w porządku. Doll właściwie chciała jej powiedzieć, że jest na wszystko za późno, że przyszedł coś jak gdyby dzień zapłaty. Chciała powiedzieć, że nie o to chodzi, że nie zgadza się z taką odpłatą, nie protestuje przeciwko jej sprawiedliwości albo niesprawiedliwości, prawdzie czy nieprawdzie; nie, zdawała sobie sprawę, że teraz chce już tylko uciec, chociaż nie wiedziała, jak mogłaby to zrobić. Wtedy załamała się kompletnie i powiedziała Wilder, że Tariq nie żyje.

Wilder mówiła, ale Doll jej nie słuchała. Zupełnie już nie wiedziała, co powinna zrobić, a czego nie. Nieubłagany łańcuch wydarzeń, które nie ona zainicjowała i które miały coraz mniejszy związek z jej życiem, niósł ze sobą coś w rodzaju fatalizmu. Co za różnica, czy postąpi w taki czy inny sposób: cokolwiek ma się stać, i tak się stanie.

Wilder usiadła, mówiąc:

– To się da wyprostować.

Przyniosła jedzenie: kupiony kiedyś na wynos makaron pad thai, który znalazła w lodówce i odgrzała.

– Musisz się zastanowić, jakie zostały ci wyjścia z tej sytuacji.

Doll jednak wydało się, że rzecz jest w czymś innym. Zostały jej jakieś wyjścia, owszem, ale żadne z nich niczego nie mogło wyprostować. Zmusiła się, żeby zjeść trochę makaronu, jednak po kilku kęsach dała sobie spokój. Nie była głodna. Jedzenie w jakimś sensie wydawało się jej przeszkodą, czymś, co może ją spowolnić, jeżeli będzie musiała nagle uciekać.

Pierwsze rozwiązanie, jak stwierdziła Wilder, polegało na tym, żeby Doll oddała się w ręce policji. Obie zgadzały się jednak, że jej pierwotny problem był teraz jeszcze poważniejszy: bo skąd można było wiedzieć, że gliniarze uwierzą Doll albo jej nie wrobią? Doll przesuwiała makaron widelcem w lewo i prawo.

Wyjście drugie to ucieczka. Wszyscy wiedzą, jak łatwo jest sfalszować dowód tożsamości, powiedziała Doll, dopóki naprawdę nie trzeba go sfalszować, a bez fałszywych dokumentów nie może wydostać się z kraju. Wilder wątpiła w powodzenie ucieczki, bo przecież z seriali telewizyjnych i filmów wynikało, że policja potrafi namierzyć karty kredytowe i bankomatowe.

– Na szczęście nie mam kart – odparła Doll.

Wilder zauważyła jednak, że Doll nie ma też gotówki.

Trzecie wyjście to zostać u Wilder i czekać, aż ją znajdą. Obie były pewne, że jest tylko kwestią czasu, zanim policja zapuka do drzwi Wilder i zacznie zadawać pytania. Albo grozić jej bronią. Przyjdą, myślała Doll, jak przyszli po Tariqą, ubrani na czarno i z karabinami, gotowi go zabić. Zresztą kto powiedział, że to nie właśnie oni go zabili? Kto może wiedzieć, z czyjej broni padł strzał, który dosięgnął jego nieszczęsnej głowy?

– Strzelają, żeby zabić! – krzyknęła nagle Doll, upuszczając widelec i zalewając się łzami. Płakałaby tak długo, ale instynkt podpowiedział jej, że nie może i nie wolno jej płakać.

Przez kilka minut siedziały cicho.

– Moje pieniądze – odezwała się Doll. – Nie zamierzam ich stracić. – Przynajmniej w tej kwestii była zdecydowana. Kiedyś były dla niej rozwiązaniem życiowym, a teraz miały się stać rozwiązaniem jej problemów. – Za tę forszę mogę się z tego wykupić – powiedziała, wyznając z następnym tchnieniem, że jeszcze nie wie jak, ale to zrobi.

Wilder argumentowała, że jeśli Doll za bardzo się boi, by oddać się w ręce policji, a jeszcze bardziej boi się czekania, i jeżeli boi się pójść sama po pieniądze, to powinna znaleźć sobie jakąś inną kryjówkę na dzisiejszy wieczór, a rano Wilder pójdzie do jej mieszkania i weźmie dla niej pieniądze.

Tylko gdzie Doll mogłaby się podziać? Dobry byłby hotel, jakaś obskurna nora, gdzie istniałoby niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś ją rozpozna. Wilder zniknęła w sypialni i po chwili wróciła.

– Masz – powiedziała, podając jej kartę Visa. – Weź to. Nie przyjmą cię w hotelu tylko za gotówkę. Będą chcieli numer karty jako zabezpieczenie, więc lepiej, żebyś im nie podawała mojego.

Doll spojrzała na kartę kredytową. Widniało na niej wybite w plastiku niezgrabnymi, wypukłymi literami imię i nazwisko Evelyn Muir.

– To moja mama – powiedziała Wilder. – Niedługo przed śmiercią drugi raz wyszła za mąż, dlatego nie nazywa się Evelyn Wilder. Ale najpierw umarł jej mąż, potem ona, a mnie zwały się na głowę pogrzeby i spłata zadłużenia na kartach kredytowych. Jakoś nigdy nie zabrałam się do zamknięcia konta i z jakiegoś powodu, może dlatego, że mamę pochowano jako Evelyn Wilder, nie zlikwidował go bank. Wciąż przychodziły wyciągi, więc pomyślałam sobie, że może pewnego dnia do czegoś mi się to przyda.

Wzięły książkę telefoniczną i zaczęły szukać hotelu. Chociaż Wilder myślała, że tak będzie bezpieczniej, znała swoją przyjaciółkę na tyle dobrze, żeby nie sugerować jej niczego w zachodniej części miasta, szukała więc lokum bliżej centrum. Zatelefonowały w kilka miejsc, dowiedziały się o ceny kilku pokoi, a potem zdecydowały się na zaskakująco tani hotel niedaleko przedmieścia Double Bay. Wilder zarezerwowała pokój na cztery najbliższe noce, twierdząc, że dłuższa rezerwacja mogłaby się wydać podejrzana.

Odczekawszy jeszcze dobre pół godziny, Doll pożegnała się z nią i wsiadła do taksówki, pachnącej dezodorantem w aerozolu i wymiocinami. Umieszczone przed wylotem powietrza śmigielko-zabawka wirowało bez sensu, bo otyły kierowca, tkwiący niczym jakiś jurajski embrion w ochronnej skorupce jaja swojej taksówki, sam wydawał się pochłaniać większość nawiewu z klimatyzacji, jak gdyby to było jakieś kriogeniczne błogosławieństwo. Jednocześnie rozsiewał wokół amoniakową woń swojego ciała, tak jak kwiat rozsiewa pyłek.

Doll przysiadła na brzegu tylnej kanapy, starając się dotykać udami możliwie najmniejszej powierzchni lepkiej skajowej tapicerki, marmurkowej od tłustych plam przypominających rakowate mięsaki. Kiedy się pochyliła, do głowy niespodziewanie wpadła

jej pewna myśl, wizja znajomej osoby i dosyć określony plan działania, a przy tym ogarnęło ją poczucie ulgi. Miała nowy cel. Oczywiście, pomyślała, zmiana planów w tej chwili będzie oznaczać pewne upokorzenia, co do tego nie ma wątpliwości, ale z tym się liczyła. Mimo wszystko było to rozwiązanie.

– Mniejsza o Double Bay – zwróciła się do otyłego kierowcy. – Jedziemy do Mosman.

Zapłaci za to, zawsze trzeba płacić, ale kiedy jechali przez Harbour Bridge, zdała sobie sprawę, że chętnie, bardzo chętnie zapłaci żądaną cenę. Pojedzie do Morettiego, im szybciej, tym lepiej; opowie mu o wszystkim, co ją spotkało, będzie go błagać, a on jej pomoże.

Podjąwszy decyzję, poczuła, że życie jest lepsze – bo uwierzyła, że istnieje droga, która wyprowadzi ją z tarapatów. Kiedy połyskliwe jak torebki Glomesh sztylety wieżowców North Sydney znikaly za jej plecami, myślała, że wkrótce znowu pokryje swoje ciało banknotami i kupi sobie własny kawałek miasta. Będzie szczęśliwa i wolna. Musi tylko zrobić, co trzeba, by to osiągnąć, a jeśli trzeba pojechać do Morettiego i robić wszystkie obrzydlistwa, o jakie ten kaleka może ją poprosić, no to trudno.

Gdy przyjechała pod jego willę, wcale nie było w niej jednak ciemno i cicho, jak sobie wyobrażała. Moretti miał gości. Paliły się wszystkie światła, przed domem stały czarne bmw z napędem na cztery koła i dwa mercedesy.

Nie była już teraz zbyt pewna, co mu dokładnie powie i o co może go poprosić – jak mogłaby wytłumaczyć to wszystko, co się stało? Znalazła się w takiej wyjątkowej, takiej idiotycznej sytuacji, że przez chwilę sama zwątpiła, czy to wszystko prawda. Wprawdzie on jest bogaty, ale ostatecznie co ktoś taki jak Moretti mógłby dla niej zrobić? Nawet gdyby zrozumiał, nawet gdyby uwierzył, to jak, na Boga, byłby w stanie jej pomóc? Wszystko, co wydawało się jasne i oczywiste zaledwie kilka minut wcześniej, stało się nagle skomplikowane i idiotyczne.

W tym momencie odwróciłaby się i uciekła, była jednak taka skołowana, że tymczasem zadzwoniła do drzwi, które otwierała już jakaś kobieta z krzywymi nogami okrytymi niebieskim fartuchem – pewnie służąca, domyślała się Doll, sądząc po jej stroju.

Musiała coś powiedzieć, więc poprosiła:

– Proszę powiedzieć panu Morettiemu, że przyszła Krystal.

Kobieta przyjrzała się jej bliżej.

– Jak?

– Krystal.

Służąca spojrzała na nią tępym wzrokiem. Doll poczuła się upokorzona, kiedy tamta powtórzyła:

– Crystal?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała Doll, uśmiechając się do tej wstrętnej suki.

Kobieta zniknęła. Z wnętrza dobiegał chłodny śmiech gości. Po jakimś czasie Doll usłyszała szmer elektrycznego silniczka wózka inwalidzkiego i z boku nadjechał Moretti.

– Tak? – powiedział, nawet nie zadając sobie trudu, żeby zwrócić się do niej po imieniu. Zachowywał się zupełnie inaczej, niż kiedy odwiedzała go w poniedziałkowe poranki; był zimny i poirytowany. Jego oczy przesłonięte czerwonymi okularami Porsche nie były już duże i gamoniowate, tylko małe i ostre jak lasery.

– Przepraszam, panie Moretti – powiedziała, bo musiała przecież coś powiedzieć.

I kiedy tak stała przed eleganckimi cedrowymi drzwiami, patrząc z góry na Morettiego, jej umysł jak gdyby się zakorkował. Wszystko, co jej się przydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, wróciło do niej jednocześnie, ale nie potrafiła znaleźć słów mogących ruszyć z miejsca którekolwiek ze wspomnień.

Miała wrażenie, że jej życie staje się tylko coraz bardziej niedokładnym odbiciem tego, co mówią o niej media. Zamiast z tym walczyć – pomyślała – jej zadaniem było znaleźć sposób, by zgodzić się z telewizją, radiem, prasą, nie dyskutować z nimi, nie zaprzeczać im i nie przyjeżdżać do Morettiego w nadziei, że ucieknie przed dziennikarzami. Ostatecznie ważne było to, żeby im potakiwać i być posłusznym. Człowiek musi się podporządkować, to było ważne, nawet w tej nowej roli, której nienawidziła tak samo jak roli terrorystki.

Zdawała się na łaskę i niełaskę takiego nędznego chujka jak Moretti i wiedziała, że to szaleństwo, ale czy wszystko, co robimy, nie jest szaleństwem? Zgadzać się ze światem, nie zgadzać się z nim – co miała robić? Stało się coś, czego nie potrafiła zrozumieć, coś tak poważnego i strasznego, że brakło jej na to słów, ale stało się – i w jakimś sensie to ona była temu winna. Stojąc przed Morettim, po prostu uświadomiła sobie ze zdumieniem, że nagle poczuła się okropnie winna. Być może to nie świat jest zły, ale ona, bo się z tym światem nie zgadza – i właśnie dlatego ma wyrzuty sumienia.

Musiała opowiedzieć Morettiemu o tych wszystkich sprzecznościach i poprosić go zarówno o ich wyjaśnienie, jak i opiekę. Ale jej umysł pozostawał w bezruchu, nadal nie mogła więc znaleźć ani jednego słowa, żeby to wszystko opisać.

– Twoja pora to poniedziałek rano – powiedział Moretti. – Jeśli będę chciał cię widzieć kiedy indziej, dam ci znać. – I anemicznie pchnął cedrowe drzwi, żeby je zamknąć.

Zrozumiała, że musi coś zrobić, wyciągnęła więc rękę, by się nie zatrzasnęły.

– Zgubiłam portfel – zawołała nagle. Poczula, że się uśmiecha, i chociaż drżał jej głos, usłyszała, jak kłamie bez mrugnięcia okiem, jak gdyby był to jeszcze jeden wieczór w klubie. – Wydaje mi się, że chyba zostawiłam go u ciebie.

– Nie widziałem go – powiedział Moretti.

– Pozwolisz mi wejść? – uśmiechnęła się. – I szybko się rozejrzeć?

– Mam gości – odparł, jasno dając do zrozumienia, co chce przez to powiedzieć.

Nie odpowiedziała, ale i nie odwróciła się, by odejść.

– No dobrze – odezwał się Moretti, wreszcie ustępując. – Jak skończysz, to idź stąd. – Jego wózek inwalidzki zatoczył półkole, odjeżdżając, ale zaraz znowu zawrócił. – Musisz zrobić coś więcej, niż przefarbować włosy, żeby wyjść z tego cało – powiedział. – Naszą umowę uważam za rozwiązana, a dzisiejsze spotkanie za ostatnie. – To mówiąc, ponownie zawrócił i z szumem silnika pojechał do jadalni.

Doll dalej stała w progu. Czuła się jak szmata; wstrętna, śmierdząca szmata. Wiedziała, że nie powinna tu przyjeżdżać. Teraz dotarło do niej, że nawet gdyby wiedziała, jak powiedzieć Morettiemu o tym, co się stało, nie pomógłby jej, bo najwyraźniej wiedział co nieco i jego jedynym zmartwieniem było to, żeby się od niego odczepiła.

A jednak nie mając pojęcia, co innego zrobić, weszła do środka. Minęła wspaniałą jadalnię i zobaczyła uczestników przyjęcia w drugim końcu pokoju, ale chyba nikt nie widział jej. W kuchni krzatali się kucharz, służąca z krzywymi nogami i jakaś młoda kobieta w stroju kelnerki. Doll zaglądała tu i tam, udając, że czegoś szuka. Ponieważ nic nie znalazła, weszła do biblioteki, gdzie mogła być sama.

Zwróciła uwagę na leżący na stoliku otwarty album z czarno-białymi fotografiami. Pochyliła się nad nim i przyjrzała zdjęciu jakiejś kobiety z ogoloną głową; stała naprzeciwko tłumowi ludzi. Odwróciła kartkę. Dalej było więcej zdjęć, na których tej samej kobiecie golono głowę. Podpis pod pierwszą fotografią głosił: „Kolaborantka”.

„Francja, sierpień 1944 roku. Po zdobyciu Chartres przez sprzymierzonych – przeczytała zamieszczoną pod tytułem informację – mieszkańcy miasta golą za karę głowę dziewczynie, która urodziła dziecko Niemcowi”.

Gapie, w większości kobiety, byli roześmiani i mieli szczęśliwe miny. Radosne dzieci wydawały się cieszyć dniem. Tylko matka z ogoloną głową wyglądała na przygnębioną, wzrok miała wbity w trzymane na rękach niemowlę.

Doll ruszyła do wyjścia. Przystanęła na chwilę w holu koło ozdobnej drewnianej szafki i podniosła wzrok na obraz Miró. Zastanawiała się, co teraz robi, wpatrując się w człowieka, który pożarł słońce. Co może zrobić? Wtedy po raz pierwszy zauważyła, że nad niektórymi fragmentami obrazu rozciąga się mgielka pajęczyn, a pomiędzy płótnem i szybą – tuż nad czołem człowieczka – wisi biały kokon. Zdała sobie sprawę, że Moretti nigdy nie patrzy na obraz, z którego jest taki dumny. Na pewno ma w domu więcej różnych rzeczy, które ogląda jedynie od przypadku do przypadku.

Słyszała, jak w kuchni pracują ludzie z firmy cateringowej; z jadalni dochodziły ostre, lodowate odgłosy przyjęcia – brzęk szkła, porcelany i łamliwy śmiech. Nikogo nie widziała. Nikt nie widział jej. Przesunęła palcami po wielkich łbach ręcznie robionych marokańskich gwoździ, wyciągnęła rękę, zdjęła figurkę słonika i podniosła mu trąbę.

Nick Loukakis spojrział na prawie pustą butelkę Penfolds Bin 128.

– Dobrze? – zapytał.

– Gdyby nie było dobre, raczej bym go nie piła – odpowiedziała Diana.

Obok penfolds bin 128 stała pusta butelka po coriole redstone. Nick zdał sobie sprawę, że wcześniej nie zauważył, że Diana pije teraz każdego wieczoru, opróżnia przynajmniej jedną butelkę wina, a czasami, jak dzisiaj, dwie albo więcej. Może nie zorientował się w tym dlatego, że nigdy nie wydawała się pijana, nie zataczała się i w żaden sposób nie sprawiała wrażenia podchmielonej. Tylko coraz częściej się złościła. A jej złość była totalna.

Nie powiedziała, że powinni się rozstać. Wiedział, że ostateczna decyzja będzie należeć do niego. Czuł się jak nawigator na płonącym statku. W pewnym momencie będzie musiał przyznać, że walka jest nierówna, niemożliwa. Będzie musiał powiedzieć:

– Nie ma już nic, to koniec, musimy to zrobić, i zrobimy to w ten sposób.

Ale jeszcze nie teraz. Ciągle miał nadzieję... Tylko na co?

– Jesteś taki okropnie małostkowy, kurwa – oświadczyła Diana. – Wiesz o tym, prawda? Wiesz, jaki jesteś małostkowy?

Była to prawda. Bywał małostkowy. Była to także nieprawda. Czasami nie potrafił powiedzieć niczego, co jej nie wydawałoby się małostkowe. Przestali umieć ze sobą rozmawiać i być. Pozostał krzemień trący o żelazo. Wszystko zgrzytało, bolało, stawało w płomieniach. Leżeli w łóżku, a on mówił: „Proszę, nie nienawidź mnie, Diano, proszę cię, nie nienawidź mnie”.

Nienawidziła go jednak, bo musiała, naprawdę nienawidziła. Była to miara jej smutku i cierpienia; jej prawo i jedyna nadzieja na odkupienie, duma i godność, które zawsze w niej podziwiał, a Diana była teraz zdeterminowana i potrzebowała roztrzaskać na kawałki tę ich ostatnią wspólną piękną rzecz, żeby zrozumiał, że to koniec, i by wreszcie powiedział:

– Nie ma już nic, to koniec, musimy to zrobić, i zrobimy to w ten, a nie w inny sposób.

Żadne z nich tego nie rozumiało. Oboje doskonale o tym wiedzieli. Oboje chcieli skończyć swój związek. Wiedzieli jednak, że na razie muszą czekać, i niczym dzikie zwierzęta w niebędącej dziełem ich rąk pułapce rzucali się na siebie, osłabiali i kaleczyli nawzajem, ciągle czekając, czekając i czekając.

Ich dwaj synowie klócili się przez cały dzień i nic, co mówił Nick, nie mogło położyć tamy tym sprzeczkom. Przed kolacją wziął obu chłopaków za ręce i właśnie miał po raz kolejny powiedzieć coś bezsensownego, kiedy poczuł, że już więcej nie może. Zrozumiał, że

w małostkowości, nienawiści, nieustannych oskarżeniach i rzucanych z najbliższych powodów złośliwościach ich synowie, którzy się przecież kochali, po prostu naśladują jego i Dianę. I że aktualnie nie daje swoim dzieciom nic więcej, tylko taki przykład.

Kiedyś miał nadzieję, że miłość jest wszystkim. Chciał im to powiedzieć. Że kiedyś miał taką nadzieję. Ale miłość to za mało. Nigdy nie była wszystkim.

– Proszę cię, nie płacz, tato – odezwał się młodszy syn Nicka. – Nie warto nad tym płakać.

Uspokoila myśli, gdy wyszła na ulicę. Nie udało jej się złapać taksówki, a ponieważ nie chciała zamawiać taryfy ze skradzionego telefonu zaraz po opuszczeniu domu Morettiego, złapała ostatni prom do miasta. Ociągała się, wysiadłszy na Circular Quay, kręciła się po molu, dopóki nie opustoszało, podchodząc na jego skraj, jak gdyby podziwiała wieczorny widok portu. Sięgnęła do torebki, wyjęła swój telefon i włączyła go.

Okazało się, że ma dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia. Trzydzieści sześć nowych wiadomości. I brak miejsca w pamięci. Pstryknięciem palca zamknęła klapkę telefonu, ukryła go w dłoni i przysiadła w kucki na brzegu mola, jak gdyby wpatrzona w coś w ciemnej, pełnej śmieci wodzie. Potem wypuściła z ręki komórkę, by wpaść do zatoki i zatoneła tam, gdzie spoczywa tak wiele innych tajemnic Sydney. Wstała i po raz drugi tego dnia ruszyła piechotą w głąb dusznego miasta.

Szła do hotelu Retro na końcu Pitt Street. Nie wiedziała o nim nic, wiele razy podczas jazdy taksówką widziała tylko jego popękaną reklamę za akrylową szybą; nikt nigdy jej nie naprawiał. Chciała zamieszkać tam, a nie w hotelu, który zarezerwowała dla niej Wilder, bo z niewiadomej przyczyny czuła się bezpieczniej w ukryciu w Centralnej Dzielnicy Biznesowej niż w Double Bay. Nie taki był plan, ale może, rozumowała, tak będzie lepiej. Zadzwoi do Wilder jutro i umówi się z nią, żeby przyniosła pieniądze z jej mieszkania.

Pocieszała się, że dotąd policja ma tylko bardzo ziarniste nagranie z kamery monitoringu, parę starych i niewyraźnych, radosnych fotek sprzed kilku lat oraz główniane wideo przedstawiające ją w tańcu. Wyglądała na tych zdjęciach inaczej niż dziś, na ich podstawie nawet w tamtych latach trudno byłoby ustalić jej tożsamość, uważała więc, że teraz, kiedy Wilder zmieniła jej fryzurę, stała się właściwie nie do poznania. Bała się jednak wszystkich, którzy mogli się jej przypatrywać po to, żeby ją wydać, jak również policjantów, gotowych zastrzelić nieznaną terrorystkę. Dlatego unikała spojrzeń przechodniów, szła szybko i ze spuszczoną głową.

Wszędzie widziała jednak swoje zdjęcia. Pojawiła się też w strzępach zasłyszanej na ulicy rozmowy, kiedy jakaś posągowa kobieta, wychodząca z baru dla biznesmenów, zaćwierkała w duszne, wieczorne powietrze: „Nawet nie miałam czasu, żeby prześledzić bliżej aferę tej tancerki erotycznej”. Doll odwróciła się bokiem, kiedy kobieta otarła się o nią na chodniku; ciągnęła za sobą zapach perfum i oleisty smród wyziewów z kuchni pobliskiej restauracji, woń rozgrzanego tłuszczu, brudnej wody po zmywaniu naczyń i chanel N°5. „Mam tylko nadzieję, że zdążą ją dopaść, nim ona dopadnie nas”.

Miasto, które kiedyś wyczuwała i znała wyłącznie jako wolność, teraz wydawało się zamykać wokół niej – upał, upiorny ruch, syreny policyjne, łoskot i wrzaski na budowach,

którym nie było końca – dlaczego teraz wszystko sprawiało na niej takie deprymujące i złowieszcze wrażenie?

Podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę, który zamykał na noc swój sklepik spożywczo-przemysłowy; wnosił do środka gazety, tkwiące w drucianych klatkach i krzyczące nagłówkami, takimi jak „Komórki terrorystyczne”, „Kochankowie-terrorystów” i „Czy Sydney jest gotowe na najgorsze?”. Spostrzegł, że Doll mu się przygląda, i pozdrowił ją chrapliwym głosem. Najpierw po prostu na nią spojrział, potem wbił w nią wzrok.

– Pani twarz wydaje mi się znajoma... – powiedział. – Ale nie wiem skąd... Czy...? Z telewizji albo coś takiego, prawda? Jest pani sławna. Bardzo mi przykro, ale po prostu nie wiem... Może występowała pani w *Big Brotherze*?

– Żałuję, ale nie – odpowiedziała Doll, uśmiechnęła się i poszła dalej.

Nic nie było takie, jak przedtem. Martin Place, gdzie kiedyś chodziła szczęśliwa po pięknych markowych sklepach, teraz wydawał się jej pusty i dziwny, jak ruiny starożytnego miasta, które już dawno temu przestało mieć jakikolwiek sens. Przez chwilę stała otoczona kolorowymi plakatami i pięknymi obrazkami, które niczego nie komunikowały. Dolce & Gabbana. Louis Vuitton. Co znaczą te nazwy? Na pionowych banerach reklamujących firmę znanego projektanta modele i modelki, jeszcze dzieci, zostali przedstawieni z dziwnym, tępym spojrzeniem, jak świadkowie masakry albo jakichś innych okropności, których wciąż nie potrafili zrozumieć. Versace. Gucci. Armani. Doll doznała przelotnego wrażenia, że ogląda szczątki wielkiej, zaginionej cywilizacji, która stała się nie do odszyfrowania, jak świątynie w Angkor Wat, które odwiedziła kiedyś Wilder i których zdjęcia jej później pokazywała; niezwykłe miejsca, wspaniałe budowle, piękne przedmioty, cudowne dzieła sztuki, mające cel i znaczenie tylko dopóty, dopóki wszyscy się zgadzali, że mają cel i znaczenie.

Po chwili wrażenie minęło: Doll znowu była na wieczornej ulicy, w zwyczajnym miejscu, przez które się tylko przebiega i które szybko się opuszcza, po czym na nowo podjęła wędrówkę do hotelu Retro.

Richard Cody siedział przed monitorem w montażowni programu *Undercurrent*, pomieszczeniu rozmiarów schowka na środki czystości, wyposażonym w przesadnie wielki wentylator, który owiewał jego obolałą głowę brzydko pachnącym powietrzem. Było już bardzo późno. Młody montażysta, Todd Birchall, przewijał cały materiał tam i z powrotem. To beznadziejne, pomyślał Richard. Brakowało mu jakiegoś różna, na który mógłby ponadziewać wszystkie te smakowite kąski z rozmów i wywiadów. Na dokończenie programu specjalnego o tancerce erotycznej, która została terrorystką, miał już mniej niż dwadzieścia cztery godziny, a nie dysponował niczym, co mogłoby skleić jego opowieść.

Todd miał opinię kapitałnego montażysty. Nie przejmował się tym, że sam musi budować relacje między obrazami i robić skoki montażowe, dokonując cięć, których cała opowiadana historia być może wcale nie usprawiedliwiała. „Za każdą cenę”, tak brzmiało motto na jego czapce bejsbolowej, którą nosił zawsze, bez względu na pogodę i okoliczności. Ale nawet on nie wiedział, co teraz robić. Postukał w przednie zęby kolczykiem zdobiącym czubek jego języka.

– Może jest tak – powiedział – że ten materiał to po prostu chujowa chujoza. – Richard, zastanawiając się nad tym problemem, metodycznie darł na kawałki kopertę. – Znaczący facetka idzie do łóżka z tym gościem – ciągnął Todd – a potem ludzie zwalają na nią winę za wszystko, od WTC po raka Kylie. To dziwne. No bo niby dlaczego ktoś taki jak ona miałby chcieć zostać masową morderczynią?

Montażysta zaczął wkurzać Richarda. Ostatecznie nie powiedział sobie: „Ponieważ nie ma żadnych niezbitych dowodów, że ta kobieta zrobiła kiedyś coś złego, muszę stworzyć jej portret jako monstrum”. Nie, byłby to bowiem hańbiący akt cynizmu, a żaden prawdziwy cynik nie może sobie pozwolić, aby nie być całkowicie szczerym w swoich opiniach. Nie, Richard zaczął sobie raczej wyobrażać kobietę po jakichś aż tak traumatycznych przejściach, że została pozbawiona uczuć, kobietę bez empatii, która z łatwością mogła popełniać najbardziej bezlitosne akty okrucieństwa. Ogarniało go prawdziwe przerażenie na myśl o tym potworze, nieczulej istocie ludzkiej, zdolnej zabić setki swoich bliźnich. Pytanie „Dlaczego?” zachowywało jednak swoją wagę.

Todd w irytujący sposób znowu stuknął językowym kolczykiem o swoje przednie zęby, jak gdyby spodziewał się, że Richard wymyśli coś na poczekaniu. Cody tymczasem czuł się urażony. Todd, być może wyczuwając napiętą sytuację w montażowni, wyszedł po piwo.

Richard gardził dziennikarzami, którzy zmyślali. Nie cierpiał powiedzenia „nie pozwól, żeby fakty przeszkadzały ci zrobić dobry materiał”, bo sztuka dziennikarska – Cody, który dostał kilka nagród Walkley i którego hobby, jak podano niedawno w dużym artykule

w „Women’s Weekly”, było pejzażowe malarstwo akwarelowe, wierzył głęboko, że dziennikarstwo na najwyższym poziomie jest bez wątpienia sztuką – zatem sztuka dziennikarska miała wykorzystywać te prawdy, do jakich udało ci się dotrzeć, by opowiedzieć historię, którą uznałeś za ważną.

Kiedy zatem chwycił za telefon i złapał Raya Ettslingera w Byron Bay na konferencji poświęconej parapsychologicznym aspektom nowoczesnego zarządzania korporacyjnego, z niecierpliwością czekał na jego odpowiedź na pytanie, czy taki groteskowy brak uczuć pasuje do profilu psychologicznego terrorystki.

Ray zamilkł, bo był pijany, wyjrzał przez okno restauracji na aborygeńskich żebraków, a potem dalej, na piękne australijskie morze, i zanim odpowiedział twierdząco, zakrył dłonią słuchawkę swojej oblepionej taśmą klejącą motoroli, po czym wysyczał do pozostałych uczonych przy stole:

– Media.

Przewrócił wylupiastymi oczami, co miało znaczyć, że kontakty z przedstawicielami środków masowego przekazu to męczący aspekt jego codzienności, a nie jedyna w tej chwili ekscytująca strona jego życia.

Był psychologiem, którego Richard wykorzystał ostatnio, kiedy robił program o duchach w operze w Sydney. Uwielbiał korzystać z pomocy Raya: był taki cudownie utalentowany. Miał największy nochal, jaki Cody w życiu widział, i szalone oczy, a także pompatyczny i niezwykle władczy sposób bycia. Mimo to łatwo dawał się reżyserować i nigdy się nie skarżył, kiedy Richard ciął jego wypowiedzi. Ettslinger wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Teraz wstał od stołu i wyszedł na zewnątrz. Jak zwierzył się do swojej motoroli, był zmęczony. Ponuro skarżył się na plecy, bark, jelita i studentów. Ale kiedy Richard wspomniał tancerkę erotyczną, Ray zaczął przypominać startujący do pracy twardy dysk. Dziennikarz prawie słyszał cichy szmer wirujących płyt magnetycznych i wentylatorów chłodzących procesory Intela, które miały niezbędne informacje, aby uzyskać odpowiedni wynik.

Prowadzone przez Ettslingera Centre for Excellence in Executive Culture na kampusie University of Technology w zachodnim Sydney nie przyciągało już tylu studentów co przed kilku laty. Niedawno rozstał się z trzecią żoną i nie zaproponowano mu awansu, odkąd odmówił przyjęcia katedry na University of Tasmania, bo jak żartował z przyjaciółmi, nie był pewien, czy byłby to awans, czy przeniesienie. Dwie byłe żony znowu siedziały mu na karku, domagając się wyższych alimentów, a jego niegdyś zyskowna robota na boku jako konsultanta w sprawach zarządzania, która długo była lukratywnym żartem, nie przynosiła już takich zysków jak dawniej. Potrzebował pieniędzy i wiedział, że musi się znajdować w centrum uwagi, żeby je zdobyć. Napisał dobrze przyjęty esej *Dysonans kognitywny i zamachowcy samobójcy* na konferencję w Stuttgarcie i szykował się do objęcia nowo

powstałej Katedry Badań nad Terroryzmem w Australian Defence Force Academy. Tancerka erotyczna terrorystką?

– Oczywiście – odparł. – Wszystko do siebie pasuje.

Faktycznie, pasowało.

Choć jego uczeni koledzy szydzili z mediów komercyjnych, Ettlslinger wiedział, że liczą się one bardziej, niż mają odwagę przyznać akademicy. A teraz *Undercurrent* oferował mu niewielką, ale istotną i jak podejrzewał, długotrwałą rolę w dramacie narodowym. Nie mógł się temu oprzeć.

– Łatwo to wytłumaczyć – odezwał się głosem jasnym niczym nowy monitor LCD. – Czy może istnieć jakiś inny powód, żeby wysadzić się w powietrze niż jakaś straszliwa trauma emocjonalna?

– Ale jak to, Ray? – spytał Richard. – Ta dziewczyna wydaje się... Hm... Zwyczajna.

– Ma rodzinę?

– Jest rozwódką. Mąż też był zwyczajny. Matka nie żyje, wypadek samochodowy. Zero przeszłości kryminalnej.

– Porozmawiaj z jej ojcem – polecił Ray. – A potem sfilmujesz mnie, jak oglądam twój wywiad i go komentuję. Ojciec albo jej nienawidzi, albo jest z nią w złych stosunkach. Czy istnieje lepsze wytłumaczenie dla jej sympatii proterrorystycznych?

– Dziewczyna ma nasrane pod kopułą – powiedział Richard, który zaczynał się dostrajać do myślenia Raya, co nie było zbyt trudne, zważywszy, że psycholog po prostu rozwijał myśl, którą Cody rzucił jako pierwszy.

– Dla osób o takim profilu psychologicznym ideologia islamska jest nieodparta – ciągnął Ray, który na islamie nie znał się prawie wcale. – Oferuje zarówno bezpieczną tożsamość, jak i mechanizm zemsty. Może być też odwrotnie, czyli że ojciec ją kocha, dziewczyna była jego oczkiem w głowie, a więc jest rozpieszczona... Syndrom Patty Hearst. – O Patty Hearst Ray też prawie nic nie wiedział.

– Ma nasrane pod kopułą i kipi ze złości – powiedział Richard.

– Tak jest. Tak czy owak, ma nasrane pod kopułą. I tak czy owak, mogę wygrać na tym coś dla nas obu.

Richardowi bardzo spodobało się to „dla nas obu”. Ray był znakomitym graczem zespołowym. I gadał, gadał i gadał, dając Richardowi wszystko, czego potrzebował. A ponieważ nic tak nie podnieca ludzi jak wspólny cel, i to nieważne jaki, obaj ożywili się teraz jeszcze bardziej. Ustalili, że wywiad z ojcem nieznannej terrorystki odbędzie się następnego dnia.

– To jest jak gra w sudoku – oświadczył Ray, zanim się rozłączył. – Musisz tylko dobrać odpowiednie cyfry.

Wrócił Todd z sześciopakiem Tooheys New. Nie miał czapki na głowie.

– Kurwa, ale jest jeszcze gorąco – westchnął, podając Richardowi flaszkę.

Cody przyjął piwo, chociaż rzadko pił; zastanawiał się, kto przed nim dotykał tej butelki i jakie bakterie mogą się czaić na jej z pozoru czystej powierzchni. Wydało mu się jednak, że ma teraz powód, żeby świętować – materiał, program, swój comeback. Ręce umyje później.

Za czerwonym, popękkanym szkłem widoczna była neonówka, oświetlająca nazwę „Hotel Re.ro”.

Doll weszła do środka w ślad za niewielkim monsunem turystów z Azji, którzy wlewali się właśnie do recepcji; okiem tego cyklonu była kobieta z długim kijem zwieńczonym plastikowym słonecznikiem. Kiedy przyszła wreszcie kolej na Doll, która posłużyła się kartą kredytową matki Wilder, recepcjonistka nawet nie spojrzała na jej twarz.

– Miłego dnia – powiedziała ze wzrokiem wbitym w blat, oddała dziewczynie kartę i dołączyła do niej klucz do pokoju.

Doll wcisnęła się do starej windy, również zapchanej Azjatami. Gdy urządzenie z drzeniem ruszyło na górę, ich głowy rozkołysały się niczym maszynowe łożyska kulkowe.

Rozebrała się w maleńkim pokoiku i przeszła dwa kroki dalej do łazienki po ognioodpornym dywanie – tak łamliwym i suchym, że miała wrażenie, że stąpa po okruchach stopionego plastiku. Weszła do akrylowej wanny, której maty antypoślizgowe lepiły się od brudu, i przy użyciu hotelowego mydła, przypominającego nędzny sucharek, tylko częściowo zdołała zmyć z siebie cały smród tego wieczoru.

Potem położyła się do łóżka. Próbowwała nie zwracać uwagi na ostrą woń chemikaliów, na tandetną, zmechaconą nylonową pościel, w której czuła się jak przykryta rozgrzanym papierem ściernym, na elastyczną piankową poduszkę, z której głowa wciąż się jej zsuwała w lewo i w prawo, w górę i w dół jak piłka; starała się uspokoić, oddychając głęboko i powoli, ale pomimo klimatyzacji powietrze w dusznym pokoju hotelowym było lepkie, oddychała więc z trudem.

Nade wszystko próbowała udawać, że to, co się stało, wcale się nie stało, i że tu jest bezpieczna. Usiłowała sobie wyobrazić, że nadal mieszka w Australii, gdzie takie rzeczy przecież się nie zdarzają. Ale leżąc w tym żalonym pokoju hotelowym w swoim szczęśliwym kraju, miała, jak widać, coraz większe trudności nawet z oddychaniem.

Myślała o tym, co opowiadał Moretti o holenderskich żołnierzach, którzy zdradzili mającą wkrótce umrzeć Srebrenicę. Wydawało się jej, że ci Holendrzy, którzy potulnie złożyli wtedy broń, są tacy sami jak politycy, agenci służb specjalnych i dziennikarze, którzy również zdradzają obywateli, zamiast ich bronić.

Po chwili zaczęła się dusić. Wstała i podeszła do okna, nie dało się go jednak otworzyć. Próbowwała uspokoić oddech, zobaczyła swoje odbicie w szybie i doznała strasznego objawienia. Czy mimo wszystko ona też nie jest taka? Czy choćby dzisiaj rano nie przeszła

obojętnie obok żebraczki z poranioną twarzą? I czy zaledwie kilka godzin temu nie minęła bez słowa tej starowiny, którą dręczyły dzieci?

Ku swojemu przerażeniu zrozumiała, że tak jak ona nigdy o nic nie dbała, nie zastanawiała się nad niczym i niczego nie kwestionowała, tak nikt nie będzie się przejmował ani zastanawiał nad tym, co o niej słyszał. I nie będzie tego kwestionował. Nie pomogła nikomu, jak może więc teraz oczekiwać, że ktoś pomoże jej? Ponieważ dołączała się do chóru potępienia dla innych, jak może się teraz dziwić, że inni chóralnie potępiają ją?

Zrozumiała, że wszyscy, którzy śledzili historię „terrorystki, z zawodu tancerki erotycznej”, zachowują się po prostu tak jak kiedyś ona. Przerażała ich jej historia, ale czy ona nie czuła kiedyś podobnego strachu? Czy niezliczeni widzowie nie zasypiali teraz w swoich salonach, obejrzawszy w telewizji opowieść o jej życiu, myśląc właściwie tylko tyle, że dotyczyła niewyraźnego zła, któremu przeciwstawiono niewyraźne dobro – wartości narodowe, narodowy styl życia, bezpieczeństwo narodowe – tak jak ona zapadała w drzemkę setki razy po podobnych reportażach informacyjnych, nie myśląc w ogóle o niczym? O niczym!

Połknęła dwie tabletki temazepamu, położyła się z powrotem w pościeli przypominającej papier ścierny i próbowała sobie wyobrazić, że nie ma jej tu i że wszystko jest dobrze. Ale nie wszystko było dobrze. Lek zaczął działać, poczuła olbrzymi, narastający ciężar pod powiekami, jak gdyby zaraz miała zasnąć, sen jednak nie nadchodził.

Wokół zbierała się wyjątkowo przerażająca ciemność i Doll wiedziała, że musi ją przebyć sama, nie mogła się jednak ruszyć, coraz trudniej było jej oddychać, a w sercu znów rozbrzmiewał głos, o którym miała nadzieję zapomnieć. „To ty zabiłaś Fung! – mówił. – To ty zabiłaś Fung! To ty zabiłaś Fung! To ty zabiłaś Fung!” W ten sposób noc się ciągnęła – nawet najbliższy przyjaciel Doll, temazepam, już nie potrafił jej pomóc.

Frank Moretti chciał żyć i być częścią Sydney, tym bardziej że życie i Sydney były dla niego jednym i tym samym. Uda mu się dzięki pieniądзом, kłamstwom, wazeliniarstwu, groźbom, łapówkom, oszustwom, wdziękowi osobistemu, determinacji i animuszwowi; udało się już kiedyś, więc uda się i teraz.

Lecz ogarnęły go mdłości, a pokój nagle wydał mu się strasznie przegrzany. Moretti oblewał się potem. Tym fizycznym sensacjom towarzyszyło nagle poczucie wstydu i żalu, które wprawiało go tylko w większą złość, a ze złości mdliło go jeszcze bardziej. Ale dlaczego tak się teraz bał i skąd brało się jego poczucie winy?

Chociaż wcale tego nie chciał, przez cały dzień nie potrafił przestać wpatrywać się w gazetę. Zdjęcia się nie zmieniły. Tak, to był on, Tariq al-Hakim, informatyk, z którego usług całkiem niedawno korzystał, raz, żeby przywiózł mu heroinę z Pakistanu, i raz, co przyniosło większe zyski, kokainę z Kuala Lumpur. I jest z nim, co zdumiewające, ta kobieta, striptizerka, Krystal. Oczywiście było to idiotyczne... a może wcale nie? Trudno powiedzieć. Tak czy owak, Frank nie miał wątpliwości, że jest wyłącznie kwestią czasu, zanim pojawi się u niego policja. Szybko go prześwietlą, przyjrzą się jego kontom, zaczną kopać głębiej i potem wszystko się skończy. Niedługo wszystko odkryją, wiedział, że tak, dowiedzą się, kim naprawdę jest i czym się naprawdę zajmuje.

Ostatecznie to Tariq al-Hakim, pełen pomysłów na znacznie wyższym poziomie, niż mogłaby na to wskazywać jego niska pozycja w przestępczej hierarchii, zorganizował mu spotkanie z Lee Moonem, dla którego Tariq zapewne też wykonywał jakąś kurierską robotę. A z kolei Moon wpadł na pomysł, by wykorzystać układy Morettiego w porcie w Sydney i włączyć go do swojej nowej operacji, polegającej na szmuglowaniu mężczyzn do Australii w kontenerach okrętowych; kontakty Franka, który pomagał mu już dawniej w kilku przedsięwzięciach, były bowiem pierwszorzędne, pewne i godne zaufania.

– Kobiety robimy inaczej – powiedział z uśmiechem Lee Moon.

Moretti wiedział doskonale, co to oznacza: że dziewczyny przyjeżdżają do Australii na podstawie wiz studenckich i pracują potem w jego burdelach, do korzystania z których na koszt firmy Moon najuprzejmiej go zapraszał.

Sprawa została załatwiona i Tariq rano miał odebrać towar, minął jednak dzień i prawie cały wieczór, a Moretti wciąż nie miał żadnych wieści. Zaniepokojony, spróbował do niego zadzwonić jeszcze raz.

Nick Loukakis nie rozpoznał w wydobywającym się z bagażnika pulsującym dzwonku telefonu piosenki *Thugs Get Lonely Too* Tupaca Shakura. Ale mimo że światło latarki nie było zbyt jasne, puchnące zwłoki wypychały już ubranie, a leniwe robaki pokrywały skroń zabitego wijącym się, dekoracyjnym węzłem, wiedział, czyj jest ten gnijący trup. Popatrzył na zegarek. Dochodziło wpół do jedenastej wieczorem i wydawało się, że na wszystko jest za późno.

Po rozmowie z synami wyszedł z domu, żeby się przejechać. Na każdej stacji w jego samochodowym radiu mówiono wyłącznie o zagrożeniu terrorystycznym. Pojawiały się też inne powracające tematy – śmierć kilkorga starszych osób wskutek fali upałów i ponowny wybuch zamieszek na tle rasowym między białą większością a libańskimi gangami na południowo-zachodnich przedmieściach Sydney, w większości jednak informacje dotyczyły niebezpiecznych terrorystów, tego, gdzie mogą uderzyć – na lotnisku, na dworcach, plażach, na moście i w centrum miasta – oraz tego, jak mogliby to zrobić. Przeważała opinia, że dojdzie do wybuchu brudnej bomby nuklearnej, który pokryje centrum Sydney opadem radioaktywnym. Nick zmienił częstotliwość na stację muzyczną i zaczął się zastanawiać nad telewizyjnym programem informacyjnym, który obejrzał kilka godzin wcześniej.

Dopiero wtedy zobaczył twarze tych terrorystów; wcześniej właściwie nie bardzo interesował się zagrożeniem z ich strony. Od razu wiedział, kim są. Mężczyzną był Tariq al-Hakim, kurier, którego w zeszłym roku śledził przez kilka tygodni w nadziei, że doprowadzi policję do syndykatu Lee Moona. Niestety, trafili tylko na drobnego dilerę, Franka Morettiego, który prawdopodobnie prowadził kilka brudnych interesów, ale nie był na tyle głupi, by można było znaleźć na niego jakieś dowody i go przyskrzynić.

A tę kobietę, Ginę Davies, znał, bo była znajomą Wilder, tancerką erotyczną. Raz nawet podwiózł ją do jej mieszkania, bo razem wyszli od Wilder.

Z początku przeżył szok – nie dlatego, że zarówno podejrzany, jak i przyjaciółka jego przyjaciółki mogliby być terrorystami, ale dlatego, że sam tego nie rozkminił. Poczł się głupi jak gówno. Jak to możliwe, kurde, że sam na to nie wpadł? Wiedział, że Tariq kilka razy odwiedził Pakistan i Malezję, sądził jednak, że przywozi stamtąd tylko narkotyki. Niewątpliwie ASIO, federalni i w ogóle wszyscy wiedzieli znacznie więcej niż on, skromny sierżant z wydziału antynarkotykowego; Nick był jednak zdumiony, że nie wpadł na żaden trop, i wkurzony, że nikt mu nic nie powiedział.

Zrobił już spory kawałek drogi, wieczorny ruch był jednak niewielki, dojechał więc z Pananii do Darlinghurst w pół godziny. Jak zawsze uciekał w pracę.

Zaparkował pół przecznicy od apartamentowca Doll, a potem siedział trochę w samochodzie; silnik pracował na jałowym biegu, klimatyzacja szumiała, a Nick myślał gorączkowo.

– Interfejs z kosmosem – odezwało się radio. – Nokia. To nie telefon. To rewolucja.

Wyłączył silnik i wysiadł ze swojego forda territory. Penetrował okolice budynku, w którym mieszkała Doll. Właśnie sobie przypomniał, że wydała mu się absolutnie zwyczajną osobą, kiedy się poznali, gdy nagle, mijając zaułek, poczuł paskudny smród. Instynkt jak zawsze w takiej sytuacji kazał mu sprawdzić, co jest jego źródłem.

Teraz wpatrywał się w ciało Tariqa, wracał myślami do tego, co wiedział o Ginie Davies i o nim, i coś mu tu nie pasowało. Po prostu nie pasowało.

Będzie musiał zadzwonić do wydziału zabójstw. Nie powinien jednak mówić im wszystkiego. Na razie nie. Najpierw wpadnie do Franka Morettiego, wiedział bowiem o nim jeszcze jedną dziwną rzecz, która teraz wydawała mu się niezwykle ważna: Gina raz w tygodniu przyjeżdża do niego na prywatny striptiz.

Dla Franka Morettiego nie było tajemnicą, dlaczego przyjął niewielką rolę podwykonawcy i stał się współnikiem organizacji szmuglującej ludzi. Nie było to jego „humanitarne hobby”, jak sobie w duchu żartował i w co czasami próbował nawet wierzyć, chociaż tylko trochę.

Nie; zrobił to dlatego, że ta rola przynosiła mu zyski. Była łatwa i wielce zyskowna: kilka telefonów, łapówek, wynajęty przewoźnik i jeden człowiek – Tariq – który następnie wypuszczał, zabierał i dostarczał przemyconych na miejsce.

Nie licząc kobiet, za które płacił, Moretti rzadko dostrzegał piękno w ludziach, ale był przyjemnie zaskoczony, że handel nimi może być tak popłatny. Dziś przybył kolejny kontener, tym razem aż z Szanghaju, z ładunkiem przecieru pomidorowego w puszkach – i dwunastoma ludźmi. Dlaczego z Szanghaju eksportowano albański przecier pomidorowy, stanowiło dla Morettiego zagadkę; ktoś mu wyjaśnił, że chodzi o jakieś dawne koneksje handlowe.

Nic dziwnego, że źle się czuł. Co za noc! Najpierw nachodzi go ta zwariowana striptizerka, Bóg wie czego chce, a potem, kiedy goście już wreszcie sobie poszli i po raz setny miał zatelefonować do Tariqa, zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Franka ogarnęła fala strachu i poczucia winy, kiedy otworzył jakiemuś gliniarzowi, który zaczął zadawać zbyt wiele pytań dotyczących Krystal. „A na czym polega moje przestępstwo? – pomyślał nagle Frank. – Co ja takiego zrobiłem i jak to się różni od tego, co dla pieniędzy robi wielu moich bliźnich? Ostatecznie – dyskutował sam ze sobą – czy to, co robię, rzeczywiście tak diametralnie różni się od tego, co każe się nam wszystkim robić każdego dnia?”

Potem przypomniał sobie, jak Lee Moon uśmiechał się nad swoją szklanką niebieskiego johnniego walkera w dniu, kiedy się poznali, i opowiadał mu, że umowy o wolnym handlu kłamią, że tak naprawdę na pewne rzeczy wcale nie ma zezwolenia, a niektóre towary są oficjalnie nawet niemile widziane, chociaż nieoficjalnie wiadomo, że porozumienie też je obejmuje. Wiecznie rozpromieniony Lee Moon miał przyjemną powierzchowność – przypominał Morettiemu dalajlamę w kosztownym, ciemnym garniturze.

– Tak, tak! – powiedział Moon, a uśmiech otworzył jego twarz jeszcze szerzej i pojawił się na niej wyraz jakby pełnego zachwyty zdumienia. – Narządy zaginionych turystów, dziewictwo dzieci z Mai Chau... Tak, tak. Wiesz, Frank, wczoraj proponowano mi kolagen wytwarzany ze skór chińskich więźniów, na których wykonano wyrok śmierci. Miałbym rozprowadzać ten kosmetyk tu, w Australii. Tak, tak! To nadzwyczajne!

Rzeczywiście, nadzwyczajne. Lee Moon się roześmiał. Wszystko to wydawało mu się niezwykle komiczne. Frank też wybuchnął śmiechem.

– Wiesz – ciągnął Moon – to, co się liczy, to nie te wszystkie przepisy... Rób to, tego nie wolno... Nie, liczy się duch wolnego handlu, duch naszego wielkiego, zglobalizowanego świata, to się liczy. Tak, tak. Duch epoki: kupuj i sprzedawaj, Frank. Świat istnieje po to, by można było go kupować i sprzedawać. Nawet nas! Tak, tak.

Moretti się zaśmiał. Zaśmiał się też Moon.

– Nasze zdrowie! – powiedział, unosząc szklankę z whisky.

– Nasze zdrowie! – odpowiedział Moretti, podnosząc swoją.

Przez chwilę wydało mu się, że za sprawą tego toastu łączy się nie tylko z Moonem, ale z czymś ogromnym i okrutnym, co majaczyło nad nimi jak zimny cień świata. Zadrżał mimo woli, wiedział jednak, że to niemiłe uczucie szybko minie, że wkrótce zaczną płynąć więcej pieniędzy i że niedługo zapomni o tych niepokojących sensacjach cielesnych. Opróżnił szklankę i z uśmiechem ucisnął Moonowi dłoń.

Jeśli spojrzeć na tamto spotkanie z perspektywy czasu, myślał, Moon miał rację, mówiąc, że istniejemy po to, żeby nas kupować i sprzedawać. Że prawa naturalne, przeznaczenie i biologia sprowadzają się do naszych zdolności robienia interesów. Świat to jedno wielkie targowisko. Moretti uważał, że jest jego częścią i żyje w zgodzie z jego regułami.

Choć martwił się o siebie, kiedy przyszedł ten gliniarz, skłamał, kiedy padło pytanie o striptizerkę – nie żeby bronić siebie, ale aby chronić ją, tę wariatkę – i skłamał bardzo dziwnie. Powiedział, że nie była u niego od miesiąca.

Gliniarz nosił greckie nazwisko i był na tyle inteligentny, żeby zachowywać się przyjaźnie, a Moretti, zamiast zamknąć mu drzwi przed nosem i zadzwonić do swojego adwokata, uznał, że będzie rozsądniej sprawić wrażenie pomocnego. Zresztą tak czy owak przecież w ten sposób odnosił się do władzy, do Sydney: uśmiechał się, pomagał, proponował gościnę i przyjaźń.

Kiedy więc grecki gliniarz zgodził się na późnowieczornego drinka, wypili, potem zaliczyli jeszcze jednego, a po słodowych whisky przyszła kolej na doskonałą grappę, która z kolei sprawiła – kiedy policjant skomplementował jego dzieła sztuki – że Moretti poczuł lekki przypływ dumy. Nie mógł się oprzeć, żeby nie zabrać Greka na szybką wycieczkę po domu i nie pokazać mu co bardziej interesujących skarbów. Dlatego, nie bez typowej dla kolekcjonera chęci zaimponowania gościowi swoimi co bardziej egzotycznymi zbiorami, poprosił policjanta, żeby otworzył szafkę w holu, zapragnął mu bowiem pokazać, co w niej jest. Już zaczął opowiadać historię beretty, kiedy Loukakis spojrział na niego z góry, robiąc dziwną minę.

– Nie ma jej tu – powiedział.

Moretti szybko opanował zaskoczenie, zdając sobie sprawę, że było ono raczej atutem, dowodzącym jego niewinności. Zgodził się z Grekiem, że broń musiał ukraść ktoś, kto bywał w jego domu – jakiś sprzedawca, kelnerka albo jedna z kilku opiekujących się nim codziennie pielęgniarek – ale takich osób było wiele, ciągnął Frank, trudno więc spamiętać wszystkie nazwiska. Kiedy jednak gliniarz zapytał go wprost o Krystal, odpowiedział, że to nie mogła być ona, bo od dawna go nie odwiedzała. Bardzo niemądre kłamstwo, mimo to się przy nim upierał.

– Poza tym – dodał – ona nie ma pojęcia, co jest w tej szafce, a tym bardziej, gdzie chowam klucz do niej.

Zgodził się z policjantem, że zaginięcie broni to zagadka, i to bardzo dziwna. Wiedział też, że Grek nie wierzy ani jednemu jego słowu, a mimo to nie zdradził striptizerki. Nie potrafił tego wytłumaczyć.

– Nigdy nie wiadomo, co i dlaczego człowiek może zrobić – spróbował Grek po raz ostatni, kiedy już zbierał się do wyjścia. – Jest pan pewien, że to nie mogła być ona?

Kiedy gliniarz wyszedł, Moretti zdał sobie sprawę, że gdyby go zatrzymali i przycisnęli, to może przyznałby się do tego, co robi. Opowiedziałby im o swoich licznych interesach, o fałszowaniu aborygeńskich malowideł i firmowych raportów finansowych, o podrabianych antykach, przemyśle narkotyków i ludzi, a nawet o tym, jak to robi; nie umiałby jednak wyjaśnić, dlaczego tak postępuje, a próby podania jakichś motywacji byłyby dla niego, jak sądził, nieskończenie irytujące.

Jak mógł powiedzieć temu policjantowi, że odkrył w swojej striptizerce te same namietności, które doprowadziły go do tego domu, do tych przedmiotów i do życia w fałszu? Ostatecznie jej też się nie przyznał, że tak naprawdę nie jest bogaczem ze wschodnich przedmieść czy z północnego brzegu i nie pochodzi z szanowanej rodziny włoskich winiarzy. Że był po prostu tylko jeszcze jednym *westie*, kolesiem z zachodu, facetem na dorobku, który po wypadku samochodowym wymyślił sobie nową tożsamość, nowe nazwisko dla nowego ciała i rozpaczliwe pragnienie zrobienia kariery. Nie cierpiał makaroniarzy, więc wydawało się słuszne, by przyjął makaroniarskie miano dla tej ohydy, w jaką się zmieniło jego ciało i w jakiej musiał żyć.

Powinien był przekazać gliniarzowi wszystko, co wiedział o Krystal, i przyznać, że to na pewno ona zabrała tę broń. Ale jak mógł powiedzieć, że ponieważ była równie piękna jak on sam przed wypadkiem, nie może jej zdradzić? Zgodził się z Moonem, kiedy ten stwierdził, że świat istnieje po to, żeby go kupować i sprzedawać. Ale co, jeżeli to jednak nieprawda? Co wtedy?

Włączył płytę z nagraniami nokturnów Chopina w wykonaniu Dinu Lipattiego, żeby spróbować się uspokoić, przypomnieć sobie raz jeszcze o pięknie i sztuce. Kiedy odezwała się muzyka, zamaszycie zawrócił wózek i już miał podjechać do kredensu, gdzie leżał

telefon, bo znowu chciał zadzwonić, ale nieoczekiwanie bardzo dziwnie się poczuł. Wszystko nagle wydało mu się ciężkie, a każdy ruch wymagał nadzwyczajnego wysiłku.

Coś go obejmowało, a jednocześnie coś z niego uchodziło. Co to za mrówki przebiegają mu ramię w górę i w dół i pozbawiają czucia palce, kiedy te próbują znaleźć przyciski na podłokietniku? Kto mu zgniata żebra? Kto miażdży klatkę piersiową? Kto zatyka płuca? Kto zaciska palce wokół jego szyi, odciąga mu język do tyłu i dusi go?

– Nie! Nie! Nie! – zawołał nagle, okropnie, strasznie przerażony.

Wpadł w panikę, zrozumiał, że musi coś zrobić, cokolwiek. Ale cały jego skoncentrowany wysiłek, żeby się poruszyć, nie dał nic poza tym, że rozkołysał tułów i chwiał się coraz mocniej, aż wreszcie wychylił się tak daleko naprzód, że stracił równowagę i już nie był w stanie się wyprostować.

Wygramolił się z wózka na intarsjowane kością słoniową renesansowe krzesło, lecz mikroskopijne niczym czubki szpilek otworki, podobne do tych, jakie dałoby się znaleźć w wielu jego innych starych meblach, nie były żadną niecodzienną ozdobą, tylko dziurkami pozostawionymi przez szkodniki, pyłem czekającym, żeby ktoś go wypuścił z mirażu dobrego smaku, gdzie został uwięziony. Przeżarta przez korniki noga pękła, kiedy małe, ale ciężkie ciało kaleki runęło na siedzisko. Zsunął się z niego bokiem, upadł, uderzając mocno – oraz jak stwierdził potem lekarz sądowy, śmiertelnie – głową o dolną półkę szafki bibliotecznej, i nigdy więcej już nie wstał ani nie pomyślał, że robi wielką karierę.

W domu było słycać jedynie pokryte filcem młoteczki uderzające w rozciągnięte w drewnianym pudle niemal do granic wytrzymałości struny, nad ciałem nieżyjącego już Morettiego rozbrzmiewała bowiem fortepianowa muzyka Chopina.

Tej nocy Richard Cody siedział do późna w swoim gabinecie, wpatrując się w ekran komputera, na którego klawiaturze wpisał w wyszukiwarce własne nazwisko. Jego dom w Vaucluse miał w sobie przepyszną ciszę prawdziwie wielkich i bogatych rezydencji. Dziennikarz był tutaj tak daleko od zewnętrznego życia, że czuł się jak na stacji kosmicznej, gdzie towarzyszyły mu tylko szeptane potakiwania posłusznych maszyn. Na ekranie pojawiło się kilka milionów haseł. To powinno było mu wystarczyć – ten dom, wielka sława, a teraz comeback i wszystko, co obiecywał – ale im wyżej Richard się wspinał, tym bardziej wydawał się tracić ducha, a im większe sukcesy odnosił, tym się gorzej czuł.

Wprowadził swoich sławnych i potężnych przyjaciół do australijskich domów, wygłaszał kazania o australijskiej mądrości, był orędownikiem australijskiej dobroci i ucieleśniał australijską przyzwoitość, prowadził Australię oplakującą australijskie katastrofy i Australię wiwatującą po sukcesach australijskich sportowców, był gospodarzem telewizyjnych zbiórek pieniędzy na cele charytatywne i kolędował w programach bożonarodzeniowych, nie wspominając o tym, że wspierał również kilka ważnych australijskich organizacji charytatywnych. Nie zyskał jednak spokoju. Nie wystarczało mu to, co miał, wszystkiego mu było mało i nie chciał wiedzieć, co zdarzyło się kiedyś ani co może się stać w przyszłości.

Jego drugie małżeństwo okazało się idealne, o ile można było tak powiedzieć o związku z kobietą, z którą nie łączyło go już nic oprócz ogromnych długów, ambicji towarzyskich i dorosłego syna, zatrudnionego w zakładzie fryzjerskim – a jak można rozmawiać o takich sprawach na przyjęciu?

Wyczuwał, że jest w tym świecie coś, co nie pozwoli mu robić nic innego, tylko krzywdzić innych. Przez jakiś czas tego żałował, potem się tym upajał, a teraz po prostu zaakceptował to jako pewną umiejętność, za którą go wynagradzano. Nie miał spokoju, to wszystko. Żałował, że nie potrafi rozmawiać ze swoim synem.

W takich chwilach przychodziło mu do głowy wspomnienie z dzieciństwa: widok rannej mewy miotającej się na piasku. Był na plaży, rzucał kamieniami w krążące wyżej ptaki i udało mu się jedną trafić. Serce podskoczyło mu z radości, kiedy ptak spadł z nieba niczym kamień; potem mały Cody z przerażeniem obserwował, jak pozostałe mewy rzuciły się na swoją wijącą się jeszcze w agonii towarzyszkę i rozerwały ją na krwawe strzępy.

– Ani trochę, ani trochę spokoju – mrucał do siebie co chwila, stojąc nad umywalką w łazience na parterze i myjąc ręce, bo dotykał nimi klawiatury. Czasami ludzkie życie zamienia się w nowotwór, pomyślał, ale nikt nie wie, że człowiek boi się, że tym nowotworem jest on sam.

W takich chwilach wydawało mu się, że jakimś cudem zmienia się w tę ranną mewę, miotającą się wtedy na jego oczach. Była też pewna kobieta, z którą się nigdy nie przespał – umarła przed laty w czasie mglistej zimy na Manhattanie – on zaś dalej mieszkał w jasnym świetle Sydney. Jedno i drugie – jej śmierć i jego życie – wydawało mu się bezsensowne. Doszedł do wniosku, że ambicja to najczęściej żalosna gorączka. I obawiał się, że jego największą tęsknotą jest zapomnienie. Bardzo chciał porozmawiać z synem.

Zakręcił kurek i żeby nie zarazić się niczym z ręcznika, stał w ciemności i potrząsał rękami, by je wysuszyć.

Telefon w sąsiednim pokoju dzwonił i dzwonił. Doll, która wciąż nie mogła zasnąć, włączyła mały telewizor Panasonic, stojący na poobijanej laminowanej paździerzowej szafce. W jakiejś stacji kablowej pokazywali idealnie zachowane ciało kobiety zmarłej przed trzema tysiącami lat. Zwłoki znaleziono niedawno w torfowisku w Szwecji. Zakonserwowana kobieta została utopiona, ktoś obciążył ją przywiązanymi do sznura na szyi kamieniami. Miała też ogoloną głowę. Ekspert z Niemiec twierdził, że była to rytualna kara wymierzona za dziś już nie wiadomo jakie przestępstwo.

Telefon w pokoju obok ciągle dzwonił i nadal nikt nie odbierał.

Oglądając dokument, Doll doszła do przekonania, że w sprawę mogły być zamieszane inne kobiety. Oczami wyobraźni widziała, jak opowiadają sobie różne rzeczy, puszą się i rozochocają – bo same też się bały; bały się, że jeżeli kogoś nie oskarżą, to ktoś oskarży je. Zmarła na pewno popełniła jakąś zbrodnię; Doll też nazywano teraz terrorystką i może kiedyś zasłużyłaby na miano czarownicy, ale wszystkie te oskarżenia były nieprawdziwe.

Niemalże słyszała te kobiety – gadały tak jak dziewczyny w przebieralni, jak słuchacze w programach radiowych. Mówiły, jaka niegodziwa i niedobra była ta z torfowiska, mówiły o tym nawet wtedy, kiedy już się topiła. Najgorsze było to, że Doll sama znalazłaby się wśród oskarżycielek, czuła to. Ostatecznie umiała dbać o własną skórę i robiła już różne rzeczy w życiu, by jakoś dać sobie radę; wiedziała, że jest gotowa na znacznie gorsze postęпки, jeżeli zostanie postawiona pod ścianą.

Zmieniała kanały. Na jednym szedł program o niej, prowadzony przez uśmiechniętą dziennikarkę mówiącą z lekko amerykańskim akcentem. Doll po raz pierwszy usłyszała w telewizji swoje nazwisko, znane już wszystkim, jak się domyśliła, z wyemitowanego wcześniej programu Cody'ego. Telewizja miała też kilka jej niedawno zrobionych zdjęć. W tym momencie zrobiło się jej niedobrze; nie chciała być terrorystką w telewizji kablowej, nie chciała być kolejną topielicą z jakiegoś zasranego torfowego bagniska, i nie chciała być jak ta Francuzka, którą widziała w albumie u Morettiego, otoczona przez roześmiane kobiety golące głowę ofierze.

Może jednak, myślała, leżąc na nędznym łóżku hotelowym i oglądając telewizję, jest w ludziach jakaś potrzeba czynienia krzywdy innym, straszliwa potrzeba – dzięki temu, że kogoś skrzywdzą, sami poczują się bezpieczni, dobrzy i radośni, jak tamte uśmiechnięte Francuzki albo ta uśmiechnięta dziennikarka.

Może Doll musi zaakceptować fakt, że powinna się jej stać jakaś krzywda? Może takie rzeczy dzieją się dla wspólnego dobra wszystkich?

Wyłączyła telewizor.

Nie, pomyślała, nie może pogodzić się z tym, że powinna cierpieć, nie może po prostu zrezygnować i się poddać. Nie była głodna, musiała jednak znaleźć siły do działania. Zjadła torebeczkę nerkowców i batonik Chokito z barowej lodówki, popijając je małą stoliczną z tonikiem. I chociaż z początku buntowały się jej gardło i brzuch, orzechy i czekolada smakowały doskonale, lepiej niż powinny, a organizm Doll uspokoił się dzięki nawet takiemu ubogiemu posiłkowi; dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna i zmęczona.

W pewnej chwili, długo potem, musiała zapaść w płytki, przerywany sen. Niewyraźnie uświadamiała sobie, że daleko w dole wyją klaksony i syreny samochodowe, słyszała krzyki i nawoływania, a chwilami biegających ludzi.

Sny miała klaustrofobiczne, dusiła się, obrazy w jej głowie migały tam i z powrotem coraz szybciej: Francuzka nie może wyrwać głowy spod rozwartych nożyc; kobieta z torfowiska próbuje krzyczeć z ustami pełnymi obrzydliwej wody; z martwych ust Tariqa wypęłzają muchy...

Jakaś zewnętrzna siła wciąż wdzierała się z łoskotem aż do jej pokoju i było jej trudniej oddychać niż kiedykolwiek, a telefon znów dzwonił. Co jej chciał powiedzieć? No co?

Chociaż Cody dobrze sypiał i nie znosił być budzony w nocy, nie ucieszyłby się bardziej na żadną wiadomość niż ta usłyszana przez telefon, który tuż przed północą zerwał go na nogi.

– Wiem, że jest późno, ale chciałem, żebyś z naszych przyjaciół medialnych ty pierwszy się o tym dowiedział – powiedział Siv Harmsen.

Richard wstał i wyszedł na schody.

– Znaleźliśmy Tariqa al-Hakima. Ktoś go zawiązał ładnie jak falafel w bułkę, zabił i zapakował do bagażnika porzuconego samochodu.

– Mój Boże – westchnął Richard, nie dlatego, że był taki wstrząśnięty, tylko dlatego, że ta wiadomość i ten telefon miały swoje znaczenie, którego zaspany jeszcze w pełni nie rozumiał i które musiał z Siva Harmsena wydobyć. – Jest jakiś trop?

– Śledztwo w sprawie morderstwa to długa sprawa. – Na chwilę zapadła cisza. – Wiesz, jak to jest. – Richard czekał. Wentylator szumiał niczym najdelikatniejszy deszcz. – Tak absolutnie nieoficjalnie... – powiedział wreszcie Siv Harmsen. – Posłuchaj, rozumiemy się, prawda, Richard?

– Absolutnie – powtórzył Cody.

– No więc całkiem poważnie bierzemy pod uwagę, że Tariqa mógł zabić inny terrorysta.

– Ale to bez sensu – odpowiedział Richard. – Dlaczego jeden terrorysta miałby zabijać drugiego?

– No cóż, to chyba dosyć oczywiste, nie? – odparł Harmsen. – Tariq stał się osobą publiczną, zbyt dobrze znaną, stanowił więc zagrożenie. Ci ludzie są bezwzględni, nawet dla swoich. Jakie to określenie słyszałem z twoich ust dziś rano w telewizji? „Nieznana terrorystka”. To właśnie tacy jak ona, ci nieznani, dokonują skutecznych zamachów bombowych. To ich się trzeba bać.

Zamiast stanowić problem, śmierć Tariqa rozwiązała jeden z podstawowych dylematów Richarda. Jerry Mendes uparł się na tytuł *Bonnie i Clyde*. Ponieważ nikt nie wymyślił na razie nic lepszego, program reklamowano ogólnikowo jako „mrożące krew w żyłach *exposé* na temat domorosłego terroryzmu w Australii”. Richard wiedział, że teraz Mendes się zgodzi, by program skupił się na Ginie Davies. Uważał ponadto, że właśnie dostał do ręki nowy i zapewne fundamentalny element swojego reportażu. Bo co robi Czarna Wdowa, jeśli nie zabija współnika?

Podziękował swojemu informatorowi w ASIO za to, że zadzwonił do niego osobiście, i już miał się rozłączyć, ale Harmsen zrobił się nagle dziwnie rozmowny jak na telefon o tak późnej porze.

– Wszystkie te bzdury na temat tego, że w związku z nowym prawem antyterrorystycznym będzie się ukrywać prawdę... – ciągnął Harmsen. – Wiesz, że chcemy, żeby publika wiedziała o pewnych sprawach. I tego nie mówię ja, tylko ludzie, którzy stoją znacznie wyżej ode mnie, Richardzie.

– Cieszę się – powiedział Cody. – Wszyscy musimy być razem w takich chwilach.

– Bez dwóch zdań. Wiesz, ty to rozumiesz. Ale wielu ludzi nie. A nam zależy, żeby rozumieli. Moi szefowie lubią twój szefa – dodał. – I chcą, żebyśmy pomogli panu Frithowi i tobie, jak tylko możemy.

Żona Cody'ego zaczęła już narzekać na brak spokoju o tak późnej godzinie, Richard złożył więc głowę na poduszce, chociaż z poczuciem niewyraźnego triumfu. W tej chwili jego program miał już właściwie wszystko. Widział nawet tytuł, który przyszedł mu do głowy po rozmowie z Harmsenem. Będzie dramatycznie wieńczył i zaczynał przerwy na reklamy, wspierając się niskim głosem, oznajmującym jego powrót na szczyt:

– Wracamy do *Nieznanej terrorystki* po przerwie reklamowej.

To wystarczy. Na pewno. Bardzo chciał przytulić swojego syna. Nigdy nie wiadomo, co i dlaczego człowiek może zrobić.

WTOREK

Wilder jeszcze spała, gdy wybuch podniósł ją z łóżka. Wrażenie, że fruwa, którego już od bardzo dawna nie miała we śnie, było tak przemożne i przyjemne, że huk eksplozji, trzask otwierających się drzwi do sypialni, tupot nóg mężczyzn, którzy wpadli do jej pokoju, a także ich krzyki stały się częścią snu Wilder na ułamek sekundy, zanim intruzi wciągnęły ją w swój koszmar.

Dopiero kiedy zawładnęły nią inne doznania – wszystko ją bolało, wylądowała bowiem na butach i książkach – powoli zdała sobie sprawę, że ktoś wrzeszczy, chociaż te odgłosy wydawały się docierać do niej z daleka. Nie odbierała wrażeń pojedynczo i po kolei, tylko jednocześnie; w sypialni wciąż było ciemno, a w jej nadal uśpione myśli wdzierало się coraz więcej ubranych na czarno ludzi w wojskowych hełmach i goglach, którzy wymachiwali karabinami szturmowymi i rozbijali się po jej domu. Poczula, że ich strach i nadpobudliwa agresja całkowicie ją obezwładniają.

– Boże, ona szcza pod siebie – usłyszała głos jednego z mężczyzn.

– Tak się bałam, strasznie się bałam, kurwa – opowiadała później tego samego dnia w telefonicznej rozmowie z Doll. – Myślałam, że to terroryści przyjechali mnie porwać, naprawdę. Oni nie wyglądali na żołnierzy. Nie wyglądali na policjantów ani na agentów sił specjalnych. Wyglądali jak... jak, to nie do wiary, naprawdę, Gina, nie wierzyłam własnym oczom, byli jak ci goście z *Gwiezdnych wojen*, wszyscy na czarno, tylko że te ich kombinezony miały takie różne specjalne kieszenie, wypustki i gadżety, a przez te swoje hełmy i gogle przypominali jakieś ziemno-wodne stwory, mordercze ropuchy, które powypelzały z kanalizacji, żeby nas wszystkich pozabijać, tak mi się wydawało. Wiesz, byli strasznie dziwacznicy. Wyglądali jak śmierć, Gina, jak coś, co się widzi, kiedy się umiera, więc pomyślałam tylko, że zaraz umrę.

Potem Doll usłyszała, że Wilder znowu płacze, po chwili opanowała się jednak i ciągnęła:

– Pamiętam nawet nie tyle hałas czy tych ludzi, ile zapach, zapach przerażonych i jednocześnie podnieconych zwierząt, taki, jaki czasem wydzielają dzieci. I tak się, kurwa, bałam, że nie mogłam się ruszyć, nawet kiedy kazali mi wstać. Myślałam, że mnie zabiją, to był normalnie napad. Rozpieprzali mi dom... Szuflady, szafki, szafy, Max krzyczy przeraźliwie, a oni szukają nie wiadomo czego. Z początku nie rozumiałam, czego chcą, a potem dotarło do mnie, że to policja, że mają jakiś nakaz, chociaż nawet wtedy to wszystko nie było dla mnie jasne. Wydawało mi się, że może to przez dragi albo że to pomyłka, i wtedy zdałam sobie sprawę, że to twoja i tylko twoja wina, że to wszystko przez ciebie. Byłam tak kurewsko przerażona, że znowu się posikałam, normalnie na podłogę. Jeden facet w czarnym kombinezonie i goglach przystawił mi karabin do głowy i stanął jak

słup soli, a ja mu powiedziałam: „Jeżeli chodzi wam o Ginę, to w ogóle nie wiecie, o czym mówicie. Ona jest cudowna. A to po prostu szaleństwo. Nie znacie jej”.

– A oni na to: „A nie przyszło ci do głowy, że to może ty wcale nie znasz Giny? Pomyślałaś kiedyś, że może Davies została tak wyszkolona, żeby nigdy nic ci nie powiedzieć i nie zdradzić się przed tobą z niczym ani słowem?”.

Doll nie odpowiedziała, tylko trochę odsunęła telefon od ucha. Wokół rozbrzmiewało dużo różnych dźwięków, a głos Wilder był tylko jednym z nich. Ile dźwięków oznacza koniec pewności i początek zwątpienia? Samochody, młoty pneumatyczne oraz roboty budowlane i drogowe sygnalizowały jakąś jakby cofającą się falę straszliwego ruchu, którego nikt nie rozumie i nie potrafi przewidzieć, ale któremu każdy musi być posłuszny. Doll poczuła, że traci grunt pod nogami, czuła, jak jakieś obce siły porywają ją i unoszą nie wiadomo dokąd.

– Gina? – odezwała się Wilder. – Gina, jesteś tam?

Niewiele ponad godzinę po tym, jak Wilder pomyliła inwazję na swój dom ze swobodnym lataniem, Nick Loukakis, który z powodu kłótni z żoną położył się na dmuchanym materacu na podłodze w salonie, postanowił, że nie będzie spać. Zwrócił się myślami ku swojemu małżeństwu i nagle olśniło go, że nie mogą dłużej razem żyć i że musi odejść od żony. Wydawało mu się ważne, wręcz absolutnie konieczne, żeby porozmawiali. Wstał i poszedł na górę do sypialni. Niestety, Diana spała na boku, leciutko pochrapując.

Wciąż jednak gnał go beznadziejny impet potrzeby zmiany. Nie chciał, żeby dalej żyli tak jak do tej pory, ale choć uważał to za ważne i konieczne, to patrząc na nią w tej chwili, nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć.

– Śpisz? – zaczął cicho, sądząc, że delikatnie ją zbudzi, chociaż żywił jeszcze silniejszą nadzieję, że Diana go nie usłyszy i będzie spała dalej. I spała.

Przysiadł na brzegu łóżka, bo nie miał nic lepszego do roboty, i siedział tak dłuższą chwilę. Myślał o pewnym filmie dokumentalnym, który kiedyś oglądał, poświęconym wielkiemu morzu wewnętrznemu w Rosji; wydawało się, że jego życiodajne siły nigdy się nie wyczerpią, aż wreszcie w ciągu kilku krótkich lat gigantyczne jezioro skurczyło się i zniknęło. Podobnie było z ich miłością. Też wydawała się niewyczerpana i nieśmiertelna, a gdzieś wyparowała. Po jakimś czasie ponownie pochylił się nad żoną i zaczął do niej szeptać, żeby jej opowiedzieć o tym morzu, ale nie odpowiedziała i tym razem.

Siedział więc dalej na łóżku, aż ciemna noc przeszła w szary świt i nie miał już pewności, co było takie ważne i konieczne; pamiętał tylko, że cokolwiek to było, wydawało mu się pilne. Przez noc historia znikającego morza również się zmieniła w jego myślach, aż wreszcie stała się tylko opowiastką o naprawdę niewielkim znaczeniu. Mimo to żywił nadzieję, że wspólnie znajdą słowa, żeby opisać ból, jaki w sobie nosił, i jaki, co podejrzewał, dręczył również Dianę.

Świt jednak minął, przyszedł dzień, a kiedy spotkali się w kuchni godzinę później i pili kawę, byli dla siebie niczym obcy ludzie, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia poza najnudniejszymi i najbanalniejszymi frazesami na świecie. Jak niewyraźnie zdał sobie sprawę Nick, nie ma bowiem słów, którymi można by opisać coś takiego jak znalezienie miłości, a potem jej zniknięcie.

Doll ciągle była pogrążona we śnie, gdy włączył się telewizor. Zabrział kobiecy głos:

– Zamawiała pani budzenie. Prosimy także pamiętać, że w tym tygodniu śniadanie w stylu europejskim serwujemy w cenie promocyjnej.

Kobieta zniknęła, a telewizor przełączył się na śniadaniówkę stacji Six, program *New Day Dawning*.

– No cóż, sprawa tej tancerki erotycznej, która okazała się terrorystką, jest rozwojowa.

Pojawiło się ujęcie z innej kamery, spiker się do niej odwrócił, a Doll zaczęła szukać pilota. Nie chciała słyszeć nic więcej. Jeśli niczego nie usłyszy, to może uda jej się jakoś przez to przebrnąć. Ale słuchać oznaczało stać się częścią szaleństwa. Powiedziała sobie, że nie będzie niczego oglądać.

Pilot nie leżał jednak koło łóżka, a ten nowy świat, w którym nie była już sobą, tylko kimś i czymś kompletnie innym, wciąż wtaczał się do pokoju, był nieunikniony, dręczący, równie niezaprzeczalny i wszechogarniający jak upał, który, co wyczuwała, narastał już za hermetycznie zamkniętymi oknami.

– Z naszych nowych informacji wynika, że podejrzany o terroryzm Tariq al-Hakim został znaleziony martwy w centrum Sydney. Według źródeł policyjnych było to zabójstwo. Tymczasem współniczka al-Hakima, podejrzana Gina Davies, znana również jako Czarna Wdowa, nadal pozostaje na wolności. Policja opublikowała jej portret pamięciowy, sądząc, że podejrzana mogła zmienić wygląd.

Pokazali portret podobnej do Giny kobiety z krótkimi blond włosami. Była podobna do niej w takim sensie, w jakim zdjęcie w dowodzie osobistym przypomina twarz jego właściciela, właściwie jednak nie do rozpoznania. Uznała, że to dobrze, choć takie przekonanie wcale nie dodało jej otuchy.

– Tymczasem po dokonanym dziś rano policyjnym nalocie na dom położony na przedmieściu Redfern – kontynuował spiker – zatrzymano kobietę, której zeznania miały dopomóc siłom bezpieczeństwa w dochodzeniu prowadzącym do zdemaskowania działającej w Australii siatki terrorystycznej. Po złożeniu zeznań kobieta została zwolniona.

Doll wiedziała, że zatrzymaną była Wilder, ale wcale nie chciała o tym wiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że teraz Wilder nie będzie mogła zabrać pieniędzy z jej domu i oddać ich jej, ale tego też nie chciała wiedzieć. Wstała i zaczęła szukać pilota na stoliku z zepsutą lampą. „To mógł być ktoś inny – powiedziała sobie, kiedy jej poszukiwania stawały się coraz bardziej gorączkowe. – Jakaś prawdziwa terrorystka, szalona Libanka, ja pierdołę, jak tamta w tej burce. Albo Aborygenka, bo gliny zawsze zgarniają Aborygenów”. Potem poczuła się

nieswojo, myśląc, że może ci ludzie wcale nie zasługiwali bardziej niż Wilder na to, żeby ich napastować i prześladować, i może byli równie niewinni jak ona, ale kogo, nie licząc Wilder, obchodzili Aborygeni, którzy i tak nie brali udziału w tej sprawie?

Na stoliku pilota nie było. Doszła do wniosku, że powinna zadzwonić do Wilder, a potem zaczęła sobie wymyślać w duchu za głupotę. Jak może do niej zadzwonić? A jeśli ją podsłuchują? Szukała pilota z jeszcze większą determinacją.

– Prokurator generalny Andrew Kingdon odpiera zarzuty, jakoby zatrzymanie wspomnianej kobiety stanowiło nadużycie nowych ustaw antyterrorystycznych – oświadczył spiker.

Pilota nie było też na żadnym z dwóch foteli ani pod łóżkiem, gdzie leżały kłaki sfilcowanego kurzu i puste opakowanie po viagrze.

– W wygłoszonym oświadczeniu prokurator stwierdził, że problemy, przed którymi stoi dziś nasz kraj, są wyjątkowo poważne. I dodał, że rząd nie ma czasu ani środków, żeby bawić się z terrorystami w kotka i myszkę.

Wtedy zauważyła pilota na telewizorze, zagubionego w cieniu szafki. Miał wiele różnokolorowych przycisków, a ona w panice nie mogła sobie przypomnieć, który do czego służył. Były to po prostu kolorowe klawisze, wyglądające trochę jak małe lizaki.

Po co słuchać czegoś, co nie jest prawdą? Jeśli nie będzie więcej widzieć i słyszeć, to może jej życie sprzed zaledwie kilku dni powróci, jej żale i smutki pozostaną tylko jej własnością i będzie mogła znowu gonić za nadziejami i marzeniami?

Wcisnęła kilka przycisków; telewizor, wyłączając się, wydał jakby chlupot i spiker zniknął.

Podeszła do drzwi i otworzyła je, by uciec choć na chwilę, odetchnąć, nie czuć się jak w pułapce. Jej oczom ukazał się przypominający tunel korytarz, pomalowany na brązowo i niezbyt ładnie pachnący. Drzwi wszystkich pokoi były identyczne. Wyczuła coś pod stopami, spuściła wzrok i zobaczyła gazetę. Nagłówek głosił: „Terrorysta nie żyje. Nalot sił ASIO na kwaterę główną terrorystów w Redfern”.

Jednak to nie nagłówek zwrócił jej uwagę, tylko data. Był 6 marca.

Wybiegła z hotelu Retro i ruszyła szybkim krokiem Pitt Street w kierunku centrum. Słońce się schowało, a niebo straciło blask, przybierając kolor brudnego chodnika. Nieobecność promieni słonecznych nie przyniosła jednak ulgi. Chmura była brązowa i przypominała z wyglądu kłujący dywanik, który czynił tylko wilgotność i upał jeszcze nieznośniejszymi. Nad bezwietrznym miastem rozpościerał się piaszczysty zaduch smogu, pozostawiając w ustach Doll smak oparzeliny.

Świat trwał w bezruchu, jak gdyby na coś czekał.

Była nieszczęśliwa ze zmęczenia i kompletnie rozbita fizycznie; raz było jej za gorąco, raz za zimno. Stała się jak gdyby oślizgła w środku, a skórę miała suchą i swędzącą. Bolała ją głowa, dostała lekkich mdłości i zawrotów głowy. Na ulicy jej zmysły wydawały się jednocześnie przytępione i nadmiernie wyostrzone, dlatego nie od razu zauważyła, że na skrzyżowaniu zmieniły się światła, ale natychmiast nerwowo odwróciła głowę, kiedy gdzieś za jej plecami zaćwierkała komórka.

Przeszła kilka przecznic i uciekła przed upałem w gościnne, chłodzone trzewia klimatyzowanych sklepów.

– Tylko dziś. Promocja – powiedział jakiś głos.

– Idź w stronę czerwonego światła, już – odezwał się inny głos.

Ktoś coś mówił: ale co? Głosów było teraz tyle – chociaż niewiele z tego, co jej wciskały, warto było wiedzieć – że Doll, kiedyś bardzo wyczulona na biały szum miasta, niczym inteligentny odbiornik radiowy, zdolny wyszukać każde pasmo emisji i każdą częstotliwość, którą chciała złapać, nic już nie słyszała.

Tak ją przypiliło, że weszła do sklepu Sportsgirl, szybko wybrała robocze bermudy w kolorze khaki i białą, sięgającą do pępka koszulkę, przymierzyła je i już ich nie zdjęła, tylko podała kasjerce dwa z czterech pozostałych jej banknotów studolarowych, dostała osiemdziesiąt sześć dolarów reszty i wyrzuciła śmierdzącą sukienkę od Prady do śmietnika niedaleko sklepu.

Kiedy znalazła się bliżej dworca Town Hall, szła pod prąd, który w godzinie szczytu niósł rosnącą falę ludzi dojeżdżających do pracy w mieście, i musiała się obracać bokiem, żeby przeciskać się w tłumie. Kupiła bilet w automacie, a na śniadanie puszkę red bulla i paczkę miętówek Impulse.

Potem zjechała kilka pięter niżej na podziemne perony. Wszędzie kręcili się uzbrojeni w pistolety gliniarze kolejowi. Pod nogami Doll węszył pies tropiący. Spojrzała w oczy prowadzącemu go na smyczy policjantowi i wpatrzyła się w niego z przestraszoną miną.

– Niech się pani nie boi – odezwał się policjant z psem, mocno pociągając za smycz, by zwierzę wróciło do nogi. – Mamy podwyższony stan zagrożenia w środkach transportu publicznego. Ale wszystko jest pod kontrolą.

Mężczyźni w garniturach spokojnie czytali dalej gazety finansowe. „Telco szykuje się do przejęcia”. „Ceny akcji spadają w wyniku obaw przed atakiem terrorystycznym”. „Raporty bankowe”. Kobiety bawiły się telefonami komórkowymi jak kiedyś papierosami, czyli nerwowo. Dzieci w dziwnym skupieniu przyglądały się bezsensowności ich ruchów. Doll wypila red bulla, zjadła dwie miętówki i wyrzuciła resztę.

Po drugiej stronie torów wisiał duży ekran, na którym wyświetlano najnowsze wiadomości. Coś o zamachu bombowym... Czyżby w Izraelu? Czy może w Iraku? Albo u nas? Wiadomość zniknęła, a zielone kropki niczym doskonale wyćwiczeni żołnierze ułożyły się w napis, który teraz brzmiał: „Dodatkowe środki na poszukiwanie terrorystów”.

Zajrzała do torebki. Nie miała już zolofu. Pęd powietrza, pisk hamulców i nagle zdążający poza miasto pociąg wjechał na stację, a ekran zniknął za srebrzystą wstęgą, która rozwinęła się w jasno oświetlone okna wagonów. Drzwi pociągu otworzyły się z sykiem, kilkoro pasażerów wysiadło, a kilkoro więcej, w tym Doll, wsiadło. Skład był w połowie pusty. Znalazła dla siebie odosobnione miejsce.

Pociąg pędził ciemnymi tunelami. Zgrzytał i trzął się pod naporem straszliwej siły kilkuset ton żelaza i stali. Jakiś mężczyzna, siedzący dwa rzędy przed nią, czytał gazetę. Widziała pierwszą stronę. Zauważyła, że duża fotografia, rozchlapana na prawie jej całej powierzchni, jest kadrem z filmu wideo z tamtej nocy, gdy osłonięta woalką, rozbierała się dla amerykańskich żołnierzy. Duży napis nad zdjęciem głosił: „Nasza Czarna Wdowa”.

Naprzeciwko Doll siedział Wietnamczyk ze słuchawkami na szyi wyglądającymi jak kolia. Wyciągnął rękę, w której trzymał cyfrowy aparat fotograficzny, spojrzał w obiektyw i zrobił sobie zdjęcie, przedstawiające go, jak siedzi i robi sobie zdjęcie. W tym momencie zadzwonił jej skradziony telefon.

Odebrała, ale nie odezwała się. Po chwili usłyszała głos Wilder.

– Gina... Słyszałaś?

Odparła, że tak. Potem Wilder opowiedziała jej o tym, jak śniła, że fruwa, o policyjnym nalocie i o tym, że gliniarze ciągle jej wmawiali, że Doll jest terrorystką.

– Gina? – powiedziała Wilder. – Gina, jesteś tam?

Doll potwierdziła swoją obecność, a potem Wilder zaczęła mówić o tym, jak zawieźli ją do komendy w mieście.

– Idziemy takim długim korytarzem i jeden policjant mówi do mnie tak: „Niech pani posłucha, ta pani przyjaciółka, dziwka, wpadła w nieprawdopodobne gówno. Tu nie chodzi o prostytutkę ani o głupie żarty. Mówimy o terroryzmie”.

– Ja na to: „Ale ona nie jest terrorystką ani dziwką”. A on tylko kręci głową i wprowadza mnie do dużego pokoju, gdzie było już siedmiu czy ośmiu gości w garniakach. Na końcu siedział taki jeden gruby, stary, siwy facet.

– „Jestem tu przewodniczącym” – mówi coś w tym rodzaju, a potem głądzi bez końca, kwestie prawne, właściwie nic z tego nie rozumiałam. Nagrywali wszystko na wideo, przerażające to było, wiesz, żaden się nie przedstawił, mówili tylko: „Reprezentuję ASIO”, potem drugi to samo: „Reprezentuję ASIO”, i tak w kółko, i tylko jeden okazał się z federalnych. Próbowalam być twarda i udawać, że uważam to wszystko za pierdoły, ale było mi niedobrze i cała się strasznie trzęsłam.

– „Nie możecie mnie przetrzymywać, jeśli nie zostaną aresztowana – mówię. – O co jestem oskarżona?”

– „ASIO ma nakaz na panią – odpowiada ten stary, któremu chciało się spać i ciągle ziewał. – Na jego mocy mogą panią zatrzymać na sto sześćdziesiąt osiem godzin bez postawienia zarzutów”.

– „Od kiedy to można przetrzymywać ludzi bez postawienia im zarzutów...” – zaczęłam mówić, ale ten facet oznajmił tylko, że odtąd, odkąd wprowadzono poprawki do ustawy o Australian Security Intelligence Organisation.

– „Do jakiej ustawy?” – pytam.

– „Do ustawy o ASIO – powtarza i znów ziewa, i wszyscy dalej gadają o tej ustawie, a ja się czuję tak, jak gdyby zaraz miała się na mnie zawalić ściana. – Poprawki wprowadzone w 2004 i 2005 roku mówią, że można dokonywać takich zatrzymań – ciągnie ten stary. – A sto sześćdziesiąt osiem godzin oznacza siedem dni. ASIO ma prawo zatrzymać każdego

bez postawienia mu zarzutów, jeśli ma powody podejrzewać, że dana osoba może popełnić przestępstwo, albo jeśli sądzi, że dysponuje ona informacjami o działalności terrorystycznej”.

– „Co pan wygaduje? – mówię. – Jakie powody? Nie macie żadnych powodów...”

– „Nie jest pani przyjaciółką Giny Davies?” – pyta mnie jeden z agentów, taki wysoki.

– „A mój synek? Co ma z tym wspólnego mój synek?” – mówię. To było jak jakiś obłądny sen, Gina, wiesz, taki, w którym czujesz, że nie powinnaś występować, ale występujesz. Powiedzieli mi, że Max czuje się dobrze i ma opiekę.

– „Muszę jednak dodać, pani Wilder – ciągnie ten wysoki – że pani syn jest przedmiotem zainteresowania służb. Służby często interesują się młodzieżą. Za oceanem, na przykład, zamachy bombowe na ogół przeprowadzali właśnie młodzi ludzie”.

– „Max ma pięć lat, na Boga – odpowiadam. – Co on może wiedzieć na ten temat?”

– Ten wysoki patrzy na mnie, jak gdyby było coś oczywistego, kurde, o czym zapomniałam, coś tak ewidentnego, że tego nie dostrzegłam.

– Zna Ginę Davies – mówi.

– Nie wiedziałam, gdzie mam podziąć oczy. Co mogłam mu na to odpowiedzieć, Gina? Powtarzałam tylko: „Ale wy jej nie znacie”.

– A on mówi: „A czy nie przyszło pani nigdy do głowy, że może to pani jej nie zna? Że może Gina została tak wyszkolona, żeby nigdy nic pani nie powiedzieć i z niczym się nie zdradzić?”.

– Więc odpowiadam: „Ach tak? Myślicie, że islamska fundamentalistka mogłaby pracować jako tancerka w klubie erotycznym? Jesteście bardziej stuknięci, niż myślałam”.

– „Najlepszy kamuflaż to czasem brak kamuflażu” – odpowiada ten facet. I wszyscy się śmieją. Wydawało im się, że to był naprawdę świetny dowcip.

– „Czy Gina Davies kontaktowała się z panią w ciągu ostatnich dwóch dni?”

– „Nie” – odpowiadam.

– „Kłamie pani – mówi ten facet. – Wiemy o tym, ponieważ pani syn potwierdził, że Gina Davies nocowała u pani przedwczoraj. I że spałyście w jednym łóżku”.

– Od tej chwili wszystko, co powiedziałam wcześniej, brzmiało jak bajeczka. Nawet to, co było prawdą, nie wyglądało już na prawdę, i w jakiś sposób wszystko stało się kłamstwem.

– „Czy Gina Davies telefonowała do pani w ciągu ostatnich dwóch dni?” – pyta znowu ten agent.

– „Nie muszę z wami gadać – odpowiadam. – Wolno mi nic nie mówić. Spierdalajcie”.

– Wtedy się przestraszyłam, Gina, i to bardzo. Myślałam, że mnie pobiją. Ale nie zrobili nic takiego. Jeden z nich wyglądał jak polityk, był dość zażywny i miał dziecianną twarz.

Mówił tak jakoś bardzo powoli. „Zgodnie z poprawką do ustawy o ASIO nie ma pani prawa do zachowania milczenia”.

– „Co to znaczy?” – pytam.

– Że za nieudzielenie odpowiedzi na nasze pytania grozi pani do pięciu lat więzienia.

– Ten stary, siwy grubas przysnął na chwilę, zaczął chrapać, a potem nagle się zbudził. Federalny uśmiechnął się szyderczo, ale ten agent, co wyglądał jak polityk, nie. Nachyliła się do mnie, jesteście prawie nos w nos, i mówi: „Wydaje mi się, że nie pojmuję pani powagi sytuacji, pani Wilder. To nie jest zwyczajne dochodzenie kryminalne. To dochodzenie w związku z podejrzeniem o terroryzm. Jeśli pojawią się jakieś nowe informacje, możemy postarać się o przedłużenie nakazu o zatrzymaniu na następny tydzień. I kto wie, tydzień później to się może powtórzyć. Rozumie pani, co to oznacza, pani Wilder? Po prostu możemy ciągle przedłużać nakaz zatrzymania. A jeśli nadal będzie pani odmawiać odpowiedzi na nasze pytania, może pani trafić do więzienia na pięć lat. Podobnie jeśli pani nas okłamie. Pięć lat”.

– Potem rozpięra się na krześle i dodaje: „Czy ktoś telefonował do pani z komórki wczoraj około czternastej dwadzieścia cztery?”.

– „A mógłby pan jeszcze precyzyjniej określić czas?” – pytam.

– „Proszę odpowiedzieć”.

– „Nie wiem – odpowiadam. – Nie prowadzę spisu wszystkich odebranych telefonów”.

– „Z billingów wynika, że dzwoniło do pani wczoraj około czternastej dwadzieścia cztery z telefonu komórkowego ukradzionego mniej więcej pół godziny wcześniej. Właścicielka wróciła po niego do stolika i opisała policjantom kobietę, którą widziała odchodzącą z miejsca, gdzie zostawiła komórkę. Rysopis wskazuje, że była to Gina Davies”.

– A ja przez cały czas bałam się o Maxa, Gina, martwiłam się, czy nic mu nie jest. Bo wiesz, biedaczek zobaczył, jak w środku nocy do domu wpadają uzbrojeni ludzie, i zaczął okropnie krzyczeć. Zabierają nas oboje na komendę, rozdzielają, więc wyobrażam sobie, że Max płacze, i sama zaczynam płakać, taka jestem zdenerwowana, i mówię, że nie będę odpowiadać, dopóki nie oddadzą mi dziecka. Ale odmawiają.

– Patrzę na tego grubasa, który znowu przysnął. Widzę nawet, że trochę cieknie mu ślina z ust. No to błagam agentów. „Mogę zobaczyć synka?” – pytam.

– „Później” – odpowiadają.

– „Kiedy? – chcę wiedzieć. – Kiedy będę mogła go zobaczyć? To mój synek, jest przerażony”. Powiedziałam im, że pójde do mediów i narobię rabanu, że wszystko powiem dziennikarzom o tym, jak agenci wtargnęli do mojego domu i zrobili Maxowi to, co mu zrobili.

– „Co im pani powie? – pytają. – Lesbijka kochanka podejrzaney zaprzecza, że ma powiązania z terrorystami?” Śmieją się, a potem ten milczący, który wygląda na polityka,

mówi: „Jeżeli powie pani dziennikarzom o którejkolwiek z tych spraw, o dzisiejszym nalocie na pani mieszkanie, o tym spotkaniu tutaj albo o pytaniach, jakie pani zadawaliśmy, trafi pani na pięć lat do więzienia. Takie jest teraz australijskie prawo zgodnie z ustawą o ASIO. Jeśli piśnie pani chociaż jedno słowo o niniejszym przesłuchaniu sąsiadowi, siostrze czy najbliższej przyjaciółce, również idzie pani do więzienia na pięć lat. Zresztą według ustawy o ASIO dziennikarze nie mogą publikować żadnych wiadomości o pani zatrzymaniu, bo za to im także grozi kara pięciu lat więzienia”.

– Wydawał się trochę zmęczony... Dochodziła jakaś, nie wiem, pewnie szósta rano, i myślę, że był mną rozczarowany i znudzony, no bo wiesz, słaba ze mnie terrorystka.

– „Oczywiście chyba że my – powiada – autoryzujemy taką informację. Mam nadzieję, że wyjaśniłem, jak wygląda pani sytuacja”.

– Potem gadali jeszcze i gadali, jak jakiś dziwny sąd, bo tym właściwie byli, a kiedy przesłuchanie się skończyło, obudzili tego starego, który powiedział coś jeszcze, i wtedy wszyscy wyszli z wyjątkiem pilnującego mnie gliniarza. Jakiś czas później wrócił ten agent z dziecinną buzią, który przypominał polityka. Powiedział, że mogę odebrać Maxa i że jesteśmy wolni. Bardzo był miły, cwaniaczek.

– „Ktoś się o tym dowie” – mówię.

– „Nie – odpowiada. – Nikt się nigdy nie dowie. Pamięta pani górników uwięzionych w kopalni złota na Tasmanii kilka lat temu? No to pani sytuacja jest gorsza. Niech pani sobie wyobrazi, że nikomu nigdy, ale to nigdy nie wolno się dowiedzieć, co się z panią działo, kiedy wpadła pani do tej czarnej dziury. I niech pani sobie wyobrazi, co może się człowiekowi przydarzyć w takim miejscu”.

– A potem do pokoju weszła policjantka z Maxem i Max biegnie do mnie, a ten gnój się uśmiecha i wyobrażasz sobie coś takiego? Głaszcz go po głowie.

– „Sympatyczny chłopczyk – mówi, patrzy na mnie i ciągle się uśmiecha. – Niech pani to sobie wyobrazi – dodaje”.

Doll nie czuła się bezpiecznie w pociągu, słuchając Wilder. Słuchała jej jednak dalej.

– Ale nie powiedziałam im, Gina, nic im nie powiedziałam, przysięgam na Boga. Na pewno mnie obserwują, wypuścili mnie na przynętę. Nie wracaj tu, Gina, nie wracaj.

Pociąg z chrzęstem wyłonił się z ciemności, wpadł w przeraźliwe światło dzienne i pędził, mijając blaszane magazyny i hurtownie, bocznicę kolejową i zdobione stiukami apartamentowce, przejechał pod wiaduktami i przez podmiejski dworzec, gdzie stały zbite w grupkę trzy ciemno ubrane mużłanki w hidżabach i gdzie pracowali stojący z dala od siebie robotnicy w pomarańczowych kamizelkach, a Doll wszędzie za oknem widziała straszliwy upał, poruszający się wyraźnymi falami niczym jakaś radioaktywna energia. Zażyla stemetil i dwie ostatnie tabletki valium 5.

Obserwowała Afrykankę siedzącą na końcu wagonu ze swoją śpiącą córeczką, której włoski, jak zauważyła, były zaplecione w wyjątkowo piękne warkoczyki, przewiązane czerwonymi i żółtymi wstążkami. Kojący stukot kół o szyny kołysał małą do snu, a pociąg jechał dalej, mijając wagony towarowe pełne warzyw, centra handlowe, ponure jak więzienia sterty rdzewiejącej, falistej blachy dachowej, betonowe mury zmęczone od graffiti i billboardy z wesołym, ogromnym obliczem, którego geometryczne, ostre rysy i sztuczny jak folia spożywcza uśmiech wyglądały nie na dzieło skalpela, lecz hebla elektrycznego. Obok tej dziwnej twarzy widniała nazwa stacji radiowej i jej częstotliwość, a także hasło „Joe Cosuk równa się Sydney”.

Doll widziała, jak w smogowym upale w nieskończoność ciągną się i zbliżają ku niej zachodnie obrzeża miasta, czyli nieustannie rozprzestrzeniające się przedmieścia – Bankstown, Revesby, Panania, Macquarie Fields, Campbelltown.

Maleństwo zaczęło płakać, więc matka je przytuliła. Szeptala dziewczynce do ucha, wachlowała ją gazetą. „Trzymaj tę małą – pomyślała Doll, kiedy na pierwszej stronie ujrzała swoje zdjęcie. – Trzymaj ją i nie puszczaj”.

Nigdy nie miała w zwyczaju do niczego wracać; przez całe życie starała się iść do przodu. Rodzina, dom, wspomnienia: dla niej był to tylko kurz. Dzięki oglądanym kiedyś telenowelom wiedziała, że takie sprawy mogą być istotne, przekonała się jednak, że są ważne tylko w telenowelach. Nie miała domu, rodziny ani dokąd wracać. Jej dzieciństwo niewiele dla niej znaczyło kiedyś, więc jak mogło teraz znaczyć coś więcej? Żałowała jednak, że nie ma więcej valium 5, że nie ma zolofu, i wolałaby nie być tak zdenerwowana, podminowana i spięta tylko dlatego, że siedzi w pociągu wiozącym ją z powrotem na przedmieścia.

Dziewczynka znowu zasnęła, a afrykańska matka z roztargnieniem gładziła ją po głowie i wyglądała przez okno. Doll rozumiała tę roztargnioną minę jako po trosze błogi, a po trosze głupi i absolutnie niezaprzeczalny wyraz miłości.

Miłość, którą Afrykanka darzyła swoje dziecko, była tą samą miłością, którą Doll od tak dawna w sobie tłumiała i która teraz pomimo jej najwyższych wysiłków nagle wezbrała w niej w postaci potężnego gniewu. Chciała do nich podbiec, chwycić to śpiące maleństwo i wyrzucić je za drzwi, cisnąć je na śmierć na bocznicy z pędzącego pociągu. W tym momencie nienawidziła tej Afrykanki, jej czarnej skóry oraz pozornej nieświadomości, że miłość to za mało. Wiedziała, że ta kobieta mogłaby pojąć tę prawdę tylko wtedy, gdyby ktoś w akcie jakiegoś przerażającego okrucieństwa na zawsze odebrał jej śpiące dziecko.

Wtedy zdała sobie sprawę, że pociąg się zatrzymał. Podskoczyła, przestraszona, że przegapiła swoją stację, ale i dlatego, że bała się samej siebie, bała się, że miłość może nad nią zapanować, że dla miłości przez chwilę miała ochotę zabić człowieka. Wysiadła w chwili, kiedy drzwi zaczęły się zamykać. Dopiero gdy pociąg znów potoczył się w dal, zrozumiała, że zakończyła podróż o jeden przystanek za wcześnie.

Wyszła ze stacyjnego cienia i ostre słońce otuliło ją jak szybko schnąca melasa, spowalniając każdy ruch. Chociaż na głównej ulicy było dosyć rojno, nikt nie chciał być na zewnątrz. Wszyscy, którzy nie musieli siedzieć w pracy, uciekli do domów, szukając ratunku w klimatyzacji, zimnym piwie i schłodzonym winie. Niektórzy oglądali coś w telewizji, a potem nie pamiętali, czy było to jakieś wydarzenie sportowe, reality show czy film dokumentalny o Hitlerze. Inni surfowali w sieci, oglądali pornosy albo wchodzili na eBaya. Jeszcze inni bili swoje żony, a żony wrzeszczały na mężów albo biły dzieci. Większość nie robiła nic. Trudno było zasnąć, ale prawie nie dało się poruszać. Ludzie łatwo wpadali w złość z powodu byle głupstwa, a naprawdę ważne sprawy właściwie nic a nic ich nie obchodziły.

Przed pralnią, w której funkcjonował też cejloński sklep wideo, Doll zauważyła niezwykłość na przedmieściach – stojącą taksówkę. Przywołała ją, dziękując losowi za to, że nie musi się męczyć, i dobre pół godziny drałować na piechotę w gęstym upale.

Wilder właśnie się rozłączyła z Doll, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Był to Nick Loukakis. Nie widziała go i nie rozmawiała z nim, od kiedy rozstali się trzy miesiące wcześniej.

Wszedł i zachowywał się jak domokrażca. Żadne z nich nie wiedziało, gdzie podziąć oczy. Nie wiedzieli, gdzie stanąć, jaką postawę przyjąć ani co powiedzieć. Powinni byli mieć sobie wiele do powiedzenia, nie wiedzieli jednak, jak wydobyć z siebie choćby jedno słowo.

Nick rozglądał się po jej wciąż zagraconym i tylko częściowo posprzątanym salonie.

– Twoi kumple – odezwała się po dłuższej chwili Wilder. Powiedziała to z podwójną goryczą.

– Słucham?

– To na mnie policja zrobiła nalot w środku nocy. Dlatego tu jesteś, nie?

Nick rozejrzał się po wywróconym do góry nogami domu, patrzył na porozrzucone w kuchni garnki i patelnie, na połamane ramki zdjęć i otwarte, leżące grzbietami do góry książki. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jak gdyby w głowie miał taki sam bałagan, jaki panował w pokoju.

– Chcą, żebyś mnie przycisnął i żebym ci opowiedziała wszystko, co wiem – ciągnęła Wilder.

Nick spojrział na nią i zrozumiała, że o niczym nie słyszał i dopiero teraz kojarzył fakty.

– Jestem tylko głupim sierżantem z wydziału antynarkotykowego – odpowiedział. – Jeżeli myślisz, że mówią nam coś więcej niż gówno, to się mylisz.

Rozmowa wyschła. Wilder zaparzyła kawę, a kiedy postawiła już dzbanek na stole, podsunęła mu krzesło z miękką poduszczką na siedzisku. Uśmiechnął się. Wilder milczała.

Miała cztery krzesła z giętego drewna o twardych siedziskach, na które kupiła miękkie, tanie poduszki. Nick ich nie cierpiał. Kiedy przyniosła je do domu, uznał, że są „tandetne”. Irytowało to Wilder, ale właściwie było jej obojętne, czy poduszki leżą na krzesłach, czy nie, więc zdjęła je i schowała. Kiedy przestała się spotykać z Nickiem, znowu je wyciągnęła i przywiązała do krzesel. Teraz jednak się zdenerwowała: była w złym humorze przez to, co się jej przydarzyło w nocy, przez bałagan w domu i przez Doll, bo uważała, że to wszystko jej wina.

– Podobają mi się – powiedziała, wciąż rozsierdzona z powodu tych poduszek, z powodu Nicka i nalotu policji. – Poza tym te krzesła są za twarde, żeby siedzieć na nich bez podkładek.

Nick łyknął trochę kawy.

– Wiesz, ładny masz domek, Wilder. Stylowy. W twoim stylu. Ale te poduszki... no nie wiem. Trochę obniżają standard tego miejsca.

Nie odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę, że chyba nic nie złości go bardziej niż jej milczenie. Potem zmieniła temat, wiedząc, że właśnie to może rozzłościć go jeszcze mocniej.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – spytał, pozwoliwszy jej na dłuższą wypowiedź.

– No bo po co ty mi to mówisz, Nick? Po co ty mi właściwie o tym mówisz? Wrócisz do Diany i przyniesiesz mi tu te jej zagraniczne krzesła? Co, Nick? Tak?

Była spokojna. Po tym wszystkim była już spokojna. Nienawidziła go, kiedy był niezdecydowany, kiedy jej ustępował, kiedy nie chciał rządzić. Podokuczała mu więc jeszcze trochę na temat żony, a im bardziej mu dokuczała, tym bardziej nienawidziła Diany i tym bardziej pogardzała Nickiem.

W głębi duszy Loukakis nie cierpiał tego, co uważał za zazdrość, manifestującą się w tej małostkowej niechęci. Uważał jednak zarazem, że nie ma prawa okazywać złości. Poza tym były inne sprawy, które liczyły się o wiele bardziej i które musiał jakoś zaakceptować. W końcu cichym, ale zarazem nieco groźnym głosem powiedział, jak jego zdaniem naprawdę wygląda sprawa z Doll i dlaczego musi ją odnaleźć.

Starał się przy tym nie patrzeć na piersi Wilder. Próbował zniszczyć wspomnienie tego, jak się im przyglądał, kiedy się różnili i gdy falował jej brzuch, a on rozczesywał palcami jej włosy. Starał się zapomnieć, jak często się śmiali, jak bardzo lubił po prostu słuchać jej opowieści.

– Gdzie ona jest? – zapytał.

– Twoja żona? Diana? Żoneczka, żona? To ty powinieneś wiedzieć.

Wyciągnął ręce i chwycił ją boleśnie za nadgarstki.

– Nie pierdol – odpowiedział. – Gina. Gdzie jest Gina, kurwa?

Wilder odchyliła głowę, spojrzała na niego i nie odpowiedziała. Nick wstał i siłą zwałókl ją z krzesła. Podniósł jej ręce do góry, tak że wyprostowały się po lewej i prawej stronie wokół jego twarzy, po czym przyciągnął ją do siebie.

– Puść – powiedziała. – To boli.

– Mogę jej pomóc.

– Nie powiem ci – odparła, natychmiast żałując tych słów, bo teraz Nick miał już pewność, że Wilder wie, gdzie jest Doll.

– Musisz mi powiedzieć.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku. Chciała krzyknąć. Ale uśmiechnęła się, bo teraz robił to, co chciała, żeby jej zrobił.

– Żoneczka, żona – powiedziała, znowu się uśmiechając. – Żoneczka, żona.

„Jestem wykończony – pomyślał Nick – i nie wiem już, co robić”. Puścił jej rękę, aby nie posunąć się do czegoś jeszcze głupszego. Wstał, wziął kubki po kawie i zaniósł je do kuchni, wycofując się w domową codzienność, żeby się uspokoić.

Obserwowała go z tyłu, kiedy odchodził. Miał grzbiet jak rugbista. Znowu poczuła w ustach jego słodki i słony smak, patrząc, jak Nick zmywa kubki, wyciera je i odstawia; dziwny akt porządku w otaczającym chaosie.

Może tak będzie lepiej, powiedział sobie, kiedy stał nad zlewem. Jaki pożytek mógł wyniknąć z tego, że poznałby miejsce pobytu Giny? Uświadomił sobie teraz, że nie może pomóc Doll, bo sprawa została za bardzo rozdmuchana. Tak czy owak, musiałby powiedzieć o wszystkim innym policjantom, którzy dowiedzieliby się, że odwiedził Wilder, a wtedy to oni decydowałiby o jej losie, nie on.

Wrócił do stołu.

– Lepiej już pójde – powiedział. Miał teraz inny głos. – Przepraszam – dodał, nieokreślonym gestem wskazując pokój, jak gdyby ten bałagan to była jego wina.

Podszedł dać jej całusa na do widzenia, szybkiego i niedbałego.

Opletli się jednak ramionami, Nick dotykał jej piersi, a ona jego pleców. Nie osunęli się na podłogę, nie rzucili się na siebie rozgorączkowani pośród poprzewracanych mebli, porzrzucanych książek, czasopism i zdjęć. Po prostu stali, obejmując się nieporadnie, jak gdyby byli z porcelany, jakby najłżejszy ruch mógł roztrzaskać tę pozostałą jeszcze między nimi drobinę na miliony kawałków.

Zasnąć w ramionach Wilder, pomyślał Nick. To wszystko, czego chciał. Spać! Zasnąć, obejmując ją, wdychając jej zapach, ona też weźmie go w objęcia, a on wreszcie znajdzie spokój. Spokój – jak słodki wydał mu się nagle spokój, jak bardzo pragnął odpocząć. Ale nie był w stanie nic powiedzieć, a poza tym nic nie przychodziło mu do głowy.

Wilder go pożądała, postanowiła jednak, że nigdy więcej nie pójdzie z nim do łóżka. Czegoś jej brakowało. Coś się skończyło. Chyba że Nick się odezwie, pomyślała. Może wtedy będzie inaczej. Jeśli się odezwie, to jedna z dwóch sprzecznych myśli w jej głowie – że go nie chce i że pragnie go bardziej niż kiedykolwiek – zniknie. Dlatego powiedziała mu o Doll. Udawiała, że los tego chciał. Starła się nie myśleć, że powiedziała mu o tym tylko dlatego, żeby on coś do niej powiedział, cokolwiek.

Nick dalej ją obejmował i dalej pragnął spokoju. Nie wiedział, co mówić. Żałował, że Wilder opowiedziała mu o Ginie. Czuł na palcach dotyk włosów kochanki. Starał się nie myśleć o swoich synach. O Dianie. Nie miał pojęcia, co robić. Wolałby dzielić się z Wilder wszystkim, tylko nie tym. Wciąż ją obejmował, a wokół narastały uliczne hałasy, ruch w Sydney. Myślał, że zacznie krzyczeć. Nie wiedział, co mówić, i strasznie żałował, że Wilder opowiedziała mu o Ginie.

– Proszę wsiadać, śmiało.

Pokrowiec z paciorków zagrzechotał, kiedy taksówkarz machnął ręką w kierunku otwartych drzwi, najwyraźniej okazując niechęć towarzyszącemu Doll podmuchowi gorącego powietrza. Miał nadwagę, jego czerwoną twarz pokrywały płatki strupów, a na niebieskiej koszuli było widać strzępki skóry, przypominające rybie łuski.

– Do Rookwood – powiedziała Doll. – Pokażę panu gdzie.

W radiu samochodowym spiker oznajmił, że za chwilę przeprowadzą „bezpośrednią transmisję z konferencji prasowej komendanta głównego policji, Bena Holmstroma”. Kierowca złamał licznik i ruszył. W radiu ktoś zakaszłał, a potem powiedział:

– Cóż, mogę potwierdzić, że w mieszkaniu znaleźliśmy znaczną sumę pieniędzy oraz niewielką ilość kokainy.

Doll chciała poprosić grubasa, żeby zmienił stację, ale nie miała odwagi. Pragnęła stać się niewidzialna. Nie życzyła sobie, by taksówkarz na nią patrzył, myślał o niej, zapamiętał ją. Musiała więc słuchać dalej, gdy w stadzie dziennikarzy podniosły się chaotyczne, krzykliwe pytania.

– Czy uważa pan, że istnieje związek pomiędzy islamskim terroryzmem i przemytem narkotyków?

– Sprawdzamy dochodzeniowo wszystkie ewentualności i współpracujemy z odpowiednimi agendami rządowymi – powiedział głos, który, jak domyślała się Doll, należał do najważniejszego gliniarza w kraju.

– Czy to prawda, że chodzi o mieszkanie kobiety, którą media nazywają „nieznaną terrorystką”?

– Mieszkanie zostało wynajęte na nazwisko Giny Davies.

– Czy Gina Davies to ta sama kobieta, która pracuje jako tancerka erotyczna w Chairman’s Lounge i posługuje się pseudonimami Krystal oraz Czarna Wdowa?

– Tak przypuszczamy, tak.

– A zatem istnieje między nimi związek, panie komendancie? Czy może pan potwierdzić, że ta komórka zdobywała fundusze na działalność terrorystyczną dzięki przemytowi narkotyków i w przemyśle porno?

– Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem przed chwilą. Są to jednak oczywiście niepokojące sygnały.

Kierowca z goryczą zamruczał coś pod nosem, jak gdyby cała ta rozmowa w jakimś sensie była wymierzona przeciwko niemu, a tymczasem na konferencji prasowej jakiś inny, daleki głos wzbil się ponad gwar, pytając:

– Jaką sumę pieniędzy znaleźliście?

W przenikającym wszystko upale nawet powietrze w taksówce było lepką męką. Doll spróbowała skupić się na chrapliwym szepcie klimatyzacji w samochodzie, walczącej ze światem, którego nie będzie można już nigdy ostudzić. Ale kiedy komendant odpowiedział: „Prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach studolarowych”, nie mogła dłużej nie zwracać uwagi na radio.

– Niech pan się zatrzyma! – wykrzyknęła nagle. – Tutaj... Proszę podjechać pod ten sklep z narzędziami i tam na mnie zaczekać.

Przez chwilę stała na ulicy, próbując unormować oddech.

„Moje pieniądze! Moje pieniądze!” – myślała, bo wiedziała, że wszystkie już zniknęły. Wilder nie dotarła do jej mieszkania na czas i teraz nigdy ich już nie odzyska. A to były jej wszystkie oszczędności. Nie mogła udowodnić, że zapracowała na nie legalnie, a oni będą twierdzić, że zostały zdobyte niezgodnie z prawem. Wszystkie te zaszrane, niekończące się noce, które musiała wycierpieć dla tej forsy; wszyscy ci zaszranicy, do których musiała się uśmiechać i przymilnie zagadywać; wszystkie te bzdury, których wysłuchiwała; wszystkie pieniądze, dzięki którym banknot po banknocie chciała powoli zakryć swoją nagość – wszystko poszło na nic!

Kręciło się jej w głowie i zmusiła się, żeby wejść do sklepu, chociaż podłoga na przemian unosiła się i opadała pod jej stopami. Bo wraz z pieniędzmi zniknęło jej marzenie o domu, a z domem marzenie o tym, że porzuci taniec na rurze i zacznie nowe życie.

Po chwili zaczęła krążyć po alejkach z plastikowym koszykiem na zakupy, starając się znaleźć jakąś pociechę w tej nowej sytuacji. Włożyła do koszyka nóż kuchenny, zdjęła z półki puszkę płynu Brasso i znalazła szczotkę do szorowania, próbując wmówić sobie, że to wszystko nieważne, że może zacząć od nowa. Przystanąła i oparła się o półkę z ekspozycją elektronarzędzi Makita, żeby się nie zatoczyła.

Pomyślała, że może jeśli zgłosi się na policję i wszystko im opowie, w tym ile zarobiła, a także jak ciężko i uczciwie pracowała, to ją zrozumieją, wyjaśnią cały ten syf i oddadzą jej kasę. Przez kilka minut zastanawiała się nad takim pomysłem; bardzo chciała odzyskać swoją własność, a myśl, że pieniądze to wolność, była taka silna, że Doll przez krótką chwilę przewyciężyła strach. Przy kasie dorzuciła do koszyka bukiet kwiatów, zapłaciła, wyszła i wsiadła znów do taksówki. Ale kiedy samochód ruszył, zdała sobie sprawę, że całe jej rozumowanie jest gównem warte.

– Wychowałem się niedaleko stąd – powiedział taksówkarz, kręcąc kierownicą. Auto zjechało z autostrady i minęło tablicę znaczącą wjazd na największy cmentarz na półkuli południowej. – Siedemset akrów – dodał, wściekle drapiąc się po poranionym podbródku.

Doll udawała, że nie widzi, jak odpadają mu kawałeczki twarzy. – Kiedyś nazywało się to Necropolis. Miasto umarłych. Jak coś z filmu z Batmanem, kurde.

Doll mówiła kierowcy, którą ma jechać po wąskich alejkach cmentarza, pośród niekończących się nagrobków, starych, nowych – tu wyznawcy jednej religii, tam drugiej, gdzie indziej bezwyznaniowcy – pod palmami, mijając grobowce duże i krzykliwe, grobowce usytuowane w sporej odległości od siebie i popękane, a także grobowce niewidoczne i zagubione, między rosnącymi tu i ówdzie zagajnikami drzew eukaliptusowych i placami, które były już częściowo zarośnięte przez akacje i sosny.

W radiu nadawano wiadomości, usłyszeli między innymi krótką wypowiedź premiera, który oświadczył, że ma pełne zaufanie do służb podejmujących czynności w sprawie poszukiwań tak zwanej Czarnej Wdowy. Dodał jednak, że wszyscy Australijczycy powinni zachować czujność.

– Czujność! – parsknął kierowca. – Niby jak czujność mogłaby nam pomóc?

Tuż przed rzędem połyskliwych czarno-szarych mauzoleów – jak gdyby eleganckich magazynów, zdobionych nazwiskami bogatych włoskich rodzin, wypisanymi złoconą kursywą – Doll kazała taksiarzowi stanąć.

W radiu zaczął się poranny program.

– Porozmawiamy przez telefon z ministrem spraw wewnętrznych – powiedział Joe Cosuk. – Pan minister musi wiele wyjaśnić Australijczykom.

– Bierz go, Joey. Zuch chłopak – odezwał się kierowca, jak gdyby Cosuk, ta dziennikarska hiena, był psem myśliwskim.

– A jeśli nie będzie chciał rozmawiać z Australijczykami – ciągnął Joe – i nie powie nam, jak to się dzieje, że terroryści mogą sobie po prostu biegać po kraju, jak im się podoba, to moim zdaniem naród osądzi go niezwykle surowo.

– Długo pani zejdzie? – spytał taksówkarz. – Mogę zaczekać.

– Nie trzeba, przyjacielu – odparła Doll. – Wrócę na dworzec pieszo i złapię pociąg do domu.

– Niech pani nie jedzie sama pociągiem, skarbie – odrzekł taksówkarz, znów drapiąc się po podbródku. – Libańcy. Okradną panią i zgwałcą, zobaczy pani. Jebani libańcy. Sorki za łacinę. A dokąd pani jedzie? Możemy się umówić na konkretną sumę za kurs, to wyłączę licznik. W taki dzień jak dzisiaj nie powinna pani jechać pociągiem z libańcami.

Doll uśmiechnęła się krótko, zapłaciła, zatrasnęła drzwi auta i odwróciła się. Odchodząc, usłyszała odjeżdżającą taksówkę. Nad głową nie miała już słońca ani horyzontu. Rozpalone niczym piekarnik niebo wypełniał brudny półmrok, rozplaszczający ludzi w dole jak gorące żelazko.

Dość nędzny kawałek ziemi, na który zmierzała, leżał wciśnięty pomiędzy zdecydowaną jednorodność Presbyterian Lawn, gdzie rzędy tabliczek stały na bacność jak żołnierze, a bizantyjski przepych sekcji greckiej. Marny spłacheć piachu pośrodku nazywał się Baby Lawn. Biedacy i bezwyznaniowcy chowali tu swoich nowo narodzonych umarłych.

Jakiś starzec i mała, najwyżej pięcioletnia dziewczynka, sprząтали grób, wyrwali chwasty, układali kwiaty i starannie umieścili na środku płyty miniaturową piłkę do rugby z napisem „Roosters”. Właściwie nie było wiatru, ale od czasu do czasu wzbijały się chmury pyłu, wirujące niewielkimi kręgami wokół chudych jak patyki nóżek dziecka.

Wzdłuż każdego szeregu grobów na Baby Lawn biegła sięgająca łydki dorosłego człowieka popękana betonowa belka, na której w regularnych odstępach umocowano małe brązowe plakietki jednakowej wielkości, zastępujące płyty nagrobkowe. Niektóre groby były zadbane i ozdobione kwiatami, większość nie: na zapomnianych poniewierały się blaknące i niszczące pluszowe misie, samochodziki wyścigowe i porcelanowe lalki.

Na końcu najnowszego rzędu tabliczek znajdował się świeży grób z niewielką ziemną mogiłką, niespełna metrową, pod którą spoczywało jeszcze mniejsze ciało. W pobliżu pod kępą nędznych eukaliptusów ktoś ułożył równe płyty murawy, wycięte z nowego grobu w płońskiej nadziei, że przyjmie się pod drzewami.

Alejką nadeszła jakaś siwowłosa, ubrana na czarno kobieta, niosąca trzy duże, wypchane po brzegi plastikowe torby. Przystanęła, dziwnym, łakomym wzrokiem patrzyła przez chwilę na starca i dziewczynkę, jak gdyby niespodziewanie natrafiła na oazę na pustyni, a potem poszła dalej.

Doll krążyła między rzędami betonowych belek, aż wreszcie znalazła białego plastikowego konika, pokrytego rysami żółtych pęknięć i kruszącego się od słońca, który spoczywał pod kolejną plakietką z brązu i dawno uschłymi kwiatami.

Chociaż dobrze wiedziała, co tu jest napisane, przebiegła palcami po wypukłych literach na plakietce.

LIAM DAVIES

UKOCHANY SYNEK GINY DAVIES

UR. 6 MARCA 2001

ZM. 7 MARCA 2001

Było to kłamstwo. Nie żył w niej już od dawna, na długo przedtem, zanim poroniła tuż przed północą. A przecież istniał, myślała, istniał... Serce jednak podeszło jej do gardła, bo nie umiała powiedzieć, kim albo czym był Liam.

W ciąży często wyobrażała sobie, że karmi noworodka piersią. Z jakiegoś powodu wydawało jej się ważne, by od samego początku karmić dziecko własnym ciałem. Ostatecznie czy eksperci i władze nie zgadzały się ze sobą, że tak jest najlepiej dla zdrowia niemowlęcia? Ale nie tylko to kazało Doll marzyć o karmieniu piersią. W jej snach dziecko wtulało się pomiędzy wezbrane mlekiem matczyne piersi, znajdowało dorodne brodawki i wysysało z nich jak gdyby złote nitki – czarodziejskie złote nitki mleka i miłości, którymi żywili się oboje. Będzie kochać i będzie kochana, dostanie to, co jej się należy, ani mniej, ani więcej.

Tamtego dnia, sześć lat temu, podniosła swojego chłopczyka do nabrzmiałych piersi, przysunęła jego pomarszczoną twarzyczkę i martwe usta do wyprężonego sutka i patrząc na synka, dotykając biustem jego martwego ciała, zatrzęsała się pod niemożliwym ciężarem smutku.

– Niech go pani zostawi – powiedzieli. A potem: – Niech go pani zostawi, musi pani oddać dziecko, musimy je zabrać. – I nie pozwolili mu zostać, nie pozwolono mu żyć – dlaczego? Nie ma żadnego „dlaczego”, pomyślała. Jest po prostu „jest”. Zrobiła to, co jej kazano, i nie stawiała oporu, kiedy łagodnie rozsunęli jej ramiona i zabrali Liama.

Potem została tylko ta blondynka z dużymi piersiami, którą poznała wcześniej na porodówce. Tylko ona ją przytuliła. Doll pozwoliła jej na to – nie obchodziło jej już, kto i co z nią zrobi – a w końcu sama wyciągnęła ramiona, objęła tę kobietę niczym wielki baobab w oku cyklonu, i poczuła, że jeśli będzie się jej trzymać, to może nie porwą jej fale. Bo poza tą kobietą nie było wokół nic solidnego, nic trwałego. Nie istniało nic poza smutkiem i Doll nie chciała jej puścić, dopóki nie odciągnęły jej dwie pielęgniarki, żeby blondynka mogła nakarmić swojego syna, który urodził się godzinę przed Liamem. Matka nazwała go Max. Miała na imię Sally, ale wszyscy wołali ją po prostu po nazwisku: Wilder.

Pomyślała, że Liam skończyłby w tym roku sześć lat i że ona liczyła sobie dziewiętnaście, kiedy zaszła w ciążę. Troy miał wtedy trzydzieści dwa i był żonaty. Powiedział, że jego nazwisko jako ojca nie może się pojawić na grobie Liama.

Zdumiewało ją, jak niewiele jej zostało z czasu, który spędziła z Troyem: wspomnienie jego twarzy i sposób, w jaki czesał swoje jasne włosy – wtedy przywodził Doll na myśl gwiazdorów kina, jej zdaniem przystojniaków, dziś jednak wydawał się wyrazem próżności

i egzaltacji. Troy był żołnierzem sił specjalnych, SAS. Poznała go jako osiemnastolatka i wówczas uważała, że komandos to jest ktoś. Naprawdę ktoś.

Kupował jej kwiaty. Prezenty. Zapraszał do eleganckich chińskich restauracji i umiał jeść pałeczkami. Pojawiał się bez ostrzeżenia i równie nieoczekiwanie znikał. Mówił tajemniczo o różnych miejscach, w których był, o tym, co widział, i używał określeń takich jak „tajne operacje” i „trzeba znać zasady gry, chociaż ty, kochanie, nie musisz ich znać”, kiedy tłumaczył jej coraz bardziej rosnącą liczbę rozmaitych spraw w jego życiu, jej zdaniem niedających się wytłumaczyć.

Miał powodzenie u kobiet, ale nawet kiedy przekroczył trzydziestkę, jego pociąg do nastolatki wydawał się niezmienny i niezmienny. Jeśli jednak w pogoni Troja za spódniczkami kryły się jakaś beznadzieja i niezdecydowanie, to także i one wydawały się w pewien sposób atrakcyjne dla kobiet, które się w nim kochały.

Pamiętała niektóre szczegóły jego umięśnionego ciała i zapach, ostry i na początku dziwny, potem przez jakiś czas podniecający, a w końcu obmierzły. Nie miała nawet wspomnień ze sprzeczek i powolnej, bolesnej zapaści ich związku: z perspektywy czasu widziała, że ta miłość właściwie nigdy się nawet nie zaczęła, lecz zgasła równie nagle i niewytłumaczalnie jak ich syn.

I chociaż był to już właściwie koniec, wlekli się razem dalej jeszcze przez kilka miesięcy. Troy przychodził pijany i napędzał jej strachu, mamrotał prośby i groźby, brał ją w ramiona, szarpał, a potem zaczynał płakać, zapadał w sen i sikał w spodnie tam, gdzie akurat siedział albo leżał. Wystąpiła do sądu, żeby zabronił mu zbliżania się do niej, i uzyskała taki zakaz, kiedy więc pewnego razu Troy wyważył drzwi jej domu, wezwała gliny i spędził noc w areszcie.

Wiadomość o tym, że ma dwoje dzieci z inną kobietą we Fremantle, zaszokowała ją, chociaż nie aż tak jak jego śmierć, do której doszło podczas ćwiczeń koło Cairns zaledwie cztery miesiące po śmierci Liama – wydawało się jej, że Troy ma takie ciało, które wytrzyma wszystko i wszystkich przeżyje. Przez pewien czas jego zgon wydawał się Doll karą za nieustanne zdrady i złe zachowanie; postrzegając Troja jako mężczyznę, który w jakiś sposób musiał przeczekać, że ma niewiele czasu, wcisnął więc w tych kilka lat, co tylko mógł. Jednak gdy smutek opadł, zmałało też jej współczucie. Troy był bezmózgim fiutem, i tyle.

Pomyślała, że serca pękają ludziom na różne sposoby, ale ona zna tylko jeden rodzaj bólu.

Spojrzała w niebo. Pociemniało jeszcze bardziej. Po jego macierzyńskim brzuchu pędziły czarne pęki chmur. Przyszło jej do głowy, że gdyby ludzie zadali sobie trud, żeby na nie popatrzeć, to wielu z nich niebo w południe tego dnia wydałoby się wspaniałe, nastrojowe i czarujące zarazem. Ale gdy ponownie spuściła wzrok i zobaczyła żalosne poletko piachu, na którym pochowała na wieczny odpoczynek swojego martwo urodzonego syna, odniosła

wrażenie, że niebo tego dnia – podobnie jak piękne przedmioty Morettiego i wszystko, o czym mówiono, że jest piękne – było po prostu okrutne.

W końcowym okresie ciąży zauważyła, że płód przestał kopać. Nie martwiła się tym przez kilka dni, potem poszła jednak do szpitala. Lekarz pocieszał ją, ale badanie ultrasonograficzne wykazało, że serce dziecka nie bije. Następnego dnia przeprowadzono indukcję porodu. Na cichej sali szpitalnej wszyscy milczeli.

Po tym dniu Doll nie cierpiała ciszy, bezgłosu, milczenia. Wyobrażała sobie, że poród to wielka radość i wzruszenie, a później dom pełen odgłosów: płaczu, śmiechu, pieszczotliwych słów, śpiewania, opowieści, wołania o pomoc i okrzyków radości. Ale były tylko ból i cisza. Po tym dniu wołała hałas, jakikolwiek hałas niż ciszę.

Powiedzieli, że chłopczyk urodził się martwy. Nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażała. Nie był doskonały. Powiedzieli, że może go potrzymać. I że niektórzy rodzice ubierają takie noworodki i robią sobie z nimi zdjęcia, żeby mieć co wspominać.

Przytuliła go. Miał szeroko otwarte oczy. Były duże i straszne, matowoniebieskie. Przesunęła dłoń po jego buźce, żeby je zamknąć, i wtedy odpadły mu powieki. Nie chciał przestać na nią patrzeć. Należał do niej. A ona była nim. Umarłym Liamem. Nie ubrała go. Nie zrobiła zdjęć. Nie żył, ale Doll i tak miała swoje wspomnienia i była nim. Pocałowała jego wilgotną, skamieniałą buźkę, pomarszczoną jak suszona śliwka. W tym momencie poczuła do niego wstręt. W tym momencie go kochała. Nie chciał przestać na nią patrzeć.

– Myślałeś pewnie, że mama już nigdy nie przyjdzie – powiedziała, przykucając na piasku Baby Lawn. Mówiła cicho, jak gdyby Liam leżał nieruchomo w jej ramionach i słyszał nawet jej oddech. – No to posprzątajmy – dodała, jak gdyby miała na myśli zabałaganioną dziecięcą sypialnię, i zabrała się do czyszczenia grobu. Ziemia była tak gorąca, że Doll pomyślała, że poparzy sobie ręce. Liam nie był przystojny, kiedy się urodził, ale w jego pomarszczonej niczym suszona śliwka buźce widziała inną twarz: młodego, przystojnego mężczyzny.

– Mój brzydki Liam – szepnęła, wrywając chwasty wokół małego kawałka kruszącej się betonowej belki. – Mój brzydki, piękny chłopiec.

Nowym nożem kuchennym, który kupiła w sklepie z narzędziami, wycinała kępy uschłej trawy wkraczającej na te pół metra betonu, które w jej myślach należało do Liama. Wyrwała młodziutką lantanę, sięgającą już niemal plakietki.

Zachowała zdjęcia z czasu ciąży i trzymała je w specjalnym albumie. Niewątpliwie znalazły się już w rękach policji. Co zobaczą policjanci? Co ludzie w ogóle widzą? Co widzieli ci faceci w garniakach w Chairman's Lounge, kiedy z taką uwagą wpatrywali się między jej nogi? Oczy bez powiek, które też nie mogły przestać patrzeć?

Po poronieniu wyjechała do Melbourne. Znajomym powiedziała, że „zamierza znaleźć lepsze miasto”. Znalazła to samo miasto, te same ulice, te same martwe spojrzenia, ten sam brud, tę samą obojętność, to samo wspaniałe gnicie, tę samą energię jak w ulu, rozpierającą, budującą, morderczą i niszczącą; tu okradało się kwiaty i zapładniało je bez żadnego innego celu jak tylko ten, by jakoś ciągnąć dalej. Znalazła to wszystko i tylko pogoda była inna, i wiedziała, że od tej pory każde miasto będzie dla niej identyczne, Berlin, Nowy Jork czy Szanghaj, wszystko jedno.

Wróciła do Sydney po roku, zdecydowana nie zmieniać już miast, lecz siebie. „Zacznę od nowa – pomyślała – takie jest życie, to wszystko, czym życie jest, bo ciągle trzeba zaczynać je na nowo”. Przypomniała sobie, jak znalazła pracę w call center linii lotniczych Quantas – nie cierpiała jej, mierzono jej czas za każdym razem, kiedy wychodziła do toalety – a potem zobaczyła ogłoszenie, że poszukiwane są tancerki do pracy w Chairman's Lounge. Poszła tam raz zatańczyć w weekend i nie wróciła do Quantas.

Taniec erotyczny z pozoru nie wiązał się z upokorzeniem ani dumą. Zapewniał pieniądze i to jej wystarczało. A przez pewien czas – bardzo krótki, jak zdała sobie sprawę – czuła się dzięki niemu kimś, była dumna, odnosiła wrażenie, że ktoś jej chce. Zamiast dzień w dzień wysłuchiwać przez telefon pretensji klientów i dostawać ochrzan od przełożonych, w klubie

to ona patrzyła na innych z góry, a oni ją podziwiali, uważali, że jest piękna, opowiadali jej o swoim życiu, wszyscy ci faceci w garniturach, starsi goście, którzy wcześniej tak długo okazywali jej wyższość. Wystarczyło, że wsuwała sobie rękę między uda i wciskała im tyłek w twarz, a zaraz tracili głowy; mogła ich prowokować, a oni dostawali wzwołu i pragnęli jej, tylko jej, ale gdyby któryś z nich choćby jej tylko dotknął, ochrona natychmiast wyrzuciłaby go na zbity pysk.

Tak naprawdę, myślała Doll, nie oszukiwała mężczyzn, tylko pozwalała im, żeby sami się oszukiwali. Była boginią, kobietą nieosiągalną, kimś lepszym od nich, pozostającym poza ich zasięgiem, a oni byli niczym, co do jednego: libańscy gangsterzy, celebryci ze świata telewizji i muzyki, dyrektorzy z korporacji i bogaci chłopcy z północnego brzegu, którzy wypuszczali się na wieczory kawalerskie. To było coś, o tak, jak gdyby cowieczorne przyjęcie, na którym Doll pozostawała w centrum uwagi. Wszyscy chodzili do klubów, płynęły dolary, i nawet się specjalnie nie starając, wyciągała ponad trzy tysiące tygodniowo, oczywiście na czarno.

I wydawało się jej, że wreszcie dokądś zmierza. Nie wiedziała dokąd, ale przez pewien czas było jej z tym dobrze. Nawet z tym wstrząsem, jaki zafundowała swoim znajomym. Zarabiała prawdziwe pieniądze i była dumna, bardzo dumna. Wyglądała lepiej. Dzięki cowieczornemu wysiłkowi fizycznemu była w dobrej formie, a stroje, piękne stroje, buty i torebki, które mogła teraz kupować, sprawiały, że wyglądała niczym gwiazda filmowa. Dopiero później wszystko stało się jasne. Nie była gwiazdą filmową. I donikąd nie zmierzała. Była tancerką erotyczną, która spadała na dno.

Potem władze zakazały tańca, w którym dziewczyny wchodziły w fizyczny kontakt z klientem, dostawała więc już tylko napiwki za taniec na rurze albo pięćdziesiąt dolców za piętnastominutowe prywatne występy, a kluby w ogóle jakoś wyszły z mody, przestały być trendy i stały się obciachem; dziewczyny posmutniały, faceci zrobili się skąpi i trzeba było napracować się dwa razy tyle co kiedyś, żeby zarobić połowę tego co dawniej. Była tancerką erotyczną bez względu na to, czego się trzymała – nic się nie udawało, wszystko się waliło, a ona spadała na dno.

Przez pewien czas pracowała w innym miejscu, w pewnym klubie w Perth, gdzie wydawało się, że wszystko ujdzie. Wytrzymała tam trzy tygodnie, dopóki ktoś jej nie poprosił, żeby się namydliła i ślizgała nago po podłodze. Po pierwsze, nie chciała tego zrobić, a po drugie, wydawało jej się to zbyt idiotyczne. Przez kilka miesięcy latała na Gold Coast, żeby w weekendy pracować w tamtejszym klubie. Potem wróciła; raz jeszcze próbowała być dumna. Była tancerką, tancerką erotyczną. To był biznes, nie zabawa. Wróciła do Chairman's Lounge; mieszkała niedaleko i już ten powód wystarczał, żeby wybrała to miejsce.

– Jestem piękna – powtarzała sobie w kółko.

Mężczyźni płacili, żeby podziwiać jej urodę i sposób, w jaki ją demonstrowała. Ale w głębi duszy czuła się inaczej. W głębi duszy czuła, że płacą jej za coś innego, a im więcej płacili, tym bardziej oddalało się to, czego szukali. Rozumiała już, że niczym się od nich nie różni, że przez cały ten czas, kiedy banknoty coraz gęściej pokrywały jej ciało, dystansowała się jeszcze bardziej od tego, czego naprawdę chciała – od przyjaźni, zaufania, pogody ducha, miłości – spadała coraz niżej, a chociaż wszyscy o tym wiedzieli, nikt nic jej nie powiedział.

Tańczyła dla garniaków, którym zza klap marynarek wystawały „zwisy męskie”. Doskonale wiedziała, że ci mężczyźni muszą sobie wyobrazić, że ona myśli o pierdoleniu się z nimi, o pierdoleniu się w ogóle, muszą sobie wyobrazić, że Doll żyje w stanie tak absolutnego pożądania seksualnego, że nawet oni mogą być jego częścią; w tym stanie mężczyźni nie trzeba innej istoty ludzkiej z imieniem, nazwiskiem, przeszłością i życiem, chodzi tylko o kupę mięsa.

Ona jednak wyobrażała sobie inne rzeczy. Myślała o życiu, w którym ma mieszkanie, wykształcenie i pracę będącą przedmiotem podziwu innych ludzi, życie, w którym coś znaczy. Jej wyobrażenia przerodziły się w plan, plan zaś stał się marzeniem o pokrywających jej ciało banknotach.

I jeszcze raz wmówiła sobie, że dokądś zmierza, chociaż przez cały czas spadała na dno. Spadała zawsze, ale teraz zrozumiała, że nic się nigdy nie zmienia. Ludzie żyją i umierają. Zawsze znajdują się kobiety, które będą się rozbierać dla bogatych mężczyzn, i zawsze będą mężczyźni, którzy płacą za to, by patrzeć na rozbierające się kobiety; Doll będzie spadać tak aż do śmierci, a miesiąc albo dwa później już tylko kilka bardzo bliskich jej osób, w tym Wilder, będzie ją wciąż pamiętać, po kilku latach jednak nawet Wilder nie przyjdzie łatwo przypomnieć sobie jej twarz albo śmiech, i grób Doll porośnie tylko lantana.

Dzień pogrzebu Liama należał do tych pięknych, zimowych dni, które wywołują uśmiech na twarzach mieszkańców Sydney i okolic:

– To najlepsze miejsce na ziemi – mówili wtedy.

Powietrze wydawało się jej pełne radosnych dźwięków. Zewsząd dobiegały odgłosy bawiących się dzieci, ludzie śmiali się, coraz głośniej grała przyjemna muzyka... Dla Doll stało się jasne, że śmierć nic nie obchodzi świata, w którym życie jest dobre i radosne, objawy cierpienia to wstyd, ona spada na dno, a na umarłych rośnie jedynie lantana.

W pobliżu miejsca, gdzie kończył się Baby Lawn, a zaczynał cmentarz grecki, był kran, pod którym napełniła wiadro. Woda płynęła, a Doll patrzyła na dwie korpulentne Greczynki i leciwego Greka w przedpotopowym kremowym garniturze z lnu siedzących przed ozdobnym, pięknie utrzymanym grobem. Siedzieli na krzeselkach turystycznych pod parasolem i gawędzili jak na grillu.

Jedna z kobiet sięgnęła do plastikowej torby, wyjęła dwa naleśnikowe zawijańce z warzywami, jeden z nich podała drugiej Greczynce i obie zaczęły jeść. Mężczyzna rozparł się na krześle, jak gdyby miał przerwę w jakiejś męczącej pracy, sięgnął do kieszeni i wyciągnął metalową papierośnicę. Otworzył ją, wyjął papierosa, postukał o pudełko jego jednym i drugim końcem, delikatnie przeciągnął wałeczek tytoniu wzdłuż swoich wąsów i dopiero potem włożył go do ust i zapalił. Rozparł się jeszcze wygodniej, wyglądał na niezwykle zadowolonego, że siedzi w mieście umarłych w taki cudownie gorący dzień. I chociaż Grecy wydawali się jej jacyś komiczni, zazdrościła im luzu. U nich śmierć znała swoje miejsce.

Wróciła na grób Liama. Starzec i dziewczynka zniknęli. Pomyślała, że Baby Lawn to miejsce, gdzie śmierć nie tak łatwo strawić, życia nie da się ot, tak zrozumieć, a ludzie raczej zachowują wobec siebie dystans. Tutaj nikt nie rozstawia krzesłek. Nie je naleśników z warzywami. Nie pali. Nie gada. Tu ludzie przychodzili, przywoływali kilka smutnych wspomnień i odchodzili.

Z zamyślenia wyrwał ją trzask pękającego z upału gniazda nasiennego. Sięgnęła do torby, wyjęła szczotkę i detergent. Ale kiedy zaczęła szorować plakietkę, ta odpadła od betonu i osunęła się na piasek. Nieopodal na minitraktorze przejeżdżał cmentarny ogrodnik; pełne trucizny beczułki z matowego plastiku podskakiwały jak na jasnokolorowej tacy.

– Dobre czasy, świetna cena! – odezwało się traktorowe radio. – Wszystko na grilla.

Spojrzała na wilgotną plakietkę, teraz upapraną i leżącą na ziemi, oblepioną mokrym błotem, w jakie zmienił się zlany wodą piasek. Serce podeszło jej do gardła, nie chciała jednak dać się zdołować, nie mogła pozwolić, żeby ją to zdołowało; będzie robić to, co zawsze, to, co zawsze czuła, że powinna – zacznie od nowa, przekuje niepowodzenie w sukces. Podniosła plakietkę, włożyła ją do kubła i wyszorowała do czysta, chociaż dobrze wiedziała, że wkrótce znowu zaśniedzieje i się ubrudzi.

Nie miała nic, czym mogłaby przymocować ją na nowo do betonowej belki. Znalazła w torebce gumę do żucia, wyjęła ją i polerując plakietkę płynem Brasso i chusteczką, zaczęła

zuć, po czym przykleiła gumę do belki i przycisnęła do niej tabliczkę, mocując ją na właściwym miejscu najlepiej, jak potrafiła.

Wcisnęła zeschnięte kwiaty do plastikowej torby i ułożyła świeże – już więdnące – przed wyczyszczonej i na nowo umocowanej plakietką, a potem wsparła plastikowego konika o beton.

Siedząca na pobliskim drzewie wrona zakłęła.

Doll włożyła też do torby szczotkę, detergent i śmieci, po czym w straszliwym upale ruszyła z powrotem na dworzec. Przecięła starszą część cmentarza z połamanymi płytami i porzucanymi tablicami, na których wskutek działania wiatru, deszczu i słońca nie było już widać inskrypcji. Krzaczki jagód, sosny, akacje i lantany przeciskały się przez cmentarną ziemię, odpychając na bok ogrodzenia, krusząc betonowe wylewki, z wolna rozplaszczając mogiły i delikatnie, ale bez pardonu biologicznie niszcząc ostatnie próby udawania, że śmierć nie jest wieczna.

Pomyślała, że Liam nigdy nie przyśle jej żadnego listu. Nie napisze esemesa ani mejla. Nie przyjdzie do domu z dziewczyną, która z czasem stałaby się kobietą, przyprowadzającą w odwiedziny wnuki do babci Doll. Syn nigdy nie obejmie jej starego, nieobejmowanego ciała i nie poczuje jego kruchości w swym mocnym, młodzieńczym uścisku. Nigdy nic jej nie opowie, nie zaśpiewa, nie sprawi, że matka się uśmiechnie, słysząc jego śmiech. Nie pocałuje jej wąskich, niecałowanych warg i pomarszczonych, papierowych policzków. Nie da jej znać, że kocha i jest kochana.

Na ziemi pod skarłowaciałym eukaliptusem o nisko wiszących, rozłożystych gałęziach zauważyła drewniany krzyż. Był pęknięty. Wśród butwiejących drzazg mozoliły się maleńkie mrówki. Podniosła wzrok i zobaczyła w oddali stadion Homebush Olympic. Kiedy budowano go na olimpiadę, była nastolatką, a jego trybuny przywodziły jej na myśl anioły. Teraz widziała, że jest w nim o wiele więcej cudowności niż w jakimkolwiek aniele, ale nie pozostało jej już nic, w co mogłaby wierzyć. Ludzie wkładali całą swoją energię i genialność w tworzenie rzeczy jeszcze bardziej niezwykłych niż oni sami tylko po to, aby przy nich poczuć, że ostatecznie są warci mniej niż zero.

W jakimś sensie te mrówki w złamanym krzyżu i mieszkańcy Sydney ze swoim stadionem olimpijskim stały się w myślach Doll jednym i tym samym, wszyscy robili to, co robili, bo musieli, ale wszystko, co robili, wydawało się nie służyć żadnemu wyższemu celowi – nie służyły mu bowiem ani mrówki z mazołem budujące gniazdo ze zbutwiełego drewna, ani ludzie, pracujący, aby wznieść wielkie miasta i stadion olimpijski. Może dlatego chcieli się jej bać, pomyślała, bo wtedy mogli sądzić, że dobrze jest być mrówką. Wydawało się jednak, że coś w tym jest nie w porządku, choć może raczej problem tkwił w jej sposobie rozumowania? Chwilę później nie mogła już tego wszystkiego ogarnąć, więc kiedy skradziony telefon zadzwonił po raz drugi, odebrała instynktownie, z wdzięcznością. Dopiero przyłożywszy słuchawkę do ucha, zaczęła się zastanawiać, czy postępuje rozsądnie.

– Posłuchaj, Gina. Musiałam do ciebie zadzwonić.

Doll poczuła ulgę na głos Wilder. „Przyjaciółka – pomyślała – dzięki Bogu, przyjaciółka!”

– Zaraz po tym moim pierwszym telefonie ktoś puka do drzwi. Otwieram – ciągnie Wilder – i sram pod siebie ze strachu, ale to tylko ten mój cholerny Athens Loukakis. Wiesz, on nie jest gliną federalnym ani z ASIO, tylko policjantem z wydziału antynarkotykowego. Powiedział, że jego zdaniem ludzie z ASIO i federalni całkowicie się mylą. Uważa, że to jakaś straszliwa pomyłka. Nie jest nawet pewien, czy Tariq był w ogóle terrorystą.

Doll nie wiedziała, co powiedzieć. To, co usłyszała, wydało się jej wyjątkowo okrutnym żartem.

– No to kim?

– Kimś o imieniu Tariq – ciągnęła Wilder. – Informatykiem. Który na boku pracował jako kurier, przywoził do Australii kokę i herę.

Doll poczuła, że górna warga piecze ją od zbierającej się tam słonej kropli potu. Teraz wydawało jej się to za głupie, żeby było prawdziwe – bo w gruncie rzeczy człowiek jest tym, kim inni twierdzą, że jest. Wytarła pot wierzchem dłoni.

– Tariq nie żyje – powiedziała. – Czy Nick o tym wie?

– Wszyscy już wiedzą, Gina – odparła Wilder. – Bez przerwy o tym mówią w wiadomościach. Athens uważa, że zabili go ludzie z tego gangu narkotykowego, bo o Tariqu zrobiło się za głośno, a tamci nie chcieli, żeby dopadła go policja i wyciągnęła z niego, co naprawdę robi.

Doll już doszła do granicy cmentarza i przechodziła przez ruchliwą drogę.

– Co to za hałasy? – spytała Wilder.

Doll rozejrzała się i o mało jej nie powiedziała, gdzie jest, ale rozmyśliła się i odrzekła tylko:

– Samochody.

– Uważa, że jesteś niewinna, musiałabyś się jednak zgłosić na policję, żeby mógł to udowodnić. Chce się z tobą spotkać, mogłabyś się oddać w jego ręce. Spokojnie. Bez ludzi z jednostek specjalnych. On ci pomoże, będziesz mogła przedstawić swoją wersję. Bez gliniarzy w czarnych mundurach i z karabinami maszynowymi. Nick chciałby uniknąć sytuacji, w której mogłoby ci się stać coś złego.

Mijała warsztaty kamieniarskie. Za wysokimi ogrodzeniami stały wyeksponowane nowe marmurowe nagrobki – czarne, czerwone i barwy węgla drzewnego – na których nazwiska

zmarłych wypisane były cyrylicą, po chińsku i po tajsku.

– Powiedział, że boją się, że jesteś uzbrojona, i że nie może ci zagwarantować bezpieczeństwa. Odpowiedziałam, żeby nie gadał głupstw, bo ty nie masz broni.

Doll dotknęła ręką włosów.

– Wtedy powiedział, że ukradłaś pistolet temu obrzydliwcowi, Morettiemu.

Falujące loki, które Wilder z taką starannością wyprostowała i których Doll starała się nie moczyć pod prysznicem, by pozostały proste, pod wpływem upału zaczynały odzyskiwać swój naturalny, kręcony kształt.

– Jezu, Gina – powiedziała Wilder. – Co ci przyszło do głowy...

Doll słuchała, jak Wilder mówi dalej: że byłoby najlepiej, gdyby się zgłosiła na policję, że w Australii wszystko zawsze w końcu się wyjaśnia (z czym Doll się zgodziła) i że pomyłka zostanie sprostowana.

Ale w rzeczywistości wcale tak nie myślała. „Naprawdę zgłupiałam aż do tego stopnia? – zastanawiała się, nie przerywając rozmowy. – Tej pomyłki nigdy nie da się sprostować... Mogę się tylko postarać, żeby mnie nie złapali”.

Poza tym, co widziała na filmach sensacyjnych, nie miała pojęcia, jak nie dać się złapać policji. Dlatego dalej mówiła przyjaciółce, że to rozsądne, żeby wszystko rozwiązać, oczyścić się z zarzutów i mieć już tę aferę za sobą, chociaż w duchu przez cały czas planowała ucieczkę – tylko dokąd? Wyjazd z Australii uznała za niemożliwy; potrzebowałyby fałszywego paszportu, a skąd, na Boga, miałyby go wytrzasnąć? I skąd weźmie pieniądze na wyjazd?

Myśl o pieniądzach na nowo pogrążyła Doll w rozpacz: marzy o ucieczce, a ma jedynie kartę kredytową matki Wilder i nieco ponad dwieście dolarów w portfelu, które mogły jej wystarczyć na następne dwa albo trzy dni, gdyby wydawała je bardzo oszczędnie. A potem?

Sytuacja była tak niemożliwa i beznadziejna, że szumiało i kręciło się jej w głowie. Oddać się w ręce policji to szaleństwo, bo chcieli ją pojmać jako terrorystkę; bez względu na to, co mówili Wilder czy Nick Loukakis, chcieli mieć ofiarę. Loukakis mógł kłamać lub nie. To nie było ważne. Domyślała się, że nikt nie powie o niej prawdy, kiedy wpadnie im w ręce. Za wiele już zostało powiedziane, za wiele zrobiono, zbyt wielu potężnych ludzi zostało zamieszanych w sprawę. A poza tym kto by wysłuchał jej, tancerki erotycznej, czyli nikogo, dziewczyny z zachodu, *westie*, skoro dziennikarze już poskładali małe prawdy z jej życia w wielkie kłamstwo?

Przygładziła ręką włosy, żeby trzymały się głowy, ale daremnie; wiedziała, że to nic nie da, i prawie wpadła w panikę, poklepując się po głowie otwartą dłonią tak mocno, jak tylko mogła. Nagle przestała, poczuła się głupiej niż kiedykolwiek, bała się, że ludzie na nią patrzą i zastanawiają się, dlaczego, na Boga, ta dziewczyna bije się po głowie.

– Mam pietra – powiedziała Wilder. Urwała, jak gdyby czekając, aż Doll dojdzie do jakiegoś wniosku, który wydawał się jej oczywisty. – Oni cię zabiją.

Doll próbowała kryć się w cieniach budynków; szła w stronę dworca Lidcombe.

– Powiedziałam mu, Gina. O hotelu. O karcie kredytowej mojej mamy. O wszystkim. Powiedziałam mu o tym, bo w niego wierzyłam, Gina, a jeśli sama się nie zgłosisz na policję, to lepiej, żeby on cię znalazł niż oni. – Ale Doll już nie słuchała, szła szybkim krokiem Bóg wie dokąd, tymczasem Wilder wciąż gadała i gadała. – To nie jest zdrada, Gina, to przyjaźń. Nick chce ci pomóc. „Mieszkamy w Australii, nie w nazistowskich Niemczech” – powiedziałam mu...

„Szatkują cię na strzępy, co, Wilder? – chciała jej przerwać Doll. – Robią z ciebie kogoś, kim nie jesteś, a potem potępiają cię za to, że jesteś tym, kim oni mówią, że jesteś, więc to jest trochę tak: rób, co ci się każe, albo cię zabijemy, a później...”. Ale jej myśli zgasły i nie powiedziała nic takiego. W każdym razie miała pełną świadomość, że Wilder tego rodzaju pomysły uważa za idiotyczne, a opowieść gliniarza, bez względu na to, czy jest prawdziwa, czy nie, wszystko ładnie wyjaśnia, jak „Sydney Morning Herald”, jak Australijska Partia Pracy, jak wszystko, co sama mówiła: zaszła pomyłka, a Wilder wiedziała, jak ją naprawić.

– Gina, posłuchaj mnie...

Doll przypomniała sobie jednak ogródek bonsai, tak niedbale traktowany przez Wilder, gdzie piękne rośliny, kupowane jedynie dla zabawy, więdły w straszliwym upale i umierały, a jedyną rzeczą, która wydawała się tam rosnać, była kupka popiołu po jointach w bakelitowej popielniczce.

– Czy oni nas podsłuchują, moja przyjaciółko?

Doll domyśliła się straszliwej prawdy, jeszcze zanim Wilder odpowiedziała.

– Oczywiście – odparła Wilder. – A jak myślisz, dlaczego nie wyłączyli ci tego zwędnionego telefonu?

– Wszystkiego najlepszego dla Maxa z okazji urodzin – powiedziała Doll i rozłączyła się.

Znowu zaczęła zmieniać zdanie o świecie. To, co wczoraj wydawało się jej prawdą, dzisiaj już nią nie było. Wszystko nieustannie się zmieniało. Nie po raz pierwszy: w dzieciństwie to, co uważała za cenne i prawdziwe, odsłonięto przed nią jako zgniłe, fałszywe i zawieszony w próżni. Zaczęła więc raz jeszcze, na innej zasadzie, z wiarą, że sama stanie się dla siebie rodziną i ta rodzina będzie ucieleśniać to, co dobre, a ona przez tę rodzinę i razem z nią znajdzie miłość. Potem jednak śruba, na której trzyma się życie, puściła jeszcze raz, i jej rodzina umarła razem z Liamem, zanim się urodziła.

Doll więc ponownie odbudowała siebie, swoje życie, swój świat, wierząc w coraz mniej i mając nadzieję tylko na drobiazgi. Nie prosiła o duże rzeczy i nie śmiała mieć nadziei na szczęście, swobodę i przyjazny los. Będzie zarabiać pieniądze bez względu na to, jak ciężko jej to przyjdzie. Kupi mieszkanie bez względu na to, ile lat będzie je spłacać. I stworzy sobie dom bez względu na to, jak mały i niepozorny. Skończy studia, zdobędzie wykształcenie i znajdzie bezpieczną pracę, z której wykonywania będzie czerpać choć niewielką satysfakcję. I zawsze będzie traktować swoją duszę jako coś bliskiego i cennego, nikomu nie pozwoli jej sobie odebrać i wyrzucić na śmietnik. Wydawało się, że nie są to sprawy wielkie ani głupie, ale coś solidnego, skała, na której zbuduje swoje życie.

Przez długi czas, cały czas od śmierci Liama, była to jedyna próżność Doll – wierzyć, że radzi sobie ze srogością i nieprzewidywalnością świata, że buduje życie na z pozoru nienaruszalnych fundamentach. Jeśli nie znalazła harmonii, to czy przynajmniej nie ubiła interesu ze światem? Jak świat mógłby nie przetrwać?

Teraz jednak przytrafiły się jej te przykrości i miała wrażenie, że jej skała została roztrzaskana na milion kawałków, a życie zostało bezwzględnie złamane i w jakiś sposób odebrano jej duszę, ona zaś, chociaż była niewinna, może odczuwać wyłącznie trawiący ją wstyd.

Wilder, myślała Doll, Wilder, moja najlepsza przyjaciółka, która wierzy w dobro. O wiele lepiej byłoby wierzyć tylko w zło: bo ludzie zawodzą, kłamią, są tchórzami. Jeżeli w to uwierzysz, nigdy się nie rozczarujesz.

Potem poczuła w oczach gorące łzy. Otarła je gniewnie kłykciami. A czego się spodziewała? Że nie zostanie w końcu zdradzona? Ostatecznie czy ona sama nie zdradziła Fung? Zrozumiała teraz, że ją zwodzono, zwodzono wszystkich, silnych i słabych, bo wszyscy ludzie ranią się nawzajem i wykorzystują. Jedyna różnica polega na tym, że ktoś ma lepsze, a ktoś gorsze wyniki na tym polu – Moretti odniósł mniejszy, a jej najlepsza przyjaciółka, Wilder, jak się okazało, większy sukces.

Wrzuciła telefon do kosza na śmieci, a za nim plastikową torbę z uschłymi kwiatami, szczotką, detergentem i płynem Brasso. Kiedy komórka wpadła między puszki i pudełka po jedzeniu na wynos, rozległ się taki dźwięk, jak gdyby gówno uderzyło o gówno: cichy, niezapadający w pamięć odgłos-nic.

Cody'ego jeszcze nigdy tak nie bolała głowa. Stał na tyłach studiów stacji Six, w krótkim cieniu dużego budynku, bo potrzebował pomyśleć, a żeby to zrobić, musiał wyjść z montażowni i biura. Z asfaltu bił jednak jeszcze większy żar, a od strony stojącej niedaleko grupki palaczy dobiegał kwaśny zapach, który tylko wzmacniał jego poczucie, że lada chwila coś wybuchnie i stanie w płomieniach. Miał nadzieję, że nie będzie to jego reputacja. Był ostrożny, zbudował swój sukces na starannym pozycjonowaniu, doborze słów i przyjaciół, a teraz zaczął się obawiać, że zaryzykował zbyt wiele, stawiając na ten materiał o tancerce.

Zrobienie półgodzinnego programu w ciągu dwóch dni to nie było co, nawet jeśli ma się absolutnie znakomity materiał, ale minęło już południe, do emisji zostało mniej niż siedem godzin, a on nadal nie zmontował nic, co choć przypominałoby dobry reportaż – wręcz przeciwnie, to, czym dysponował, było słabe.

Co gorsza, Jerry Mendes powiedział mu, że lunch pana Fritha dzień wcześniej z sekretarzem premiera udał się bardzo dobrze, tak dobrze, że pan Frith oświadczył: „Sądzymy, że program specjalny Cody'ego powinien trwać godzinę”. Wbrew oczekiwaniom Richarda i, co gorsza, wbrew składanym przez niego obietnicom, w materiale nie było dostatecznie dużo mięsa, więc dłuższy format tylko jeszcze bardziej obnażyłby słabości reportażu.

Poczuł się kompletnie wypompowany i przygnębiony, cały projekt wydał mu się niemożliwy, uznał, że jego kariera znów spłynie do rynsztoka... Ale w tym momencie odezwał się jego telefon.

Dzwonił Siv Harmsen.

Powiedział Richardowi, że za pięć minut w recepcji przy wejściu do studia telewizji Six ktoś zostawi „anonimową paczkę”. Znajduje się w niej, ciągnął Harmsen, film, „w którego posiadanie weszliśmy zupełnie przypadkowo”, przedstawiający proislamiczny wiec w Kairze w 1989 roku. Przeprosił za jego jakość, po czym dał mu numer niejakiego „Billa”, który gotów jest pozwolić się sfilmować jako anonimowe źródło informacji w służbach specjalnych, a w jednej z osób na filmie rozpozna pewnego islamskiego fundamentalistę i przypadkiem będzie nim wuj Tariqa al-Hakima.

– I uważaj dalej – ciągnął Harmsen. – Mamy też dziesięciosekundowe nagranie, na którym ten sam „wujek Turban” protestuje przed sądem w Nowym Jorku w geście poparcia dla zamachowca, tego, co w 1993 roku próbował zdetonować bombę w WTC.

Paczka miała też zawierać fotokopie dokumentów podróży, z których wynikało, że w ciągu ostatnich dwóch lat Tariq czterokrotnie wyjeżdżał do Pakistanu i dwa razy do Malezji.

– Czyli był członkiem komórki terrorystycznej? – spytał Cody.

– No wiesz, stary – odparł Harmsen. – Terrorysty w tym właśnie są tacy cwani. Bo widzisz, wcale nie trzeba należeć do komórki terrorystycznej, żeby być jej członkiem. Jak tylko zaczniesz myśleć w ten sposób, reszta jest oczywista.

Cody'emu spodobał się ten sposób myślenia, dzięki któremu to, że czegoś nie ma, można było wykorzystać jako dowód, że to coś jednak istnieje. Bardzo by mu to pomogło.

– No więc tak... Mamy bomby oraz muzułmanina, którego bliska rodzina przejawiała niebezpieczne skłonności islamistyczne. W dodatku ten muzułmanin regularnie i tajemniczo podróżuje do siedzisk Al-Kaidy. No, to po prostu łatwizna.

Potem Harmsen podał Cody'emu jeszcze dwa nazwiska: byłego pułkownika amerykańskich sił specjalnych i emerytowanego starszego analityka wywiadu, który zrzędzeniem losu bawił tego dnia w Sydney w hotelu blisko studia stacji Six. Obaj mieli powtórzyć wszystko przed kamerą, jak obiecał Harmsen, tylko o wiele bardziej przekonująco. Teraz musi już lecieć, bo spóźni się na lunch. W telefonie zapadła głucha cisza.

Cody zamrugał raz, potem drugi, i jego oczy wypełniły się łzami. Można by je pomylić ze łzami radości lub ulgi, ale wywołały je niebiesko zabarwione szkła kontaktowe i podrażnienie od gorącego, ostrego smogu.

Todd Birchall, który pół godziny później obejrzał nowy materiał, był zachwycony.

Oczy Cody'ego znowu były jasne i skupione.

– No, kurwa – powiedział. – To teraz pokaż mi naprawdę zajebistą jazdę montażową.

Po powrocie do miasta i na komendę Nick Loukakis zadzwonił do Tony'ego Buchanana, wysokiego rangą dyrektora operacyjnego w wydziale antyterrorystycznym. Nick i Tony zaczęli razem jako krawężniki wśród wzgórz w Cabramatta, a kiedy druga żona Tony'ego wyrzuciła go z domu, Nick pozwolił mu u siebie zamieszkać.

Tony niewiele zrozumiał z wyjaśnień Nicka, który tłumaczył mu, dlaczego jego zdaniem Gina Davies jest niewinna, i zastanawiał się, jak to jest, że jednych historii słucha się fajnie, a drugich nie. Ta nie była fajna, ani trochę.

– Wiesz, że w takich sprawach diabeł zawsze tkwi w szczegółach, Athens – powiedział Tony, kiedy Nick skończył. – A ty nie znasz tych szczegółów.

Loukakis przeprowadził już w życiu dość rozmów służbowych, żeby wiedzieć, kiedy powinien mówić, a kiedy słuchać.

– Czy może znasz?

Nick miał tak spocone stopy, jak gdyby stał w wannie z wodą. Otarł ręką kark.

– Skąd mógłbym je znać? – zapytał.

– No właśnie. Nie możesz ich znać. Nawet ja ich nie znam. Ale chłopcy ze służb wiedzą, co robią. Masz federalnych i ludzi z ASIO i...

– A jeżeli wszystko o tej Ginie to nieprawda?

– Taa, kurwa, jest jeszcze problem prawdy. A jak żeś podłożył Harry'emu Taitowi kokę, żeby sąd miał go za co skazać, to też się martwiłeś o prawdę?

– Harry był mordercą.

– Jasne. Ale ta koka to nie była prawda. A terroryści też są mordercami. Słuchaj, Athens, muszę lecieć. Za pół godziny mam spotkanie w Parramatta. – Tony już chciał się rozłączyć, uznał jednak, że zachowałby się nieelegancko. – Wiesz, powinniśmy niedługo wrócić na wodę. Na tę twoją piękną zatokę. Spodoba ci się moja nowa łódź. Trzydzieści pięć stóp długości. Cudo.

Nick zadzwonił do Jenny Rhodes z federalnych, ale wyszła z biura. Zostawił jej wiadomość. Zatelefonował też do George'a Sziporskiego, oficera łącznikowego odpowiedzialnego za kontakty między policją z Nowej Południowej Walii i ASIO. Wyglądało na to, że Sziporski życzliwie przyjmuje jego wyjaśnienia, w pewnej chwili oświadczył jednak, że oddzwoni do Loukakisa później, bo Joe Cosuk właśnie zaczyna wywiad na żywo z ministrem.

Nick przeszukał biurko. Znalazł przenośne radjko, które kupił w czasach, gdy uprawiał jogging w porze lunchu, jeszcze zanim żona powiedziała mu, że wie o Sally Wilder, i kiedy wciąż dbał o wygląd i kondycję.

Zanim włożył słuchawki, zanim włączył radio i znalazł odpowiednią stację, wywiad niemal dobiegł końca, usłyszał jednak dosyć, żeby się domyślić, o czym była mowa.

– To jest jak polowanie na dziką świnię – mówił minister. – Mamy do czynienia z przerażającym zwierzęciem i nie wiemy, gdzie się ono ukrywa. Jesteśmy jednak odpowiednio wyszkoleni i przygotowani, więc świnia nam nie ucieknie.

Hiena dziennikarska roześmiała się, a potem powiedziała:

– Dobrze słyszeć polityka mówiącego językiem, który jako Australijczycy wszyscy rozumiemy. Dziękuję, panie ministrze.

– To ja dziękuję, Joe – odparł minister niższym i swobodniejszym głosem, w którym pobrzmiwała wyczuwalna ulga, jak gdyby sam był kiedyś zwierzyną, nie myśliwym. – Australijczycy muszą wiedzieć, że dopadniemy tę planującą samobójczy atak bombowy terrorystkę, zanim ona dopadnie Australijczyków.

– Chuj wam w dupę, kurwa – powiedział na głos Nick, bo miał słuchawki w uszach, a kiedy przechodząca obok młoda policjantka podniosła na niego wzrok, posłał jej szybki uśmiech, starając się nie wyjść przy tym na idiotę.

Radio belkotało reklamami, a następnie zaczęły się wiadomości, w których podano informację o tym, jak to po nieudanym zamachu na stadionie Homebush i rewelacjach o organizacyjnych komórkach terrorystycznych, do których należeli urodzeni na tej ziemi Australijczycy, spadające uprzednio notowania rządu zaczęły zwyżkować, i to w niespotykanym tempie. Sfrustrowany tym, że nie może nic zmienić, nie mając pojęcia, co robić, Nick słuchał dalej.

Zadzwoił jego telefon. Z niejaką ulgą wyciągnął słuchawki z uszu i odebrał. Dzwoniła Jenny Rhodes, ale ledwie zaczął mówić, gdy powiedziała mu, żeby dał sobie spokój.

– Niech fajtlapowaci gliniarze z Sydney pozostaną fajtlapami – oświadczyła, powtarzając ich prywatny żart, który ukuli kiedyś na własny użytek – i niech zostawią kwestie bezpieczeństwa ludziom, którzy się na tym znają.

George Sziporski nie oddzwonił. Bo i po co?

Światła w wagonie zgasły na chwilę, a potem zamigotały i znów się zapaliły, kiedy tylko zmierzający w kierunku miasta pociąg znów został wessany w tunel i jego ciemność. Później stanął, wyłączyła się też klimatyzacja, Doll siedziała więc w coraz bardziej nagrzewającym się przedziale i czekała.

Po kilku minutach pociąg zaczęli przeszukiwać uzbrojeni gliniarze z psami i lusterkami umocowanymi na długich wysięgnikach, a wraz z policjantami po wagonach rozeszła się wiadomość, że w pociągu może znajdować się bomba. Żeby zasłonić twarz, Doll wzięła gazetę leżącą na siedzeniu obok. Na pierwszej stronie widniało jej nowe zdjęcie, toples, z rozpikselowanymi piersiami i podpisem: „Tancerka śmierci”.

Sądząc po fryzurze, fotografia pochodziła mniej więcej sprzed roku, a tło sugerowało, że zrobiono ją w czasie jakiegoś prywatnego pokazu, nie mogła sobie jednak przypomnieć jakiego.

Policjanci przechodzili obok, psy obwąchiwały jej kostki, a ona starała się opanować drżenie ręki, oddychać powoli i skupić na gazecie. Otworzyła ją, żeby znaleźć coś, co odwróciłoby jej uwagę. Na którejś stronie zauważyła nagłówek: „Naszych dziesięć głównych celów”, a pod nim zdjęcie budynku opery w Sydney z namalowaną na nim tarczą strzelniczą.

Dalej znalazła rysunek, którego w gruncie rzeczy nie zrozumiała: kobiety w burkach tańczyły na rurze, a podpis brzmiał „Klub mułów”.

Jednocześnie naszły ją wspomnienia i przerażenie. Przypomniała sobie, co zaledwie dwa dni wcześniej powiedział jej Tariq o grafice rastrowej – że oni, czyli ludzie władzy, chcieliby zrobić coś takiego z prawdziwymi ludźmi, gdyby mogli. Ale Tariq zmieniał tylko obrazki, kropka po kropce, dopóki nie przeistoczył Elvise Presleya w, powiedzmy, strusia. Oni natomiast robili tu coś znacznie bardziej radykalnego: zmieniali ją z kobiety w rysunki, nagłówki, opinie, lęki, los. Kształtowali ją piksel po pikselu, jak pojęła teraz Doll z przerażeniem, w kogoś, kim nie była, w Czarną Wdowę, tancerkę śmierci, nieznaną terrorystkę.

Podniosła wzrok znad gazety. Na końcu wagonu matka głośno opowiadała coś po wietnamsku swojemu małemu synkowi, nie zważając na policjantów ani psy. Oboje co chwila wybuchali śmiechem, chłopiec powtarzał to, co powiedziała matka, która kiwała twierdząco głową, udawała, że marszczy brwi albo że się gniewa, po czym ciągnęła dalej, jak gdyby wszystko to było niezwykle poważne. Chłopiec patrzył na nią ze szczerym wyrazem twarzy, oznaczającym bezgraniczne zaufanie i miłość.

Doll odniosła przemożne wrażenie, że chociaż ma mnóstwo wad, to podobnie jak ta Wietnamka i jej syn jest miłością. Tylko z niejasnych dla niej powodów nie chciano pozwolić jej kochać. Coś – życie, świat albo los – nie pozwoliło jej kochać ojca, którego chciała kochać. Nie pozwoliło jej kochać syna, którego też chciała kochać. Nie pozwoliło jej kochać Tariqą, którego być może chciałyby pokochać. A potem kłamano przed światem, że Doll jest nienawiścią i zasługuje wyłącznie na nienawiść. Nienawiść miała zostać wytropiona przez nienawiść, a następnie zniszczona.

Powróciła wzrokiem do gazety. Pies poszedł dalej, jego opiekun wraz z nim, a potem gliniarze i zwierzęta przeszli do kolejnego wagonu. W gazecie był też magazyn o celebrytach. Tu, pomyślała Doll, znajdzie jakąś ulgę. Przerzucała artykuły o gwiazdach Hollywoodu, walczących z cellulitem i problemami z odżywianiem, o czyjejs chorej na bulimię córce, o depresji księżniczki Mary, aż wreszcie natrafiła na taki nagłówek: „Bрудna przeszłość tancerki erotycznej”.

Znalazła zdjęcia dziewczyn o kurewskim wyglądzie, tańczących na rurze, i jedną swoją fotografię, na której zrobili coś z jej oczami, żeby wyglądała zimno i paskudnie.

„Jodie McGuinness – tak się zaczynał artykuł – niegdyś bliska znajoma tancerki erotycznej, czyli najbardziej poszukiwanej dziś kobiety w kraju, podejrzanej o terroryzm Giny Davies, mówi: «Czasami żartowała o seksie w trójkącie»”.

Wiedziała, że powinna przestać to czytać albo znaleźć coś innego do czytania, robienia czy przemyślenia, cokolwiek. Ale nie znalazła. I czytała dalej.

„Dziewczyny, które pracowały z Giną Davies w innych klubach erotycznych, mówią, że niektórzy «bogaci klienci płacili bardzo dobrze za seks grupowy, a Gina uwielbiała pieniądze»”.

Po spotkaniu na szczycie w wydziale antyterrorystycznym Tony Buchanan poszedł na lunch z Sivem Harmsenem, który występował na komisji jako delegat ASIO. Siv był dla Buchanana tajemnicą. Miał trzydzieści osiem lat, nieprzyzwoite brzuszysko i zrobił się nalany, ale otyłość tylko podkreślała dziecinny wygląd jego twarzy. Był kiedyś mistrzem krykieta, przez krótki czas miał nawet szanse grać w reprezentacji narodowej, ale potem podjął pracę w policji. Dziwny gliniarz zrobił się jeszcze dziwniejszy, odkąd został agentem. Szybko piał się po szczeblach kariery w służbach specjalnych, coraz bardziej się rozrastających po 11 września, a jego młodzieńczy wygląd i kiepskie garnitury nie pasowały do wysokiej pozycji, którą aktualnie piastował. Ostatnio podobno zaprzyjaźnił się z prokuratorem generalnym, a czasem miał nawet dostęp do premiera.

Poszli do jakiegoś kiepskiego pubu w Darlinghurst, bo Harmsen twierdził, że dają tam dobre steki. Były okropne, co jednak nie zgasiło entuzjazmu Tony'ego. Najpierw rozmawiali o sprawach ogólnych: o cenach nieruchomości, żonach i policyjnych plotkach. Buchanan przez cały czas myślał jednak o tym, co mówił mu Nick Loukakis. Pomagał swojemu greckiemu kumpłowi już wcześniej. Na ogół Loukakis miał rację. Czasami jednak się mylił i wtedy to on, Tony Buchanan, za to płacił. Tym razem jednak miał wrażenie, że słuszność chyba jest po stronie Nicka. Kiedy skończył relacjonować Harmsenowi historię, którą opowiedział mu Loukakis, Siv wybuchnął śmiechem.

– Mamy największe w historii zagrożenie bezpieczeństwa narodowego – powiedział – prawie najwyższy stopień alarmowy, szalona striptizerka za chwilę wysadzi w powietrze Bóg wie ilu niewinnych ludzi, a ty chcesz, żebym dał wiarę jakiemuś gliniarzowi, którego dwa razy aresztowano i o mało co nie wywalono z policji po posiedzeniu Royal Commission?

– Ja tylko mówię, że ta historia się nie klei – powiedział Buchanan.

– Tony, czy ty w ogóle śledziłeś tę sprawę? W gazetach, w programach radiowych, w tiwi? Wiesz, ludzie są naprawdę mocno przestraszeni. Myślisz, że moglibyśmy się mylić w tak poważnej kwestii?

– To możliwe, Siv, mówię tylko tyle. Możliwe.

– Ty chyba, kurwa, żartujesz – odparł Harmsen, patrząc Tony'emu w oczy – jeżeli ci się wydaje, że to pomyłka. Wszyscy, od premiera po Richarda Cody'ego, kurwa, zgadzają się, że to prawda.

Buchanan unikał jego gniewnego spojrzenia. Poniżej kieszonki brzoskwiniowej poliestrowej koszuli Harmsena dostrzegł drobne cętki sosu pieprzowego, rozlewające się

w tłustą aureolę. Znów podniósł wzrok na rozmówcę.

– Wierzę Athensowi w tej sprawie – powiedział Tony.

– Ten głupi chuj ma siano we łbie i żyje w świecie MTV.

– A jeżeli racja jest po jego stronie?

– Nie sądzę. Gina Davies ma motyw i kontakty. Możemy zrekonstruować jej związki z ludźmi, z którymi się zadawała i z którymi oni się zadawali, sięgające grup terrorystycznych na Bliskim Wschodzie. Eksperti, psychologowie mówią nam już od jakiegoś czasu, że dzisiaj terrorysta nie wygląda tak samo jak wczoraj.

Buchanan pokroił większy kawałek befsztyku na kilka mniejszych, żeby zyskać na czasie.

– Oczywiście, ona nie jest muzulmanką – ciągnął Harmsen. – Oczywiście, jest Australijką. Ale to dziewczyna, która przegrała życie, Tony, chce wyrównać rachunki i coś udowodnić, a wpadła w złe towarzystwo i ci ludzie pokazali jej, jak może się na nas odegrać. Czy naprawdę uważasz, że najważniejsze organizacje dbające o bezpieczeństwo narodowe mogłyby się pomylić do tego stopnia, a ten jeden na wpół sprzedajny, dupowaty grecki gliniarz ma słuszość?

Nóż był tępy, a chrząstka ogromna, ale Buchanan dalej kroił mięso na jeszcze mniejsze kawałki, bo wydawało mu się, że lepiej je kroić niż jeść.

– Mówię ci, ten Zorba jest jak bar gyros, w którym nie dają autentycznych greckich potraw. Powiedz mu, żeby przestał brzdąkać na buzuki i wrócił do prawdziwej roboty.

– A jeżeli on mimo wszystko ma słuszość?

– Chcesz tego, co słuszne, Tony? Chcesz prawdy? Zabij ze dwunastu białasów, a zostaniesz Ivanem Milatem^[3] i wylądujesz w więzieniu. Zabij sto tysięcy Irakijczyków, a zostaniesz George'em W. Bushem i wylądujesz w Białym Domu. Jeden z tych dwóch jest potężny, a drugi nie. Wiesz, kogo to obchodzi? Nikogo. Poza tym – powiedział Siv Harmsen, zmieniając ton z agresywnego na łagodniejszy, chociaż lekko drwiący – ta dziewczyna może przecież oddać się w ręce policji. Może nam udowodnić, że jest niewinna.

– Jak? – spytał Buchanan, przesuwając wszystkie kawałeczki chrząstki na wzgórek wodnistego tłuszczu na brzegu talerza. – Jak mogłaby to zrobić, Siv? A jeśli za bardzo się boi? A jeżeli myśli, niech Bóg broni, że zostanie wrobiona? A jeśli zacznie uciekać i ktoś ją zastrzeli?

Na wspomnienie o zabiciu Doll Harmsen podniósł wzrok z lekkim rozbawieniem.

– Gdyby ktoś załatwił tę małą pizdę, mogłoby to być najlepsze rozwiązanie – powiedział z uśmiechem. Postukał w brzeg talerza Buchanana zatłuszczonym nożem do steków. – Co, nie jesteś głodny?

W pociągu Doll uświadomiła sobie, że teraz naprawdę nie ma już dokąd pójść. Do jej domu weszła policja, Wilder była śledzona, a jej pokój w hotelu, jak się domyślała, do tej pory na pewno został już wzięty pod obserwację przez siły specjalne. Policjanci z psami i lusterkami na długich wysięgnikach skończyli robić swoje, a ona zdała sobie sprawę, że chce po prostu być wolna. Wolność, o której nigdy dotąd nie myślała, wydała się jej najcenniejszą rzeczą w życiu.

Postanowiła, że czas, który jej pozostał, spędzi, po prostu włócząc się po ulicach wśród miejsc, które kiedyś odwiedzała. Jeśli ktoś ją rozpozna i złapie albo zastrzeli, no to co? Aż do tego momentu będzie wolna. Chciała mieć dobry, idealny dzień – kto wie, może nawet kilka dni, tydzień albo dwa – i nie przyjmować do wiadomości tego, co się dzieje wokół niej. Napije się kawy. Może pójdzie do kina. Pochodzi po sklepach. Oczywiście było to wariactwo – ta „bezplanowość”, jak zapewne powiedziałyby Wilder – ale właściwie co w życiu nie jest wariactwem?

Z dworca poszła więc prosto do kawiarni, zdecydowana cieszyć się chwilą normalnego życia. Podeszła do lady, podniosła wzrok i zobaczyła wiszący z tyłu na ścianie telewizor, a w nim umundurowanego policjanta, który twierdził, że istnieją powody, aby sądzić, że Gina Davies jest uzbrojona i niebezpieczna.

Na zewnątrz rozległ się pisk opon hamującego zbyt gwałtownie samochodu, a potem gwałtowny odgłos uderzenia blachy o blachę i pękającego szkła. Kelner wyszedł zza kontuaru, stanął między Doll a telewizorem, złowił wzrokiem jej spojrzenie i wtedy zrobiło się za późno, żeby mogła wyjść, nie zwracając na siebie uwagi. Uświadomiła sobie, że drży. Miała zszargane nerwy. Kelner musiał pytać ją dwa razy, czego sobie życzy. Może, powiedziała sobie, pomyślą, że jest po prostu zwykłą ćpunką, której potrzeba działki. Bóg jeden wie, zapewne tak wyglądała. Usiadła przy stoliku. Starła się unikać telewizora i cudzych spojrzeń, wpatrując się w niewielki stojak z darmowymi pocztówkami koło jej stolika.

– Głośniej – szczerknął jakiś facet w średnim wieku przy barze. – To ważne.

Chciała być wolna, żeby znowu robić te wszystkie zwyczajne rzeczy, które robią wolni ludzie. Jedna pocztówka dziwnie ją wzruszyła, wzięła więc kartkę, wyjęła długopis z torebki i zaczęła pisać, żeby nie widzieć, nie słuchać, żeby być wolna. Ale to nie było możliwe. Kelner podgłosił telewizor, czy mogła więc nie słuchać? Świat się upierał, żeby go słuchała. Poza tym, jak przyszło Doll do głowy, ostatecznie to jest przecież o niej. Przerwała pisanie. A jeśli w końcu przyznali, że zaszła pomyłka? Albo sugerują, że istnieją jakieś wątpliwości co

do tego, że faktycznie jest zamieszana w tę sprawę? Co jeśli pojawiła się jakaś ważna informacja, dzięki której będzie mogła udowodnić swoją niewinność?

Kiedy usłyszała, jak gliniarz mówi, że policja z Nowej Południowej Walii „współpracuje z ponad szesnastoma różnymi stanowymi i federalnymi agencjami w polowaniu na Ginę Davies”, musiała podnieść wzrok znad niedokończonego tekstu na pocztówce. Dzień wcześniej chcieli po prostu, żeby pomogła im w śledztwie. A teraz polują na nią jak na psa, na wściekłego psa. Oglądając tego policjanta w telewizji, nabrała przekonania, że świat istnieje już wyłącznie po to, aby ją zniszczyć. Czekwała tylko na to, żeby ją znaleziono, żeby wpadła policja, żeby rozległy się strzały; przygotowywała się do ucieczki, chciała znieruchomieć, ukryć się, działać, nic nie robić. Było w niej coś, co chciało tej konfrontacji i co pragnęło, żeby ta chwila przeznaczenia przysła, żeby to wszystko się już skończyło.

Może dlatego była zdumiewająco czujna. Strzelała oczami na wszystkie strony, na przemian nastawiała uszu i wyłączała się z rozmów w kafejce. Wyczuwała najśłabszy ruch powietrza, kiedy ktoś przechodził obok niej, złość, czułość albo zmęczenie w każdym, kto siedział w pobliżu. W pewien dziwny sposób była wszystkiego świadoma. Jej pobudzone ciało najlepiej wyczuwało teraz jednak strach – obawę, że ten sam strach, który opanował ją, dotyka wszystkich. Wydawał się tak namacalny, że wręcz czuła jego zapach i smak, cały ten strach, który tamci wdychali, pili i jedli, cały ten strach, którym i z którym żyli.

A potem zaczęła się zastanawiać: a co, jeżeli ludzie nie mogą żyć bez takiego strachu? Co, jeżeli go potrzebują, żeby wiedzieć, kim są, upewnić się, że żyją jak należy? Jeżeli potrzebują zastrzyku strachu jeszcze bardziej niż kawy, piwa albo uderzenia pięścią? Bo czy bez strachu można w czymkolwiek znaleźć jakiś sens?

Gliniarza na ekranie telewizora zastąpił potężny, czerwony na twarzy mężczyzna. Na wysokości jego marynarki wyświetlono nazwisko i napis „Ambasador Stanów Zjednoczonych”. Facet wyrażał się z wdzięcznością o wysiłkach władz Australii w ich działaniach antyterrorystycznych; więcej, powiedział jeszcze, że z jego doświadczenia wynika, że Australia właściwie nie ma sobie równych, jeśli chodzi o przedsięwzięte środki bezpieczeństwa wewnętrznego.

– Nie należy ujawniać, co amerykańskie agencje robią lub czego nie robią wspólnie z agencjami zaprzyjaźnionych krajów w odniesieniu do kwestii terroryzmu – powiedział.

Co oznaczają te słowa: „kwestia terroryzmu”?, zastanawiała się Doll. Dumiała nad nimi, kiedy kelner przyniósł zamówienie. Ale chociaż bardzo się starała, wypowiedź ambasadora nie miała dla niej sensu. Powtarzała ją w kółko, aż wreszcie zaczęła rozbrzmiewać w jej głowie niczym kolejny transowy rytm, do którego tańczyła w Chairman’s Lounge. Wszyscy oprócz niej wydawali się rozumieć Amerykanina i było dla niej jasne, że to na pewno dlatego, że jest bezdennie głupia.

Siedziała w kawiarni, patrzyła na swoje niewypite macchiato, pstrykała w nietkniętą focaccię palcami wciąż brudnymi po czyszczeniu grobu, bezskutecznie starając się nie

widzieć, nie słyszeć, nie bać się, czekała na jakiś okrzyk, na oskarżenie, na strzał, i przyszła jej do głowy dziwna myśl, że „kwestia terroryzmu” stała się przemijającą modą, jak piercing albo spodnie dzwony, modą, która przyszła i odejdzie niczym lansowane w danym sezonie kolory. Może, myślała Doll, jeśli to jest jak moda, chodzi tylko o tych kilku ludzi, którzy robią kariery, pieniądze i zdobywają władzę, a nie o to, żeby uczynić świat bezpieczniejszym czy lepszym. Może to jest jak botoks, coś, żeby ukryć prawdę.

Otarła usta czubkami palców i poczuła, jak piasek miasta umarłych zdziera jej naskórek z warg. Właściwie była to niemądra myśl, ale Doll się uśmiechnęła. Głupia myśl, pomyślała, głupiej kobiety. Jeżeli jednak była to myśl trafna, to wydawało się jej, że tych kilka osób potrzebuje terrorystów, bo co by bez nich poczęli i gdzie by dzisiaj byli? I poczuła się po trosze dziwnie, głupio, dumnie, jak gdyby została specjalnie wybrana do zagrania tej najwyraźniej potrzebnej komuś roli.

– A teraz przedstawiamy człowieka, który zrobił więcej niż ktokolwiek inny, aby zebrać ten niewiarygodny materiał: Richarda Cody’ego. Dobrze znów cię widzieć, Richardzie – odezwał się telewizor.

– Dobrze tu z wami być, Larry.

Cody wyglądał o wiele młodziej i bardziej energicznie niż tamtej nocy w klubie. Jak gdyby materiał o terrorystach był dla niego eliksirem młodości.

– Richardzie, pytanie, które chyba wszyscy sobie zadajemy, brzmi: „dlaczego?”. Dlaczego młoda Australijka miałaby zaangażować się w to całe szaleństwo?

– Eksperci powiadają, że terroryzm nieustannie mutuje – odpowiedział Cody. – Niczym superwirus... To ptasia grypa duszy, jeśli można tak powiedzieć. Najpierw było to zjawisko bliskowschodnie, które potem rozlało się na kraje takie jak Czeczenia. Następnie w Wielkiej Brytanii zobaczyliśmy urodzonych na angielskiej ziemi muzułmanów, którzy stawali się zamachowcami samobójcami. W osobie Giny Davies dostajemy najnowszą mutację tej choroby, Australijkę, o ile nam wiadomo, niewyznającą wiary islamskiej i niebędącą muzułmanką z pochodzenia, która sprzymierza się z terrorystami. Jest to zjawisko całkowicie nowe i dlatego władze uważają Ginę Davies za osobę niezwykle niebezpieczną.

– To szokujące pomyśleć, że Australijka, czyli nasza współobywatelka, może zrobić coś takiego, Richardzie.

– Rzeczywiście, Larry. Kiedy widzowie obejrzą wieczorem nasz program specjalny, *Nieznana terrorystkę*, bez wątpienia przeżyją prawdziwy szok. Tak jak ja. To smutny i niepokojący program, a będziemy mogli go obejrzeć już dziś o godzinie osiemnastej trzydzieści.

Kiedy wychodzili z pubu, Tony Buchanan podjął ostatnią próbę obrony Loukakisa. Stali w cieniu pod markizą baru, gdzie zatrzymali się na chwilę, wiedząc, że za moment znów będą musieli wyjść na rozpaloną ulicę.

Po chodniku przejechał z hurkotem na dużym skateboardzie ciągniętym przez psa w uprząży niski, krępy facet w samych szortach. Poruszał się z taką szybkością, że jakaś kobieta wpadła na pubowy stolik, by uskoczyć nieznajomemu z drogi. Buchanan podniósł wzrok i pokręcił głową. Harmsen wrzasnął: „Jebany debil!”, a potem się odwrócił.

– Słuchaj, Tony, nawet jeśli masz rację, to nie da się już tego odwrócić. Wiesz, ten materiał służy większemu celowi, chodzi o szerszy obraz, nie?

Buchanan patrzył, jak Harmsen palcami wyciąga włókienko befsztyku spomiędzy kła i zęba trzonowego, a potem połyka strzęp nieposłusznego mięsa.

– Przypuśćmy, że się mylimy – odpowiedział Harmsen, szykując się do zadania ostatecznego ciosu. – Na jedną chwilę przypuśćmy, że tak jest. Nadażasz za mną?

– Chyba tak – odparł Buchanan.

– Ale wiesz co? Nadal ważne będzie to, żeby ludzie wiedzieli, że ci skurwiele gdzieś między nami są. Że to się stanie gdzieś tutaj. I że obywatele potrzebują takich ludzi jak my, którzy będą się opiekować społeczeństwem. To bardzo ważne. Jestem pewien, że potrafisz to zrozumieć. Jak fatalnie wyglądałaby ta sprawa, gdybyśmy się mylili! Cóż by to było za zwycięstwo dla tych skurwysynów od bin Laden! Ludzie nie rozumieją wszystkich zagrożeń, wszystkich spraw, nie zdają sobie sprawy, że mamy tutaj wojnę pomiędzy dobrem a złem. Jak mogą to rozumieć? To głupcy, a my musimy ich uczyć, co jest ważne, a co nie, nie uważasz?

– Moim zdaniem ludzie powinni znać prawdę, Siv.

– Posłuchaj, stary, pojechałem na Bali. Widziałem, co te gnoje tam zrobiły. To jest prawda. Tylko że Australia jej nie widziała. Nie widziała kawałków zwęglonego gówna, które jeszcze dzień wcześniej było żywym człowiekiem. Terrorysty chcą zmienić wszystkie nasze miasta w Bagdad. To cholernie przerażające, Tony, a ludzi trzeba straszyć. To też jest część naszej roboty.

– Wydawało mi się, że właśnie powiedziałeś, że ludzie już się boją – zauważył Buchanan.

– Ale niewystarczająco – odrzekł Harmsen. – Strachu nigdy dosyć. – Spryskał usta odświeżaczem, schował sprej z powrotem do kieszeni spodni, wyciągnął rękę do pożegnalnego uścisku i uśmiechnął się. – Społeczeństwo jest głupie. Żyjemy w dekadzie pigułki gwałtu, Tony. Ludzie niczego nie pamiętają. Majaczy im się tylko, że wydarzyło się

coś niedobrego. Trudno. Jeśli nie będą przerażeni, to nie wyrażą zgody na to, co robimy, i nie zrozumieją, dlaczego musimy to robić.

W głowie Buchanana zamigotała dziwna i straszna myśl.

– A te trzy bomby, Siv – powiedział. – Kto je zbudował?

– O czym ty gadasz?

– O prawdzie – odparł Buchanan, zdziwiony, że słyszy, jak powtarza coś, co brzmiało w tej chwili jak banał. Uświadomił sobie, że jego głos brzmi cienko i nieprzekonująco.

– Wszystko jest lepsze niż wybuch w klubie Sari – odparł spokojnie Harmsen, posyłając Tony'emu dziwny, znamionujący znużenie i wiedzę uśmiech, który go zaniepokoił. – Australia myśli tak samo jak ja, Tony. Zastanów się nad tym.

W tej sytuacji Buchanan uściśnął dłoń Harmsenowi i wrócił do pracy. I zastanowił się nad tym, co mu powiedział Siv. Klimatyzacja była wyłączona, w biurze panowało więc gorąco jak w piecu. Tony miał nową żonę, zaległe raty hipoteczne do spłacenia i alimenty. Miał też nowy, długi na trzydzieści pięć stóp jacht. Wziął na niego kolejny kredyt pod zastaw domu w Elizabeth Bay, jeden dług gonił drugi. Poza tym ciągle miał szansę – co prawda niewielką, ale jednak – by w ciągu najbliższych pięciu lat zostać zastępcą komisarza. Nie robi nic, przemawiał sobie do rozsądku, bo co mógłby zrobić?

A potem znalazł odpowiedź.

W najbliższe wolne popołudnie popływa swoim jachtem. Myśl o jachtingu zawsze go uspokajała, wyobrażał sobie siebie na wodzie, myślał, jak piękne jest Sydney, jak niewielu ludzi naprawdę może oglądać wszystkie jego uroki i że on, Tony, ma niebywałe szczęście, że może się nimi cieszyć.

Coś sprawiło jednak, że Tony Buchanan ostatni raz zadzwonił do Siva Harmsena. Myślał o Tariqu al-Hakimie, o tym, że podobno zginął z ręki kobiety i że Nick Loukakis uważał, że to robota półświatka. Teraz jednak Tony dostrzegł jeszcze jedno, mroczniejsze i o wiele bardziej złowieszcze wytłumaczenie.

– Kto zabił Tariqa? – spytał.

W słuchawce zabrzmiał dziwny śmiech, mający oznaczać „Ależ ty jesteś głupi, kurwa”, po czym Harmsen powiedział:

– Moim zdaniem zrobili to ludzie powiązani jakoś z terroryzmem. A twoim nie, Tony?

– Zawsze pozostaje jakiś ślad, Siv.

Harmsen nie odpowiedział. Buchanan poznał się na sztuczce starego śledczego, odgadł, że Siv chce, by sam się zaplątał w nerwowym zalewie swoich słów. Ale to nie było przesłuchanie.

– Jakież dokumenty.

– Byłem kiedyś ministrantem, Tony, wiesz, dzieckiem Pana Boga. Opowiadałem ci o tym? No więc potrzeby państwa, Tony, są podobno jak Pan Bóg: oczywiste, ale niewidoczne.

– Zawsze są jakieś akta, Siv, zostaje coś, co łączy najwyższych rangą decydentów z tymi, którzy musieli sobie ubrudzić ręce.

– Kiedyś tak było – odparł w końcu Harmsen. – Może. Nie wiem. Ale dzisiaj, stary, są tylko tacy jak my. Nie musimy nawet dzielić się naszą wiedzą werbalnie. Musimy tylko tak samo rozumować.

Buchanan poczuł, że ogarnia go przerażenie.

– Kumaszczyk? – spytał Harmsen. Po chwili wysyczał słowo, które nagle zabrzmiało złowrogo. – Stary.

I wtedy Buchanan wreszcie znalazł porozumienie z Sivem Harmsenem w jakiejś otchłani, w której dotarło do niego, że dzielić władzę oznacza też dzielić winę.

– Co za skwar – powiedział, szarpiąc kołnierzyk koszuli.

– No – odrzekł Siv Harmsen. Znowu zapadła długa cisza. Potem Harmsen ponownie się odezwał: – Minister zaprasza na drinka w przyszły czwartek. Może byś wpadł?

– Upał nie do zniesienia.

– No – zgodził się Harmsen głosem beznamietnym jak dzielnica Bankstown. – Nie do zniesienia, kurwa. O szóstej. Przyślę po ciebie samochód. – I rozłączył się.

Tak, oczywiście, pomyślał Buchanan, to jest wyjście: popływa, i to nie zaraz, ale już, dzisiaj, jeszcze tego wieczoru. W tym obrzydliwym upale zatoka będzie wyjątkowo cudowna. To nadzwyczajne, że w Sydney mieszka kilka milionów ludzi, a prawie nikt z nich nigdy nie korzysta z zatoki. Gdyby tylko wiedzieli, jacy są głupi! Postawi spinaker, wypełni brzuch żagla wiatrem, jacht niczym wielka budząca się ze snu bestia na chwilę zejdzie z kursu, a kiedy zacznie ciągnąć w kierunku Shark Island, pęd przyspieszenia delikatnie pchnie Tony'ego w tył i wtedy poczuje na twarzy słony wiatr. Życie jest piękne w tym najpiękniejszym miejscu na świecie, gdzie można o wszystkim zapomnieć.

Uśmiechnął się do siebie, rozparł na krześle, rozmarzył o żaglach i o tym, jak płynie wzdłuż Sydney na pokładzie jachtu.

„Nie ma żadnych wątpliwości – pomyślał. – Ludzie są głupi”.

Klimatyzacja w kawiarni wydawała się zamrażać pot oblepiający Doll w warstewkę szronu. Rozłożona na jej stoliku gazeta donosiła, że w Blue Mountains wysprzedano wszystkie maski przeciwgazowe. Telewizor śpiewał *I Still Call Australia Home*, ale Doll nie czuła już, że Australia miałyby być jej domem. Teraz uznała, że Australia to wojna. Nie wojna z terroryzmem, o której wszyscy mówili, ale jakaś inna, o której nie mówił nikt, a w której Doll znalazła się po stronie pokonanych.

Radio z kawiarnianej kuchni powiedziało:

– Nissan maxima. Wow!

Była to wojna przeciwko wszystkim, i nie liczyło się, czy jesteś muzułmaninem, czy chrześcijaninem, libańcem czy tancerką erotyczną, ważna była tylko ta wojna i kimkolwiek byłeś, cokolwiek myślałeś – chociaż nie jak Doll, raczej jak Wilder – musiałeś zostać w nią wciągnięty bez względu na wszystko.

Gazeta mówiła:

– Poznaj odpowiednie strategie, dzięki którym zwiększysz swój majątek i szacunek do samego siebie! Zadzwoń do nas natychmiast!

Ale ta wojna jest mglista, pomyślała Doll, trudno ją określić, jest zakamuflowana przez słowa i komunikaty, które męczą człowieka i wsączają się w jego organizm jak nieustanny upał.

– Jakie ścierwa? – zapytało radio. – Ścierwa islamistyczne.

Telewizor powiedział:

– Opakowanie pantene pro-V, czterysta mililitrów. Tylko dzisiaj. Nasza specjalność to świeże produkty spożywcze.

Radio powiedziało:

– Wiem, że to nie jest poprawne politycznie, ale mówię, co mówię.

– Taa, zgadzam się z tobą, Joe. Mój stryj był na wojnie i opowiadał, że kiedy walczył w Syrii, jedyny język, jaki rozumieli miejscowi, to porządny kop w dupę.

– Może powinniśmy więcej słuchać rodziców i dziadków, którzy walczyli za naszą wolność.

– Ale rozumiesz mnie, Joe?

– Wszyscy cię rozumiemy, Trev, a co więcej, podejrzewam, że wszyscy za tobą stoimy. Jesteśmy krajem równych praw, ale ci wicherzyciele, którzy przyjeżdżają do nas z zagranicy, powinni wiedzieć, że równe prawa dla wszystkich to nie to samo co słabość. I jeśli rząd tego

nie zrobi, to czasami ludzie muszą pokazać, jakie mamy standardy, i wyjaśnić, co oznacza dyscyplina i kara. A jeżeli nas, Australijczyków, na to nie stać, to my chyba też nie powinniśmy mieszkać w tym kraju. Nazywam się Joe Cosuk, a to jest audycja *Australia Talking* w stacji 2FG. A teraz... Moi przyjaciele z koncernu Toyota skonstruowali istne cacko...

Na ulicy jakaś kobieta wystawiła głowę przez otwarte okno w samochodzie i wymyślała kierowcy stojącego przed nią auta.

Świat w oczach Doll zrobił się niewyraźny i zaczął oddalać ją od iluminacji, której przez chwilę doznawała. Nie była w stanie przypomnieć sobie swoich myśli sprzed dosłownie kilku chwil. Gwar odbiorników radiowych, telewizorów oraz widok niezliczonych czasopism, katalogów i gazet sypiących się na kawiarniane stoliki jak tabletki temazepamu odciągał ją od rzeczywistości i kierował z powrotem w głęboki tunel.

– Pierdolone elity – wrzeszczał na ulicy jakiś chudy brodacz tak głośno, że przekrzykiwał radio, telewizję i kawiarniane rozmowy. Wyrwana z zamyślenia Doll odwróciła się, wyjrzała na zewnątrz i przypadkowo spojrzała mu prosto w twarz. Odpowiedział jej spojrzeniem. – Chuj wam w dupę! – wrzasnął jeszcze donośniej. – Chuj wam w dupę!!!

Splunął i na szybie na wysokości głowy Doll, nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, przylepił się zielony maź flegmy. Mężczyzna odszedł, a glut zsunął się po szkle niczym ślimak i zatrzymał na wysokości jej ust.

Myśli dziewczyny rozproszyły się jak płatki śniegu.

Wyszła z kawiarni i chcąc po prostu uciec, otworzyła drzwi zaparkowanej taksówki. Kiedy kierowca zapytał, dokąd chce jechać, odpowiedziała, że do Darlington, bo zwykle podawała taksówkarzom ten adres. Nie miała jednak zamiaru tam wysiadać. Nie, przejedzie się trochę i odzyska panowanie nad sobą, była bowiem pewna, że taksówkarze są kompletnie niezainteresowani klientami. Ale ten kierowca też miał włączone radio i słuchał jakiejś audycji.

– No tak mi się wydaje, Ron – mówił jakiś słuchacz. – Jest winna, bez dwóch zdań. Wiesz, jeżeli sypiasz z terrorystami, wyglądasz jak terrorystka i... słuchaj, nie jestem żadnym rasistą... mam znajomych Aborygenów...

Przejedzie się trochę, a potem wróci do hotelu Retro. Wiedziała, że policja najprawdopodobniej już ją tam wytropiła, chciała jednak teraz po prostu zaakceptować przeznaczenie, zamiast z nim walczyć. Chciała położyć kres swojemu strachowi, a uległość wydawała się najlepszym sposobem, żeby przestać się bać. Świetnie było być wolnym, ale wolnym, żeby robić co? Dostać pomieszania zmysłów? Nieustannie słyszeć swoje nazwisko, które ludzie powtarzają z przerażeniem i strachem? Wiedzieć, że cokolwiek robisz i gdziekolwiek idziesz, twój los jest przypieczętowany? A poza tym dokąd mogła pojechać? Była zmęczona, ociężała i miała wszystkiego dosyć.

– Niektórzy moi najlepsi kumple to Aborygeni – odezwał się leniwy głos dziennikarskiego sensata. – Jimmy Little. Mark Ella. To, że ktoś mówi szczerze, Terry, nie znaczy, że jest rasistą...

– ...no, a ona jest czarna, nie?

– Tu wystarczy – powiedziała Doll taksówkarzowi, starając się opanować drżenie głosu. – Tu się zatrzymajmy, bardzo proszę.

Myślała, że spacer, nawet w tym wielkim upale, pomoże jej się uspokoić. Ale nie pomógł. Przeciwnie, prawie wszystko przyprawiało ją teraz o panikę. Usłyszała za plecami przeciągły świst i zareagowała zbyt nerwowo: odskoczyła do tyłu, przewracając kawiarniany stolik, przy którym siedziały jakieś dwie kobiety.

Niski, mocno umięśniony mężczyzna w samych szortach i ze skórzanymi pasami skrzyżowanymi na wysmarowanej olejkiem piersi przetoczył się tuż obok na dużym skateboardzie ciągniętym przez pitbulla w psiej uprzęży.

– Jebany Ben Hur – powiedziała jedna z kobiet z nachmurzoną miną. Do jej spódnicy przylepiła się duńska bułeczka z morelami, która spadła ze stolika.

Dwaj mężczyźni pogrążeni w ożywionej wymianie zdań przy wejściu do pubu podnieśli wzrok i jeden z nich zaklął, zanim powrócili do rozmowy. Doll zwiesiła głowę i poszła dalej. Wędrowała bocznymi uliczkami i właśnie przechodziła przez Cross, starając się nie myśleć o niczym, kiedy na jej drodze przed Happy Hockers znalazła się niewielka grupka gapiów.

Dwaj młodzi mężczyźni kopali leżącego na ziemi, zwiniętego w kłębek człowieka. Jeden z napastników nosił bermudy i T-shirt z wizerunkiem Morrissey'a, a drugi schludną koszulkę Mambo i szorty Billabong. Obaj mieli też okulary przeciwsłoneczne i czapeczki bejsbolowe i obaj, pomyślała Doll, byli ciachami o dobrze umięśnionych ramionach i łydkach nałogowych bywalców siłowni.

Człowiek na ziemi poruszał się pod impetem ich ciosów niczym ciężki materac. Nie wydawał żadnych dźwięków, tylko głuche stęknienia wywoływane przez kolejne kopniaki. Ofiara – sądząc po łachmanach, w jakie była ubrana, po zniszczonej kurtce lotniczej i plastikowych torbach na zakupy wypchanych leżącymi wokół śmieciami, które się z nich wysypały – była najprawdopodobniej żebrakiem.

Wprawdzie większość przechodniów szybko ich mijala, bojąc się wplątać w bójkę, ale wokół dwóch młodzieńców i nędzarza zebrał się tłumek gapiów.

– Zostawcie go w spokoju! – zawołała jakaś staruszka.

Mężczyźni na chwilę przestali i zwrócili agresję przeciwko przyglądającym się im ludziom.

– Bo co nam, kurwa, zrobicie? – spytał niższy. Jego przystojna twarz była spocona z wysiłku, a wspaniałe bicepsy wilgotne, jak gdyby świeżo nawoskowane i natarte olejkami.

Zdając sobie sprawę, że nikt nic nie zrobi, facet postąpił krok w kierunku gapiów. Zdjął czapkę bejsbolową, ciemne okulary Revo, otarł pot z czoła jak człowiek niepotrzebnie oderwany od jakiejś pilnej roboty, a potem wysunął połyskliwą, łysą głowę do przodu i przyglądając się kilkunastu stojącym na chodniku osobom, czyli patrząc kolejno w oczy każdej z nich, zadrwił:

– No bo co, kurwa wasza mać?

Gapie nie mieli zamiaru zareagować. Cofnęli się i zaczęli rozchodzić.

Doll spojrzała pod nogi. Rzadkie, jak gdyby szczurze włosy, strupy, kurtka lotnicza: to był on, ten żebrak, któremu zaledwie przed kilkoma dniami dała trochę pieniędzy. Brudną twarz miał zalaną krwią, ale niebieskie oczy otwarte, zauważył więc Doll. Jego spojrzenie o nic nie prosiło. „Tak to już jest na tym świecie” – zdawało się mówić.

Unikała jego wzroku, unikała wejrzenia tych strasznych niebieskich oczu. Odwróciła się gwałtownie jak wszyscy i poszła dalej.

Pod pachami, na nadgarstku pod zegarkiem, pod kolanami, pod brodą – wszędzie się pocila. Pot ściekał jej między piersiami i orał jej plecy, kiedy spieszyła przed siebie.

Wyczuwała jego śliskość między pośladkami. Stanik nieprzyjemnie oblepiał jej ciało, a koszulka przylegała do spoconego tułowia, przez co było jej jeszcze bardziej gorąco.

A tamci robili swoje przez kolejne kilka minut, kopali leżącego, jak gdyby to on był wszystkiemu winien w tej podłej, martwej dekadzie, na życie w której wszyscy zostali skazani; kopali go jak worek gnoju, który był kiedyś człowiekiem, pośród ludzi, których kiedyś można było nazwać wspólnotą, mieszkających w kraju, który stanowił kiedyś społeczeństwo.

Skręciła w William Street, mijając salon fryzjerski. Zatrzymała się i zawróciła. Przez szybę było widać, że w środku nie ma klientów. Za niewielką ladą stała młoda kobieta i przyglądała się swoim paznokciom.

„Zaczę od nowa – pomyślała Doll. – Zaczę...” Ale po chwili zdała sobie sprawę, że teraz żaden nowy początek nie jest już możliwy. Nie da się zacząć na nowo, nie ma wyboru, nie ma wolności, tylko czas pozostawiony losowi, żeby mógł ją dopaść. Nie było domu, rodziny ani przyjaciół. Nie miała swojego miejsca. Wszystko i wszyscy musieli się odwrócić i zerwać z nią kontakty. Nie było nadziei ani nawet rozpacz, tylko pewne wydarzenia, które coraz bardziej wydawały się jej wynikiem predestynacji. Musiała zrezygnować ze wszystkiego. Wszystkiego.

Zebrała się na odwagę i weszła do salonu. Było to długie, wąskie pomieszczenie, niewiele większe niż obudowany ścianami zaułek. Fryzjerka nie wydawała się zaskoczona jej prośbą.

– To trochę dziwne, wiem – powiedziała Doll, odczuwając potrzebę, żeby coś powiedzieć.

– Zdarzały mi się znacznie dziwniejsze życzenia – odparła fryzjerka. – Właściwie mam tylko taką klientelę – ciągnęła trochę ponuro, wskazując Doll wolny fotel. – Cudaków. Kuriozalne prośby. Jedna babka na przykład chciała przedłużyć sobie końcówki łoniaków. Da pani wiarę?

Nie dała.

Patrzyła w lustrze, jak jej mokre włosy spadają krótkimi, jasnymi motkami na podłogę, z wolna odsłaniając ohydny białą skórę czaszki i obcą twarz. Miała wrażenie, że wygląda jak skinheadka. Brzydka skinheadka i lesba. Czowała to, co chciała poczuć. Nic.

Elektryczne drzwi hotelu Retro rozsunęły się, Doll weszła do środka, dziękując w duchu za chłodną wilgoć klimatyzacji, i poczuła się jak gdyby trochę rozczarowana, że nie widzi policjantów czekających na nią z bronią i w czarnych mundurach. Jej pokój hotelowy też był upiornie pusty.

Zdała sobie sprawę, że nie ma talentu do ucieczki. Zresztą nie miała dokąd ani do kogo uciekać. Była tak kompletnie wyczerpana, że zrobienie kilku ostatnich kroków, aby przejść przez pokój, wymagało od niej gigantycznego wysiłku. Zaciągnęła ciężkie hotelowe zasłony, a kiedy zgasiła światło, w środku zrobiło się ciemniej niż najciemniejszą nocą. Leżała na łóżku, głowa jej ciążyła, nie miała sił, żeby poruszyć ręką ani nogą, pomyślała więc, że po prostu zaczeka tu na nich w łóżku. Kimkolwiek będą – agentami po cywilnemu z bronią, policjantami czy żołnierzami – i cokolwiek mogliby jej zrobić: aresztować ją, pobić, zamknąć na zawsze w więzieniu albo zabić – już o to nie dbała, chciała tylko, żeby wszystko się skończyło, i to jak najszybciej.

Ale nikt nie przyszedł.

Długo czekała z zamkniętymi oczami, policjanci jednak wciąż się nie zjawiali. Odczuła zarówno ulgę, jak i irytację. Gdzie oni są? Co robi, jeśli nie przyjdą? Byli czymś w rodzaju rozwiązania, a nie miała w zanadrzu żadnego innego.

Nie pamiętała już, że zaledwie trzy dni temu była szczęśliwa, jej smutki i zmartwienia nie wydawały się lepsze ani gorsze niż to, co muszą znosić inni ludzie, a ona załatwiała wszystkie swoje sprawy, mając w pamięci tylko jedno: zarabiać i oszczędzać – i ta zasada wydawała się jej niezawodna, zawsze bowiem prowadziła ją w odpowiednim kierunku.

W tej całkowitej ciemności chciała myśleć, że gdzieś życie jest dobre, że prawda nie jest chaosem, że świat nie jest przypadkowy, że dobry człowiek może sobie zbudować dobre życie... Były to jednak myśli najprawdopodobniej pozbawione podstaw, zawieszona w próżni. Usiłowała więc zastanowić się nad tym, co było w jej życiu dobre, pomyślała o swoich przyjaciółach, o tym, jak była dzieckiem i ojciec zabierał ją na ryby w małej łódce pontonowej, jak się na nią złościł, gdy zaplątała żyłkę albo bała się wyciągniętej z wody ryby, i jak krzyczał na nią, a potem dawał za wygraną i wracał. Okazało się jednak, że nie ma takiego dobrego wspomnienia, które nie prowadziło do złego: kłótni jej rodziców, odejścia matki, śmierci jednego z bohaterów *Home and Away*, przyjaźni i zdrady Wilder, pocałunków i zwłok Tariqa, straconych pieniędzy, poplątanych żyłek jak włosy Wilder, a ona nie była w stanie niczego rozplątać, niczego...

Obudziła się, przestraszona. Spojrzała na radiowy zegar. Dochodziło wpół do siódmej wieczorem.

Dotykając palcem wyprężonego zielonego przycisku, wyciągnęła pilota w stronę telewizora. Próbowwała przygotować się na to, co nastąpi, jak gdyby miała przyjąć uderzenie albo spaść z wysokości, ale dostała sensacji żołądkowych i zrobiło jej się trochę niedobrze. Zrozumiała, że jest przerażona. Jeszcze dwa dni temu nie była postacią medialną; wstrząs, jakiego doznała wskutek tej nieoczekiwanej popularności, szybko wyostrzył jej reakcje do tego stopnia, że teraz przepatrywała wszystkie ekrany i gazety i wsłuchiwała się w transmisje radiowe jedynie po to, by znaleźć w nich wzmiankę o sobie. A ponieważ informacji o „tańczącej na rurze bombie z zapalnikiem czasowym” było w wiadomościach więcej niż dosyć, wszędzie widziała wyłącznie siebie – przesłaniała wszystkie pozostałe doniesienia.

Domyślała się, że dla większości widzów i słuchaczy stanowi wspaniały materiał – tajemniczy, pikantny i złowieszczy – i że błyskawicznie przekształca się w celebrytkę. Jak przewidziała Wilder, publiczność wkrótce zechce się jej pozbyć. Wszyscy o tym wiedzieli; powszechne zainteresowanie tą historią dotyczyło po prostu tego, kiedy i jak zostanie rozwiązana. Być może Doll, długoletnia fanka *Rzykantów*, sądziła podświadomie, że zasady i logika serialu, w którym sama teraz się znalazła, ujawnią się, jeśli tylko będzie go uważnie i cierpliwie oglądać. Może w końcu wystąpi wszechwładny prezenter i nada jej specjalny serialowy immunitet, na mocy którego będzie miała szansę przetrwać jeszcze tydzień.

Tymczasem jednak nic nie było dla niej jasne. Żaden prowadzący nie wyłożył zasad absurdalnego zadania, jakie wyznaczono jej w programie, i nie wręczył jej prymitywnego naszyjnika z paciorków w akcie serialowego ocalenia. Doll była bowiem sama w świecie bez boskich zbawicieli i zasad, w świecie, w którym ona nie widziała nic, ale w którym wszyscy widzieli ją. Zdawała sobie sprawę, że jej życie nie jest już określane przez jej uczynki, lecz przez wypowiedzi obcych ludzi. Po raz pierwszy jasno zrozumiała swój los. Nie było wyboru, musiała wiedzieć, co tam o niej mówią, przycisnęła więc zielony klawisz.

Program specjalny już trwał i początkowo wydał się jej dobrze znany: na ekranie pokazano bombę, uzbrojonych policjantów zajmujących pozycje wokół apartamentowca, fotografię brodacza, zdjęcia obejmujących się Tariqa i Doll, ciała zabitych w Biesłanie dzieci i ubraną na czarno postać z karabinem maszynowym w rękach. Walące się wieże WTC. Płonące Bali. Wybuch bomby w Madrycie. Wybuch bomby w Londynie. Umundurowanych policjantów. Polityków w garniturach. Terrorystów w powłóczystych szatach. Nagą Doll. Pociski balistyczne. Krew. Doll rozplywającą się na ekranie z uśmiechem, który nigdy nie

był jej. Przerwa reklamowa. Nowe samochody. Przypomnienie o konieczności płacenia składek ubezpieczeniowych. Gdy wznowiono program, Richard Cody stał na schodach przed gmachem opery, zwrócony lepszym profilem do obiektywu.

– Oto budynek opery w Sydney – powiedział, wyciągając rękę w stronę mających za nim żagli w kształcie muszelek – jedna z naszych największych ikon narodowych... I jeden z obiektów najbardziej narażonych na atak terrorystyczny. Dlaczego jednak chciałyby go zniszczyć Australijka? Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie, wyruszamy w podróż, w trakcie której poznamy naszą nieznaną terrorystkę.

Na ekranie pojawiła się twarz znana Doll; należała do siedzącego na łóżku schorowanego starca o cerze, która przypominała celofanowe okienko koperty biznesowej. Z nosa mężczyzny wystawały dreny.

– Kiedy porzuciła ją matka, Ginę Davies wychowywał samotnie z trudem wiążący koniec z końcem ojciec – mówił z offu Cody. – Ten człowiek poświęcił życie dla córki. Dzisiaj powiemy wam, dlaczego Gina Davies od wielu lat nie odwiedza umierającego taty.

Zatroskany Cody pojawił się przy szpitalnym łóżku Harry'ego Daviesa; rozmawiał z nim łagodnym, smutnym tonem.

– Ile dokładnie lat minęło, Harry, odkąd ostatnio odwiedziła cię Gina?

– Wyprowadziła się z domu jako siedemnastolatka – odpowiedział starzec grzmiącym basem. – W ciągu następnego roku widziałem ją kilka razy. Ale już nigdy, od kiedy skończyła osiemnaście lat.

Doll miała świadomość, że tych kilka słów, które ojciec miał do powiedzenia, może wzruszyć widzów. Nie wątpiła, że ekipie telewizyjnej powiedział również wiele innych rzeczy, pełnych goryczy, domyślała się jednak, że nigdy by ich nie wyemitowali.

– A ty jesteś śmiertelnie chory, Harry?

– Taa. Rozedma płuc.

– Pewnie jest ci bardzo ciężko na duszy?

– Bo moja córka najpierw zostaje striptizerką, a potem terrorystką? No wiesz, ona od początku była niedobrym dzieckiem.

– Co masz na myśli, Harry, mówiąc, że była niedobra?

– No strasznie mi to powiedzieć jako ojcu, ale Gina zawsze była... hm... zimna jak ryba... Moim zdaniem ona nie umie kochać.

Dostał ataku kaszlu, a Doll zdała sobie sprawę, że powtarza mniej więcej to samo, co powiedział, gdy miała trzynaście lat, kiedy prosiła go, żeby przestał dotykać jej między nogami, nie całował jej więcej i nie wsadzał jej języka do ust.

– Chciałbyś coś powiedzieć swojej córce?

– Taa... Nie rań innych tak, jak ranisz tych, którzy cię kochają.

Przypomniała sobie i te jego słowa, a także jego ulubione pieszczotliwe określenie:

– Ty mała zdziro... Ty mała zdziro...

Po odejściu Doll Harry Davies zaczął jeszcze więcej pić i palić, a chociaż zarzuty postawione mu przez szkolną koleżankę córki zostały oddalone z braku dowodów oraz dlatego, że jej rodzina zastępcza chciała chronić dziewczynkę, już nigdy nie wrócił do zdrowia. Kaszlał coraz bardziej, aż wreszcie zdiagnozowano u niego terminalną rozedmę.

Sprzedził swoją firmę, specjalizującą się w tępieniu szkodników, oskarżył rząd o to, że przez obowiązujące przepisy uzyskał za nią tylko niewielkie pieniądze, po czym w zaledwie pół roku przepuścił wszystko na jednoręcznych bandytach. Siedział w domu, oddychał z coraz większym trudem i wykorzystywał pozostały mu jeszcze czas na obwinianie kompanii węglowej, dla której pracował kiedyś przez trzy miesiące jako dwudziestolatek, o coraz bardziej pogarszający się stan swojego zdrowia. Po niedługim czasie musiał zacząć się podłączać do aparatów tlenowych, od których odłączał się jedynie po to, by zapalić papierosa i narzekać na lekarzy, pielęgniarki oraz opiekunki, albo z namaszczeniem opowiadać o swojej od dawna nieżyjącej żonie, którą obwiniał o wszystko, co się zdarzyło, zanim od niego odeszła, a także o to, co zdarzyło się potem.

Ku zdziwieniu własnemu i swoich znajomych nie umarł, jego życie stawało się jednak coraz koszmarniejsze. Wiódł nędzny żywot, dom, w którym mieszkał, stawał się coraz bardziej zapuszczony, a kiedy myślał o córce, to wyłącznie źle, powtarzając między jednym atakiem kaszlu a drugim:

– Ta mała zdzira... Ta mała zdzira...

Program pod tytułem *Nieznana terrorystka* powrócił, a w nim fotografie Troya w mundurze SAS. Richard Cody opisał ojca Liama jako „partnera Giny Davies, który był z nią dwa lata” i opowiedział o jego tragicznej śmierci w czasie ćwiczeń. Pewien emerytowany pułkownik amerykańskich sił specjalnych snuł domysły, że to mogłoby tłumaczyć, dlaczego Doll zaczęła odczuwać nienawiść do instytucji państwowych. Cody zapytał go, czy dzięki Troyowi Doll mogła zdobyć wiedzę o taktyce wojskowej.

– To jest możliwe – odparł pułkownik. – Szczerze mówiąc, należałoby powiedzieć, że wręcz wysoce prawdopodobne.

A potem Doll poczuła dreszcze. Bo teraz Cody stał na piasku Baby Lawn, przed grobem Liama. Docierało do niej niewiele z tego, co mówił, tylko pojedyncze frazy, jak „uczuciowy paraliż” i „zapomniany grób”. Zdała sobie sprawę, że Cody musiał się tam pojawić wczoraj zaledwie godzinę albo dwie po niej, grób był bowiem świeżo odchwaszczony. Wyglądał jednak dziwnie, brakowało bowiem świeżych kwiatów i rozbrykanego konika, a brązowa plakietka z imieniem i nazwiskiem jej synka leżała ponownie na ziemi.

Głowa Doll zwisała bezwładnie.

Gdy po pewnym czasie znalazła w sobie dość sił, żeby ją podnieść i spojrzeć znów na telewizor, Cody łagodnym głosem odsłaniał sieć połączeń zła, zaczynając od grup

islamistycznych w Egipcie na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Na ekranie mignęło zdjęcie przedstawiające, jak powiedział, antyamerykańskie protesty w Egipcie z października 1991 roku zorganizowane przez grupę sympatyzującą z Al-Kaidą. Wyświetlono również materiał filmowy z protestów z roku 1994, odbywających się przed sądem w Nowym Jorku; uczestnicy wyrażali poparcie dla zamachowca, który w 1993 roku zdetonował ciężarówkę wypełnioną materiałem wybuchowym pod północną wieżą WTC.

Potem pojawił się zaciemniony profil z podpisem: „Były starszy analityk wywiadu”. Mówiący elektronicznie zniekształconym głosem ekspert zidentyfikował jednego z mężczyzn występującego na zdjęciu i filmie jako mułłę, który – co podkreślił – był wujem nieżyjącego już Tariqa al-Hakima. Analityk rozwodził się też nad wpływem, jaki ów mułła wywarł na młodego Tariqa, kiedy jego rodzina odwiedziła Egipt w 1996 roku; gdy o tym opowiadał, na ekranie pokazywano coś, co według niego było amatorskim filmem z tej wycieczki. W oczach Doll Tariq wyglądał na nim po prostu jak znudzony młody chłopak. Cody kontynuował, wymieniając późniejsze wyjazdy Tariqa za granicę, a zanim zaczęła się kolejna przerwa reklamowa, pokazał widzom w zwolnionym tempie inny film, na którym mułła obejmował młodzieńczego Tariqa, i jednocześnie nagranie z kamery monitoringu, na którym dorosły już Tariq obejmował Doll.

„Ale on był wtedy tylko chłopcem – pomyślała Doll. – Tylko chłopcem”.

Pojawiło się więcej ekspertów, opinii, powróciła historia niewyjaśnionej śmierci Tariqa, fotka stojącej w zaułku toyoty corolli i kolejne reklamy, aż wreszcie Cody znów stanął przed gmachem opery. Nieznacznie spuścił głowę, złożył ręce tak, że dotykały się wyciągniętymi palcami, i powoli ruszył w stronę obiektywu niczym dobroduszny, mądry nauczyciel, który omawia na wykładzie ważne problemy.

– Zapytaliśmy wybitnego psychologa, profesora Raya Ettslingera, co biografia Giny Davies mówi o jej osobowości i motywach działania.

– Sprawa Giny – stwierdził Ray Ettslinger, stojąc przed szafką z książkami – niewątpliwie pasuje do klasycznego profilu osoby głęboko okaleczonej uczuciowo i niezdolnej do empatii. Gina jest tancerką erotyczną, postrzega więc swoje ciało wyłącznie jako towar, seks zaś po prostu jako transakcję handlową. Ba, nie potrafi nawet rozpaczać po stracie własnego dziecka, co wskazuje na to, że jest osobą niezdolną do okazywania emocji jak normalny człowiek...

Psycholog mówił dalej, splatając wszystkie te rozbieżne opowieści w jedną wielką nieprawdę: o smutnej, zgorzkniałej, łaknącej zemsty kobiecie, którą zdeprawował kanapowy fundamentalista.

– Czy to prawda, że taki profil pasuje do osoby, która mogłaby przeprowadzić poważny atak, wymierzony przeciwko ludności cywilnej, nie mając przy tym żadnych wyrzutów sumienia z powodu pozbawienia życia niewinnych ludzi? – zapytał Cody, kiedy Ettslinger skończył.

– Niestety tak – odpowiedział ekspert.

– Od osoby o takim profilu psychologicznym do terrorystki prowadzi jednak długa droga, panie profesorze, prawda?

– Oczywiście. Musimy zdawać sobie sprawę, że nie mamy do czynienia z wariatką. Mówimy o racjonalnych działaniach racjonalnie myślącego człowieka. Dzięki zrozumieniu historii tej kobiety możemy lepiej pojąć, dlaczego na świecie dochodzi do takich okropnych okrucieństw.

– Czy zatem pańskim zdaniem jako fachowca taka kobieta może stać się terrorystką?

– Owszem, o ile postanowiłaby skanalizować swoje socjopatyczne zachowania w ten sposób. – Eттslinger urwał. Doll pomyślała, że niczym prawdziwy profesjonalista odlicza w tym momencie dwa tempa. – I wygląda na to, że wybrała właśnie taką drogę.

– Więc Gina Davies to naprawdę nasza australijska Czarna Wdowa? – spytał Cody.

Zanim profesor zdążył odpowiedzieć, Doll zmieniła kanał.

Na ekranie jakiś facet, odznaczający się radosnym autorytetem i plastikową fryzurą telewizyjnego kaznodziei, krążył z mikrofonem w ręku przed widownią w studio.

– Dzisiejszego wieczoru – powiedział – zastosujemy tak zwanego Robala. Jest to pasek biegnący u dołu ekranu, który podnosi się, kiedy czujecie strach, i opada, gdy czujecie się bezpiecznie.

U góry ekranu wyświetliły się dwa numery SMS, pierwszy oznaczony jako „Nie boimy się”, drugi jako „Boimy się”, po czym nastąpiło cięcie na fotografii ludzi krzyczących pod, jak by można sądzić, wiecznym płonącym klubem na Bali.

– Zaczynamy – zapowiedział mężczyzna z mikrofonem.

Było tak, jak gdyby jakaś niewidzialna siła rozdzierała niebiosa i rozrywała ziemię, pozostawiając wszystkich w niepokoju – ludzie stawali się sobie obcy, obawiali się cieni na ścianach jaskini. Rozdzierające świat błyskawice kształtowali teraz nowi bogowie – politycy, reporterzy, spin doktorzy, dziennikarze sensaci i pasożytnicze pismaki – igrający z losem śmiertelników i wskazujący im cienie strachu i nienawiści na ścianie po to, aby zatrzymać wszystkich w jaskini platońskiej.

Chór radia i telewizji, powolny rozrost obrazów plazmowych oraz fotografii gazetowej i czasopiśmienniczej, a także podnoszący się jak niesione wiatrem liście sztorm banerów i migawek informacyjnych nie tylko nie pozwalały na skorygowanie jakiegokolwiek pomyłki, lecz czyniły te pomyłki prawdą, prawda stawała się czymś bez konsekwencji, a świat był piekłem dla tych, których przypadkowo wybierał na ofiary swoich prześladowań.

Doll wcisnęła klawisz na pilocie.

Przyciskała go i przyciskała bez końca.

Ale na następnym kanale zobaczyła to samo, na kolejnym też, i tak dalej, a potem już wszędzie wyczuwała tylko tę samą ciemność, wzmocnioną po milionkroć i nieuniknioną jak

lawina błotna złożona z sygnałów binarnych niesionych nieprzerwanym deszczem strachu. Wiedziała jedynie tyle, że zabrali jej nie tylko pieniądze, ale i duszę, a widziała wyłącznie więcej bomb uzbrojonych policjantów apartamentowiec Tariqa brodacza Tariqa Doll zwłoki dzieci mężczyznę kobietę czarny karabin maszynowy Doll nago Nowy Jork Bali Madryt Biesłan Londyn Bagdad Sydney Doll w tańcu mundury garnitury pociski balistyczne hidżaby krew trupy dzieci i siebie samą w procesie dezintegracji, uśmiechającą się, chociaż w żadnym wypadku nie był to jej uśmiech.

Długo jeszcze siedziała na łóżku w swoim nędznym hotelu. Przenośny telewizor grał dalej, a ona ciągle się w niego wpatrywała, chociaż nie rejestrowała już nic z tego, co w nim nadawano. Nasłuchiwała coraz silniejszego wiatru, który od czasu do czasu walił w okno jak zataczający się na ulicy pijak. Wydawało się jej, że wszystko na nią czeka: chwila, bodziec, reakcja, przyznanie się, wina, kara, ogolenie głowy, rytualna śmierć.

Pierwszy raz wyczuła, że jej żaloszny los jest równie przypadkowy jak wygrana na loterii i równie niezaprzeczalny. Dziwiło ją tylko to, dlaczego nigdy wcześniej nie widziała żadnych oznak wiszącego nad nią przeznaczenia, kiedy wszędzie wokół niej każdego dnia byli ludzie cierpiący podobnie jak ona. Dlaczego nie rozumiała, że taka jest prawdziwa natura świata i że wszystko poza tym to złudzenie? Dlaczego nie rozumiała, że wszyscy mieli wyznaczone role do odegrania w tego rodzaju tragediach: zarówno Richard Cody, jak i politycy, gliniarze albo ona?

Ludzie woleli o nic się nie troszczyć, niczego nie widzieć i w ogóle nie myśleć. A Doll zrozumiała, że sama, chociaż myślała, że jest dobrym człowiekiem, była taka jak wszyscy.

Ostatecznie każda próba zaczęcia nowego życia – dziecko, przeprowadzka do Melbourne, powrót do Sydney, studolarowe banknoty – była zaledwie innym sposobem akceptacji świata, jak teraz to widziała, jeszcze jedną próbą dogadania się z tą samą siłą, która zwróciła się przeciwko niej. Przeciwko niej, chociaż zawsze zgadzała się z powszechną opinią i uważała, że ci, których świat postrzega jako złych ludzi, są naprawdę źli! Przeciwko niej, choć ona nigdy nie kwestionowała prawa tych, którzy osądzali innych, do bycia sędziami!

Doll zdawało się, że wreszcie pojęła, jak to się mogło stać – że świat jest, jaki jest, bo ona jest, jaka jest. Opinia świata na jej temat była po prostu równie głupia i okrutna jak jej opinia o innych. Czy to nie ona powiedziała, że terrorystów należy tropić jak psy? Ponownie odezwał się w niej ten głos, mówiący, że to ona zabiła Fung, bo nie wspomniała Chince o wizycie pana Moona w Chairman's Lounge. Tyle tylko, że tym razem Doll nie zaprzeczyła głosowi. Wiedziała już, że zdradziła i zabiła Fung na równi z jej płatnym mordercą.

Przypomniała sobie żebraka, który spojrzał jej w oczy, kiedy odchodziła; jego wzrok wydawał się mówić: „Naprawdę bardzo mi przykro, ale rozumiesz, tak to już jest na tym świecie. Ludzie są dla siebie okrutni. Nie jestem w stanie ich zmienić”. I zrozumiała, że to jego litość – nad nią i wszystkimi ludźmi wraz z ich beznadziejnym, nieuniknionym okrucieństwem, jego zakichana litość nad ich wszystkimi głupimi, nieuniknionymi oszustwami, jego wstrętą, śmierdzącą, nikczemną litość, kurwa jego mać – była tym, czego nienawidziła nade wszystko.

Klimatyzacja grzechotała i rzeziła dalej. Świat naciskał na Doll ze wszystkich stron. Pokój wydawał się jej za ciasny, wyglądało na to, że za chwilę pęknie od wilgoci i z upału, który nie poruszał się, tylko powoli oblepiał dziewczynę jak klej. Zaprażyła, żeby to był taki wieczór jak dawniej – kolejny wieczór zarabiania kasy w klubie. Przypomniała sobie, jak Jodie opowiadała jej kiedyś, że ten dziennikarz telewizyjny zaczął przychodzić do Chairman's Lounge wczesnym wieczorem we wtorki. Być może będzie tam dzisiaj. W stuporze pokoju hotelowego w wyczerpanym umyśle Doll nieoczekiwanie załęgła się nowa myśl.

Wstała z łóżka, znalazła torebkę, wyjęła foliowe zawiniątko, wysypała kokainę na laminowany stolik i uformowała ją w kreskę pomiędzy czarnymi mikrokraterami wypalonymi przez żar z papierosów.

Wiedziała, co potem powiedzą – czy nie mówili tego samego wcześniej? Ale to bez różnicy. To jej pomoże, i tyle. Prawda istnieje, nigdy jednak nie zostanie opowiedziana. Znalazła portfel ze skóry saffiano od Prady, wyjęła ostatnią już studolarówkę i zwinęła ją w rurkę. Prawda istnieje, ale może świat potrzebuje kłamstw. Pochyliła się nad stolikiem i zatkała sobie jedną dziurkę od nosa. Może tak było zawsze, pomyślała. Przytknęła nos do banknotowej rurki i wciągnęła narkotyk.

Wszystko od niej uciekło i wszystko zbiegło się z powrotem wokół niej; to, co roztrzaskane, zostało znów połączone, a rodzina, dom, przeszłość, przyszłość, jej ojciec i syn, Tariq w łóżku i Tariq w bagażniku stanowili wreszcie jedność. Wirowała wokół mosiężnej rury, a życie wirowało wokół niej – samo życie, cudowne życie – i wszystko było tak, jak powinno być: nadchodząca noc, Sydney, jej myśli i uczucia, kilka minionych dni, odgłosy samochodów, radioodbiorników, śmiech i kaszel Ferdy'ego – widziała go stojącego przy stole, chciał z nią porozmawiać, wydawał jej nieuchronne polecenie:

– Krystal – mówił cichym głosem. – Tańcz, po prostu tańcz.

Nie miała już jednak ochoty więcej tańczyć.

Drzwi windy hotelowej rozsunęły się. Doll wysiadła i przeszła przez szerokie, otwarte drzwi koło recepcji, żeby wejść do kawiarni, kiedy wyczuła, że do hotelu wkraczają policjanci. Była już jednak w ruchu, panowała nad sytuacją i teraz niby wychodziła z kawiarni, uśmiechając się do jednego z ponurych na gębie gliniarzy, który przemknął obok. Policjanci wydali się jej strasznie nieporadni, prawie jak dzieci, jak bawiący się mały Max – i przynajmniej w tej chwili nie byli ani trochę przerażający.

Ze wspomaganą kokainą pewnością siebie i zdecydowaniem, które ją zarówno olśniewało, jak i zastanawiało, ruszyła naprzód ulicą, podczas gdy wszystko w hotelu i jej sercu pozostawało w chaosie i nieładzie.

Kiedyś wierzyła, że potrafi wciąż stwarzać swój świat na nowo. Teraz jednak, kiedy szła Pitt Street, wyczuwając, że za jej plecami zjeżdżają się radiowozy, dekorujące hotel girlandami migoczących świateł, stało się dla niej jasne, że wszystko to jedynie sen i życie tylko czeka, by zemścić się na tych, którzy uważają, że mogą je kształtować. Ruch uliczny zgęstniał, po czym zamarł ze względu na policyjny nalot, a ona uświadomiła sobie, że jakakolwiek próba kształtowania życia, zmienienia się w kogoś nowego, to pieprzona bzdura. Ten świat nie ma końca, tak jak nie mają końca jego cierpienia, radości i bezsensowność.

Na pierwszym skrzyżowaniu z ulicą, na której odbywał się normalny ruch, wrzuciła pocztówkę do skrzynki, a potem zaczęła machać ręką, żeby zatrzymać taksówkę. Słyszała coraz głośniejszy hałas, niemal tak wyraźny jak industrialny jęk miasta, stłumione dudnienie, w którym rozpoznała ryk burzy gradowej, odległej jeszcze o kilka kilometrów. Na skrawku otwartego nieba ciemniejąca nad jej głową stalowoniebieska chmura wypełniała miasto dziwnym, nowym światłem. Wyczuwała łagodny powiew, pierwszy od tygodni wiatr, i czuła, jak świeże powietrze chłodzi jej ogoloną głowę.

Zatrzymała się taksówka. Doll wsiadła i zdenerwowała się trochę, widząc kierowcę o azjatyckich rysach, bo oprócz tego, że nie ufała Azjatom, przypominali jej teraz ciągle o Fung. Zamiast audycji z telefonicznym udziałem słuchaczy, których słuchała większość taksówkarzy, w tym samochodzie grała muzyka fortepianowa. Niemal niezdecydowane, wstydliwe dźwięki wydawały się jej znajome; sposób, w jaki wznosiły się na poziom osobliwego potwierdzenia własnego piękna, coś jej przypominał – tylko co? Tajemnicze, brzękliwe tony i niezręczne chwile graniczącej z objawieniem ciszy między dźwiękami sięgały jakiejś mrocznej, strasznej prawdy – ale jakiej? Jakiej?

– Przepraszam – powiedziała. – Czego pan słucha?

– Chopina – odparł kierowca. – To nokturn f-moll. Bardzo pienkny.

„Jak mogłam zapomnieć?” – zastanawiała się Doll. Słuchała dalej i utwór znów zaczął ją wzruszać w nowy i całkowicie nieoczekiwany sposób. W tej chwili Chopin objawił się jej jak gdyby po raz pierwszy. Jak to możliwe, że od tak dawna wierzyła, że w wygodzie i beztrudzie można znaleźć życie? Ta myśl wydała jej się równie głupia jak szukanie miłości w katalogu mieszkań wystawionych na sprzedaż.

Zatrzymali się na czerwonym świetle i wyjrzała przez okno na ocienione wąwozy biznesowej dzielnicy Sydney. Na ławeczce siedział jakiś starzec, pomstując na mijające go samochody i przechodniów. Spuścił głowę między kolana, zwymiotował na chodnik i szybko podniósł wzrok, by dalej krzyczeć na poruszające się w żółtym tempie auta, a nici luźno splatających się ze sobą rzygowin powoli opadały z jego ust – długie czułki wymiocin, które rozciągały się i pękały, by zaraz uformować się na nowo. Chwilami starzec milknął, musiał bowiem bezgłośnie łapać oddech niczym wyciągnięta na brzeg, walcząca ze śmiercią ryba.

Kiedy taksówka ruszyła, a nieznajomy zniknął jej z oczu, Doll pomyślała nagle, że pomstowanie jest wszędzie, że ociekają nim gazety, fale radiowego eteru, telewizyjne programy polityczne. Były to wymiociny pismaków, polityków i dziennikarskich hien, którym się wydawało, że życie może należeć do nich, co było równie nikczemne, głupie i żałosne jak ten mężczyzna na rogu, który wrzeszczał na mijający go świat.

Na szczęście jednak tu, w taksówce, w tych dziwnych fortepianowych dźwiękach kryło się coś innego, coś, co mówiło o prawdzie, coś, co wydawało się chwycić Doll za serce i tłumaczyć, co właściwie się z nią stało, co czuje. Ta muzyka rozjaśniła jej w głowie, wypowiedziała, co musi teraz zrobić – a było to coś równie strasznego, jak nieuniknionego.

– Ja w Sajgonie trenuję fortepianu – powiedział taksówkarz. – Najwiecej lubię Chopina.

Doll pochyliła się.

– Jedziemy do Cross, przyjacielu – powiedziała. – Do Chairman's Lounge.

– Chcem grać ludziom Chopina – ciągnął kierowca, kiwając głową na znak, że zrozumiał. – Chcem grać miłość. Ale tu, w Australia... co ja tu mogem robić? Jeździć, to wszystko.

Doll słyszała jednak wyłącznie muzykę, która opowiadała jej o życiu w sposób, jakiego wcześniej nie znała i nie chciała znać, lecz kiedy zdała sobie z tego sprawę, jej świat zadrżał w posadach i nic już dłużej nie mogło być takie jak dawniej.

– Jeżdżem i robiem piniondze i znowuż wstajem rano i znowuż jeżdżem. Zarabiam wiecej i jeżdżem wiecej, żeby zarobić wiecej... po co?

A Chopin grał dalej, muzyka stała się przerażająca, szalona, nie chciała przestać zagłębiać się w duszę Doll, nie chciała przestać jej mówić, że wszystko o niej wie. A potem Doll znienawidziła ją, zaczęła się bać tego, jak ją tnie i przeszywa na wskroś, jak odbiera jej wszystko, co zgromadziła i przygotowała, żeby się bronić.

– Australia – mruknął taksówkarz, jak gdyby odpowiadał na zadane przez siebie pytanie.

Temperatura spadała na łeb na szyję. Ryk zbliżającej się burzy gradowej stawał się coraz głośniejszy i Doll nie słyszała już miasta ani ruchu ulicznego, a jedynie narastające bębnienie, które zagłuszało dźwięki fortepianu. Taksówkarz tylko podgłośnił fonię.

Zaczął padać grad, i to nie zwyczajny, ale wielkości piłek golfowych. Walił w dach taksówki tak donośnie jak młoty. Samochody zwolniły, ledwo się tocząc, zapaliły się ich reflektory i latarnie uliczne, potem rozległ się przeciągły pisk opon, odgłos giętego metalu, brzęk tłuczonego szkła i wycie alarmu, lecz wszystkie te odgłosy tworzyły jedynie bardzo ciche tło dla bębniących o dach pięści gradu. Kierowca znów podkreślił Chopina, choć teraz już bez zauważalnego skutku, bo burza całkowicie zagłuszała muzykę. Doll w duchu cieszyła się jednak, że nie słyszy więcej tego strasznego utworu. Następnie rozległ się dziwny, ogłuszający, przeciągły trzask i przednia szyba zbieleła, roztrzaskiwana przez lodowe kule.

– Mnie bardzo przykro – krzyknął wietnamski taksówkarz, żeby pasażerka go usłyszała, i wskazał poboczne drogi. – Musimy się zaczynać.

Niedaleko, na skrzyżowaniu kilku arterii komunikacyjnych, Doll zauważyła rzucającą się w oczy, ustawioną na wzniesieniu masywną tablicę reklamową Coca-Coli, złowieszczą i górującą nad okolicą; burza przyciągnęła brudne niebo tak nisko, że czerwona amerykańska reklama jak gdyby podtrzymywała czarne chmury wiszące na jego krańcach. Za dnia wyglądała na zniszczoną i zmarniałą niczym przechodzące pod nią ćpuny, nocą zmieniała się jednak we współczesną latarnię aleksandryjską, w niewielkie morze kipiących czerwonych i białych neonowych fal, wskazujących drogę do Wall i jej męskich dziwek

z jednej strony oraz wejście do Cross z drugiej. Odkrzyknęła, że kilka ostatnich przecznic przejdzie piechotą.

– Nie, nie – zawołał taksówkarz, który wydawał się naprawdę o nią martwić. – Pani nie płacić.

Domyśliła się, co mówi, z ruchu jego warg i dlatego, że wyłączył taksometr, bo w huku milionów miażdżących miasto gradowych grudek nie dało się słyszeć Chopina ani niczego innego. Wyciągnęła ostatni studolarowy banknot, nadal pokryty cieniutką warstewką proszku.

– Za dużo – powiedział taksówkarz, machając jej przed nosem rękami o smukłych palcach. – Za dużo. Wskazał taksometr. Urządzenie pokazywało, że należy mu się osiem dolarów i dwadzieścia centów.

Doll zacisnęła palce kierowcy na studolarówce, błysnęła uśmiechem i wysiadła.

Przez chwilę patrzyła za siebie w stronę miasta, w długą cieśninę William Street. Grad na moment ustał. Na drugim końcu ulicy zobaczyła słońce zapadające w głąb Sydney, jak gdyby połykane przez miasto – ogromna, oślepiająca tarcza pośród dwóch wieżowców, które wznosiły się niczym czarne portale wiodące do serca metropolii.

Zachodząca kula słoneczna lała dookoła mordercze światło. Otaczała William Street rumianym blaskiem i biegła pod sinymi chmurami i w górę bulwaru niczym gorąca krew. Grad rozpuszczał się już na ulicy, a bijąca z niej para przedzierała się przez dziwne lśnienie, tworząc czerwoną mgiełkę, która wypełniała płuca Doll.

Przeszył ją dreszcz; odwróciła się plecami do Cross i ruszyła szybko, dziwnym krokiem, przypominającym krok łyżwiarski, bo żeby się nie poślizgnąć, musiała wsuwać stopy pod lodowe krupy, które miejscami sięgały jej do kostek. Szkarłatna sylwetka Doll ścigała w górę wzniesienia jej własny wydłużający się cień, który kierował się w stronę wyblakłych ochrowych pręg i zawijasów białych liter logo Coca-Coli.

Z tyłu nadlatywał policyjny helikopter, który wstrząsał wąwozem William Street nieubłaganymi ciosami śmigieł. Syreny wyły coraz bliżej. Grad znowu zaczął padać i szybko stał się gęstszy. Pozrywał też banery i darł je na strzępy. Ludzie biegali w poszukiwaniu schronienia. Samochody wpadały w poślizg i dochodziło do stłuczek. Cross wyglądała jak zasypana śniegiem, ale nikt już nie przyglądał się tutejszym ulicom. Z oddali dobiegały przeraźliwe krzyki. Na nie też nikt nie zwracał uwagi.

Schroniła się w jakiejś bramie. Dopiero po chwili zauważyła, że stoi w wejściu do burdelu, na którego drzwiach wisiało niewielkie i lekko uszkodzone ogłoszenie o naborze do pracy: „Poszukujemy pań biegłych w dawaniu koszy mężczyznom”.

Wybuchnęła śmiechem: przyszło jej do głowy, że musi opowiedzieć o tym Wilder – ale po chwili przypomniała sobie, co zamierza zrobić i że może już nigdy jej nie zobaczyć. „Nie – pomyślała Doll – nic nie jest zabawne. We wszystkim chodzi jedynie o nienawiść. Świat istnieje wyłącznie po to, żeby nienawidzić i niszczyć. Każdy żart, każdy uśmiech i wszystko, co radosne, istnieje wyłącznie po to, by zakamufłować tę prawdę”.

Potem jak gdyby na potwierdzenie tego, co pomyślała, dokładnie naprzeciwno niej, pod markizą klubu Centrefolds Sex Show, zaczęło się kłócić dwóch żebraków, którzy niepomiernie gradobicia wyrywali sobie z rąk prześcieradło. Z bram i wnęk sklepowych przyglądał im się tłumek obszarpańców; jedni śmiali się, inni dopingowali swojego faworyta, wszyscy jednak z radością obserwowali ten żalony spektakl po prostu dla hecy. „Tak – pomyślała znowu – nawet żebracy walczą między sobą... Takie jest życie”.

Wyszła z ukrycia i puściła się biegiem.

Przebiegła obok Club X; równy oddech, zdecydowany krok. Przyspieszała, wymijając nielicznych pozostałych wciąż na ulicach ludzi i zręcznie omijając przeszkody na drodze. Przebiegła obok Spice Bar. Kilku hoteli wynajmujących pokoje na godziny. The World Famous Love Machine. The Pleasure Chest Cruise Area. Maddonas. Obok sklepu, który eksponował na wystawie „sandały dla nocnych dam” w promocyjnej cenie. Nie słyszała własnych krzyków ponad straszliwym hukiem burzy, wbijającej się w miasto.

Grad biczował jej nagie ramiona i ogoloną głowę, a ona poczuła, że coś oddziela ją od życia. Odnosiła wrażenie, że coraz bardziej oddala się od tego, co ją otacza, w tym od własnego ciała. Obserwowała swój ból – jak wiele innych rzeczy – z jakiegoś dziwnego, odosobnionego, obcego miejsca. I jakaś część jej osobowości powitała ów ból, owo cierpienie, z przyjemnością, w taki sposób, dzięki któremu mogła wreszcie stawić czoło swojej męczarni i odczuć ją jako coś realnego, a każde uderzenie, każda zmarznięta grudka waląca w nią z siłą kamienia wydawała się jej konieczna, dobra i oczyszczająca.

Zobaczyła lód, tworzący coś w rodzaju zwirowej ścieżki ogrodowej wokół opakowania po hamburgerze, przy którym leżała na boku ciemnoskóra kobieta, zwrócona plecami do ściany. Miała wyjątkowo piękne, czarne włosy. Rozsypane wokół jej głowy na chodniku, były usiane białymi cętkami gradu. W kąciку płonącego ciemnego oka nieznajomej czekała mucha.

– Uciekaj, Doll, uciekaj – powiedziała do siebie.

Musi być sąd. Rozumiała to. Musi być ofiara. Tego też była świadoma. W pewnym sensie zawsze rozumiała takie rzeczy. Kobieta z bagien. Ta Francuzka.

Coś ciepłego spłynęło jej po policzku. Potem poczuła w ustach słonawy smak krwi i zdała sobie sprawę, że grad zranił ją w głowę. Tak, było jasne, co się musi stać. Musiało dojść do rozlewu krwi.

Nie było sensu pytać dlaczego. Istniała taka konieczność, to wszystko. Wszyscy tak sądzili. Wszyscy się z tym zgadzali. W dzisiejszych czasach nikt nie chciał się do tego przyznać, była to jednak po prostu nieodłączna część obłudy epoki. To nic. Jest gotowa. Było jej chłodno w ogoloną głowę; z ogoloną głową było jej przyjemnie. Nie miała w niej już wielu sprzecznych myśli, tylko jeden cel.

– Uciekaj, Doll, uciekaj.

Chciała żyć... Tak bardzo chciała żyć! Ale wszystko, co ją trzymało przy życiu, wydawało się zostawać za nią, gdy biegła dalej ulicą, zagłębiając się coraz bardziej w Cross, i z każdym kontrolowanym, zdyszany oddechem znikało też coś więcej, coś, czego nigdy nie zdoła już odzyskać... Jej ojciec... synek... dom... pieniądze... przyjaciółka... Potem chwiejnie stanęła, wsparła ręce na biodrach i wzięła kilka głębokich oddechów.

Nie wiedziała już, co zrobi, miała tylko świadomość, że zawsze zamierzała to zrobić, i ta sytuacja przywodziła jej na myśl zakończenie filmu, który zna, ale którego nie może sobie przypomnieć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przecież ma berettę i że to stal pistoletu ogrzewa się w jej dłoni, choć wokół świat lodowaciał. Pojmowała jednak, że zawsze było jej pisane tu skończyć, powrócić tam, gdzie wszystko się zaczęło, i trzymać palec na spuście, a cała reszta była tak samo nieunikniona zarówno dawniej, jak i teraz.

Nie spodziewała się tylko, że będzie taka spokojna i wyciszona. Po raz pierwszy odkąd zbudziła się samotnie w łóżku Tariqa, nie wypełniał jej paniczny strach, niepozwalający na podejmowanie choćby najbliższych decyzji. Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Kasowy wieczór, mój przyjacielu? – spytała.

I z tymi słowami weszła na czerwony dywan rozciągnięty pomiędzy mosiężnymi pacholkami, które łączył elegancki sznur, po czym ruszyła w stronę potężnej, ubranej na białą postaci trzymającej straż przed oficjalnym wejściem do Chairman's Lounge.

– Jesteśmy bogami, którzy mają szczęście – mówił Richard Cody kilku dyrektorom stacji Six; pił z nimi w klubie i ciężko pracował nad tym, żeby zmienić swój dość podły nastrój. – No bo popatrzcie tylko na nasz świat! W jednym podmiejskim supermarkecie jest dzisiaj więcej jedzenia i wina, niż Neron znalazłby w całym swoim cesarstwie... A wszystko to idzie tylko na kolejny wieczorny posiłek!

Chociaż Cody przeżywał cudowny tydzień, ciągle niepokoiło go coś, co wcale nie powinno go niepokoić. Dzień wcześniej podsłuchał, jak jedna z producentek, młoda kobieta, która jego zdaniem musiała się jeszcze wiele nauczyć, rozmawia o nim z asystentką od researchu, również całkiem atrakcyjną dziewczyną.

– On nie ma żadnych pomysłów – powiedziała.

A przecież był to nadzwyczajny tydzień; szczególnie wspaniale poszło mu właśnie dzisiaj. Bo na przykład jeszcze tego wieczoru, kiedy obejrzał swój program specjalny w studio i już miał iść do klubu, zadzwonił do niego pan Frith we własnej osobie.

Pragnął osobiście przekazać Cody'emu, że „ci, którzy mają coś do powiedzenia na najwyższym szczeblu”, już do niego telefonowali, żeby pogratulować mu programu. Stacja Six, jak powiedziano panu Frithowi, pomaga nie tylko władzom, lecz także całemu narodowi oraz po prostu sprawie wolności. Zdaniem pana Fritha było to coś, co nie przejdzie niezauważone, kiedy w najbliższym czasie będzie się rozdzielać między koncerty medialne kontrakty na kolejną kampanię rządową na rzecz wzmożenia kontroli wydatków na świadczenia społeczne albo zaostrożenia polityki podatkowej – a także kiedy przygotowywane będą regulacje prawne dotyczące kwestii własności mediów. No i oczywiście, dodał pan Frith, on sam też nie zapomni, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Cody.

Richardowi trudno było jednak rozkoszować się tym wspomnieniem, bo w myślach słyszał jedynie rozmowę tamtych dwóch młodych kobiet.

– Wiesz, dlaczego mówią na niego „Szambożłop”? – spytała asystentka od researchu. – Bo jak go wrzucić do szamba, to całe gówno wypije, jak szambowóz!

Potem obie śmiały się i śmiały.

– Żyjemy znacznie dłużej niż nasi przodkowie – ciągnął Cody, niemal dosłownie cytując pewien artykuł, który zaledwie poprzedniego wieczoru przeczytał w sieci. – Mamy cudowne maszyny, które wykonują nasze polecenia, lepiej wyglądamy i możemy oglądać lepszy świat... – W tym miejscu uniósł brwi, a słuchacze śmiali się, uważnie obserwując sterczące piersi i szerokie uśmiechy dziewczyn, które przechadzały się półnago po sali.

Cody słyszał jednak tylko trajlowanie swoich dwóch koleżanek z pracy i ich głosy:

– Szambożłop! O mój Boże! Boki zrywać! Szambożłop!

Filozofował dalej o cudownym Zachodzie, gdy tymczasem przed wejściem do klubu ożywiły się ciemne oczy Billy’ego Tongijczyka. Bez problemu rozpoznał Doll mimo ogolonej głowy.

– Przychodzili tutaj różni ludzie, Krystal – powiedział, a jego płaski nos rozpląszczył się jeszcze bardziej, kiedy poruszał ustami. – I zadawali pytania.

Grad odpuszczał, ale jego kakofonia wciąż zagłuszała wszystkie inne dźwięki.

– Ludzie zawsze o coś pytają, Billy – odparła głośno Doll, wciąż z trudem łapiąc oddech. Zdawała sobie sprawę, że musi ugłaskać Tongijczyka, by mieć go po swojej stronie i nie wzbudzać podejrzeń. – Tylko że nie przestają zadawać pytań, dopóki nie dostaną takiej odpowiedzi, jaką chcą usłyszeć.

Billy uśmiechnął się. Podniósł swoje wielkie białe ramię, otwartą dłonią wskazując drzwi. Kiedy Doll przechodziła obok niego, nie patrzył na nią, tylko przed siebie, w górę i w głąb ulicy. Nauczył się tego w czasach, kiedy pracował jako ochroniarz.

Trzymając berettę schowaną pod torebką, Doll zdumiewała się, że pistolet wydaje się jej nie więcej niż zabawką, którą mógłby się cieszyć Max. Tylko ciężar broni przypominał o tym, że to jednak nie jest zabawka.

Zeszła po ozdobionych neonowymi strzałkami schodach, skręciła i minęła kasę, przy której pełniła swoje obowiązki Maria. Maria – która opowiadała każdemu, kto chciał jej słuchać, że „normalnie odjechała” na wiadomość o tym, że Krystal „jest naprawdę terrorystką, no wiecie, znaczy prawdziwą celebrytką” – wykrzywiła twarz w podekscytowanym uśmiechu i pomachała koleżance na powitanie. Doll uśmiechnęła się nieznacznie w odpowiedzi, poszła dalej i zatrzymała się na moment przed wejściem do sali głównej.

Ogłuszający hałas gradobicia ucichł, a tu w ciemności i w otoczeniu muzyki doof wcale nie było wiadomo, która godzina, jaka jest pora roku i co to za miejsce. Przebijając wzrokiem wir światła, Doll zauważyła kilku stałych bywalców i przypadkowych gości, a na końcu baru, zgodnie z tym, co mówiła Jodie, siedział Richard Cody w towarzystwie Ferdy’ego i kilku innych facetów. Wszyscy się śmiali, jak to zwykle mężczyźni.

W tej właśnie chwili, gdy Cody wreszcie zaczynał zapominać o podsłuchanych uszczypliwościach na swój temat i wypełniła go wyjątkowa radość życia na tym świecie, kiedy zaczął się rozkoszować swoim najnowszym sukcesem, wyczuł, że w barze dzieje się coś, co chyba jest ważniejsze niż jego rozmowa. Odwrócił się na stolku i spojrzał w stronę wyjścia. Zobaczył tylko czerni.

Doll wyłoniła się wtedy z ciemności po raz ostatni. Z ogoloną głową i połyskliwą, zakrwawioną twarzą wyglądała piękniej, niż ją zapamiętał. Była o wiele piękniejsza i delikatniejsza – właściwie przypominała prawie dziecko – niż na nieostrych, rozbitych na pojedyncze piksele zdjęciach, które przez kilka krótkich dni wypełniały ekrany telewizorów, plakaty i gazety.

Wpatrywał się w nią przez, jak jej się wydawało, bardzo długi czas. Otworzył dłoń i wyprostował obrzydliwe, serdelkowate palce. Jego twarz pozostała jednak bez wyrazu, albowiem – chociaż Doll nie mogła o tym wiedzieć – botoks pozbawił ją możliwości ekspresji. I to właśnie ta doskonała, przerażająca nijakość przekonała dziewczynę, że Cody nawet przez chwilę nie wierzył w ani jedno słowo, które wypowiedział o niej w telewizji, bo gdyby było inaczej, to by się bał.

Facet w garniaku siedzący obok Cody’ego jakby się czegoś domyślił i przysunął swój stółek bliżej baru. Ferdy zniknął, a Doll odgadła, że na pewno dzwoni już na policję. Nie miała nic przeciwko temu: musiał tak postąpić. Potrzebował ochrony, przyjaciół, rozgłosu. On potrzebował ich, a oni jego. Wiedziała, że ma niewiele czasu, zanim przyjadą gliny, było go jednak aż za wiele, aby zdążyła zrobić to, co jeszcze jej zostało do zrobienia.

Ktoś wyłączył muzykę. Wszyscy patrzyli na Doll. Ruszyła w stronę Cody'ego. Zasłaniała dłonią torebkę, a jej palce przesunęły zaprojektowany zarówno dla prawo-, jak i leworęcznych użytkowników bezpiecznik pistoletu.

– No, no, popatrzcie tylko, kogo my tu mamy! – zwrócił się głośno Cody do klientów klubu, szeroko rozkładając ramiona.

Nikt poza nim się nie odezwał. Richard się roześmiał. Zawtórowało mu tylko kilku facetów, którzy po chwili ucichli.

– Jezu – jęknął któryś.

Przez moment nie miała pojęcia, dlaczego stoi przed Codym i dlaczego nie jest to po prostu kolejny wieczór, na którym powinna się uśmiechnąć, rozebrać, zarobić pieniądze, wrócić do domu i znowu okryć się studolarówkami. Nic nie miało sensu, ten klub, jej życie, ostatnie trzy dni, a zwłaszcza siedzący przed nią, uśmiechnięty obcy facet, przed którym zaledwie kilka dni wcześniej się obnażyła.

– No, no – powtórzył Cody. – Ależ to nasza nieznana terrorystka.

I wtedy przypomniała sobie, po co tutaj przyszła.

Nick Loukakis był na William Street; jechał samochodem z domu do pracy, starając się choć trochę zrozumieć świat Giny Davies, domyślić się, co ona może myśleć, a jednocześnie próbując nie zastanawiać się nad tym, co właśnie wydarzyło się u niego w domu – gdy nagle rozpętała się burza i cała ulica stanęła w korku.

Powiedział Dianie, że wszystko między nimi jest skończone, a ona po prostu wstała, wyszła z domu i dokądś pojechała. Sam musiał powiedzieć synom, że odchodzi, chociaż chciał poinformować ich o tym razem z żoną. Powiedział, że nadal ich kocha i żeby się nie martwili, bo miłość jest wieczna.

– Taa – odrzekł starszy z chłopaków i wrócił do gry na swojej PlayStation. – Akurat.

I miał rację – ta miłość w niczym nie pomagała Nickowi, bo właściwie brakowało mu odpowiednich słów, które mogłyby wytłumaczyć, czym jest życie, albo usprawiedliwić to, co miało nastąpić. Powinno było być lepiej, inaczej, ale jego miłość go zdradziła, zniszczyła, i obawiał się, że już na zawsze zatruje życie im wszystkim. Starał się znaleźć coś, czego wszyscy mogliby się trzymać, żeby mógł ich przez to przeprowadzić. Ale niczego takiego nie było. Potrafił myśleć jedynie o morzu obfitości, zmienionym w zatrutą pustynię.

Czekając, aż grad przestanie padać i samochody znów ruszą, zauważył młodą kobietę z ogoloną głową, którą na chwilę otoczyła aureola czerwonego światła pod tablicą reklamową Coca-Coli. Potem o niej zapomniał. Wrócił myślami do Giny Davies i może przez pół minuty przypominał sobie wszystko, co o niej wiedział, i wszystko, co w jej historii było niedorzeczne.

Potem oczami wyobraźni znowu zobaczył tę kobietę, widział, jak dziwnie idzie wśród padającego gradu, nie chce znaleźć schronienia, nie chowa się, tylko czegoś szuka, zmierza do konkretnego miejsca przeznaczenia – albo ku swojemu przeznaczeniu.

Te myśli przyszły do niego przytępione, jak zwykle w korkach ulicznych. Po chwili jednak aż podskoczył na fotelu. Zrozumiał, że to ona. O n a.

Klnąc na samego siebie, wprowadził radiowóz na chodnik, otworzył drzwi, po czym nie bez trudu wysiadł i zaczął biec. Miał czterdzieści trzy lata, dwanaście kilo nadwagi i takie wyczyny już nie przychodziły mu łatwo.

Burza pobieliała Cross, białe kulki bębniły jak oszalale, a jego płonąca pierś, zranione serce, przeszłość i przyszłość zbiegały się w dzikiej, ogłuszającej bieli, w którą wpadał teraz chwiejnym krokiem.

Najszybciej jak potrafił, popędził Darlinghurst Road, ale dwukrotnie musiał się zatrzymać, żeby złapać oddech, a raz o mało się nie potknął o leżącego na chodniku ćpuna.

Przed drogerią aborygeński transwestyta w czerwonej winylowej minispódniczce i odsłaniającej pępek czarnej bluzce ocierał łzy z policzka, ale kiedy zobaczył, że Loukakis zbliża się do niego, odwrócił się gwałtownie i zaczął uciekać – niezgrabnie, bo był w szpilkach.

Nick zapuszczał się coraz głębiej w objęcia Cross, miasta i przeznaczenia, zżerającego ich wszystkich, aż wreszcie trafił na czerwony dywan, który wydawał się go zapraszać do środka, chociaż na drodze zamajaczyła mu jakaś potężna postać, jeden z największych wykidajłów, jakich w życiu widział, w nieskazitelnie białym stroju, tak białym jak leżący na ulicach grad.

Doll była już bardzo blisko. Przesunęła palec na spust, napięła mięśnie. Nie chybi. Nie nawali. Miała piętnaście nabojów ze Srebrenicy. Jebać Srebrenicę! Jebać terrorystów! Jebać cały ten świat!

Wydawało się jej, że panuje nad sytuacją. Zdała sobie sprawę, że właściwie nie wiedziała, że żyje, dopóki nie poczuła się na tyle nikczemna, by zdecydować się zabić człowieka. Jak można było powiedzieć, że jeśli jest się morderczynią albo terrorystką, to coś się znaczy w tym świecie, ale jeśli jest się Doll, to ciągle się tylko umiera? Że dotąd pozostawała zamknięta poza tym światem, więc stworzyła sobie inny? Że kiedy miłość to za mało, nikt już nie może nic zrobić?

Może to broń palna pozwala nam tu wrócić, pomyślała. Może ludzie robią właśnie takie rzeczy, kiedy zostają wypisani ze świata, kiedy coś ich wykręca do góry nogami, a oni przestają być sobą i zmieniają się w coś, czego można już tylko nienawidzić. Może nikt z nas nie ma nic więcej. To nie jest słuszne i nie wystarczy, pomyślała, ale co jest słuszne i co nam wystarcza?

Słyszała w myślach Wilder, która mówiła, że można mieć wszystko, czego się chce, tylko trzeba za to zapłacić odpowiednią cenę. Nikt nie zamierzał płacić za Doll, a żaden polityk ani dziennikarz nie chciał się za nią ująć. Mogła mówić i płacić, wyłącznie używając beretty Morettiego. Pistolet pomoże jej wytłumaczyć – wprawdzie zaledwie na ułamek sekundy przed naciśnięciem cyngla i opróżnieniem magazynka – że jest sobą, a nie żadnym wymysłem, uprzedzeniem, stereotypem.

Dziwiło ją, że ten człowiek – który mówił o niej najgorsze rzeczy, nazywał ją morderczynią i nieludzkim potworem – nie wiedział, co Doll zaraz zrobi. Ona natomiast miała pełną świadomość, że już nigdy w życiu nie postąpi w bardziej ludzki sposób. Wszystko jest dobre. Wyciągnęła berettę.

– Kryształ? – powiedział Cody. Tak, pomyślał, ona tak się nazywa.

– Bum! – odezwał się pistolet.

Kula rozerwała pierś Cody'ego, który wyrzucił prawe ramię w górę i na bok i upadł na wznak. Ktoś krzyknął przeraźliwie.

Powieki Doll były mokre od potu. Czowała się bardzo zmęczona i chciało jej się spać. Miała jednak coś do załatwienia. W ciszy, która zawsze następuje po katastrofie, słyszała tylko jakieś gorączkowe skrobanie pod nogami.

Spuściła wzrok.

Cody leżał na plecach na podłodze i przebierał nogami jak szalony, starając się odsunąć od Doll. Bezskutecznie. Widziała tylko uciekające promienie jasnoczerwonego słońca. Świeciło rozbryzgami i cętkami na ubraniach klientów. Wolną ręką otarła oczy z piekącego potu, potem zacisnęła ją na pistolecie. Po chwili nie słyszała już bicia swojego serca ani trących o podłogę nóg Richarda Cody'ego. W jej głowie rozbrzmiewał już wyłącznie Chopin. Wiedziała, że Cody rozumie. Ona nie potrafiła wyjaśnić niczego, co się stało.

Podeszła dwa kroki bliżej do wijącego się na podłodze dziennikarza. Przypominał przewróconego na grzbiet karalucha, który usiłuje odczołgać się jak najdalej od wroga; jego ręce i nogi szamotały się, wstrętne paluchy zdejmowało drżenie. Chociaż podbite oczy rannego tańczyły z przerażenia, jego obca, jak gdyby owadzia twarz pozostawała dziwnie skamieniała. Kiedy fortepian zaczął głośniej grać ostatnie dźwięki, do Doll zaczęły wracać inne odgłosy – przeraźliwe wrzaski, krzyki – i znów poczuła na palcu narastający ucisk cyngla beretty, kiedy przystawiła ją Cody'emu do głowy i ponownie lekko pociągnęła za spust.

Nick Loukakis zbiegał po schodach w kierunku, jaki wskazywały mu purpurowe neonowe rurki, kiedy usłyszał pierwszy strzał. Paliło go w gardle, poczuł ostry ból w boku, łydki miał jak z ołowiu. Ledwo słyszał swój chrapliwy oddech, przebiegając koło stolika przy wejściu, gdzie jakaś półnaga kobieta przywarła ze strachu do ściany.

Sądząc po spokojnym zachowaniu bramkarza, Nick nabrał pewności, że nic się jeszcze nie stało. Nawet kiedy zabrzmiał strzał, chciał dalej wierzyć, że wciąż jest czas, by ocalić Ginę. Chwiał się na nogach, rzeził i modlił się w nadziei, że wyprostuje chociaż jedną rzecz, że uratuje chociaż jednego człowieka przed tym koszmarem, że uda mu się jakoś zrehabilitować, spłacić dług za tamtego weterana z Wietnamu, którego zastrzelił przed laty.

Gdy dotarł do korytarza prowadzącego do głównej sali klubowej, zdał sobie sprawę, że nie słyhać muzyki i nikt nie rozmawia. Wydawało mu się, że słyszy ludzki oddech. Nasłuchiwał pełen nadziei, modlił się, próbował nie myśleć o tym, że lis może jest już w kurniku. Skąd mógł wiedzieć, że lisem jest on sam?

Bum! Znowu zagrzmiała beretta, rękojeść pistoletu wcisnęła się z powrotem w dłoń Doll niczym filiżanka kawy, która o mało nie wypadła jej z ręki – nie stało się nic więcej, nic gorszego. Bum! Bum! Bum!

Nie usłyszała, jak Nick krzyczy, żeby rzuciła broń; nie widziała też, jak Loukakis wyciąga swój pistolet, i nie usłyszała przypadkowego wystrzału, gdy Billy Tongijczyk powalił go na podłogę. Wiedziała tylko, że mętne wody liczącego trzy tysiące lat bagniska podnoszą się gwałtownie wokół niej, i zobaczyła po prostu ulgę na twarzach innych kobiet, gdy wzięła na siebie ich winę, kiedy gorące żelazo, które rozplatało tysiące tętnic niewinnych dziewczyn przed nią, uderzyło ją w głowę niby młotem.

Raz jeszcze była z Tarikiem. Liam, już jako młody chłopak, spał spokojnie obok. Dłonie Doll i Tariqa nie szukały się łapczywie i niezdarnie w nieporadnych, wykonywanych na oślep erotycznych gestach pierwszego zespolenia. Wszystko trwało długo, a czas, który zawsze wydawał się Doll pełnym paniki chaosem, teraz się zatrzymał. Był czas na wszystko, kiedy już byli gotowi i połączyli się, a gdy skończyli, mieli wrażenie, że dopiero zaczęli.

W swojej ostatniej chwili Doll pojęła jednak, że to wszystko także jest złudzeniem; że nie ma odkupienia ani zmartwychwstania. Istniało wyłącznie życie, które opuszczała coraz szybciej. Kula rozdarła kość, włókna nerwowe, pamięć i miłość, zanim wyleciała z drugiej strony jej głowy, pozostawiając po sobie otwór wielkości dziesięciocentówki za lewym uchem. Miała dwadzieścia sześć lat, chociaż twierdziła, że ma dwadzieścia dwa, i nie było jej dane dożyć dwudziestu siedmiu.

– Pierdolę was! – zawołała. – Pierdolę was wszystkich!

Ale już nie żyła.

Myśl, że miłość to za mało, jest wyjątkowo bolesna. Czy wchodząc do Chairman's Lounge tamtego brzemennego w skutki wieczoru, Doll sądziła, że to, co zamierza za chwilę zrobić, wynika z miłości i z tego, że jest niemożliwa?

Absolutnie nie. Widziała jedynie szereg obrazów – swojego uśmiechniętego ojca, pozbawione powiek oczy syna, rój much – które składały się na opowieść o wiecznym odchodzeniu i wiecznej niemożności dojścia do celu, czyli na opowieść o jej życiu.

Jej życie jako opowieść nie pachniało żadnym konkretnym miejscem ani nadzieją na dom. Nie dawało również pokrzepienia, jakim odznaczają się czasem opowieści, które zapewne zawsze powinny się nim odznaczać. Bandyta jest już na schodach, a tym bandytą możesz być także ty. Kto wie, do czego zdolny jest człowiek, jeśli pozbawić go możliwości kochania?

Przez ułamek sekundy myślała o tym, że zaledwie trzy dni temu leżała na Bondi Beach w dziwnej harmonii z życiem. Ale plaża i morze to ostatnie rzeczy w mieście, przypominające ludziom, że miara wszystkiego nie jest dziełem człowieka; plaża i morze nie były miastem, nie były z tego świata.

Bo świat celowo pozbył się wszystkiego, co przypominało ludziom o ich przemijalności, słabości, zdolności do transcendencji i jej potrzebie. Miasto nie było już najcudowniejszym, lecz najbardziej tyrańskim z tworów człowieka. Nie pozostało nic, co mogłoby zrównoważyć koszmar istnienia. W dobie atrofii życia należało podziwiać władzę i pieniądze: wszędzie poza plażą piękno miało być przedmiotem pogardy, a kontemplację świata określano jako chorobę, depresję, dolegliwość.

Władza i pieniądze miały być wszystkim, co przetrwa, a polityka zapewniała im pierwszoplanową pozycję. Polityka umieszcza człowieka w centrum życia i w permanentnej opozycji do wszechświata. Miłość przeciwnie, wypełnia człowieka kosmosem.

Gdy Doll wkroczyła w krąg światła, znowu usłyszała muzykę Chopina. Słuchając tego, czego sam Chopin nie umiał wytłumaczyć, usłyszała wyjaśnienie swojego życia.

Miłość to zawsze za mało, ale nic więcej nie mamy.

Następnego wieczoru Chairman's Lounge pracuje normalnie, jak gdyby nic się nie stało. Salls, Jodie i Maria są wywoływane, a potem wchodzą po tych samych metalowych schodkach co zawsze na te same obite fioletowym filcem stoły. Obejmują te same mosiężne rury i posyłają gościom te same uśmiechy, zadowolone, że kiedy zaczną grać ta sama muzyka, zostanie im kilka minut, zanim będą zmuszone coś powiedzieć, cokolwiek.

Na zewnątrz na niebie wisi rogalik księżycy niczym bajkowe zakończenie nad bajkowym miastem. W swoim ogródku w Redfern Wilder zapala kolejnego jointa i ciągle ogląda pocztówkę z drzewkiem bonsai, odwraca ją. Przyszła dzisiaj, zaadresowana do niej. Patrzy na pustą stronę, na niezapisane miejsce. Nie ma żadnej wiadomości, brak nazwiska nadawcy.

Jest zdenerwowana. Pragnie nie myśleć. Chce zapomnieć. W końcu przestaje się przyglądać pocztówce i podpala ją. Kiedy ogień zaczyna parzyć jej palce, upuszcza kartkę na ziemię i patrzy, jak się zwija, palona wolnym płomieniem. Kilka chwil później zmienia się cała w popiół.

Dalej, na nabrzeżu, pewien Chińczyk czeka w ciemności na śmierć. Siedzi zamknięty w kontenerze okrętowym, w którym przed miesiącem ukryto ich w Szanghaju wraz z jedenastoma innymi mężczyznami. Marzyli wtedy o wielu rzeczach. Teraz chce tylko wody. Próbuje nie myśleć o smrodzie, upale i na szczęście zagubionym teraz w ciemnościach – ponieważ wyczerpały mu się baterie w latarce – widoku swoich martwych towarzyszy. Bo jeżeli będzie o nich myślał, straci zmysły. Po raz ostatni wali w okrutne stalowe ściany kontenera puszką albańskiego przecieru pomidorowego.

Dziwny, stłumiony stukot płynie ponad wznoszącymi się coraz wyżej rzędami ustawionych jeden na drugim kontenerów, nad zatokę, gdzie na jej ponownie jedwabistych wodach żeglują znów Tony Buchanan na swojej długiej łodzi, starając się nie myśleć o niczym poza tym, jak chłodne i przyjemne będzie pierwsze piwo, które wypije po powrocie do domu. To właśnie robi, tak myśli, chce cieszyć się swoim losem i z tego, kim jest.

W głębi duszy wie jednak, że w konieczności życia przez nie wiadomo ile jeszcze lat tkwi coś nieznośnego, a dominującym, niezaprzeczalnym uczuciem w jego sercu jest nuda. Przez chwilę sądzi, że słyszy powtarzające się dudnienie, ale jest zbyt zmęczony, przez moment podejrzewa, że to jego serce albo że coś się rozsypało w dieslowskim silniku Gardnera pod pokładem jachtu, potem jednak dźwięki po prostu zlewają się w jedno z innymi odgłosami miasta i stają się niczym wołania, które raz zrozumiane, nie potrzebują innej odpowiedzi.

Siv Harmsen nadal pracuje długo w noc, przeciąga nadgodziny, przygotowując nowe nakazy aresztowania. Jest wśród nich nakaz z imieniem i nazwiskiem Sally Wilder, którą oskarża o dwukrotne naruszenie ustawy o ASIO, opowiedziała bowiem dwóm osobom – w tym znanej terrorystce – o swoim aresztowaniu i przesłuchaniu dzień wcześniej. Sprawa prosta jak drut. Harmsen spodziewa się, że ustawa będzie zastosowana z całą surowością, i w duchu jest przekonany, że Wilder dostanie karę pięciu lat więzienia.

Nad monitorem ma naklejkę z napisem: „Wartości rodzinne. Ceńmy życie”. Z okazji piętnastej rocznicy ślubu zamierza zabrać swoją rodzinę na Fidżi. Nigdy nie kłócił się z żoną; kocha dzieci; prowadzi przykładowy żywot. Płotka głosi, że dostanie propozycję

objęcia stanowiska w kancelarii premiera. I nie może zaprzeczyć, że wiadomość o śmierci Giny Davies sprawiła mu niesłychaną przyjemność.

Ale ta wielka radość wyparowała. Wprawdzie upał już ustał, powietrze w jego biurze jest jednak ciężkie od czegoś, co wydaje mu się nieprzyjemne i niezrozumiałe. Rano w rozmowie z ministrem podniesie kwestię nagrody za odwagę dla Nicka Loukakisa. Ta myśl dodaje mu otuchy. Jak każdy, kto doszedł do wszystkiego sam, wie, że zasługuje na sukces i szczęście.

W programie *Undercurrent* minister mówi Zoe LeMay, że bardzo chce się przyłączyć do napływających przez cały dzień hołdów dla odważnego dziennikarza i wielkiego Australijczyka, Richarda Cody'ego. Oświadcza, że rząd za kilka milionów dolarów zamierza ustanowić stypendium dla dziennikarzy. Ogłasza też narodowi, że „zbrodnicza działalność Giny Davies dowodzi słuszności tego, o czym przez cały czas mówiliśmy. Możemy jedynie podziękować sierżantowi Nickowi Loukakisowi, że nie doszło do znacznie większej tragedii”.

Nick zgarnia do swojego forda territory przemyconą do Australii imigrantkę, uliczną prostytutkę, być może mając nadzieję, że w swoim ostatecznym upokorzeniu dotrze do jakiejś prawdy. Przez cały dzień dzwonił do Wilder, a ona przez cały dzień nie odbierała. Obserwował ją z samochodu, wie, że jest w domu, i rozumie tylko tyle, że ją kocha i że nigdy już nie będą ze sobą rozmawiać. Postanowił żyć dalej bez miłości – to kolejne postanowienie, do którego złamania nieuchronnie zmusi go życie. Gdy dziwka rozpina mu spodnie, Nick pyta, gdzie jest Bóg i dlaczego pozwala na taki świat. Nie wie już, co robić i czy będzie mógł tak dalej żyć, a ponieważ nie może dostać erekcji, płaci i wypuszcza prostytutkę z auta.

Dziwka wysiada, podnosi wzrok i przebiega ją dreszcz. Z naprzeciwka nadjeżdża lśniące czarne bmw z napędem na cztery koła, a w środku siedzi dwóch mężczyzn, którzy, jak prostytutka wie, pracują czasem dla pana Moona. Idą na nabrzeże, a potem wypływają na morze starym trawlerem do połowu krewetek, bo muszą wyrzucić do zatoki trupy dwunastu mężczyzn. Tymczasem po Cross krążą policyjne suki, a ludzie upadli i biedacy, pełni nadziei oraz bez nadziei, ci, którzy potrzebują współczucia, i ci, którzy mają potrzebę okazywania go, spędzają kolejny wieczór na terenie tego zaniedbanego centrum handlowego, noszącego zbyt poważną nazwę, kojarzącą się z Chrystusowym krzyżem, niewspółmierną do ich codziennych cierpień.

Wszystko biegnie swoim normalnym trybem, nawet kiedy życie robi się najstraszniejsze, i ludzie o tym wiedzą, zawsze, lecz życie płynie dalej, a oni szukają usprawiedliwienia tego, że nic nie robią, tylko płyną razem z nim. Przy fontannie dziesięciu policjantów okrąża brodatego mężczyznę w zniszczonej kurtce lotniczej, który wymachuje tępym nożem kuchennym Wiltshire. Do tragedii dochodzi w chwili, kiedy ktoś składa zamówienie na grillowanego hamburgera z kurczaka, dwanaście trupów z wolna zsuwa się do morza,

dziesięciu policjantów czeka nie wiadomo na co, a jakaś stojąca pod niebieskim neonem kobieta o posiniaczonych białych nogach i z narkotykiem we krwi pyta:

– Hej, chcesz się trochę zabawić? A jak nie, to może masz ochotę na działkę?

Mijają ją mężczyźni, którzy chcą czegoś innego, idą do Chairman's Lounge, gdzie czekają kobiety, wszystkie uformowane przez jakieś inne światło, czerwone światło krwi – krwi, której nigdy nie uda się całkowicie wyczyścić parowym odkurzaczem z wciąż wilgotnego dywanu i stojących niżej foteli klubowych; krwi, która barwi niebo, płynie w rzekach i wypełnia morza.

Wiedzą bezrozumnie, że teraz na pewno przynależą do jednego miejsca, do jednej idei, do czegoś; rozumieją bezwiednie, że niedaleko, na powierzchni przybierającego od niepamiętnych lat morza, przez bardzo krótką chwilę unoszą się zwłoki tych, którzy nie mają własnego miejsca, i miotają się na falach niczym szarpane sztormem wodorosty, po czym znikają na zawsze.

Ferdy o włosach utlenionych jaśniej niż kiedykolwiek podnosi wzrok na światła i przez chwilę nie widzi nic, ani półnagich, zakłopotanych, czekających wyżej kobiet, ani kompletnie ubranych mężczyzn poniżej, zrelaksowanych i spokojnych w śmiertelnej ciemności pełnej cieni. Po chwili przywołuje na twarz uśmiech, który wszyscy mają zobaczyć, i klaszcze w dłonie.

– Tańczcie – mówi.

Odzywa się głosem tylko nieznacznie donośniejszym od szeptu, ale wszyscy słyszą jego polecenie.

– Już czas, żebyśmy wszyscy wrócili do tańca.

Przypisy

[1] Aluzja do głośnej w Wielkiej Brytanii tzw. afery Profumo. John Profumo, brytyjski polityk Partii Konserwatywnej w randze ministra, miał w 1961 roku romans z tancerką Christine Keeler, podejrzewaną między innymi o szpiegostwo na rzecz Sowieców, jako że w tym samym czasie była kochanką radzieckiego attaché morskiego Jewgienija Iwanowa i prawdopodobnie przekazywała mu tajne informacje (przyp. tłum.).

[2] Shane Warne (ur. 1969) – słynny australijski krykiecista, w roku 2000 pozbawiony funkcji wicekapitana reprezentacji Australii po tym, gdy okazało się, że prześladował kobiety, wysyłając im esemesy o treści seksualnej (przyp. tłum.).

[3] Ivan Robert Marko Milat (ur. 1944) – australijski seryjny morderca, który w latach 1989–1992 zabił kilku turystów w lasach około stu kilometrów od Sydney (przyp. tłum.).